



MAGDALENA ZIMNY-LOUIS

ŚLADY HAMOWANIA

Między Londynem a Warszawą

Izabela, pozornie szczęśliwa żona i matka oraz rozwodząca się już po raz drugi Marlena kiedyś były nie tylko siostrami, ale i najlepszymi przyjaciółkami. Jednak od śmierci ojca nie odezwały się do siebie ani słowem. Odległość, jaka dzieli kobiety – prawie dwa tysiące kilometrów – nie sprzyja przetłumaczeniu ciszy i jest źródłem wielu napięć w rodzinie oraz wśród znajomych. Tymczasem Danka, jedna z przyjaciółek, właśnie odpowiada przed angielskim sądem za zabójstwo. Ze starymi znajomymi, nawet ze wspierającą ją Marleną, nie chce rozmawiać. Dlaczego zabiła męża? Co się stanie z jej dziećmi?

W tym niezwykle trudnym dla wszystkich czasie ze Stanów wraca Alex, dawny przyjaciel z liceum. Jego nagłe pojawienie się wywraca świat obu siostr do góry nogami i sprawia, że życie – zwłaszcza uczuciowe – komplikuje się jeszcze bardziej.

**Jak trudna potrafi być siostrzana miłość?
Do czego może być zdolna matka w chwili
zagrożenia dziecka?**

Czy echa przeszłości można tak po prostu zignorować?

**Książka wyróżniona w Ogólnopolskim Konkursie Literackim
ŚWIAT KOBIECY.**

PATRON MEDIALNY:



ISBN 978-83-7674-145-1



9 788376 741451

Cena 29,90 zł

R wydawnictwo
eplika

MAGDALENA ZIMNY-LOUIS
ŚLADY HAMOWANIA



Replika

Marlena

Pierwszy ślad hamowania

Wraz z innymi poderwałam się z krzesła, kiedy usłyszałam: *Court rise!* Proszę wstać! Sędzia wszedł na salę wolnym krokiem, ukłonił się nam wszystkim i zajął miejsce za pulpitem. Spojrzył na nas z wysokości swojego majestatu, uśmiechnął się urzędowo, ale oskarżonej, która stała naprzeciwko niego, nie zaszczyił ani jednym, choćby przelotnym spojrzeniem. Jego schowana pod peruką twarz przypominała w tym momencie odlew z wosku.

Ciekawa byłam jego życia prywatnego. Czy realizował się jako szczęśliwy małżonek i dumny ojciec? Czy miał niepracującą od czasu ukończenia szkoły żonę i dwóch synów studiujących prawo na prestiżowych uniwersytetach? Jak wyglądał w szlafroku i kudłatych kapciach, odarty z tych insygniów władzy, jakimi nas tu straszysz? Jada smażone jajka na boczku przed wyjściem do pracy czy raczej owsiankę? Przez siedem dni procesu zadawałam sobie tego typu pytania dotyczące codzienności sędziego Williama Coopera.

Więcej myślałam o nim niż o mojej przyjaciółce, która siedziała na ławie oskarżonych. Przynosiło mi to ulgę. O Dance nie mogłam myśleć w ogóle, a z miejsca, gdzie siedziałam, tj. ze strefy dla obserwatorów, nie mogłam nawet jej dostrzec. Domyślałam się, że stoi pomiędzy dwoma umundurowanymi pracownikami ochrony sądu, w oszklonej zagrodzie trzy metry na lewo od mojego krzesła. Zastanawiałam się, czy jest skuta kajdankami, czy

skują ją dopiero wtedy, kiedy ława przysięgłych wyda wyrok skazujący. Przez cały pierwszy tydzień, dzień po dniu, spadały jej na głowę kolejne oskarżające ją dowody. Wczoraj złotousty mówca, który przewodził oskarżeniu, w swojej końcowej „litanii” bezlitośnie wytknął obronie jej słabość. Słuchałam jego błyskotliwego podsumowania i kurczyłam się na krześle. W trakcie swej tyrady, rozkoszując się każdym wyartykułowanym słowem, odwracał się kilkakrotnie do tyłu, wskazując na Dankę swoim spiczastym palcem. Peruka przekrzywiła mu się na prawą stronę, toga opadła daleko na plecy, ograniczając mu tym samym swobodne ruchy rękami, a pomimo tego nie zrezygnował z teatralnych gestów, wyrzucając co chwilę ramiona w górę. To był wyjątkowo brzydki mężczyzna, wielki i powyginany we wszystkie strony - jak drzewo. Spod peruki wystawała mu kępka blond włosów oraz duży czerwony nos, również przekrzywiony jak cała jego postać. Danką na pewno się go bała, ja czułam do niego coś w rodzaju obrzydzenia.

Kiedy skończył pastwić się nad moją przyjaciółką, mowę wygłosił obrońca. Wszystko, co miał on do powiedzenia, było blade i nie przekonałoby nawet odźwiernego w sądzie grodzkim. Słuchałam go już mniej uważnie, przygotowując się psychicznie na to, co dopiero miało nastąpić. Zaczęłam się w pewnym momencie modlić, ale bez uściślenia przed Panem Bogiem: jakiej łaski chciałam dostąpić? Żeby cofnął czas? Tak, do dnia, w którym Danką poznała swojego przyszłego męża...

Na korytarzu przed salą rozpraw stała Natalia. Niestosownie ubrana, bardzo wysoka wschodnioeuropejska piękność wypatrująca znajomej twarzy. Jakże ona się wyróżniała na tle tej angielskiej szarości! Nigdy nie bała się kolorów i falbanek, nie wahała się przez założeniem imitacji skóry, nie gardziła cętkami lamparta i ćwiekami. Ja, zakładając czerwoną bluzkę, czułam się wystarczająco wyzywająco i niezręcznie. Ubrana w długą, zieloną sukienkę w szalone wzory, przepasana w taliu szerokim brązowym pasem z ozdobną klamrą przedstawiającą kołatkę na drzwi, pomimo słonecznej pogody miała na nogach wysokie kozaki niczym kot ze znanej bajki. Każdym centymetrem swojej inności górowała nad tutejszą ludzką masą.

Kiedy zaproponowała mi kilka dni temu, że przyleci z Polski na ostatnie dni procesu, nie wzięłam tego na poważnie, ale gdy już potwierdziła dzień i godzinę przylotu, zaczęłam się cieszyć na myśl, że już nie będę z tym wszystkim sama. Nie zjawiła się wczoraj, jak było to umówione, a ja, zawiedziona, nie zadzwoniłam do Warszawy, ale teraz biegłam do niej, wyciągając ramiona. Uściskałam ją, odgarnęłam jej włosy z czoła. Była spocona i zgrzana, wyjaśniła, że biegła całą drogę.

- Miałaś być wczoraj - celowo zaczęłam jej marudzić, inaczej nie byłabym sobą. - Mogłaś mi chociaż przysłać sms-a, że nie przylecisz!

- Mogłam, ale nie wiedziałam, czy mi się nawet dzisiaj uda. Przepraszam! - Natalia z trwogą rozglądała się dookoła.

Zaczęła się żalić, że nie wpuszczono jej na salę. Nie było na to szans, ponieważ w miejscu dla obserwatorów, składającym się zaledwie z kilkunastu krzeseł, nie znalazłoby się dla niej miejsce. Ja o swoje szare niewygodne krzeselko wyklóciłam się w pierwszym dniu rozprawy. W końcu byłam przecież jedyną osobą reprezentującą rodzinę oskarżonej. Przynajmniej tak im powiedziałam.

- Co się stało? - zapytałam, gdy obie się uspokoiłyśmy.

- Matka przywiązała się do krzyża na Krakowskim Przedmieściu, potem zasłabła, przyjechało pogotowie, ale tak się darła, że musieli ją wziąć siłą. Już z lotniska musiałam wrócić się do szpitala, bo miała migotanie przedsionków czy coś takiego, więc bałam się lecieć, bo wiesz, jeszcze by tego brakowało, żeby mama mi... No, wiesz...

- Do jakiego krzyża się przywiązała? Ty poważnie mówisz? - przerwałam jej, nie nadążając ze zrozumieniem. Natalia machnęła ręką zniecierpliwiona.

- To długa historia, opowiem ci innym razem. Co z Danką?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, podeszła do nas asystentka adwokata Danki. Nie była może najbardziej rozgarniętą młodą osobą, jaką w życiu poznałam, ale przynajmniej informowała mnie na bieżąco o sprawie. Powiedziała krótko, że teraz pozostaje nam tylko czekać. Na moje pytanie, jak długo, odpowiedziała,

że tego nikt nie jest w stanie przewidzieć, bo sędzia poprosił członków ławy przysięgłych o wyrok jednomyślny i takiego oczekuje, ale ile będzie trwała narada..? Godzinę lub kilka. Powiedziała też, że jeśli do siedemnastej nie ustalą werdyktu, sprawa będzie kontynuowana jutro; ale była dopiero jedenasta, więc najprawdopodobniej dowiemy się jeszcze dziś, czy tych dwunastu gniewnych uważa, że Danka zabiła swojego męża, czy też nie. Spojrzałam na Natalię - kiwnęła głową, że rozumiała. Wyszliśmy na świeże powietrze, żeby zapalić.

- Co teraz będzie? Na ile pójdzie siedzieć? - Poczęstowała mnie papierosem i zaczęła obgryzać paznokcie. Musiałam złapać jej dłoń i odciągnąć od twarzy. Gdyby siedziała tydzień na sali sądowej w tym nierealnym, zamkniętym świecie w środku miasta jak ja, byłaby w tej chwili mniej zdenerwowana. Zderzyła się czołowo z powagą sytuacji, na co z pewnością nie była przygotowana.

- Grozi jej dwadzieścia pięć lat - powiedziałam.

- Jezu! Będzie starą babą, jak wyjdzie na wolność... Ile będzie miała lat? Ponad sześćdziesiąt! Jezu, Jezu... Co to się porobiło, nasza Danka!

Zaciągaliśmy się papierosami tak gwałtownie, że po dwóch minutach rzuciliśmy ustniki na ziemię. Przygwoździłam je czubkiem buta.

- Wolno tak przed budynkiem sądu pety rzucać? - Natalia była nieco zgorzona. Wszyscy rzucali niedopałki na ziemię, a że w pobliżu nie zainstalowano żadnej popielniczki, ja robiłam tak samo, choć za każdym razem rozglądałam się na boki, czy nie obserwuje mnie jakiś nadgorliwy strażnik miejski. Przy drugim papierosie Natalia zadała mi serię pytań na temat zabójstwa i okoliczności. Nie znałam odpowiedzi na większość, bardzo ją to zdziwiło.

- To kiedy widziałas ją ostatni raz? - zapytała.

- Odwiedziłam ją raz w więzieniu, zanim jeszcze zaczął się proces. Nie nagadałyśmy się. Wręcz przeciwnie.

- Powiedziała ci coś ważnego? - Natalia przybliżyła twarz do mojej.

- Nie powiedziała nic ważnego ani nieważnego - odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Wciąż usiłowałam zrozumieć, dlaczego tak mnie potraktowała, kiedy poszłam się z nią zobaczyć. Może zbyt długo zwlekałam, ale chciałam się dobrze przygotować na to spotkanie, a poza tym miałam nadzieję, że sama do mnie zadzwoni z więzienia i poprosi, żebym przyszła. Nie doczekałam się zaproszenia i po kilku tygodniach postarałam się o widzenie. Opowiedziałam o tym Natalii.

- Dziwne. A dlaczego nie chciała z tobą gadać? Ma jakieś pretensje czy co?

- Nie wiem. Może się wstydzi albo ma do mnie żal... - odparłam, wystawiając twarz do słabego promyka słońca.

- A może ona nie zabiła Karola? - zapytała z nadzieją w głosie.

Nie zareagowałam. Adwokat namówił ją na ten proces. Nie było mnie przy tym, ale miałam absolutną pewność, że Danka od początku chciała przyznać się do winy, tylko jej to wyperswadowano. Procesy muszą się odbywać, żyje z tego przecież cała masa ludzi, nie wolno o tym zapomnieć! Nikt nie dopuścił jej do szczerego wyznania winy pt. „tak, to ja zabiłam swojego męża”, a dopóki z jej ust nie padły takie słowa, można było szykować proces mający na celu udowodnienie, że jest niewinna. Manipulowali nią zamiast zostawić w spokoju. Proces był farszą, a martwy Karol Radymny - faktem. Natalia, zaniepokojona moim milczeniem, szarpnęła mnie za rękaw płaszcza.

- Zabiła Karola czy nie? - spojrzała mi w oczy.

- Natalia, nieważne, co ja myślę, ważne natomiast, co myśli te dwanaście osób, które w tej chwili się naradzają. Wszystko wskazuje na to, że tak. Danka nie składała zeznań, według mnie to o czymś świadczy.

- Ty jesteś taka spokojna... We mnie wszystko się trzęsie, a na dodatek nic nie jadłam od wczoraj. Ta dieta mnie w końcu kiedyś zabije, ale przynajmniej umrę chuda. Wiesz, ile ważę?
- Przeciągnęła dłońmi po biodrach. Posłałam jej ostrzegawcze spojrzenie, na szczęście zrozumiała przekaz. Wyciągnęła z przepastnej torby kawałek żółtego sera zawiniętego w folię.

Nie miałam siły pytać, czy ma to posłużyć jej jako obiad, kolacja czy może deser. Ja miałam ochotę na krwistego steka z polędwicy wołowej z pieczarkami i ziemniaki w sosie kremowym. Powiedziałam o tym Natalii, aż zakryła usta wierzchem dłoni.

- A wiesz, że twoja siostra również chciała tu przylecieć? - dodała, kiedy przełknęła ostatni kęs maleńkiej porcji sera.

- Szkoda, że na chęciach się skończyło - powiedziałam szybko. Nie było w tym sarkazmu czy zjadliwości, raczej smutek.

- Wczoraj do niej dzwoniłam, wiesz, ta cała historia z mamą zupełnie mnie wyprowadziła z równowagi, więc chciałam pogadać, ale Izka miała wyłączoną komórkę. W każdym razie zostawiłam jej wiadomość, a kiedy dziś rano wylądowałam, już był od niej sms, żebyśmy się trzymały, żeby uściskać Dankę, no i że chciała przylecieć, ale teraz w firmie mają najgorętszy okres, bo...

- Dankę uściskać? Co ona plecie, czy myśli, że my sobie w czasie procesu kawkę wspólnie pijemy? Ja jej nawet nie widzę, choć stoi obok za szybą, nie ma do niej dostępu! - Jednak byłam trochę zdenerwowana. - Lepiej mi opowiedz, co z tym krzyżem twojej mamy? To jakaś akcja była?

Zmiana tematu wyszła nam na dobre. Uściskać Dankę! Co głupszego można było powiedzieć?

- Nie masz polskiej telewizji, to nie wiesz, co się dzieje w kraju! - Natalia odzyskała wigor i znów strzelała słowami niczym z karabinu. Usiadłyśmy na kamiennych schodach obok grupki reporterów.

- No, ale o katastrofie samolotu prezydenckiego słyszałaś? Wiesz, jacy Polacy są religijni... że aż niewierzący! Moja mama właśnie po to przyjechała do Warszawy, żeby dymić pod Pałacem. Kiedy przyszła procesja, to nie wzięli tego krzyża tam, gdzie go mieli wziąć, a wtedy mama dołączyła do grupy protestującej i przez całą noc czuwała. Błagałam ją, żeby poszła ze mną do domu, ale się uparła, a jeszcze mi kazała zadzwonić do tej swojej koleżanki Wojciechowskiej i ją też namówiła. I tak się tam modliły na zmianę, a potem przyszli ich pogonić czy przemieść ten krzyż jeszcze raz, sama nie wiem, to była chyba policja

lub straż pałacowa, w każdym razie dość niebezpiecznie tam się działo, a na końcu happening się z tego zrobił.

- Na stałe w Warszawie z tobą zamieszka? - zapytałam.

- Czyżby oznaczało to koniec twojego szalonego życia?

- Nie, na szczęście nie. Przyjechała na kilka tygodni i raz jest u mnie, raz u Wojciechowskiej, coś tam knują i naradzają się zakochane w ojcu dyrektorze i prezesie - opowiadała, prawie nie nabierając powietrza w płuca.

Nie miałam możliwości jej przerwać i dopytać o szczegóły. Zakładała niesłusznie, że ja się jednak trochę orientuję w polskiej polityce, jak przystało na zaangażowanego Polaka, nawet jeśli mieszka on poza granicami kraju. Moje angielskie miasto ozdobione było setkami anten polskich telewizji satelitarnych, wystających z domów, balkonów i płotów, ja jednak nie posunęłam się aż tak daleko.

- Mieszkanie z mamą w naszym wieku to chyba spore wyzwanie?

- Nie jest mi z nią tak źle, bo gotuje i sprząta, ale do kościoła muszę chodzić co niedzielę - opowiadała niemal jednym tchem.

- Nie uwierzysz, ale nawet u spowiedzi byłam, choć do Bożego Narodzenia jeszcze kawał czasu. Dostałam rozgrzeszenie, bo aktualnie nie mieszkam z żadnym mężczyzną pod jednym dachem i nie uprawiam regularnego seksu, a za te pojedyncze wybryki to oczywiście wzbudziłam głęboki żal i zgłosiłam chęć poprawy. Chyba nie jest to świętokradztwo, bo faktycznie ostatnio w moim życiu nic się ciekawego nie dzieje.

Nagle Natalia przytuliła się do mnie. Objęłam ją ramieniem.

- Tęsknię za tobą - powiedziała. - Nie mam z kim pogadać w Warszawie. Gdyby Izka nie była taka zajęta... ale ona ma mało czasu, odkąd wyprowadzili się z miasta na te swoje pałace. Mam niby sporo znajomych, ale jakoś brakuje wspólnych tematów. Spotykam się z ludźmi, nie myśl, że wieczorami siedzę przed telewizorem i seriale oglądam, ale tak jakoś...

Obliczałam, jak dawno nie widziałam się z Natalią. Ostatni raz była u mnie w Anglii w zeszłym roku na Wielkanoc. Dan-ka z dwumiesięcznym Krzysiem na ręku również przyjechała

zjeść z nami śniadanie. Nie mogliśmy oderwać wzroku od jej wspaniałych piersi, pełnych mleka. Mieszkałam jeszcze wtedy z Alanem, on również wpatrywał się w jej biust jak zahipnotyzowany. Danka była spokojną i dostojną dojrzałą mamusią, pamiętam, że pojawił się u mnie cień zazdrości, kiedy patrzyłam, jak karmi małego. Ja wszystkim wmówiłam, że nie mogę mieć więcej dzieci, ale prawda była taka, że po prostu nie chciałam. Wolałam, żeby ludzie mi raczej współczuli, niż bez końca wypytawali, dlaczego nie chcę mieć kolejnej pociechy. Danka zawsze chciała mieć więcej potomstwa, ale drugą ciążę od początku nazywała przypadkiem. Natalia chyba myślała o tym samym.

- Taka była radosna po urodzeniu Krzysia... Pamiętasz? Pulchniutki był, żywy, wcale nie płakał, a spędziłyśmy razem cały dzień.

- Pamiętam - przytaknęłam.

- Wydawało się, że wszystko się jakoś ułoży, nawet nie wspomniała słowem o Karolu. Zdawało mi się, że go rzuciła, ale nie pytałam. Jezu, dlaczego ona go zabiła?

- Natalia, ja nie mogę teraz o tym mówić. Po prostu nie mogę...

Wstałam i otrzepałam spodnie z kurzu.

- Ja się boję tam wracać... - Natalia wskazała głową na oszklony budynek sądu za naszymi plecami. Zaproponowałam, żeby poczekała na zewnątrz, ale nie chciała mnie zostawiać samej.

Wolnym krokiem wróciliśmy do środka. Powierzchniowa kontrola wchodzących do budynku sądu na chwilę rozbawiła Natalię. Mogliśmy w torebkach przenieść choćby granat i siekiere, bo młody ochroniarz był tak speszony, że odsunął tylko zamek, ale nawet nie zajrzał do środka, onieśmielony ciekawskim spojrzeniem Natalii. Takiej ładnej dziewczyny pewnie jeszcze w życiu nie widział. Zbliżała się czternasta i przed jego bramką kontrolną utworzyła się spora kolejka, z którą usiłowałam sprawnie się uporać. Weszliśmy schodami na drugie piętro i usiadaliśmy na wolnych krzeselkach przed salą rozpraw numer 5. Wyczuwałam, że pomimo tego, iż obie z Natalią jesteśmy tu

tylko z jednego powodu, ani ja, ani ona nie miałyśmy odwagi mówić o tym, co się stało i co miało się stać dopiero za chwilę.

- Patrz na te sępy! - Natalia brodą wskazała dwóch dziennikarzy idących w naszą stronę. Roześmiani, rozpięci, zonglowali telefonami komórkowymi i gapili się na moją koleżankę.

- Nie denerwuj się, są w pracy, piszą relację z tego procesu. Dziwię się, że nie ma telewizji, wczoraj było tu lokalne BBC. Chyba nie oczekujesz, że będą się przejmować losem Polki, która zaraz pójdzie siedzieć, bo zabiła z premedytacją swojego męża? - Niespodziewanie stanęłam w ich obronie.

Natalia wydeła usta i kręciła głową z dezaprobatą.

- Od Karola nie ma nikogo? - zapytała, kiedy już speszyła nachalnie przyglądających się jej pismaków. Umiała to robić.

- A kto miałyby przyjechać? Ojciec? Matka? Obydwoje alkoholicy. Z tego, co mi wiadomo, nikt nie odebrał zwłok Karola. Został na ziemi angielskiej.

Nie chciałam mówić o nim ani jego rodzinie, wolałam omijać ten temat, żeby nie musieć przyjmować po raz kolejny do wiadomości, że nie żyje. Natalia męczyła mnie jeszcze przez chwilę pytaniami, jednak szybko pojęła, że nie rozwinie mymiany zdań w obojętną pogawędkę. Jeszcze raz wyszłyśmy na papierosa, ale nie zdążyłyśmy go wypalić, ponieważ wywołano sprawę pt: „Danuta Radymna”. Natalia była zaskoczona, że tak poprawnie wymówiono jej imię i nazwisko. Na salę sądową wchodziliśmy w absolutnym milczeniu. Natalia musiała zostać na korytarzu, tylko ucisnęła mnie przed wejściem.

Wszystko trwało bardzo krótko. Młody chłopak o wyglądzie i stroju gitarzysty rockowego został wybrany przez członków ławy do obwieszczenia werdyktu w ich imieniu. Wstał, wygładził na piersi bluzę i, patrząc prosto w oczy sędziego, powiedział, że nasza Danką została uznana za winną. Na sali zrobiło się jeszcze ciszej. Sędzia grzecznie podziękował i zapowiedział, że wyznaczy karę dopiero następnego dnia i zaprasza wszystkich na dziesiątą rano. Kobieta siedząca obok mnie szepnęła mi prosto do ucha:

- Dwadzieścia pięć lat, minimum piętnaście za kratkami...

Nie odwróciłam głowy w jej stronę, udawałam, że tego nie słyszę. Zerwałam się z krzesła, precyzyjnie przeskoczyłam przez małą grupkę ludzi stojących w przejściu i przeskoczyłam do przodu. Zatrzymałam się dopiero obok stołu asystenta prokuratora, skąd mogłam ją zobaczyć. Patrzyła prosto przed siebie, a asystujący jej ludzie z ochrony właśnie zakładali kajdanki na jej cienkie nadgarstki. Danka odwróciła się wolno i wyszła, nie spuszczać głowy. Woźny pociągnął mnie na rękaw.

- Tu nie można stać - warknął. Wycofałam się szybko - nagle zaczęłam mieć dość tego miejsca i tych twarzy. Nie wytrzymałabym tutaj ani dnia dłużej, nawet minuty. Wybiegłam na korytarz. Natalia siedziała na metalowej ławeczce pod oknem i płakała. W pierwszym odruchu chciałam wybiec z sądu i zostawić ją tam samą, ale była to niedorzeczna myśl. Adwokat Danki unikał mnie cały tydzień, przysyłając swoją asystentkę z komunikatami różnej treści, jednak teraz, kiedy wyrok skazujący pozbawił go pewności siebie i jegomość w końcu przegrał, najwidoczniej uznał, że wielka przepaść, jaka nas dzieliła, zawężyła się na tyle, żeby móc się wreszcie do mnie odezwać. Zagroził mi drogę.

- No cóż, zrobiłem, co w mojej mocy - słowa te skierował gdzieś w przestrzeń ponad moją głowę.

- Nie wątpię - burknęłam, choć szczerze w to wątpiałam. Miał Dankę gdzieś.

Nie odzywałam się. Patrzyłam na jego wypolerowane buty, a potem poszukałam wzrokiem Natalii. Siedziała z głową podpartą na kolanach, z ruchu ramion wnioskowałam, że rozpacza. Mogłam jej tego oszczędzić. Mój egoizm wymusił na niej przylot do Anglii, teraz nie wiem, dlaczego. Ani ja się lepiej nie poczułam z powodu jej obecności, ani ona nie wydawała się czerpać siły z dobrze wypełnionego obowiązku, a Danka nawet nie wiedziała, że Natalia tutaj jest. Przyszło mi do głowy, że przyleciała tu, żeby wypełnić miejsce Izki, może w nadziei, że dzięki temu moje stosunki z siostrą nie ulegną pogorszeniu. Znając Natalię, tak właśnie mogła pomyśleć. Podjęła się misji specjalnej - pogodzenia mnie z siostrą. Adwokat zapytał,

czy ma coś przekazać Dance, bo schodzi teraz z tłumaczem do celi znajdującej się na parterze i chce z nią zamienić parę słów, zanim ją odwiozą do więzienia. Co zamierzał jej powiedzieć? Ze dwadzieścia pięć lat minie jak z bicza trzasnął?

- Jeśli będzie się pan z nią widzieć, to proszę jej powiedzieć, że Natalia jest tutaj razem ze mną. Zapamięta pan? N-a-t-a-l-i-a!

- Oczywiście - mruknął.

Sprawdzał wiadomości w telefonie komórkowym. Ani razu na mnie nie spojrzął, nie słuchał mnie; natychmiast poszusował w swoje prawnicze klimaty, które dla nas, zwykłych śmiertelników, są absolutnie zakazane.

- Przyjadę ją odwiedzić, ale dopiero, gdy sama do mnie zadzwoni i poprosi - powiedziałam jeszcze.

- Oczywiście. Przekazę.

- A jak ona się trzyma? - zapytałam, usiłując zwrócić jego uwagę.

Danka od tego tragicznego dnia nie powiedziała prawie nic, sama się zastanawiałam, jak jej adwokat mógł przygotować obronę bez jej pomocy. Kiedy zaproponował jakiś czas temu, żebym z nią porozmawiała, pojechałam do więzienia w Holloway, ale to nie była wizyta, na jaką liczyłam. Po kilku minutach Danka poprosiła, żebym już sobie poszła i na razie „zostawiła ją w spokoju”. Po wyjściu z więzienia czułam się idiotycznie, jakbym to ja popełniła przestępstwo. Wymknęłam się z tego ponurego miejsca ze spuszczoną głową, a szalem zawinęłam się tak szczelnie, że tylko nos mi wystawał. Byłam rozgoryczona faktem, że nie chciała ze mną rozmawiać, ale bardziej przygnębiało mnie to, że moja przyjaźń z Danką okazała się złudzeniem. Nie wiedziałam tylko, kto kogo zawiódł...

Adwokat przytulał nieporadnie do piersi plik dokumentów. Spieszył się do swoich spraw, zapewne tak nudnych jak on sam, ale nie umiał tak po prostu ode mnie odejść. Stałam jeszcze przez chwilę niezdecydowana, co powinnam dalej zrobić. Natalia podeszła do nas i pociągnęła mnie za rękaw.

- Koniec tej konferencji, sprawę przegrał, nic mu się nie należy, żadne dobre słowo. Żegnaj pana i spadamy, nic tu po

nas - powiedziała do mnie, a adwokatowi posłała niezwykle pogardliwe spojrzenie, które zmazało z jego twarzy ten dziwny uśmiezek. Najwyczejniej w świecie speszył się. Natalia pociągnęła mnie za sobą korytarzem, nie zdążyłam się pożegnać. Dziękujemy i do widzenia. Kiedy? Najchętniej nigdy!

Izabela

Drugi ślad hamowania

Radek spał niespokojnie. Kiedy zamykałam drzwi od sypialni, przestał chrapać. Stałam kilka sekund, żeby się upewnić, że go nie obudziłam. Zeszłam na dół, nie zapalając światła. Ostrożnie wymacałam telefon komórkowy w kieszeni szlafroka. Wiadomość od Natalii odczytałam późnym popołudniem, kiedy w sklepie robiłam zakupy spożywcze. Stałam przy kasie, jedną ręką wyrzucając na taśmę makarony i sery, drugą przyciskając klawisze w telefonie. Straszny pan stojący za mną wdychał tak głośno, że musiałam przerwać czytanie i skoncentrować się na zakupach. Dopiero po wyjściu, pchając przed sobą niezwrotny wózek, czytałam długą wiadomość od Natalii.

Nie wiem, czego się spodziewałam, ułaskawienia? Nie, na pewno nie. Bez posiadania wielkiej wiedzy na temat tego, co się wydarzyło, uznałam, że jest winna. Natalia pisała: „Danka dostała dwadzieścia pięć lat. Wyjdzie po piętnastu. Jest szansa, że będzie odsiadywać wyrok w Polsce. Nie było nikogo z rodziny Karola. Okropne przeżycie dla nas. To jakby najgorszy sen. Marlena cię pozdrawia. Wracam za dwa dni. Powiadom Danki mamę, nie mamy pojęcia, czy one tam coś wiedzą. Po powrocie zadzwonię, to rezerwuj czas, bo mam ci dużo do opowiedzenia”.

Zawahałam się przy otwartej lodówce. Woda czy wino? A może wódka? Wcześniej wypiałam już butelkę merlota, ale

zdążyłam wytrzeźwieć i potrzebowałam jeszcze jednej rundy znieczulającej. Marlena mnie pozdrawia? Śmiałam wątpić.

Nasza lodówka miała wbudowany automat do robienia lodu, po raz kolejny uznałam to za wielki oraz absolutnie konieczny luksus. Ciepła wódka nie przechodziła mi przez gardło. Nalałam sobie setkę do szklanki, wrzuciłam garść lodu i wlałam pół puszkę coli light. Wyszłam z drinkiem na taras. Mieszkańcy naszej podwarszawskiej wsi nareszcie poszli spać - uwielbiałam nocną ciszę u sąsiadów, to wyhamowanie zgiełku, jakie następowało po północy. W ciągu dnia zupełnie traciłam kontakt sama ze sobą, funkcjonowałam na automatycznym pilocie, nie słyszałam własnych myśli, nawet gdyby mi się udało takowe sformułować. Było cicho i przyjemnie, nie przeszkadzały mi przejeżdżające gdzieś w oddali samochody, ostatni spóźnialscy, śpieszący do domów ani ujadający żałośnie pies.

Popijałam małymi łykami rozcieńczony alkohol i układałam plan na sobotę. Pierwsza rzecz, którą powinnam zrobić rano, to zadzwonić do pani Borkowej i powiedzieć jej, że Danka za zamordowanie swojego męża Karola dostała wyrok dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności. Pani Borkowa pójdzie do sto- doły w poszukiwaniu swojego męża i naradzi się z nim, jak tę wiadomość przekazać córce Danki, Justynie. Justyna ma szesnaście lat, najgorszy wiek pod każdym względem. Najbardziej niedobry na zderzenie się z wiadomością, że po śmierci ojca następuje uwięzienie matki. Pewnie znowu ucieknie z domu, podpali kiosk, zakocha się w Litwinie sprzedającym płyty na rynku albo potnie sobie żyłką skórę ud jak ostatnio. Ze zgrozą pomyślałam, że jeszcze może się wydarzyć coś złego w tej rodzinie.

O Justynie zdarzało mi się wspominać wiele razy w ciągu ostatnich trzech lat, zawsze z wyrzutami sumienia, z którymi nie udało mi się uporać. Kiedy Danka poprosiła mnie, żebym ją wzięła do siebie, z początku myślałam, że żartuje. Wyjeżdżała do Anglii do Karola, Justyna miała wtedy dwanaście lat, nie chciała z nią jechać, ale jeszcze bardziej nie chciała wyemigrować do ojca. Danka zebrała się na odwagę i zadzwoniła do mnie,

błagając niemalże, żebym zaopiekowała się jej córką przez jakiś czas. Jak długo? Nie precyzowała. Aż staną na nogi. Ona i Karol.

Kiedy powiedziałam o tym Radkowi, wpadł w szal. Gdybyśmy siedzieli przy stole, waliłby w niego pięścią, taki był oburzony.

- W naszym domu izbę dziecka masz zamiar organizować? Jak ona może cię prosić o coś takiego? Co to jest za kobieta? Co to jest za matka? Ja rozumiem, że ludzie jadą za granicę za chlebem, polskich robotli potrzebują wszędzie, ale niech biorą Justynę ze sobą! No nie, chyba jej nie powiedziałaś, że się zastanowisz? - ryczał na jednym wydechu.

- Powiedziałam, że zapytam ciebie o zdanie - przyznałam zgodnie z prawdą.

- Bardzo dobrze, to jej powiedz, że ja się nie zgadzam! Już do niej dzwoń, w tej chwili, chcę to słyszeć! Ja pierdołę, co ty masz za koleżanki? Ta Danka to przecież jakiś margines jest.

- Margines względem czego? - zapytałam zaczepnie. Spojrzał na mnie z niedowierzaniem, że w ogóle jeszcze mam czelność drażyć temat. Czekałam, aż zdefiniuje słowo „margines”.

- Nie broń jej, sama wiesz, co to za środowisko pijackie. Chleją na umór od pokoleń, przepijają to, co zarobią, majstrują dzieciaki, a potem jadą za granicę, udają, że po nowe życie, ale tak naprawdę po to, żeby pić dalej.

- Przestań, Danka nie pije!

- A co ty o niej wiesz? Masz pewność, że tego nie robi? Nie widziałaś jej przez lata, to była twoja koleżanka z liceum, a teraz macie prawie czterdzieści lat, co ty możesz powiedzieć na jej temat? Żyjecie jakimś cholernym mitem, wszystkie cztery!

Radek wyszedł z kuchni, wzrokiem pokazując mi telefon. Wiedziałam, co muszę zrobić, ale czułam się z tym okropnie. Nie miałam tak naprawdę ochoty zajmować się krnąbrną córką koleżanki, ale zapewne gdyby mój mąż nie zareagował tak gwałtownie, spróbowałabym. Danka przyjechała dzień wcześniej do Warszawy, czekała na naszą decyzję u Natalii w mieszkaniu. Przywiozła ze sobą Justynę, ale tego Radkowi już nie powiedziałam.

Marlena zarzuciła mi kiedyś, że jestem przez niego zdominowana i nie mam nic do powiedzenia we własnym domu, ale co ona może wiedzieć o moim małżeństwie albo o Radku, skoro nic nie wie nawet o mnie samej? Radek miał prawo nie zgodzić się na opiekę nad Justyną, to było wielkie wyzwanie, a przede wszystkim odpowiedzialność, której był świadomy. Może gdyby Justyna była młodsza, bardziej otwarta, uśmiechała się choć raz na tydzień lub po prostu wydawała się miłsza, że mogłabym ją polubić. Z czasem może i Radek by się do niej przekonał, ale to było naprawdę trudne dziecko, chodziła w pancerzu, zła na cały świat, na matkę też.

Danka źle zrobiła, że przywiozła ją z ciuchami do Warszawy i pewnie na wyrost powiedziała jej, że zostanie u nas. Justyna z pewnością nie paliła się do tego pomysłu, ale w jej wieku trzeba było być uległym i zgadzać się bez szemrania na to, co przygotowują rodzice. Powiedziałam jej, że Radek się nie zgadza. Nie mieszkaliśmy jeszcze wtedy w Markach, tylko na Mokotowie w trzypokojowym mieszkaniu. Ostatecznie Justyna została u Natalii, a Danka następnego dnia wyjechała do Anglii. Wszystko wydarzyło się dość szybko. Niestety, młoda gniewna po tygodniu uciekła z domu i jakimś cudem dojechała autostopem na wieś do dziadków. Uznałyśmy z Natalią, że tam od początku powinna była mieszkać. Nie wiedziałyśmy wtedy, że Danka sobie tego nie życzyła, ale stało się.

Minęły trzy lata i na jednym z portali internetowych nasza Danka jest już Danutą R. Kiedy zobaczyłam wczoraj tę wiadomość na ekranie, czytałam artykuł w strachu, że napiszą coś również o mnie, przywołując historię, jak wypięłam się na Danke, kiedy była w największej potrzebie. Radek podszedł do fotela i zajrzał mi przez ramię.

- Piękny element sobie wybrałaś na przyjaciółkę! Zbrodnia to niesłychana, pani zabiła pana! Ale należało mu się, to gnój był - skomentował cierpko.

- Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, jaka wydarzyła się tragedia - powiedziałam spokojnie.

- Wiadomo było, że tak to się skończy! Iza, przecież to były popłuczyny społeczeństwa, tylko tobie się zawsze wydawało, że Danka jest w porządku, żyje normalnie, skromnie, ale czyściutko, jak w tym dowcipie. Na odległość czuć było patologię, ale nie, głupia Natałka, pani urzędnik państwowy Izabela i działaczka feministyczna, siostra pani Izabeli, Marlena, ubzdurały sobie, że ich koleżanka z liceum, Danusia, obecnie Danuta R, jest fajną, mądrą i zwyczajną dziewczyną, tylko prześladuje ją pech.

Nie stać mnie było na krzyki przed wyjściem do pracy. Zostałam sobie odpowiedź na wieczór, jednak kiedy obydwójce wróciliśmy z miasta, zjedliśmy kolację, przejrzałam zeszyty Konrada, wypitałam butelkę wina, obejrzałam wiadomości na Jedyncy i poszłam prosto do sypialni, zobojętniała na otaczający mnie świat, zupełnie lekceważąc Radka, który miał nadzieję na soczystą awanturę.

Nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż wyliczanie wad i ułomności, jakie według niego najczęściej występowały wśród moich znajomych. Może w jednym Marlena miała rację - Radek serdecznie nienawidził wszystkich dookoła poza własną matką, kolegą z podstawówki Tomaszem, który tak jak on prowadził własną firmę budowlaną oraz naszą sąsiadką, która zachwycała się zaradnością mojego męża, kantem u spodni, kolorem jego samochodu, ciętym dowcipem oraz niespotykaną w obecnych czasach życzliwością w stosunku do sąsiadów. Życzliwość Radka była wielka, zgoda, lecz obejmowała tylko te trzy osoby. Jeśli brać poważnie przeczucia Natalii, to Radek prędzej czy później wywinie mi jakiś numer z sąsiadką. Złapie go na zachwyty w oczach, a podobno faceci bardziej na to lecą niż na długie nogi i krągły tyłek. Natalia wydaje sto złotych miesięcznie na kolorową prasę dla kobiet, więc może faktycznie wie wszystko o mężczyznach.

Zamiast myśleć o Dance, myślałam o Radku, kalkulowałam, przez ile dni, a może raczej miesięcy będzie mnie dręczył tym jej wyrokiem. Kiedy mu się znudzi? Tydzień wcześniej oświadczyłam, że chciałabym polecieć do Anglii na proces. Poczekaliśmy, aż zakończy rozmowę z matką przez telefon, wręczyłam mu plik

listów, jakie przyniosłam ze skrzynki i zaatakowałam. Gdybym pojechała, nie uniknęłabym spotkania z Marleną, ale nie musiałabym przecież z nią zbyt wiele przebywać, stać mnie było na zamieszanie w Novotelu za sześćdziesiąt pięć funtów na dobę ze śniadaniem. Piechotą mogłabym chodzić do sądu koronnego, a z dworca co dwie godziny kursował bezpośredni autobus na lotnisko. Nie musiałabym jej prosić o żadną, nawet najmniejszą przysługę. Radek zareagował zgodnie z przewidywaniem.

- A co z pracą? Co z urlopem? Jak chciałem, żebyśmy pojechali do Egiptu na wakacje, to oświadczyłaś, że trzymasz urlop na jesień i na czas chorób Konrada, a teraz nagle chcesz jechać na tydzień do Anglii? Bardzo dziwne. Kto się zajmie Konradem? Moja mama źle się czuje, nawet jej o to nie poproszę.

- Myślałam o mojej mamie - wtrąciłam.

Radek posłał mi groźne spojrzenie. Pewnie, że nie był to dobry pomysł, ale zawsze jakieś rozwiązanie. Wakacje w Egipcie? Przecież jeżdżą tam sami Polacy, stado takich „Tomaszów” wiecznie siedzi przy basenie, pławi się w dobrobycie opcji *all inclusive* i przechwala na temat swoich interesów oraz domów pod miastem. To dopiero koszmar.

- Po co miałybyś tam lecieć? Za rękę Danki nie potrzywasz, z głupią Natalką widzujesz się i tak wystarczająco często, a za swoją ukochaną siostrzyczką też się chyba nie stęskniłaś. Wyłutuj mi, kochanie, wycieczkę sobie chcesz zrobić? Ja cię mogę zabrać gdzieś po Europie, gdzie tylko sobie życzysz, ale ty nigdy nie masz urlopu.

Gdybym mu powiedziała, że czuję taką potrzebę, rozminęłabym się z prawdą. Bardziej chodziło o obowiązek, choć nie wiem, w którym dokładnie momencie taki moralny przymus zagnieżdził się w moim sumieniu. Być może wówczas, kiedy nie zgodziłam się zaopiekować Justyną.

- Przecież ty się boisz latać! - wypalił na koniec bardzo zadowolony, że sobie o tym przypomniał w tak ważnym punkcie kłótni. Fakt, bałam się latać, kiedy nie chciałam wybrać się z nim do Egiptu, na Teneryfę, do Tunezji z Tomaszem i jego żoną; w pozostałych przypadkach mój strach można było określić

zaledwie niechęcią do latania. Radek zaczynał być zwykłym pie-
niaczem i czegokolwiek bym nie zaproponowała, ustawiał się po
drugiej stronie barykady. Walczył ze mną na każdej płaszczyz-
nie, wszędzie rozstawiał te swoje żołnierzyki, których zadaniem
było nękanie mnie. Kiedy to się zaczęło? Zdaje się, że gdy wy-
kopano fundamenty pod budowę naszego wielkiego domu pod
miastem, mojej złotej klatki.

Dolewałam sobie wódki do szklanki, rozmyślając o tym, czy
rano obudzę się z kacem. Zazwyczaj podsumowywałam w pa-
mięci dawki alkoholu spożytego w ciągu dnia, żeby nie przegapić
momentu, kiedy będzie za dużo. Dziś pękła butelka wina do
obiadu, właściwie niecała, bo Radek wypił kieliszek, teraz druga
setka wódki Finlandia, którą mój syn nazywa Filadelfią, więc
absolutnie musi to być pożegnalny drink. Wlałam resztę coli
i całość zasypałam lodem. Naprawdę smakowała mi wódka po-
mieszana z colą, a nie dość, że smakowała, to jeszcze dobrze się
po niej spało, a sen to towar deficytowy w dzisiejszych czasach.

Ostatecznie Radek zniechęcił mnie do wyjazdu do Anglii.
Natalia kupiła sobie bilet, ale nawet nie zdążyłam się z nią zo-
baczyć przed wylotem. Odkąd przyjechała do niej mama, nie
widywałyśmy się, pochłonęły ją zajęcia domowe i odgrywanie
roli dobrej i pobożnej córki. Kiedy do niej dzwoniłam, nie mogła
rozmawiać, bo albo gdzieś wiozła mamę, albo jadła, albo rozma-
wiała z kimś przez drugi telefon.

Poszłam spać na lekkim rauszu, kiedy dochodziła druga
w nocy. Taki stan odpowiadał mi najbardziej ze wszystkich mi
znanych. Ułożyłam się w łóżku obok męża, nie przeszkadzało
mi jego miarowe sapanie ani nawet niekontrolowane kopnię-
cia lewej nogi. Zawinęłam się w swoją kołdrę - od lat mieliśmy
osobne zestawy pościeli - zdążyłam przestać jedną dobrą myśl
Dance, która wierciła się gdzieś na posłaniu celi więziennej i za-
snęłam. Kiedy się obudziłam, była już dziesiąta. Sięgnęłam po
małą butelkę wody stojącą obok i upiłam spory łyk. Zastanawia-
łam się: mam kaca czy nie? Jeżeli za moment poczuję ssący głód
i przyjdzie mi ochota na zjedzenie białego chleba z miodem,
będzie to oznaczać, że mam. Leżałam spokojnie z rękami na

kołdrze i wsłuchiwałam się w głosy Radka i Konrada dochodzące z ogrodu. Było ciepło, spaliśmy jak zwykle przy szeroko otwartych oknach.

- A gdzie chciałybyś pojechać na wakacje w przyszłym roku?

- Na Florydę. - Konrad nie wahał się ani przez sekundę.

- Przecież byliśmy w Disneylandzie pod Paryżem. - Radek miał w głosie nutkę pretensji, oczekiwał, że zeszłoroczny wyjazd do parku rozrywki oraz trzydniowe zwiedzanie Paryża powinno zaspokoić potrzeby syna na kilka lat. Dla mnie nie była to udana wycieczka. Tomasz i jego rodzina denerwowali mnie przez sam fakt, że w ogóle istnieją. Wprosili się na ten wypad i wkleiliśmy się przez Europę niczym tabory cygańskie, ponieważ Tomasz prowadził swój samochód z prędkością optymalną, jeżeli chodzi o zużycie paliwa, czyli jakieś 70, góra 90 kilometrów na godzinę. Miałam wrażenie, że na autostradzie w Niemczech miały nas traktory, a czasami również rowerzyści. Nie mogliśmy sami jechać szybciej, bo istniało ryzyko, że się pogubimy na trasie, a Tomaszowie nie używali za granicą telefonów komórkowych. Na postojach my szliśmy do restauracji na posiłek, Tomasz i Tomaszowa rozkładali gary na parkingu i gotowali ziemniaki. Otwierali konserwy i kroili pomidory w plastry, dzielili się chlebem z mąki orkiszowej gestami Jezusowymi rodem z ostatniej wieczerzy. Jaja ugotowane na twardo zjedli jeszcze na rogatkach Warszawy.

Wszędzie im było DROGO, kupowali w zajazdach gorącą wodę i zalewali torebki obrzydliwej herbaty Saga w termosie. Szukanie noclegów po drodze przygnębiało mnie najbardziej. Pierwszą noc nasi towarzysze podróży przespali w samochodzie, ale rano byli tak zmęczeni i skostniali, że gdzieś pomiędzy poranną kawą, na którą zostali przez nas zaproszeni, a kolejną porcją niedogotowanych ziemniaków, jaką sami sobie zafundowali, zdecydowali, że jednak podarują sobie trochę luksusu w formie „łóżka ze śniadaniem” w zajeździe. Wejściówka na jeden dzień do Disneylandu dla Tomasza, Tomaszowej oraz ich córki kosztowała ponad sto euro i to był cios, po którym już się nie podnieśli. Radek udawał, że nie zauważa ich posępnych min,

nawet wtórował Tomaszowi przez chwilę, narzekając na wysokie ceny. Padały określenia „zdzierstwo”, „rozbój w biały dzień”, „kogo na to stać?”.

- Jak cię nie stać, baranie, to zostań w domu! - syczałam pod nosem coraz bardziej wkurzona na siebie, że dałam się namówić na taki koszmar.

Najgorsze jednak to, że ich BYŁO stać! Tomaszowa była właścicielką dwóch kwaciarni w Warszawie i jednej w Piasecznie. Tomasz wykańczał domy i biurowce, zarabiał lepiej niż Radek, był bardziej bezwzględny w interesach i trudniej go było oszukać. Nie umieli się cieszyć z zarobionych pieniędzy, a już na pewno nie umieli ich spożytkować. Wszystko szło do skarpety, a w drodze do Paryża jedli kanapki i popijali wodą Kropla Beskidu. W Paryżu zachowywali się już lepiej. Gotowanie w pokoju hotelowym nie wchodziło w grę, więc chodzili na pizzę, ale przemycali do restauracji własne napoje. My jadaliśmy w innych miejscach i były to najprzyjemniejsze momenty tego krótkiego urlopu.

Konrad wymyślił Florydę, ponieważ wykalkulował sobie w swoim bystrym umyśle, że tam Tomaszowie z nami nie pojadą. Przysłuchiwałam się jeszcze przez kilka minut, jak Radek snuł wizję wakacji w Egipcie, kusił perspektywą nurkowania i wycieczką statkiem po Nilu, ale mój syn był nieugięty.

- Nie tato, do Egiptu wszyscy jeżdżą z mojej klasy, a na Florydzie był tylko Maciek, mówił, że było zajęte... Przywiózł sobie laptopa, buty sportowe, deskę do rolek, a jego mama mówiła, że jest tanio, naszej mamie też by się na pewno spodobało.

- Nasza mama boi się latać, przecież wiesz.

- Na Florydę poleci. - Konrad znał mnie lepiej niż mój mąż. Pewnie, że polecę.

Bałam się wstać z łóżka, nie mogłam się dłużej łudzić, że czuję się dobrze. Wiedziałam, że kac-morderca będzie mnie torturował do samego wieczora. Kiedyś przechodził koło południa, teraz, mając trzydzieści siedem lat, skazana byłam na cierpienia całodobowe. Gdybym nauczyła się pić klina niczym Radek, może męki byłyby mniejsze, ale w jednej z gazet, które zostawiła

u mnie Natalia, znalazłam artykuł na temat nadużywania alkoholu i pięciopunktową listę żelaznych symptomów uzależnienia. Picie klina było chyba na drugim miejscu, więc powiedziałam sobie stanowcze NIE.

Sięgnęłam po komórkę i wybrałam numer do pani Brokowej, matki Danki. Wolałam, żeby ona odebrała, ale nie miałam tyle szczęścia. Trafiłam na Justynę. Nie musiałam się wysilać, powiedziała, że wie o wyroku, dzwonili do niej z gazety. Przez jakieś trzydzieści sekund miałam nadzieję, że nie dała się namówić na rozmowę z brukowcem.

- Powiedziałam im, że się cieszę, że ojciec nie żyje. Nic mnie to nie obchodzi. Mamę odwiedzę w więzieniu, jak skombinuję kasę, bo na razie to lipa jest.

- Mogę ci pomóc w wyjeździe - zaproponowałam. - Marle-
na się na pewno też dołoży.

- Nie potrzebuję łaski. Dam sobie radę.

Zapewniłam Justynę, że może na nas liczyć. Chciałam ją zaprosić na weekend do Warszawy, ale kiedy pomyślałam sobie, jaką będę musiała stoczyć batalię z Radkiem oraz ile będzie mnie kosztowało wysiłku, żeby jej zapewnić jakieś atrakcyjne rozrywki na te kilka dni, szybko odsunęłam od siebie tę szlachetną myśl. Na kacu zresztą człowiek nie jest ani zbyt życzliwy, ani pomysłowy. Zadałam jej kilka kurtuazyjnych pytań o życie z dziadkami, o szkołę i o koleżanki, ale nasza rozmowa przypominała stąpanie po gruzach. Z młodymi osobami trudno się rozmawia, Justyna nie była wyjątkiem. Po chwili słuchawkę przejęła jej babcia, więc mogłam się nareszcie bezkarnie i bezwstydnie rozpłakać, choć nie byłam pewna, czy aby na pewno płacząc nad losem Danki czy z zupełnie innego powodu.

Marlena

Trzeci ślad hamowania

Kiedy tylko pożegnałam Natalię na lotnisku, od razu zaczęły mnie dręczyć wyrzuty sumienia. Patrzyłam, jak znika w kolejce do kontroli bezpieczeństwa porwana tłumem podróżujących. Ludzie niczym barany na rzeź szli wolnym krokiem, jeden za drugim, grzecznie ustawieni w kolejce oddawali paseczki, buci-ki, laptopy, kurtki, zegarki. Wszystko ładowało w plastikowym pojemniku, który wjeżdżał następnie w tunel rentgenowski. Uprzedziłam Natalię, żeby nie wkładała do bagażu podręcznego żadnych płynów, bo już ich po drugiej stronie bramki nie zobaczy. Wzruszyła tylko ramionami. Krem, dezodorant, perfumy, fluid maskujący to nie były według niej płyny, więc nie naciskałam więcej. Zagrożenie atakami terrorystycznymi (realnymi lub urojonymi) na zawsze odebrało nam wszystkim przyjemność podróżowania.

Ostatnia wycieczka w towarzystwie mojego męża Alana, weekend w Hiszpanii w naszym apartamencie w Alicante, upłynęła pod hasłem: „Wszystkiemu jest winien islam!”. Mieliśmy problemy z odprawą, podróżujący głośno protestowali, kiedy odbierano im pianki do golenia, drogie perfumy, balsamy do ciała, a Alan im przewodził. Głośno wyrażał swoje niezadowolenie na terminalu i potem jeszcze drugą rundę zafundował mi w samolocie. Ja, z zasady dostosowująca się bez szemrania do wszystkich odgórných zarządzeń, nie doświadczałam żadnych

nieprzyjemności w podróży, ale mój mąż, a teraz Natalia, wychodzili z założenia, że ich nie obowiązują przepisy bo „czy ja wyglądam na terrorystę?” oraz „a co komu przeszkadza mój dezodorant w torbie podręcznej?”. I jeszcze moje ulubione „nie dajmy się zwariować!”.

Pożegnałyśmy się z Natalią w wielkim pośpiechu. Za późno wyjechałam z domu, na autostradzie utknęłyśmy w korku, tracąc dobre pół godziny, a potem szukałam miejsca parkingowego jak najbliższej wejścia, żeby ostatecznie zaparkować gdzieś na szarym końcu. Zawsze popełniam ten sam błąd. Na pożegnanie obiecałam Natalii, że przyjadę do Polski na Boże Narodzenie, ale już składając tę obietnicę, nie byłam przekonana, czy uda mi się dotrzymać słowa. Natalia zaproponowała, że spędzimy Wigilię razem u niej w Warszawie, z naszymi mamami. Nie bardzo mogłam sobie wyobrazić taki scenariusz. Izka i Radek za mamą nie przepadali, ale nie wypożyczyliby mi jej na święta, to akurat pewne. Poza tym wywieźć ją z miasta to wielkie zadanie. Mama Natalii wsiadała w pociąg zaopatrzona w kanapki, termos, delicje, wodę niegazowaną (najlepiej Nałęczowiankę) i za pięć godzin była na Dworcu Centralnym, a moja rodzicielka wiecznie mnożyła trudności. Obiecałam jednak, że spróbuję coś zorganizować, jak tylko uporam się ze swoimi sprawami. Natalia poćwierkała jeszcze przez chwilę przy ostatnich uściskach i odleciała. Jakimś cudem wciąż udawało nam się pozostawać w przyjaźni pomimo „geograficznych trudności”, jak to ujęła kiedyś moja siostra.

Przez dłuższą chwilę nie mogłam odnaleźć mojego samochodu na parkingu. Spacerowałam wzdłuż i wszerz, wypatrując srebrnego bmw. Moje piękne auto już niedługo zostanie mi odebrane w rozliczeniach rozwodowych. Zaplanowałam, że kupię sobie na pocieszenie jakąś taczkę typu Forda Ka i już nigdy nikt nie obejrzy się za mną na ulicy. Dla męskiej części użytkowników dróg stanę się niewidzialna.

W powrotnej drodze myślałam o Natalii. Bez wątpienia miała swoje zmartwienia, do czegoś dążyła, przed czymś uciekała, ale w naszej przyjaźni zawsze dominowały problemy Danki,

moje lub mojej siostry. Natalię ustawiliśmy jak chorągiewkę na wielkim polu golfowym naszych spraw tak, aby jej obecność była widoczna, ale nie brała udziału w grze. Oczywiście, byliśmy na bieżąco z jej narzeczonymi - pojawiali się, rozkochiwali ją w sobie, Natalia kupowała katalogi z projektami sukien ślubnych, obwieszczała plany na najbliższe pięćdziesiąt lat u boku nowego ukochanego, a potem nagle, bez powodu, bez ostrzeżenia i znieczulenia kochankowie od niej uciekali. Natalia rozpaczała, ale nie zamykała się na pocieszycieli, których nigdy nie brakowało. Wyczuwali zapach bezbronnej kobiety, a takie, jak wiadomo, najłatwiej zaciągnąć do łóżka. Nie brałam jej problemów na poważnie - singielka, uroczą, smukłą, z własnościowym mieszkaniem w stolicy, niezbyt wymagająca i mało dociekliwa, otwarta i chętna, z męskiej perspektywy - ideał.

Przegapiłam jej urodziny, w zeszłym miesiącu skończyła trzydzieści lat. Chciałam kupić jej jakiś ładny, niebanalny prezent. Błąkałam się po sklepach, obmacując ciuchy, buteleczki perfumów, przymierzałam biżuterię, fikuśne sukienki, usiłując sobie wyobrazić, czy Natalia ładnie by w nich wyglądała. Potem jednak moja adwokatka zaprosiła mnie na rozmowę do swojego biura i wszystko zeszło na dalszy plan. Ostatecznie nie kupiłam dla niej nic, nawet nie wysłałam kartki z życzeniami, jedynie sms-a.

Ivana Bucovic była kobietą potężnych rozmiarów, dziwiło mnie, że jakoś tak sprytnie pasuje do swojego fotela, który na pierwszy rzut oka wydawał się stanowczo za mały, żeby pomieścić jej pupę. Kiedy już wcisnęła się pomiędzy oparcia, pośladki wylewały się po bokach, ale jej to nie przeszkadzało. Wybrałam ją, bo nie była Angielką; uznałam, że to dobry początek drogi rozwodowej z mężem Anglikiem. Z poprzedniej adwokatki zrezygnowałam, bo już przy pierwszym spotkaniu potraktowała mnie dość obcesowo i choć nie powiedziała tego wprost, zakwalifikowała mnie do kategorii *gold digger*. Według niej było tak: biedna Polka wyszła za mąż za bogatego wyspiarza i teraz chce go oskubać z jego dziedziczonej od pokoleń fortuny. Nazwała mnie „gościem w tym kraju”, więc nie pozostawało mi

nic innego jak opuścić jej kancelarię i strzepnąć pył z sandałów. Tak też zrobiłam. Ivanę poleciła mi koleżanka z pracy. Spotkałyśmy się dwukrotnie, za każdym razem zapewniała mnie, że unikniemy włączenia się po sądach i wszystko załatwimy pomiędzy kancelariami prawnymi. W najgorszym wypadku będzie to trwało dziewięć miesięcy, czyli tyle co ciąża. Zapachniało mi wolnością po tej rozmowie, wracałam od niej podekscytowana i naładowana energią. Przypomniałam sobie słowa pewnego aktora, który powiedział, że nie zna osoby, która się rozwiodła i tego później żałowała.

Potem aresztowano Dankę. Zadzwoniono do mnie z policji, aby poinformować, że Danuta Radymna została zatrzymana. Danka poprosiła, aby mi dano znać o tym fakcie. Informacja była lakoniczna. Pojechałam na posterunek, ale nie udzielono mi żadnych dodatkowych informacji. Wykłócałam się w okienku z bezduszną recepcjonistką, a potem przyszedł przystojny inspektor i obiecał, że jak tylko sam będzie coś wiedział, to mnie powiadomi. Nie wiedziałam jeszcze, że Karol Radymny nie żyje. Nie wiem dlaczego, ale pomyślałam sobie wtedy, że Danka wykradła opiece społecznej swoje dziecko i dlatego ją aresztowano. Po dwóch dniach doprowadzono ją przed oblicze sądu z postawionym jej przez prokuraturę zarzutem dokonania morderstwa.

Weszłam na salę sądu niższej instancji *Magistrates' Court* i usiadłam na widowni. Spokojnie przeczekałam kilka innych spraw, raz tylko wyszłam na papierosa. Na dole spotkałam ekipę telewizyjną marznącą na wietrze i deszczu. Nie wiem, na co liczyli, chyba nie na krótkie ujęcie twarzy oskarżonej, wiadomo bowiem było, że nie wypuszczą jej przed rozprawą. Wróciłam na salę sądową i siedziałam na krześle niczym posąg, bałam się poruszyć, ledwie pamiętałam, żeby oddychać.

Wprowadzono Dankę kilka minut przed trzynastą. Ubrana była w szary dres, włosy związała starannie w koński ogon, trzymała się prosto, powiedziałabym, że godnie. Siedziałam za ledwie trzy metry od niej, ale nasze spojrzenia nie spotkały się ani razu. Kiedy odczytano paragraf i zarzucany jej czyn, spuściła głowę i nic nie odpowiedziała. Adwokat ponaglał ją wzrokiem,

ale nie zareagowała, więc wstał i podszedł do szklanej klatki. Przez wąską szparę coś do niej mówił, tłumaczka starała się nadążać z translacją. Usłyszałam tylko, jak przekazywała Dance, żeby zgodnie z tym, co uzgodnili, nie przyznawała się do winy. Danka kiwnęła głową i potem już sprawa potoczyła się bardzo szybko. Zgodnie z przewidywaniem odmówiono jej warunkowego zwolnienia do czasu rozprawy. Posłusznie nadstawiła nadgarstki, strażniczka założyła jej kajdanki i wyszły. Siedziałam dalej przez chwilę osłupiała, mój mózg nie zdążył zarejestrować tego, co się wydarzyło. Miałam ochotę wstać i poprosić kogoś, żeby to wszystko odbyło się ponownie, żebym mogła posłać jej choć jedno dodające otuchy spojrzenie. Wyszedłam z sali, kiedy mnie o to poproszono.

Na korytarzu udało mi się porozmawiać z Danki adwokatem z urzędu, choć trudno było to nazwać rozmową, gdyż nie chciał mi udzielić żadnych informacji, dopóki Danka nie wyrazi na to zgody. Miałam nadzieję, że to tylko formalność, ale się przeliczyłam. Nie zezwoliła, abym była informowana o postępach w sprawie - ani ja, ani nikt inny, nie wyłączając z tego wyłączenia jej najbliższej rodziny.

Zadzwoiłam wtedy do Natalii i rozpłakałam się.

- Jak to? Co ty gadasz? Danka Karola zabiła? - wykrzykiwała przez telefon.

- Tak twierdzi prokuratura.

- A co Danka na to? - Natalia myślała pewnie, że z oskarżoną mogę się dowolnie spotykać i omawiać sprawę. Wszyscy tak myśleli.

- Nie wiem, nie jadamy razem śniadań.

- To co teraz będzie? - W głosie Natalii przewijał się sam strach.

- Proces. Za kilka miesięcy. Przez ten czas będzie siedzieć w więzieniu i czekać, nie zwolnili jej. Natalia, trzeba by jej rodziców powiadomić, myślę, że oni nic nie wiedzą. Jak mi zorganizujesz numer telefonu, to ja sama zadzwonię do pani Borkowej - powiedziałam, kiedy już obie się nieco uspokoiłyśmy. Nie obrażałam sobie, żeby wyręczyć się kimś innym.

Dzwoniłam. Zdążyłam policzyć do jedenastu, zanim mama Danki podniosła słuchawkę. Ucieszyła się, kiedy usłyszała mój głos, a ja skuliłam się w fotelu i trzęsłam z zimna.

- Marlena! Co tam u ciebie w tej Anglii? Ile to musi kosztować takie dzwonienie do Polski? A z Danusią się widujecie? Jak jej dzieciątko się chowa? Ani do nas nie dzwoni ostatnio, ani nie pisze, Justynka też się martwi, bo matka rodzona się do niej w ogóle nie odzywa. U nas to tylko robota i robota, jak to na wsi. Pogodę tam ładną macie? Nie pada?

- Pani Anielo... Danusia na razie nie zadzwoni. Jest może gdzieś pani mąż w pobliżu? - zaczęłam mówić łamiącym się, chropowatym głosem, który nie należał do mnie. Z dwojga złego wolałam przekazać złą nowinę raczej temu pospolitemu pijaczkowi niż jej, nieskończenie ciepłej i dobrej istocie. Niestety, nie było go w domu, a jeśli był, to pewnie spał pijany. Opowiadałam więc przez chwilę o mojej córce Emilii, o pogodzie, pracy, potem poprosiłam, żeby usiadła - tak zawsze postępują dawcy tragicznych wiadomości w filmach. Kiedy już w końcu wydusiłam z siebie, o co chodzi, zrobiło mi się niedobrze, kwasy żołądkowe podeszły mi do gardła i myślałam, że zwymiotuję. Pani Borkowa zamilkła na długą chwilę.

- Marlenko, co ty mówisz? Danusia Karola zabiła? - Moje słowa musiały brzmieć dla niej niedorzecznie, zdawałam sobie z tego sprawę. Mijały sekundy, łącza zaczynały zgrzytać.

- Tak podejrzewają, ale dopiero sąd o tym rozstrzygnie. Proszę się nie martwić.

- To gdzie Danusia teraz jest? Może do domu przyjechać?

- Na razie nie, będzie czekać na proces w Anglii - powiedziałam.

- U ciebie będzie mieszkać, Marlenko? Może ja bym do was przyjechała? Nagotuję wam, posprzątam, Krzysiem się zajmę. - Jej słowa były ciepłe tak jak głos. Musiałam jej rozedrzyć serce do końca, ale kiedy już padło słowo „więzienie”, uspokoiłam się. Szybko pośpieszyłam z wyjaśnieniami, że pewnie ją puszcza i jeszcze wszystko dobrze się skończy. Wiedziałam, że kłamie, ale niestety nie przeszłam w życiu żadnego przeszkolenia

z pocieszania matek, których córki są podejrzane o morderstwo i siedzą w pace, oczekując na własny proces. Z pewnością adwokaci robią to najlepiej, mają wprawę, przede wszystkim w okłamywaniu klientów i ich rodzin. Nie znałam jednak adwokata, który by we wtorek 11 grudnia 2009 roku odbył rozmowę po polsku z panią Anielą Borkową na temat sytuacji prawnej jej córki.

Potem wyświetliło mi się kilka obrazów ze ślubu Danki. Wiejskie wesele, ale nie takie roztańczone i bogate, jakie powinno być - remiza strażacka zupełnie była nieprzystosowana do organizacji tak wielkich imprez jak wesele na sto pięćdziesiąt osób, na dodatek suto zakrapianego alkoholem, i to najgorszym z możliwych - samogonką. Goście wymiotowali dosłownie wszędzie, nawet na parkiecie pomiędzy tańczącymi, zaś resztki jedzenia - zarówno te na stołach, jak również te zwrócone na podłogę - wyglądały podejrzanie podobnie. Orkiestra przygrywała same ludowe kawałki, a kiedy jej członkowie odpoczywali przy samogonie, brat Danki raczył nas muzyką z magnetofonu. Głośniki były za słabe, bo kiedy chciał dać czadu, wydobywał się z nich tylko charkot i kilka dźwięków udających linię melodyczną piosenki. Karol Radymny nie doczekał północy, padł zmożony alkoholem, wyniesiono go dyskretnie na dwór, a potem spał pod kurtkami na tylnym siedzeniu samochodu księdza. Danka źle się czuła już po wyjściu z kościoła, a ponieważ nie wiedziałyśmy, że przyczyną jest ciąża, zapewniłyśmy ją energicznie, że to z nerwów te mdłości i ścisk w okolicach mostka. Nie zaufała mi, nie przyznała się, że spodziewa się dziecka. Wiejski wstyd był wówczas silniejszy niż miejska przyjaźń.

Natalia natychmiast przekazała wiadomość o uwięzieniu Danki mojej siostrze, ale ta nie zadzwoniła do mnie z żadnym słowem wsparcia. Miałam nadzieję, że zadzwoni, to był stosowny moment, potrzebowaliśmy się nawzajem, ale tak się nie stało. Danka siedziała na pryczy w więzieniu i modliła się o cofnięcie czasu, a ja w poczuciu absolutnej bezradności miotalam się na krawędzi własnej samotności. Natalia, przerażona i zagubiona, zawiesiła się gdzieś pomiędzy nami wszystkimi, a Izka milczała.

Wróciłam z lotniska do pustego domu. Pies powitał mnie tak entuzjastycznie, jak gdybym pozostawiła go samego na kilka dni, a minęły zaledwie trzy godziny od mojego wyjścia. Kiedy wychodziłam do sklepu za rogiem, pozdrawiał mnie równie gorąco. Nie miał poczucia czasu, nieważne, czy było to pięć minut, czy pięć godzin - spędzone w samotności zasmucały mą psinę tak samo. Pogłaskałam go i pozwoliłam mu się polizać po twarzy. Oczywiście ten niehigieniczny zwyczaj mogę otwarcie praktykować, odkąd jestem w separacji, mój mąż na to nie pozwalał. Nie lubił zwierząt, a one nie lubiły jego. Opowiadał mi, jak będąc małym chłopcem, łąpał z bratem żaby na łąkach i jak przez cienką rurkę wdmuchiwali im do wnętrza powietrze. Była to przednia zabawa, patrzeć jak puchną i męczą się. Do dziś go to wspomnienie bawi.

Przygotowałam sobie sałatkę cesarską z resztką grillowanego kurczaka z wczorajszego obiadu. Natalia pochwaliła moje gotowanie, bo - jak sama stwierdziła - było „wolne od węglowodanów”, a przy jej manii odchudzania miało to wielkie znaczenie. Nie tyjemy przecież od tłuszczów, ale od cukrów, wedle tego, co rzecze o tym pan Atkins czy Duncan. O dietach z Natalią można było rozmawiać bez końca.

Pozmywałam brudne naczynia i zadzwoniłam do Emilki. Jej trzy dni u ojca właśnie dobiegły końca. Umówiliśmy się, że odbiorę ją ze szkoły o wpół do czwartej. Posprzątałam jej pokój, ubrałam świeżą pościel, poukładałam wyprasowane ubrania w szafie i na regale ułożyłam równiutko wszystkie przedmioty, jakie znalazłam porzucane na podłodze i pod łóżkiem. Niewiarygodne, że siedemnastolatka posiadała tyle kosmetyków i różnych dziwnych gadżetów służących do upiększania. Ja w jej wieku miałam tylko tusz do rzęs i błyszczczyk o smaku malinowym. Kiedy skończyłam porządki, przyszedł sms od Natalii informujący o tym, że wylądowała w Warszawie i jedzie prosto do domu, ponieważ jej mama znowu źle się poczuła. Ze wszystkich kobiet, jakie w życiu poznałam, matka Natalii reprezentowała najgorszy typ - apodyktycznej dewotki. Wcale mnie nie dziwiło, że mąż zostawił ją prawie trzydzieści lat temu - cud,

że wytrzymał tak długo. Skarciłam się natychmiast za takie myśli, w końcu nie porzucił tylko skrzeczącej Zofii, ale także dwoje małych dzieci, Natalię i jej starszego brata Aleksandra. To, co opowiedziała mi na Natalia o swojej mamie i ostatnich wydarzeniach spod Pałacu Prezydenckiego, trochę mnie rozbawiło, ponieważ mój tato zwykł o pani Zofii mawiać: „ta, co wygląda jak z krzyża zdjęta”.

Kiedy czekałam na Emilię pod szkołą, znów dopadło mnie odrętwienie. Co teraz może robić Danką? Jak ona się dogada w więzieniu tym swoim wątlwym angielskim? Co ja właściwie powinnam teraz zrobić? Będę musiała udać się do adwokata, który prowadził jej sprawę w sądzie rodzinnym, może on udzieli mi jakichś konkretnych informacji, na przykład: gdzie jest teraz jej syn.

- Mamó! - Emilia zapukała w szybę. Nie zauważyłam, jak wyszła z budynku.

- Wsiadaj, słońce!

- Ciocia Natalia pojechała?

- Już jest w Warszawie. Głodna jesteś? Może pojedziemy do Melton na rybkę?

- Zjadłabym coś domowego, z tatą trzy dni lataliśmy po restauracjach. Na przykład pierogi?

Jęknęłam tylko. Robienie pierogów będzie trwało godzinę, nawet jeśli się okaże, że w polskich delikatesach jest biały ser.

- Nie mogą być naleśniki? Z serem i dżemem.

- Wołałabym pierogi ruskie, ale jak ci się nie chce robić, to mogą być naleśniki. - Odwróciła głowę i spojrzała w okno. Poczucie winy zakradało się małymi kroczkami. Emilia miała swoje sposoby, żebym poczuła się ohydnie. Ona, dziecko z rozbitej rodziny i ja, fundatorka jej traumatycznych przeżyć, kto miał większe szanse?

- Dobrze, zrobię pierogi.

- Super. Jesteś super!

Pewnie, byłam super, bo spełniłam jej zachciankę. Skręciłam na rondzie w ulicę London i zaparkowałam pod sklepem na podwójnej żółtej linii. Emilia wyskoczyła, a ja na światłach

awaryjnych wypatrywałam prześladowców ze straży miejskiej. Na szczęście uwinęła się w trzy minuty i szybko wydostałyśmy się z tej ponurej dzielnicy. W drodze do domu przepytała mnie jeszcze, czy mam zamiar odwiedzić Dankę w więzieniu.

- Dziwna była ta pani Danką. - Emilia zazwyczaj była ostrożna w wypowiedzaniu swoich opinii na temat ludzi z mojego otoczenia, udało mi się ją tego nauczyć. Po prostu sobie nie życzyłam, aby wyrażała się nieprzychylnie o osobach, które znam.

- W jakim sensie dziwna? - Uchyliłam nieco furtkę.

- *Disturbed* - odpowiedziała po angielsku. Nie znała wielu słów w języku polskim. Nie chciała czytać po polsku, za edukację musiały jej wystarczyć rozmowy ze mną.

- Gdyby tobie odebrano dziecko, też byś była *disturbed* - ucieęłam krótko.

Emilia widziała Dankę zaledwie kilka razy w życiu, nie miała prawa się wypowiadać na jej temat. Zamieniła z nią parę słów w szpitalu zaraz po narodzinach Krzysia, kiedy poszłyśmy ją odwiedzić, wcześniej może ze dwa lub trzy razy, kiedy przychodziła na obiad, ale Emilia szybko wtedy wstawiała od stołu i szła do siebie na górę. Nudziły ją nasze rozmowy, czego absolutnie nie miałam jej za złe.

Kiedy powiedziałam jej, co się stało, była naprawdę poruszona. Rozpłakała się jak mała dziewczynka, ale jak się potem okazało, wynikało to przede wszystkim ze strachu, że u nas w domu przebywała przyszła zabójczyni swojego męża. Wiem, że rozgadała tę historię w swojej szkole, bo kiedy ją czasami stamtąd odbierałam, czułam na sobie ciekawskie spojrzenia - zarówno uczniów, jak i nauczycieli. Dwa dni po zdarzeniu lokalna prasa poświęciła mojej przyjaciółce pierwszą stronę. Kupiłam kilka egzemplarzy i zachowałam je na pamiątkę, choć nie wyobrażałam sobie, w jakich okolicznościach mogłabym sięgnąć ponownie po tę lekturę.

Podjechałyśmy pod dom. Emilia wysiadła z samochodu i otworzyła drzwi własnym kluczem. Puszkina rzucił się na nią w pierwszym odruchu, ale zaraz wybiegł przed dom

w poszukiwaniu swojej pani, czyli mnie. Wzięłam go na ręce i wniosłam do budynku, korzystając z chwili jego euforii. Gdybym przegapiła ten moment, znów by mi uciekł.

Emilia przewiesiła płaszcz przez poręcz schodów, ściągnęła buty i zostawiła je w holu, torbę rzuciła wprost pod moje nogi. Spojrzałam na nią z wyrzutem.

- Zmęczona jestem, mamó.

A ile wysiłku potrzeba, żeby buty postawić na półce, płaszcz powiesić na wieszaku, a torbę zabrać do swojej sypialni? Kiedy wchodziła po schodach na górę, rozpoczynała jedną z owych niekończących się nigdy rozmów telefonicznych z koleżanką. Jeżeli nawet ta rozmowa zostanie przerwana na czas kolacji, zaraz potem włączy się Facebook i będzie królował, aż moja córka około północy padnie pokonana przez komputerowe zmęczenie. Rano będę na nią krzyczeć i szantażować ją na wszelkie sposoby, żeby przyspieszyć jej ruchy, a ona będzie snuć się pomiędzy łazienką a sypialnią jak lunatyk. I tak codziennie, niezmiennie.

Zabrałam się za gotowanie, mimo iż sama byłam zmęczona. Ciasto na pierogi wyszło mi za twarde. Zaczęłam dolewać letniej wody, ale niewiele to dało. Przesolony farsz z gotowanych ziemniaków, białego sera i podsmażonej cebuli wstawiłam do lodówki i wyszłam zapalić na zewnątrz. W wielkim garnku nastawiłam wodę do gotowania pierogów. Pod paznokciami miałam resztki użytych składników, wydłubywałam je zębami. Tyle zachodu dla jednej kolacji, kto wymyślił takie czasochłonne potrawy? Skoro pierogi ruskie, to może ktoś z Rosji? Zresztą, gotowanie po polsku to są godziny, nie minuty! Nie dziw, że Polki nie mogły robić kariery zawodowej, skoro podstawowe polskie jadło, jakim jest bigos, gotuje się trzy dni! Co na to Jamie Oliver? W jego najnowszej książce znalazły się przepisy obiadów przygotowywanych w trzydzieści minut. Razem z deserem! Połowę wypróbowałam i wszystkie rewelacyjne, chyba że ktoś nie lubi kolendry i chili, wówczas nie posili się według zaleceń Olivera.

Okno do sypialni Emilii było otwarte. Przez chwilę podsłuchiwałam jej rozmowę z Lynn, ale szybko mi się znudziło. O czym ja rozmawiałam z koleżankami, kiedy byłam w jej wieku?

Pewnie o tym samym, tylko mniej było technologii i atrakcji. Moja córka - na przykład - wyjeżdżała na długi weekend na Gibraltar z rodziną swojej kumpeli, a ja jeździłam do babci do Wierchu i taka to różnica w cenie.

Nie wiem, co Emilia zapamiętała z wycieczki na Gibraltar, ale ja w Wierchu zobaczyłam pierwszy raz w życiu wschód słońca. Miałam wtedy jedenaście lat i tylko ktoś tak wyjątkowy jak panna Jusia, która do dziś niewyjaśnionym zbiegiem okoliczności znalazła się na wsi i zamieszkała z moją chorą na artretyzm babcią Anielą, mógł zmobilizować mnie do tak wczesnego opuszczenia łóżka. Nie wstałam o własnych siłach, Jusia zaniośła mnie na swoich wątych plecach do ogrodu, skąd roztaczał się piękny widok na lasy i niewysokie pagórki. Posadziła mnie na odwróconym do góry dnem wiklinowym koszyku, przykucnęła obok i powiedziała:

- Patrz, Marlenko, nie ma piękniejszego widoku na ziemi jak wschodzące słońce.

Wypatrywałyśmy tego słońca przez kilka minut, aż w końcu zaczął się spektakl i, choć trwał niezmiernie krótko, co mnie wówczas rozczarowało, musiałam przyznać Jusi rację. To było niezwykle zjawisko. Chciałam jeszcze choć raz jej towarzyszyć rankiem w ogrodzie, ale nigdy więcej nie udało mi się wstać tak wcześnie. Czy moja Emilka widziała kiedykolwiek wschód słońca? Kiedy zeszała do kuchni, zapytałam ją o to. Spojrzała na mnie podejrzliwie.

- A co ty, mamó? Wiersze piszesz, co cię tak naszło?

Podniosła pokrywkę patelni i zaciągnęła się aromatem podsmażonej cebuli.

- Widziałaś czy nie?

- Widziałam. - Położyła mi ręce na ramionach. - Ale nie chcesz wiedzieć, w jakich okolicznościach. Na Zante, w tamtym roku na wakacjach... Tyle ci powiem.

- No i? Piękny?

- Mamó, po dziesięciu godzinach imprezowania móc usiąść spokojnie na plaży z kimś fajnym przy boku to jest wystraszająco piękne i bez wschodu słońca!

Nic nie powiedziałam, znów zaczęłam sobie wyobrażać moją małą córeczkę z jakimś drabem palącym skręta nad brzegiem morza. Odkąd Emilka poinformowała mnie, że wszyscy z jej otoczenia palą marihuanę, straciłam wszelkie złudzenia co do wieku niewinności.

Udało nam się zasiąść do stołu o osiemnastej. Puszkina nie był zainteresowany naszym posiłkiem, nie czuł zapachu mięsa, więc zachowywał się całkiem przyzwoicie, nie żebrał przy stole i nie upominał się, szczekając. Nie szczekał też Alan: "Jak ty tego psa wychowałeś?!", więc atmosfera była całkiem przyjemna. Emilia nakręciła młynkiem świeżego pieprzu na obydwie porcje. Ciepłe masło polałam na pierogi prosto z patelni.

- Najlepsze pierogi, jakie w życiu jadłam - mówiła z pełnymi ustami.

- Za każdym razem tak mówisz. Jedz powoli, nikt ci nie zabierze.

- Spieszę się, mam przecież lekcje nauki jazdy.

- O której? - Odłożyłam widelec z brzdękiem. Spojrzała na mnie tak, jakby nie wiedziała, o co mi chodzi.

- Teraz. Zaraz. Pewnie instruktor już stoi pod domem - poinformowała mnie, wycierając usta serwetką. - Mam ser między zębami? - Wyszczrzyła zęby w szerokim uśmiechu. Oczywiście, że miała, ale zaprzeczyłam.

Wstałam od stołu i podeszłam do okna. Na podjeździe obok mojego samochodu parkowała czerwona mazda, a po chwili starszy mężczyzna zapukał kołatką do drzwi. Poprosiłam go, żeby zaczekał pięć minut, aż córka dokończy jeść kolację. Westchnął ostentacyjnie, mruknął coś na temat swego cennego czasu i wrócił do auta. Emilia nie okazała żadnej skruchy.

- Nie mogłaś mi powiedzieć o tych lekcjach? Podałabym pierogi wcześniej, a teraz wszystko na ostatni moment i na wariackich papierach. On już na ciebie czeka i wścieka się na mnie.

- Zapomniałam. Tato mi dopiero w tej chwili wysłał wiadomość i przypomniał. A co to za wielka sprawa? Niech poczeka!

- Myślałam, że te lekcje są dla ciebie ważne, a ty sobie tak po prostu zapominasz. - Nie mogłam odpuścić, wkurzała mnie

jej beztroska. Chciałam jeszcze coś dodać, ale minuty mijały, a Emilia wciąż przeżuwała pierogi i pyskowała.

- Mamo, ja mam tyle rzeczy na głowie w tej chwili! - podniosła głos. - A poza tym, czy ty wiesz, jak trudno nad wszystkim zapanować, kiedy ma się dwa domy? Co chwila czegoś zapominam wziąć od taty albo od ciebie, jedno majtki tu, drugie tam, jeden zeszyt u ciebie, dwa u taty, buty u niego, skarpetki tutaj, mogę czasami czegoś chyba zapomnieć, no nie? W szkole też mam *hell of a lot of work*, ale kogo to obchodzi? Wy się rozwodzicie, ale o dziecku nikt nie myśli!

Kiedy Emilia wytaczała tę ciężką artylerię, wycofywałam się. Od dnia separacji nie pozwala mi zapomnieć, że jestem powodem komplikacji w jej życiu - tych logistycznych, emocjonalnych, nie mówiąc już o praktycznych. Ja zażądałam rozwodu, ja spakowałam manatki i zadzwoniłam po taksówkę, to ja pojechałam do szkoły po córkę i powiedziałam, że od dziś zamieszkamy w innym domu, w innej dzielnicy i bez taty. Nie miałam prawa robić jej wyrzutów, że zapomniała o lekcji nauki jazdy. Wyszła, trzaskając drzwiami.

Izabela

Czwarty ślad hamowania

W poniedziałki zawsze czułam się zrelaksowana i wypoczęta. Większość moich firmowych kolegów i koleżanek tuż po weekendzie wyglądała jak śmierć na chorągwi, a ja, proszę bardzo, świeżynka. Staranny manicure, włosy puszyste i błyszczące, garsonka odprasowana i dopasowana, że aż skrzypi, szpilki na opalonych stopach niosły mnie przez korytarze firmy, anonując gotowość do pracy. Dbałam o siebie i swój wizerunek, wkładając wiele wysiłku w zabiegi, żeby dobrze wyglądać. Z biegiem lat było coraz trudniej, szczególnie z utrzymaniem wagi. Dla mnie sześćdziesiąt kilogramów było tą górną granicą, której postanowiłam nigdy nie przekroczyć. Udawało się, choć płaciłam straszną cenę, stosując głodówki i ograniczając spożycie węglowodanów do groźnego dla zdrowia minimum. Przed lustrem też musiałam spędzać coraz więcej czasu, żeby efekt końcowy był w stanie mnie zadowolić.

Niedzielne wieczory poświęcałam nie tylko na wytrzeźwienie po piątkowo-sobotnich sesjach z winkiem, ale również wymyślnym zabiegom kosmetycznym. Peelingi, maseczki, usuwanie włosów ze wszystkich możliwych miejsc poza głową, szlifowanie paznokci, samoopalacz na kończyny dolne, nawilżacz na kończyny górne, serum na włosy, serum pod oczy, papierosek, fajna muza z komputera i strojenie min przed lustrem. Kiedy już się odtrułam, wypolerowałam i zrelaksowałam, szykowałam

sobie ubrania do pracy na następne pięć dni. Zestawy nie mogły się powtarzać. W dni powszednie wracałam do domu po osiemnastej, czasami jeszcze później, więc nie miałam ani siły, ani czasu na żadne dodatkowe czynności poza tymi najbardziej niezbędnymi jak na przykład kolacja, telewizorek i prysznic. Byłam dobrze zorganizowana, odkąd wyprowadziliśmy się z Warszawy i rozpierała mnie duma w te poniedziałkowe poranki. „Jak ona to robi?” - szeptali, a mnie sprawiało to wielką przyjemność. Awansowałam rok wcześniej, byłam ważna i miałam pod sobą jedenaście osób, którymi mogłam rządzić - i rządziłam. Przymykałam oczy na wiele spraw, chciałam być dobrą szefową, pragnęłam być lubiana, ale nie miałam pewności, czy faktycznie byłam. Jak podwładnemu, który jeszcze rok temu był twoim kolegą z biurka obok, przekazać polecenie służbowe i nie narazić się na cierpki komentarz, że odbiła mi szajba? To był mój największy problem, ale nie tylko; również to, że w naszym biurze na każdym piętrze najbardziej zajmowały ludzi romanse i miłosne afery. Z drugiej zaś strony - gdzie ludzie mają romansować jak nie w pracy? Przecież w naszym wieku nie chodzi się już do klubów ani dyskotek, co najwyżej na nudne kolacje do znajomych lub do jakiejś modnej restauracji wbrew temu, co TVN pokazuje w swoich serialach. Wszystkie kobiety po trzydziestce muszą się zastanawiać tak jak ja, gdzie istnieje taka wyluzowana i trendy Warszawa, jaką przedstawiają w telewizji? Gdzie są te ciekawe i gustownie ubrane kobiety oraz pachnący pieniądzem mężczyźni? Na pewno nie w urzędach państwowych, tutaj jeszcze wciąż zalatuje potem, a źródłem przykrych zapachów nie zawsze są petenci.

Rzuciłam torbę na biurko, przywitałam się szybko z moimi nudnymi koleżankami, które coś tam sobie opowiadały o wyprzedazach i o dzieciach, poruszały zatem tematy, które mogłyby mnie usnąć w ciągu zaledwie pięciu minut. Nic, absolutnie nic mnie z nimi nie łączyło. Marlena zawsze mi tłumaczyła, że większość ludzi, którymi się otaczamy, nie jest szczególnie interesująca, ale nie trzeba od razu nimi pogardzać z tego powodu. Nie pogardzałam, ale czułam do nich awersję.

Po uruchomieniu komputera poszłam nalać sobie kawki - świeżo zaparzonej przez nasz nowoczesny niemiecki automat. Wprawdzie często się psuł, gdyż używały go osoby, które uszkodziłyby nawet tłuczek do mięsa, ale kiedy działał, lała się zeń wyśmienita, wyprodukowana pod ciśnieniem ciecz.

Alicja jak zwykle okupowała teren wokół owego automatu. Przyjrzałam się jej uważniej; może faktycznie ona jako jedyna z moich koleżanek z pracy mogłaby od biedy zagrać w jakimś serialu w TVN i być w tym wiarygodna? Jest wolna, nie brakuje jej do pierwszego, mieszka w samym centrum miasta, a do tego ma dobry gust, kupuje ciuchy w sklepach sieciowych, ale po jednej rzeczy z każdego miejsca i tak to zręcznie potrafi na sobie wymieszać, że efekt końcowy spodobałby się każdemu gejowi-projektantowi mody. Lubiłam Alę.

- Jak tam po weekendzie? - zapytałam. Stałyśmy oparte o biurka naprzeciwko siebie. Ala wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, jak przeżyję dzisiejszy dzień, jestem jeszcze pijana po wczoraj. Byłam na otwarciu nowego klubu, ha ha. Atmosferka, wystrój, powiem ci, podobało mi się, ale faceci jak zwykle... Według tego samego szablonu, jacyś tacy zniewieściali, gadają o internecie, najnowszych telefonach komórkowych, gadżetach z magazynu „Logo”, nuda. Już nawet się nie wysilają, żeby zaciągnąć cizie do łóżka, bo same do nich leżą jak mucha do gówna.

- Aż tak źle? - Jakże dalekie były mi jej rozterki, ale słuchałam grzecznie.

- No, ale sama powiedz, Iza, tyle fajnych dziewczyn, a tak mało fajnych facetów w tym kraju!

- Wyjedź za granicę - zaproponowałam. - Na pewno szybko znajdziesz jakiegoś kolesia hydraulika albo tiorowca, taki cię uwiedzie raz-dwa, ani się nie zorientujesz kiedy. Mają swój urok pracownicy fizyczni, szczególnie w dzisiejszych czasach, kiedy takie zniewieścienie panuje wśród mężczyzn.

Alicja parsknęła śmiechem. Nie miała pojęcia, że wiem o jej króciutkim romansie z naszym szefem. Jedna z owych historii, która nie przyniosła ani chwileczki zapomnienia,

ani rozładowania napięcia seksualnego. Porzucił ją i zajął się czarnoskórą recepcjonistką, którą niektórzy panowie przychodzili obejrzyć jak małpę w zoo. Panowie rasiści, którzy celowali w określeniach typu: „asfalt powinien leżeć na swoim miejscu” oraz „jest ciemno jak w dupie u Murzyna”, to właśnie ci sami najbardziej ślinili się od samego tylko patrzenia na tę kobietę za ladą w polskim urzędzie. Ona też uwierzyła, że nasz szef się w niej zakochał i odejdzie od swojej pięćdziesięcioletniej żony, ale ten do odchodzenia raczej skłonności nie miał, zaś do DOchodzenia - jak najbardziej. Alicja nie opłakiwała długo rozstania z nim.

- Gdzie ja mogłabym wyjechać? Ja się nie nadaję do życia poza Polską, źle mi się czuła w gościach. Niestety. Ja to jestem taka prawdziwa homofobiczna Polka, nie zauważyłaś?

- Moja siostra po latach wraca do Polski. Mieszkała w Anglii chyba siedemnaście lat, jak nie więcej - powiedziałam, siłą się na obojętny ton, ale daleko mi było do obojętności. Powrót Marleny do Polski był jak nawrót choroby. Kiedy po tej całej aferze z ojcem przed trzema laty odleciała w końcu do Anglii, poczułam się tak, jakbym wydostała się na zieloną łąkę z zamkniętego pomieszczenia. Marlena wsiadła w samolot, a ja odetchnęłam. Była między nami zasadnicza różnica. Ona wylatywała z kraju pogrążona w żałobie po śmierci ojca, myślę, że trochę przesadzonej, ale szczerzej, ja natomiast, jak zaklęta w kamień, nie odczuwałam nic szczególnego poza dominującym odczuciem ulgi, że ona wreszcie wyjechała. A teraz wraca. Ala wyrwała mnie z zamyślenia.

- Już jej się Anglia przestała podobać? Dużo ludzi wraca, wprawdzie nie wiem, do czego tu wracają, no ale wracają.

- Nie wiem, nie rozmawiałam ze swoją siostrą od trzech lat - wypowiedziałam to zdanie i zaraz pożałowałam. Ala nie była mi bliską osobą, parzyła świetną kawę, często rozmawialiśmy o banałach, pewnie zaskoczyłam ją tym wyznaniem. Nie speszyła się ani nie wytrzeszczyła oczu.

- Pięć minut przed tobą była tu Anita, nalewała sobie kawę i powiedziała, że wszystkie chłopy to chuje. Dokładnie tak się

wyraziła i wyszła, a teraz ty mi wyjeżdżasz, że nie gadasz z siostrą od trzech lat. Pewnie też nie zechcesz mi powiedzieć niczego więcej.

Po prawdzie nie miałam zamiaru rozwijać tematu, ale Ala zasługiwała chociaż na jedno zdanie wyjaśnienia. Odstawiłam kubek i powiedziałam oględnie:

- Nie pokłóciłyśmy się, straciłam do niej serce, kiedy ojciec umarł. Takie tam sprawy rodzinne.

Ala spojrzała na mnie z lekkim uśmiechem.

- Rodzinne czy raczej spadkowe? Ludzie przeważnie kłóca się o pieniądze, nawet jeśli o coś innego, to tak naprawdę o kasę, chyba tyle to już sama wiesz. Jedna moja znajoma...

Nie udało jej się dokończyć kolejnej fascynującej opowieści, gdyż przeprosiłam ją i wyszłam, żeby odebrać telefon. Dzwoniła mama. Setki razy prosiłam ją, żeby nie dzwoniła do mnie w godzinach pracy, chyba że będzie to absolutnie pilna sprawa. Zwiędnięty kwiat w ogrodzie, woda w piwnicy, odcisk na prawej stopie sąsiadki, spóźniający się rachunek za telefon, wymiotujący na żółto pies - wszystko to było według mamy pilne i wymagające natychmiastowego poinformowania mnie.

- Izuniu, ty musisz przyjechać do mnie i porozmawiać z mamą Danusi...

- Ale ja już do niej dzwoniłam w sobotę i wszystko jej powiedziałam. Lepiej będzie, jak Marlana z nią porozmawia, ona więcej wie i kontaktowała się z Danką.

Mogło to brzmieć, jakbym się wykręcała, ale naprawdę nie wierzyłam, że w jakikolwiek sposób będę pomocna pani Borkowej. Nie mogłam mamy przekonać, naciskała na mnie, jak zawsze zresztą.

- Izuniu, ta kobiecina tu dzisiaj była, takie to biedaczysko wychudzone, wystraszone, nie wie, co ma robić i co myśleć o tym wszystkim. Przyjedź i spotkaj się z nią, bardzo nalegam.

Mama miała tę brzydką manierę nazywania pani Borkowej „kobieciną”. Mama uważała się za kobietę, podczas gdy ktoś, kto nie wychował się w mieście, jest już tylko kobieciną. Mama urodziła się na wsi, ale w wieku dziesięciu lat jej owdowiały ojciec

przeniósł się do miasta, gdzie dostał pracę w fabryce, a więc już wtedy zdobyła wszelkie podstawy, żeby być w przyszłości kobietą, a nie kobieciną.

Nie czułam się w żaden sposób powołana do dodania otuchy pani Borkowej, bo po prostu nie nadawałam się na pocieszicielkę. Co innego Marlana, która jest w stanie ulżyć każdemu w cierpieniu samym tylko tonem głosu, niezwykle rzeczowym podejściem do problemu, opanowaniem. Dziwię się, że zawodowo nie nawiedza ludzi w rozpacz i ich nie pociesza. Z pewnością potrafiłaby wybronić każdego przestępcę, argumentując jego zachowanie tym, że trafił na drogę nieprawości, gdyż w dzieciństwie poślizgnął się na skórcie od banana. Podgrzewałam w sobie niechęć do siostry, nie panowałam już nad tym i strasznie mnie to denerwowało. Mama tłumaczyła cierpliwie, że mój przyjazd jest konieczny, próbowała wymusić ze mnie jasną deklarację, kiedy to uczynię. Podjęłam ostatnią próbę wykręcenia się.

- Mamo, Marlana niedługo przyjeżdża, będzie miała najświeższe wiadomości, opowie, co i jak, czy tam się będą odwoływać, czy tu w Polsce, poczekajmy na nią. Co ja mogę?

- Izuniu, przy okazji mogłabyś mnie odwiedzić, a ona naprawdę nie oczekuje wiele, chodzi o to, żeby z nią tylko porozmawiać, nie możesz tego dla niej zrobić? Pomyśl o Danusi.

Usiadłam na parapecie okna. Nie miałam większych szans w starciu z mamą. Będę musiała wsiąść w pociąg w piątek po pracy i spędzić pięć godzin w cuchnącym wagonie, który tylko udaje Intercity. Już w Krakowie zabraknie wody w toalecie.

- Nie wiem, po co mnie mama ciągnie, ale przyjadę, być może z Konradem, bo jeden pan Bóg wie, jakie Radek ma obecnie zobowiązania w firmie. Teraz wykańczają ten duży apartamentowiec na Saskiej Kępie, często pracuje w weekendy. Ja też jestem zmęczona, ale przyjadę, skoro mama tak nalega.

Pozegnaliśmy się chłodno. Miałam nadzieję na odpoczynek, mogłabym w sobotę spotkać się z Natalią, wyskoczyłybyśmy gdzieś na drinka, opowiedziałyby mi, jak tam było w Anglii. Właśnie, a może wybrałyby się ze mną? Wystukałam jej numer.

- Pewnie, świetnie się składa, bo odwożę mamę do domu.

- Ma dość stolicy?

- Ja mam dość jej akcji pod krzyżem. - Natalia rzadko była tak wzburzona jak teraz. - Właśnie znów tam poszła koczować. Ma teraz nowych przyjaciół, wiesz co, Izka, nie mam już tej samej cierpliwości do matki, co kiedyś. Połowę emerytury wysłała do Radia Maryja i piętnastego każdego miesiąca przechodzi na ziemniaki z kefirem, bo brakuje jej pieniędzy. Posyła im czterysta złotych! Chciałam jej zrobić przyjemność, zabrać gdzieś do galerii, do teatru, na wystawę, ale ona ma to wszystko gdzieś, przesiaduje z termosem i kanapkami pod Pałacem Prezydenckim i wyśpiewuje *Boże, coś Polskę...*

- Możemy jechać w piątek? - zaproponowałam rzeczowo. Nie mogłam dopuścić, żeby Natalia rozwinęła swoją myśl, bo nie skończyłybyśmy do wieczora. Temat jej konfliktu z matką wychodził mi bokiem, nie dało się tego słuchać na trzeźwo.

- Przecież dziś dopiero poniedziałek! Nie wytrzymam do piątku, muszę ją wywieźć z Warszawy, dla jej własnego dobra. - Natalia była najwyraźniej załamana, urywała zdania i postękiwała głośno.

- Ja nie mogę wcześniej. - Rozważałam przez chwilę możliwość wzięcia urlopu, ale ostatnie cztery dni, jakie mi zostały, chciałam przeznaczyć na święta, ewentualny wyjazd do spa na dwa dni lub odpoczynek we własnym domu przy zasłoniętych żaluzjach. Umówiłyśmy się ostatecznie na piątek, Natalia miała sięgnąć do najgłębiej ukrytych pokładów cierpliwości i dotrzeć do tego dnia.

Miło jest mieć plan, ale jeszcze lepiej móc doprowadzić do jego realizacji. Nie mogłam wyjechać w piątek, ponieważ dostałam zadanie specjalne od szefa. Wróciłam do domu po dwudziestą. Mama dołożyła mi jeszcze jeden ze swoich pomysłów - miałam zabrać z jej spiżarni przetwory, jakie dla nas zrobiła, więc jazda pociągiem w ogóle nie wchodziła w grę. Radek nie lubił, kiedy wybierałam się do mamy samochodem, ale był tak zajęty swoim kontraktem, że nie zaprotestował. Konrad pierwszy raz w swoim relatywnie krótkim życiu postawił mi się i powiedział, że nie ma takiej możliwości, aby jechał do babci na weekend,

bo ma tony zadań domowych do odrobienia, mecz w klubie rugby oraz godziny do zmarnowania przed komputerem. Radek obiecał, że zaprosi swoją mamę do nas na sobotnie popołudnie. Właśnie - zaprosi, nie poprosi o przypilnowanie wnuka, ale zaprosi i będzie biegał wokół niej jak satelita. Kawy mamusiu? Co oglądamy w telewizji? Może ciasteczko? Kanapki mamie zrobić? Niech sobie mama usiądzie wygodniej na tym fotelu, może na spacer pojedziemy do Łazienek? Właśnie z taką wizją matki i syna wyjechałam z domu i punktualnie o ósmej rano podjechałam pod blok Natalii. Wysłałam jej sms-a, że czekam na dole, nie chciało mi się biec na górę, choć przydałoby mi się trochę ruchu i ćwiczeń. Codziennie godzinami siedziałam za kierownicą lub za biurkiem, wiotczały mi mięśnie, a przy najmniejszym wysiłku dostawałam zadyszki. Jakże zazdrościłam nowoczesnym warszawiankom, które chodziły na fitness w strojach z lycry, z plecaczkami luźno przewieszonymi przez ramię. Pilates! Alicja namawiała mnie na niego już od miesięcy. A jeśli nie ta forma ruchu, to chociaż tradycyjna joga, *nordic walking* zimą, akupunktura jesienią, basen cały rok, zaś ćwiczenia mięśni pochwy obowiązkowo przy każdorazowym akcie oddawania moczu. Alicja twierdziła, że nie można sikać nieprzerwanym strumieniem, trzeba zatrzymywać go co kilka sekund, bo jeśli nie, to na starość wszystko nam wypadnie! Cała macica... Kiedy powiedziałam o tym Natalii, zdziwiła się, że dopiero teraz o tym pomyślałam.

Czekałam pod jej blokiem, rozmyślając o tym, jakim próchnym stanę się niebawem. „Ile włożysz, tyle wyjmiesz” - przestrzegała mnie Alicja. Tak, powinnam zainwestować w swoją piękną i seksowną starość „z macicą ciągle jeszcze w środku”. Kiedy miałam zamiar uczynić pierwszy krok? Zbliżała się jesień, więc na pewno nieprędko, może na wiosnę, kiedy robi się ciepło i radośnie? Alicja mogłaby mnie oprowadzić po tych wszystkich zdrowych miejscach, gdzie nabrałabym tężyzny i przewietrzyła kości. Dobry pomysł, muszę się do niego przymierzyć.

Po pięciu minutach obie panie wyszły z klatki budynku. Natalia niosła wielki pakunek pod pachą. Wsiadłam z samochodu,

żeby się przywitać. Zofia Brach obrzuciła mnie swym krytycznym spojrzeniem.

- Jakaś ty szczupła, Iza, ale włosy to miałaś chyba niedawno obcinane? - Pocałowałam ją w policzek. Pachniał mydłem. Usłużnie pomogłam jej usadowić się na tylnym siedzeniu, zapięłam pasami sto kilo żywej wagi i poszłam naradzić się z Natalią odnośnie trasy. Upychała pakunek do bagażnika, jednocześnie paląc papierosa. Zofia siedziała sztywno, pograżona w porannej modlitwie. Być może bała się tej jazdy ze mną. Ciekawe, do kogo się modliła? Do świętego Boboli czy świętego Krzysztofa? Szturchnęłam Natalię.

- Co jest? Wyglądasz jak chmura gradowa - powiedziałam.

- Niestety, zmiany planów ciąg dalszy. Będziemy musiały jeszcze zatrzymać się na poczcie i wysłać to coś do Wrocławia.

Ze złością zatrzęsnęła klapę bagażnika.

- Nie wal tak, to niemiecka technologia!

- Przepraszam, ale taka jestem wkurzona, że nie panuję. Wiesz, co to jest? - Wysunęła brodę w kierunku zamkniętej w bagażniku paczki. - Moja mama poszła przedwczoraj z tą swoją Wojciechowską podżegaczką na prezentację do jakiejś koleżanki i wróciła, kuźwa mać, z tym kompletem kołdry i zagłówek z merynosa. Nie rób takich oczu, merynos to takie zwierzę jest i robią z tego kołdry, które wciskają potem emerytkom.

Nie rozumiałam jej wzburzenia.

- Nie gryzie to w ciało? - zapytałam.

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi, ale interesuje mnie, że zapłaciła za to wełniane gówno dwa tysiące złotych! A ona ma osiem stów emerytury! Wzięła sobie na raty. Zapłaciła czterysta zadatku, podpisała umowę i przytargała to do domu. Wojciechowska - cwaniara, która ją na to namówiła - oczywiście nie kupiła tej kołdry-cud, co to latem grzeje, zimą chłodzi, a jedynie napuściła kolejną naiwną istotę. Zawsze tak robi, a mama wraca z tych, pozał się Boże, prezentacji z jakimiś zupełnie nieprzydatnymi przedmiotami. Tak, pod taką kołdrą raczej będzie musiało jej być ciepło, bo rachunku za ogrzewanie to już nie opłaci, bo z czego?

Zerkałam w stronę siedzącej jak słup soli pani Zofii. Może nas i nie słyszała, ale pewnie domyślała się, o czym mowa.

- Odeślesz i po krzyku, nie denerwuj się już tak. - Uśmiechałam się lekko rozbawiona.

- A czy ty wiesz, jak musiałam się z tą firmą wyklócić, żeby anulować tę umowę i odzyskać zadatek? Sądem straszyłam, TVN-em, „Uwaga”, Jaworowicz, w końcu odpuścili. - Natalia zapięła sweter i przerzuciła torbę przez ramię.

Ta złość czyniła ją jeszcze bardziej interesującą. Za każdym razem, kiedy jej się dobrze przyjrzałam w ostrym i nieprzyjaznym dziennym świetle, dochodziłam do wniosku, że jest naprawdę atrakcyjną kobietą. Trudno było uwierzyć, że siedząca w samochodzie Zofia (od teraz pseudonim „Merynos”) obdarzyła ją swoimi genami.

- Izka, pamiętasz, jak kilka lat temu kupiła zestaw garów z Zeptera?

Pamiętałam, Natalia obdarowała mnie jakąś patelnią w podziękowanie za pożyczkę na spłacenie rat. Chyba jej nigdy nie używałam.

- Potem jeszcze był jakiś odkurzacz-cud, co pierze dywany, kosztował chyba ze cztery tysiące, ale też udało mi się go odesłać i przez kilka kolejnych lat był spokój, a teraz merynos, psia mać! - Trzęsącymi się rękami wiązała sznurowadło, a potem jeszcze z jej ust wypłynęło kilka następnych przekleństw. Musiałam zainteresować.

- Natalia, nie nakręcaj się, czeka nas co najmniej pięć godzin wspólnej jazdy. Wyślemy tę kołdrę choćby DHL-em i zapomnij już. Jedźmy, szkoda czasu.

- Ja się do mamy nie odzywam. Powiedziała mi, że jestem niewdzięczną córką i że ta pani, która prowadziła prezentację, uprzedzała ich, że dzieci nie będą chciały podarować rodzicom odrobiny komfortu, że tak zareagują jak ja, a one mają być silne i mają się postawić, bo zasługują na to, żeby nie marznąć po tym wszystkim, co zrobiły dla nich! Co za tragiczny marketing!

Natalia nie chciała wejść do samochodu, dopóki nie skończyła palić drugiego papierosa. Przez chwilę siedziałam sama z Zofią, strojąc głupie miny. Po serii głębokich westchnień

nastąpiło głośne smarkanie w chusteczkę, a zaraz potem cichutkie skomlenie:

- Ty na pewno byś się tak do matki nie odnosiła. Nie wdzięczna ta moja córka, taka despotyczna, nic mi nie wolno. Nic. Dobrze, że już jadę do siebie. Nie czułam się tu dobrze i prędko jej nie odwiedzę.

- Pani Zofio... - zaczęłam miękko, ze współczuciem.

- Nic nie mów, ja wiem, jak ty swoich rodziców bardzo szanowałaś, jak ty byłaś za ojcem, a teraz do mamy jeździsz regularnie. Moja Natalka tyle mi przykrości robi! Wiesz, że mnie pogotowie zabrało, kiedy broniłyśmy krzyża? Ona na mnie jeszcze nakrzyczała potem.

- Tak? Nie wiedziałam - skłamałam. - A jak się pani teraz czuje?

- Kiepsko, po wczorajszej awanturze z moją córką znacznie gorzej. W poniedziałek pójde do mojego lekarza, sądzę, że jest ze mną bardzo źle, ale Natalki to nie obchodzi. Odda moją kołdrę? Mówię ci, Iza, to taki wspaniały produkt, nie trzeba go oblekać w poszwę, naturalny, ciało grzeje, a jednocześnie oddycha. Mnie jest ciągle zimno, ja mam coś z krążeniem, mówiłam jej, ale nie chce słuchać.

Ja też już nie chciałam słuchać. Zatrąbiłam na Natalię i to poskutkowało. Wsiadła z impetem i trzasnęła drzwiami. Upomniałam ją wzrokiem. Wyjechałyśmy z miasta i po godzinie na pierwszym postoju pani Zofia rozłożyła kanapki z szynką oraz termos. Miałam nadzieję, że zjemy w przydrożnym zajeździe pyszną jajecznicę, którą popijemy mocną kawą, ale nie odważyłam się zaprotestować. Natalia zjadła szybko swoją porcję i poszła do toalety, ponownie zostawiając mnie samą na placu boju. Próbowałam rozładować atmosferę, ale zabrałam się do tego bardzo nieudolnie, pytając, jak się skończyła akcja z krzyżem.

- Tak mi żal pana Jarosława, taka tragedia, a teraz ci bezbożnicy chcą nam zabrać symbol naszej wiary i gdzieś wywieźć. Przecież Polska to katolicki kraj, tego nam z serca nie wyrwą, żeby nie wiem kto rządził. Zabili mu brata, bratową...

- Katastrofa lotnicza to nie zabójstwo... - powiedziałam, ale Zofia nie czekała na moją reakcję, ciągnęła swoje żale.

- Jaka ta młodzież dzisiejsza, żebyś ty widziała, jak z krzyża szydzili! Serce pękało. Tacy główniarze, a jacy zaprzańcy. Niczego nie szanują. Gdyby żył Ojciec Święty, to by do tego nie doszło. Ale my się nie damy odsunąć w cień, krzyż wróci, zobaczysz. Tak to jest, jak krajem rządzą Żydzi i komuniści! - Zwinęła aluminiową folię w małą kulkę i wrzuciła do torby z Tesco. Nalała sobie herbaty z termosu, a ja grzecznie odmówiłam, ponieważ nie było drugiego kubka. Odczekałam kilka sekund, zanim cichutko powiedziałam, że pójde zobaczyć, co z Natalią. Pani Zofia nie zareagowała, w dalszym ciągu protestowała przeciwko bezdusznemu pozbawieniu jej ciepłej kołdry z merynosa. Natalię znalazłam przy barze. Piła drinka i paliła papierosa.

- Jeszcze nie ma dwunastej, ale dobra, rozumiem cię, sama bym się napiła, gdybym nie kierowała. Pij i jedziemy, bo do wieczora się nie dowleczymy. Pójdiesz ze mną do Borkowej na rozmowę?

Natalia skinęła głową.

- Już mi lepiej. Pewnie, że pójde. Najlepiej, jak załatwimy to jeszcze dziś.

Uznałam, że to dobry pomysł. Usiadłam na stołku obok Natalii.

- Dlaczego Danka go zabiła? - zadałam pytanie, które dręczyło mnie od kilku miesięcy. Natalia spojrzała na mnie zaskoczona.

- Marlena twierdzi, że kiedy zabrali jej synka, coś się w niej załamało.

- Czy Marlena nie mogła jakoś temu zapobiec? Taka niby mądra i zaradna, a koleżance nie umiała pomóc w życiowej sprawie? - Wydęłam usta, jakby moje własne słowa szczypały mnie w wargi.

- Nas tam nie było, Izka, nie wiemy, co się stało, a Marlena nie opowiadała mi w szczegółach. Na odległość, to wiesz, łatwo oceniać, ale można się pomylić. Tam naprawdę rozegrała się tragedia, znałaś Karola, wiesz, co to był za podlec.

- A gdzie jest teraz synek Danki? - zapytałam, bo o Karolu nie chciałam przy tej okazji wspominać. Wiem, co to był za typ, ale żeby go zabić z zimną krwią?

- W rodzinie zastępczej, Marlena ma plan, żeby go odwiedzić, ale wątpię, czyjej się to uda. W Anglii opieka społeczna jest jak sekta - raz cię wciągnie, to już nie wypuści, a synek Danki trafił do rejestru dzieci zagrożonych, czy coś takiego. Jakaś rodzina go pewnie zaadoptuje, bo nie sądzę, żeby pani Borkowa w jej wieku miała jakieś szanse na przyznanie jej opieki nad takim maluchem. Ojciec Danki pije na umór, sama wiesz, więc tam warunków nie ma.

Szłyśmy wolnym krokiem w stronę samochodu. Rozkoszowałam się tą chwilą i pogodą pomimo tego, co mnie czekało.

- Może ja bym go wzięła? - Natalia rzuciła mi szybkie spojrzenie. Musiała o tym myśleć już od jakiegoś czasu, znałam ją dobrze. Nie chciałam prowadzić tej rozmowy w pośpiechu, kiedy w tle kręciła się zniecierpliwiona pani Zofia. Zaskoczyła mnie i nie bardzo wiedziałam jak zareagować. Poczucie winy znów zaczęło wysuwać się przed plecy. Było oczywiste, że to ja mam najlepsze warunki, aby zabrać małego Krzysia do siebie.

- Spokojnie, musimy się zastanowić. Przecież Danka ma jeszcze troje rodzeństwa, a Karol, zdaje się, ma brata, będą mieli pierwszeństwo - powiedziałam z nadzieją, że uda mi się szybko zmienić temat. O czymkolwiek byśmy nie rozmawiały, a co mogłoby dotyczyć Danki, byłoby dla mnie niewygodne. Nie wiedziałam, jak Marlena czuła się z tym całym nieszczęściem, jakie się o nas otarło, ja w każdym razie obwiniałam siebie, nie uciekałam od odpowiedzialności, tylko nie umiałam otwarcie tego przyznać. Spojrzałam na Natalię.

- Wiesz, co to są za ludzie... - Zawahała się przez moment, czy zapalić kolejnego papierosa czy ulec karzącemu spojrzeniu mamy. Włożyła paczkę do kieszeni kurtki i zasunęła zamek.

- Wsiadaj i włącz mi jakąś fajną muzykę, bo teraz już nie będziemy się zatrzymywać, dopiero na kawę w zajeździe „U Mariana” - zarządziłam, otwierając drzwi.

- Mama ma słaby pęcherz, nie wytrzyma.

Miała rację. Zatrzymywaaliśmy się jeszcze trzy razy na siusiu. Punktualnie o szesnastej uściśnięłam własną mamę przed domem w ogrodzie. Pachniało już jesienią, ale liście i trawa wciąż jeszcze były zielone.

- Co tak późno? Już myślałam, że coś się stało. Obiad mi wystygł, tak to jest z wami się umawiać. Przecież mówiłaś, że będziesz przed trzecią, czekam i czekam... No, chodź już do stołu. Niepotrzebnie ścięłaś włosy, w tamtej fryzurze było ci o niebo lepiej. Kolor też zmieniłaś? A gdybyś tak sobie zrobiła pasemka, córka pani Lucyny, wiesz która, ma tak pięknie ścieniowane włosy i takie jasne odcienie, tobie by też ładnie było w takiej fryzurze. Radkowi się podoba? Co najpierw zjesz, zupę czy drugie? Sąsiad był przed chwilką, mówił, że jakiś wypadek był na krzyżówce pod Makro, od razu pomyślałam, że to może wy.

- A sąsiad nie ma lepszych zajęć jak nachodzić cię i straszyc wypadkami? - burknęłam, nalewając sobie kompotu do wyszczerbionej szklanki. Odkąd tato umarł, mama nie zainwestowała nawet złotówki w gospodarstwo, wszystko się sypało i rozpadało, żal było patrzeć.

- To bardzo przyzwoity człowiek, tylko mi się go nie czepiaj. Dopiero przyjechałaś!

Mama była nie w humorze, stwierdziłam to od progu i gdybym była dobrą córką, zapytałabym, o co chodzi jak się czuje, jak sobie radzi. Ale dobrą córką nie byłam i zawsze prezentowałam gotowość do ataku. Kiedy przestałam być dobrą córką? Kiedy urodził się Konrad i mama nie przyjechała mi pomóc w okresie połogu, choć ją o to błagałam. Powiedziała wtedy, że nie lubi podróżować, a poza tym źle się czuje w dużym mieście. Ja też bardzo wielu rzeczy nie lubiłam w życiu, jednak nie zwalniałam się tak łatwo z obowiązków.

Izabela

Piąty ślad hamowania

Położyłam się na wielkim łóżku w pokoju na piętrze. Materac z trawy morskiej trafił do nas z Niemiec przed piętnastoma laty. Był to najdziwniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam od mężczyzny. Stare dzieje; trochę mnie ciekawiło, co stało się z moim adoratorem. Dosyć sprytnie to wymyślił, przyznaję, za każdym razem, kiedy kładę się spać w domu rodzinnym, posyłam jedną myśl gdzieś do Magdeburga, gdzie być może osiedlił się Joachim Gross. Chciał mieć z żoną troje dzieci, wróżyli mu świetną karierę w przemyśle lotniczym, mam nadzieję, że mu się udało. Ja coś tam z nim przeżyłam, chyba nawet trochę za bardzo zawróciłam mu w głowie, a że miałam zaledwie siedemnaście lat, a on blisko trzydzieści, szans nie było. Pamiętam, że kiedy przyszedł do nas na niedzielny obiad, powiedziałam rodzicom, iż mój luby ma dwadzieścia pięć lat, nie dodałam natomiast, że jest żonaty.

Materac był wygodny, szeroki na półtora metra, niezbyt miękki i bardzo gruby. Musieliśmy zamówić łóżko specjalnie pod ten prezent, a były to czasy, kiedy większość Polaków spała na wersalkach lub łóżkach nie wiedzieć czemu nazywanych amerykankami. U nas w domu też królowały wersalki, mama do dziś na takiej śpi. Co rano chowa pościel do skrzyni i wersalkę składa, aby służyła jako siedzisko w ciągu dnia. Ja na łóżku z niemieckim materacem poczęłam Konrada.

Odpoczywałam piętnaście minut przed naszą wycieczką do pani Borkowej. Mama krzątała się na dole, słyszałam, jak zmywa gary po obiedzie. Co chwila coś jej wypadało z rąk, ale sama sobie tłumaczyła, że ma niezgrabne ręce i że jest już stara, to może powoli żegnać się ze sprawnością. Zawsze mówiła do siebie, nawet gdy tato żył, na głos wyrażała opinię o otaczającym ją świecie, zapowiadała sama sobie, co ma jeszcze do zrobienia tego dnia czy w tej godzinie. Pytał ją wtedy: „Do kogo ty mówisz, kotku?”. Wspomnienia takich drobnych sytuacji sprzed lat wywoływały u mnie zupełnie niekontrolowane ataki żalu. Ile bym dała, żeby usłyszeć jego głos w tej chwili, nawet ten poirytowany, kiedy politycy w telewizji doprowadzali go szału! Jakże on nimi pogardzał - i tą ich chłopską mentalnością, od której nie potrafili uciec nawet po wielu latach spędzonych na urzędach w stolicy. Może dlatego Marlena nie chce tu przyjeżdżać, nie umie pogodzić się z faktem, że taty już nie ma i zaczęło się teraz nowe życie bez niego, bez jego głosu, zapachu, kroków na schodach. Ona jeszcze nie zaakceptowała jego odejścia i nawet jej się nie dziwię, bo mieszkając daleko stąd, może sobie w nieskończoność wyobrażać, że tata jest u siebie w gabinecie. Nie była w domu od jego pogrzebu i nie musiała zmierzyć się z pustką, jaką po sobie tutaj zostawił. Kiedy w końcu odważy się przyjechać, przekonana się, jak bardzo taty tu brakuje. Mogłaby osłodzić samotność mamy swoim przyjazdem, ale nie robi tego, usiłujemy tego nie komentować i nie oceniać w żaden sposób.

Natalia zadzwoniła i poprosiła, żebym przygarnęła ją na noc, nie chciała spać w mieszkaniu mamy. Kiedy je odwiozłam pod blok, zaczęły się kłócić, jeszcze zanim weszły na klatkę schodową. Umówiliśmy się w centrum miasta o osiemnastej.

Pojechałam trochę wcześniej, żeby napić się gdzieś dobrej kawy, bo w domu mama wciąż podawała rozpuszczalną lurę z produktem mlecznym UHT. Ja byłam smakoszem czarnego napoju i byle czym nie mogłam się zadowolić. Rodzicielka skwitowała moją potrzebę wypicia podwójnego espresso z ciepłym mlekiem tekstami typu „ciężko ci dogodzić, aja się tak staram!”. Zaparkowałam pod ratuszem i zadzwoniłam do Radka.

- Jak sobie radzicie?
- Właśnie siedzimy sobie z mamą i pijemy herbatkę, a co u ciebie?

- Zarazjadę z Natalią do pani Borkowej. Czy Konrad już wrócił z klubu?

- Wybieramy się po niego. Wezmę mamę i zajedziemy do galerii, pokręcimy się trochę po sklepach, może coś kupimy, Konrad wspominał, że coś mu tam potrzeba do komputera.

- No to klasa. Zadzwoń jutro, to ci opowiem, jak nam poszło.

- Mama też cię pozdrawia, mówi, żebyś przekazała pozdrowienia swojej. Ode mnie też, oczywiście.

Rozłączyłam się. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek była z Radkiem w galerii, on po prostu nie wchodził do centrów handlowych. Mogłabym nawet zaryzykować stwierdzenie, że miał na nie uczulenie. Przeszkadzali mu ludzie, muzyka, ceny, temperatura, ale przede wszystkim uznawał wizytę w galerii za bezpowrotnie zmarnowany czas. Sprawa zakupów już dawno została wpisana w mój rozkład zajęć - chodziło zarówno o te spożywcze, jak i odzieżowe. Radek kupował samochody, telefony i komputery. Można by powiedzieć, że podzieliliśmy się obowiązkami według obowiązujących w nowoczesnym świecie standardów. Pan od przyjemności, pani od garów.

Natalia spóźniła się kilka minut. Wyszłyśmy z kawiarenki „Wiedeńskiej” po osiemnastej. Dreptała za mną i grzebała w swojej przepastnej torebce. Zapytałam, czy zabrała ze sobą namiot czy ponton, bo sądząc po rozmiarach torby, i jedno, i drugie. Ofuknęła mnie, ale nie obraziła się. Nic nie mogłam poradzić na to sarkastyczne nastawienie do świata i ludzi. Wyszyszydałam i ćwiartowałam, nie bacząc na to, czy kogoś rozbawię, czy też sprawię mu przykrość. Trudno, jak by to powiedziała moja mama: „taka już jestem”. Wsiadłyśmy do samochodu i ruszyłyśmy w czterdziestokilometrową trasę.

- Nie wiem, po co my tam jedziemy. Rozgrzebywać rany? Będzie im trudno zrozumieć, że byłaś w Anglii i nie widziałaś Danki. Zresztą... Co ja gadam, w tym wszystkim w ogóle trudno

cokolwiek zrozumieć. - Wciąż byłam sceptycznie nastawiona do tego pomysłu. Wzdychałam i naciskałam na gaz. Natalia, zaparkowana w okno, sprawiała wrażenie nieobecnej.

W domu Danki nie byłam, odkąd skończyłyśmy liceum. Chodziłyśmy do jednej klasy razem z bratem Natalii, Aleksandrem. Natalia była od nas całe siedem lat młodsza, ale wkręciła się w towarzystwo jako pannica, ponieważ Alex często musiał się nią opiekować. Ciągał ją po imprezach, gdzie szybko nabierała naszych manier, zauroczona faktem, iż pozwalaliśmy jej na wszystko. Pierwszego papierosa zapaliła na mojej osiemnastce! Dostała lanie od brata, mam nadzieję, że pierwsze i ostatnie. Oczywiście zdawała do naszego prestiżowego liceum, ale się nie dostała, poszła więc do gastronomicznego, jednak po roku zrezygnowała, uznawszy, że to strata czasu. W Warszawie robiła jakieś kursy, ale zawsze wyrażała się bardzo enigmatycznie o nabytych kwalifikacjach.

Nie nadażałam za jej zmianami miejsc pracy. Gdziekolwiek poszła, coś ją denerwowało już na samym wstępie: a to ludzie byli podli, szefowie pazerni, a to kiepski dojazd. Przed wakacjami dostała pracę ekspedientki w luksusowym butik, ale jak sama twierdziła, to tylko przystanek. Powinna była zostać modelką, przy jej niebanalnej urodzie i wzroście 178 cm miałyby szansę. Teraz, w wieku trzydziestu lat, była już na to za stara, ale nadawała się doskonale na sprzedawanie designerskich ciuchów. Odkąd pamiętam, targała ze sobą wszędzie magazyny o modzie, ale nie te polskie, a oryginały „Elle” czy „Vogue” i zanudzała nas opowieściami o najnowszych trendach. Od czasu do czasu kupowała sobie jakiś ciuch za potworne pieniądze, a jak to często bywa, wcale nie było po nim widać, ile kosztował. Miał metkę i to było najważniejsze. Myślę, że te ekstrawagancje sponsorował jej wspaniałomyślny i hojny brat Alex. Ile Natalia musiałaby odkładać, zarabiając trzy tysiące złotych, żeby kupić sobie torebkę klasyczną od Louis Vuitton? Od roku paradowała z tą torebką w rękę, a paniom na ulicy nawet nie przychodziło do głowy, że to oryginał. Jechaliśmy w milczeniu przez kolejnych kilka minut.

- Trafisz tam? - zapytała, włączając radio.
- Mam nadzieję. - Nie byłam pewna, ale nie chciałam jej martwić.

Za Glinkami skręciliśmy w prawo na Nową Wieś. Szybko skończyła się asfaltowa droga, więc zaczęłam się obawiać, czy nie ugrzęźniemy gdzieś w błocie. Prowadziłam auto powoli przez trzy kolejne kilometry, obie rozglądałyśmy się na boki, szukając znajomego krajobrazu.

- Wydawało mi się, że ta ich chałupa była bliżej - powiedziałam do siebie. Natalia zaczynała się wiercić na siedzeniu i obgryzać paznokcie. Prawą ręką trzepnęłam ją po palcach. Poskutkowało.

- Pobłądziłyśmy czy jak? - Wysuwała głowę wprzód niczym łabędź, analizując trasę. Śmieszyła mnie czasami ta nasza Natalia, niepozbywane dziecko.

- Wydawało mi się, że to było zaraz za skrzyżowaniem przy kapliczce, ale widocznie pamięć mnie zawodzi. Podjedźmy jeszcze kawałeczek.

Kiedy wjechałyśmy na pastwisko, przyjąłam do wiadomości, że zabłądziłyśmy. Kilkanaście minut trwało jeżdżenie po wsi, a skończyło się jak zawsze, tj. na pytaniu o drogę w wiejskim sklepie wielobranżowym. Ekspedientka nakierowała nas bezbłądnie, ale nie omieszkała zapytać, czy aby nie jesteśmy z policji. Natalia kupiła u niej wodę mineralną i paczkę papierosów. Zawiedziona skomentowała głośno, że nie dba się w tym miejscu o klienta, jeśli nie prowadzi się sprzedaży magazynów takich jak „Cosmopolitan” ani nawet „Twój Styl”. Nie mogłam się powstrzymać i huknęłam na nią, żeby zeszała na ziemię ze swojego warszawskiego piętra, bo zaczynała grać mi już na nerwach. Spojrzała tymi swoimi wielkimi oczyma i zaczęła się spierać, na co zareagowałam tak ostro, że doszło do spięcia. Może i to ja byłam stroną bardziej agresywną, ale Natalia też dokładała swoje. Najpierw z matką, teraz z gazetami. Na szczęście, po chwili wróciliśmy do stanu sprzed kłótni i wyprostowałyśmy naszą wojenną ścieżkę.

Po kilku minutach podjechałyśmy pod chałupę Danki. Zdecydowanie jednak nie mogłabym jej nazwać domem. Był to jakiś jednopiętrowy dziwoląg składający się z dwóch części, tj. mieszkalnej i stodoły. Ktoś w zamierzonych czasach rozpoczął tynkowanie parteru, ale przerwał pracę w połowie. Być może był to ojciec Danki. Na pierwszym piętrze był balkon, a raczej konstrukcja, która w zamyśle miała być balkonem. Otwór drzwiowy zabity był teraz deskami na znak kolejnego zaniechania pomysłu. Ramy drewnianych okien prezentowały się zdecydowanie najgorzej - przez resztki niebieskiej farby prześwitywało spróchniałe drewno, natomiast drzwi stodoły wyróżniały się jaskrawością - były świeżo odmalowane, co wyglądało dość komicznie, ponieważ nadano im kolor różowy. Przed chałupą stały wsparte na ceglach dwa zardzewiałe polonezy (niegdyś bordowe). Rodzice Danki mieli swego czasu psa, krowę, kury, chyba nawet konia, ale teraz nie było śladu po żywym inwentarzu. Tylko w jednym oknie na dole paliło się światło, więc właśnie w nie postanowiłam zapukać. Natalia stała za moimi plecami wystraszona, nigdy wcześniej tutaj nie była.

- Dom zły... - szepnęła.

Słyszałam szuranie i po chwili drzwi otworzyła nam Justyna, córka Danki. Miałam nadzieję, że nie będzie jej w domu; w dalszym ciągu było mi wstyd, że wtedy się nią nie zajęłam. Gdybym miała dziś z ręką na sercu przyznać, dlaczego tak szybko uleżałam Radkowi i nie zgodziłam się, aby zamieszkała z nami, musiałabym wyjawić prawdę - powodował mną absurdalny lęk, że Justyna poderżnie mi gardło we śnie.

Spojrzała ponad moją głowę i krzywo uśmiechnęła się do Natalii.

- No cześć, Justynka! - Nie wiedziałam, czy ją przytulić, czy nie.

Natalia była szybsza, wyskoczyła zza moich pleców, podeszła do niej i ją objęła. Justyna nie odwzajemniła uścisku, stała sztywna z odwróconą w bok głową. Poszłam w ślady mojej poprzedniczki i też ją przytuliłam. Wydawało mi się, że od tego nagłego wylewu serdeczności Justyna zesztyniała jeszcze

bardziej. Mówiliśmy obie naraz, że przyjechałyśmy ją odwiedzić, Natalia pochwaliła się, że była w Anglii i widziała w przełocie jej mamę, choć nie miała okazji z nią porozmawiać. Justyna owinęła się swetrem, co odczytałam jako zapowiedź, że będziemy rozmawiać na dworze.

- Babcia jest w szpitalu - powiedziała po chwili.

- Co się stało?

- Serce. Mam do niej jechać jutro, to się dowiem. Pogotowie zabrało ją dzisiaj rano.

W jej głosie nie słychać było żadnych emocji. Kiedy zwracała się do nas, patrzyła gdzieś ponad nami, prześlizgiwała się wzrokiem po naszych sztywnych kurtkach, butach, torebkach, ale nie zatrzymała spojrzenia na twarzach. Natalia miała na sobie czarną skórzaną kurtkę z żabotem, wiem, że kupiła ją w Anglii na firmowym stoisku Gucciego. Nie przyznała się, ile za nią zapłaciła. Podczas gdy moja wełniana marynarka nie kłuła aż tak w oczy, tak droga kurtka Natalii zbyt mocno kontrastowała z tamtejszym otoczeniem. Zaproponowałam, żebyśmy od razu pojechały do szpitala w odwiedziny.

- Dzisiaj jest już za późno. Nie mogę zresztą dziadka zostawić samego. Złamał nogę i leży bez ruchu.

Natalia jęknęła:

- Jezus Maria!

Ja powstrzymałam się od komentarza. Nie mogłyśmy tak po prostu wsiąść w samochód i odjechać z tego miejsca. Może kiedyś Justyna była trudnym dzieckiem, teraz jednak stała przede mną szesnastolatka przygnieciona swoją dojrzałością jak nigdy przedtem. Była tak chuda jak światowe modelki. Z poobgryzanych paznokci schodził czerwony lakier, tłuste włosy opadały jej na ramiona, a jej wielki atrybut urody - pełne, kształtne usta, jakie zresztą odziedziczyła po Dance, całe były w opryszczone. Sweter, jakim się zawinęła, poplamiony był jakąś białą mazią.

- Justynko, wpuść nas do środka. - Natalia postawiła krok wprzód.

- Nie ma po co. Już śpi, dałam mu przed chwilą tabletki, jakie zapisał lekarz, który był tu wczoraj, bo dziadek jęczał z bólu i jęczał... Podobno noga mu się nie zrasta, a te śruby, jakie ma w kości, zrobiły tylko wielkie dziury, tak powiedzieli.

Spojrzałyśmy na siebie w osłupieniu. Justyna wytarła nos mankietem swetra i obejrzała się za siebie, kontrolując, czy zamknęła drzwi wejściowe. Pewnie podejrzewała, że zechcemy tam wtargnąć bez jej zgody. Może tak właśnie powinnyśmy były zrobić? Natalia wyciągnęła papierosy z torebki i nas nimi poczęstowała. Justyna wzięła dwa. Nie był to odpowiedni moment, żeby ją strofować za palenie fajek. Chwilę stałyśmy w milczeniu. Justyna odezwała się jako pierwsza:

- Dziadek girę złamał, jak wracał po pijaku w nocy. Wpadł w jakiś dół przy polu Skoczylasa. Sąsiad go znalazł dopiero rano. Miał operację już trzy miesiące temu, ale wciąż nie może chodzić.

- Ty się nim opiekujesz, Justynko? - zapytałam dla formalności.

- Babcia się nim zajmowała, ale teraz to pewnie ja.

Pani Borkowa nie wspomniała mojej mamie ani słowem o ich sytuacji oraz o wypadku jej męża. Zawsze była dumną kobietą, nie wiedziałyby nawet, jak wyciągnąć rękę po pomoc. Zupełnie jak Danka. Pomyślałam o mamie Natalii i jej kołdrze z merynossa. Trzeba by ją tu przywieźć, żeby zajęła się dziadkiem Justynki, gotowała, sprzątała, przeżyła dzień bez telewizora i Radia Maryja. Pani Zofia przesiedziała swoje produktywne lata w kościele pod wezwaniem świętego Jana Chrzciciela. Dla Boga wszystko, dla bliźniego nic.

- Trzeba ci jakoś pomóc dziewczyno, tak cię nie zostawimy. Najpierw zobaczymy, jak się ma twój dziadek, potem pojedziemy do babci, zrobimy ci zakupy, a od jutra zaczniemy działać, żeby zorganizować ci pomoc.

Mówiłam takim tonem, że nie odważyła się przerwać. Sama sobie dodawałam otuchy w tej ponurej sytuacji. Byłam trochę przerażona. Tak to już czasami bywa, że kiedy już się uchyli drzwiczki, nagle okazuje się, że trzeba otworzyć jeszcze kolejne,

żeby gdzieś dojść, a potem następne i jeszcze jedno, później tylko człowiek brnie i klnie, że otworzył te pierwsze.

- Powiadomiłaś braci mamy o sytuacji w domu? - Natalia przypomniała sobie w tym samym momencie co ja, że Danka nie jest przecież jedynaczką. Justyna wzruszyła ramionami.

- Wujek Marcin był w niedzielę, przywiózł ojcu wódkę i boczek. Wujek Jacek gdzieś przepadł, nie mamy z nim kontaktu. Podobno wyjechał do Irlandii rok temu, ale nie daje znaku życia. Z tego, co wiem, miał tu jakieś sprawy z policją i przez to uciekł.

Natalia ominęła stojącą na straży Justynę i pierwsza weszła do domu, ja podażyłam za nią. Z korytarza wchodziło się do kuchni, a potem dalej do pokoju, gdzie leżał dziadek. W kuchni na piecu gotowała się kapusta, wydzielając nieprzyjemny kwaśny zapach. Nad kuchenną blachą wisiały kawałki boczku; może w ten sposób pani Borkowa usiłowała go uwędzić. Na stole przykrytym kolorową ceratą porozkładane były lekarstwa, papiery, resztki jedzenia i bandaże. Nie mogłam się nie zastanowić w tej chwili, kto sprawuje higieniczną opiekę nad chorym, skoro ten nie wstaje? Justyna ręką wskazała, gdzie mamy iść dalej. Ojciec Danki faktycznie spał. Lewa noga w gipsie leżała na kołdrze, reszta ciała była przykryta kocem. Oddychał równo, powieki mu lekko drżały. Wyglądał lepiej, niż się spodziewałam. Miał na sobie dość czystą flanelową koszulę, a pod nią jakiś golf koloru szarego. Nachyliłam się nad nim, poczułam zapach alkoholu. Może po prostu się upił, a nie był na środkach nasennych? Zapytałam o to Justynę.

- Nie, dzisiaj nic mu nie dałam, wczoraj popił, bo był tu sąsiad, ten, co go znalazł - wyjaśniła rzeczowo. Czułam na sobie jej wzrok, choć stałam do niej tyłem, wiedziałam, że mi się uważnie przygląda. Rozejrzałyśmy się po pokoju. Poza łóżkiem, na którym leżał dziadek, a także stołem, pod oknem znajdowała się tam jeszcze tylko wielka trzydrzwiowa szafa, której drzwi się nie domykały. Justyna spała na górze, wyprzedziła moje pytanie i sama mi o tym powiedziała:

- Wujek Marcin zapłacił rachunek za prąd i przyłączyli nam w zeszłym tygodniu. Ja śpię na górze, babcia tu w kuchni na

wersalce, bo dogląda dziadka w nocy. Dzisiaj chyba tu się prześpię, bo nie usłyszę z góry, jak woła.

Wyszliśmy z Natalią przed dom, żeby się naradzić. Justyna została w środku, nie chciała nas krępować. Natalia zadawała mi w kółko to samo pytanie: „co robimy?”. Zrobiło się już późno, musiałam dać znać mamie, że sprawy się skomplikowały. Przez chwilę słuchałam jej porad, ale żadna nie była praktyczna. Nie mogłyśmy dziadka zawieźć do szpitala, Justynki wziąć do nas, a chałupy zamknąć na kłódkę. Poprosiłam Justynę o numer do Marcina. Miała telefon komórkowy, ale nic na karcie. Stacjonarny odłączyli miesiąc wcześniej, już nie pytałam z jakiego powodu, nietrudno się było domyślić. Telefon był tym jedynym luksusem, jaki zafundowała sobie pani Borkowa. Musiała mieć go w domu, bo przerażała ją myśl, że nie będzie mogła zadzwonić po pogotowie. Od zawsze spodziewała się jakiegoś nagłego wypadku wymagającego przyjazdu karetki. Ze swojej komórki zadzwoniłam do brata Danki, ale po pierwszej wymianie zdań zaczęłam żałować, że to zrobiłam.

- Nie lubię, jak się obcy wtracają w nasze sprawy. Justyna tam jest, a ja przyjadę w piątek po pracy, proszę, niech się państwo zajmą swoim życiem - wypalił, zanim wyjaśniłam, po co w ogóle dzwonię.

- Marcin, chyba mnie pamiętasz, jestem przyjaciółką Danki, Iza, nie jestem obca.

- O mojej siostrze nie będę z nikim rozmawiać - uciął krótko.

- Wiesz, że twoja mama trafiła dziś rano do szpitala? - Atakowałam coraz odważniej. Natalia stała obok mnie i podsłuchiwała.

- Wiem. I co z tego?

- Ciężar opieki nad twoim tatą spadł na wnuczkę, młodą dziewczynę, nie poradzi sobie z inwalidą, jak ty to sobie obrażasz? - Przeszepowałam z nogi na nogę, coraz mocniej przyciskając telefon do ucha.

Natalia odeszła kilka kroków i znów zapaliła papierosa.

- Jak mówiłem, niech się każdy zajmie swoimi sprawami, my radzimy sobie bardzo dobrze, nic nikomu do tego.

- Nie możesz zabrać ojca do siebie? - zadałam to pytanie ze złością. Ten facet niesamowicie podniósł mi ciśnienie.

Próbowałam sobie wyobrazić, jak wygląda dzisiaj Marcin Borkowy. Ciekawe, jak zareagowałaby Natalia, gdybym jej zdradziła, że na weselu Danki, najgorszym ze wszystkich, na jakich byłam, dałam się zaciągnąć Marcinowi w krzaki. Nie pozwoliłam mu wprawdzie na zbyt wiele, zaledwie pocałunki i uściski powyżej pasa, ale jednak taki właśnie erotyczno-pijacki incydent miał miejsce. Marcin był chyba jedynym zaledwie podchmielonym mężczyzną, podczas kiedy wszyscy inni ślaniali się na nogach i rzygali, gdzie popadnie. Miał albo mocną głowę, albo jakiś chytry plan, ponieważ pozostał trzeźwy do samego rana. Tańczyłam tylko z nim, bo wyłącznie on do tańca się nadawał, nie zważając na humor Marleny i jej prośby, żeby jak najprędzej się ewakuować. Nie miałyśmy czym wrócić do miasta, dobrze o tym wiedziała, Danka uprzedziła nas, że pierwszy autobus odjedzie kwadrans po szóstej rano spod remizy.

Marcin siedział przy innym stoliku, a raczej ławie, ale kiedy tylko zaczęli grać, przychodził po mnie i brał mnie na parkiet. Przytulałam się do jego spoconej koszuli, wydawał mi się przystojny i męski, choć pachniał tanią wodą kolońską, która w zamierzeniu firmy producenckiej miała przypominać Old Spice'a, zapach dystygowanych emerytów. Niewiele słów padło między nami, coś tam o weselu i muzyce, a potem na chwilę przed świtaniem Marcin wyciągnął mnie na dwór i poprowadził w pachnące mokrą trawą miejsce. Suknię miałam potem naznaczoną śladami spontanicznego klapnięcia na trawkę i po winnam się cieszyć, że były to jedyne pamiątki, jakie pozostawił na mnie ten incydent. Alkohol odegrał swoją rolę, to fakt, jednak ja byłam wówczas bardzo spragniona miłości pod każdą postacią i choć musiałam się bardzo wstydzić swoich czynów, parłam do przodu, a Marcin całował bardzo pięknie.

Nigdy go oczywiście więcej nie spotkałam. Ani on nie próbował nawiązać ze mną kontaktu, ani ja na ten kontakt nie

czekałam. Trzeźwy poranek odarł z urody moje turlanie się w trawie i jak najszybciej chciałam znaleźć się w domu, we własnym łóżku pod ciepłą kołdrą. Marlena wsiadała do autobusu za mną i zauważyła pobrudzoną sukienkę. Nie, ona nigdy, nawet za milion lat, nie poszłaby w krzaki z obcym chłopakiem, choćby był Bradem Pittem.

Tymczasem Marcin Borkowy mówił do mnie tego wieczoru, żebym się nie wtrącała! Udawał, że mnie nie rozpoznaje, choć nie wierzyłam, że nie pamięta ani mnie, ani mojej zielonej sukienki, która pięknie odsłaniała plecy.

- Chcemy wam pomóc - przemawiałam. - Nie wiem, może potrzebujecie pieniędzy? Justyna nie może się sama zajmować dziadkiem.

- Justyna dobrze wie, co ma robić. Dajcie jej spokój i jedźcie w cholere.

- Hej! Grzeczniej proszę! Kiedy tu się zjawisz?

Justyna wyszła do nas i przysłuchiwała się rozmowie. Było jasne jak słońce, że sama nie umiałaby tak rozmawiać z wujem. Tak jest zresztą najlepiej, kiedy przychodzi ktoś z zewnątrz, ktoś, kto nie zna układu i wszystkich zawiłości, jakie wytwarza rodzinne życie, dzięki czemu proponuje najprostsze rozwiązanie problemu, po czym wszyscy spadają z krzesła i szczeka im opada tak jak w tej chwili Justynie. No przecież to wydaje się bardzo logiczne - żeby syn zabrał chorego ojca do siebie w chwili takiego kryzysu. Napierałam dalej, ale w pewnym momencie Marcin rozłączył się i nawet nie odpowiedział na moje pytanie.

Po szybkich oględzinach doszliśmy do wniosku, że trzeba zrobić Justynie zakupy. Nie protestowała, ale po objechaniu okolicy okazało się, że wszystko jest pozamykane, więc skończyło się na dobrym pomysle. Wróciliśmy pod dom; pomstowałam, używając bardzo brzydkich słów. Justyna znowu do nas wyszła.

- Wujek Marcin dzwonił - powiedziała cicho. - Mam was nie wpuszczać do domu.

Natalia odwróciła się na pięcie i wsiadła do samochodu. Ja znów poczęstowałam Justynę papierosem, dając jej sygnał, że tak szybko się mnie nie pozbędzie. Paliłyśmy w milczeniu,

raz po raz spoglądając w gwieździste niebo. Było bezwietrznie i jeszcze całkiem ciepło jak na wrzesień, tylko bardzo ciemno. Takich idealnych ciemności nie ma w mieście, gdzie z wielu kierunków migają światła reklam, wystaw, reflektorów, latarni. Wieś była mroczna - ta w szczególności.

- Marcin ożenił się? Ma rodzinę? - zapytałam nieoczekiwanie dla samej siebie. Nic mnie nie obchodził wujek Justyny, ale tamten Marcin o pięknie wykrojonych ustach dziwnym trafem pozostał w mojej pamięci i nie chciał się wynieść.

- Ożenił, ale nie mieszka z żoną. Nie mają dzieci.

- To pewnie twój ulubiony wujek.

- Interesuje się nami, tamci nie. No i nie pije.

Ucieszyła mnie ta wiadomość. Trzeźwy Marcin w rodzinie alkoholików, wielka siła woli i charakteru.

Justyna nie pozwoliła mi się za dłużej zatrzymać przy tym temacie.

- Chciałabym pojechać jutro do babci do szpitala, ale boję się zostawić dziadka samego w domu - powiedziała, zerkając na mnie niepewnie.

Miałam nadzieję, że poprosi o pieniądze, wtedy wszystko zrobiłoby się o wiele prostsze. W miasteczku jest bankomat i mogłabym załatwić sprawę w ciągu pół godziny. Byłam zdenerwowana i nie potrafiłam się skupić, a Natalia w dalszym ciągu wracała do równowagi na siedzeniu pasażera mojego auta. Kiedy w końcu do nas dołączyła, wydawała się bardzo spokojna. Zadeklarowała, że gdy wrócimy jutro, posiedzi z dziadkiem, a my we dwie pojedziemy do szpitala. Justyna nie podskakiwała z radości.

- Nie musisz zgłaszać wujkowi Marcinowi, że nas wpuściłaś, może twój dziadek też się nie wygada, jak go ładnie poproszę. Jedziemy już, bo późno się zrobiło, wrócimy jutro o dziewiątej rano. Bądź gotowa. - Natalia przejęła stery. - Porozmawiam też z moim znajomym, jest ortopedą, może zająłby się tym jego złamaniem. Będzie dobrze.

Justyna skinęła tylko głową. Pożegnaliśmy się. Obserwowałam ją we wstecznym lusterku, nie ruszyła się z miejsca. Natalia

bez pozwolenia otworzyła okno i zapaliła papierosa. Dobrze wiedziała, że w moim samochodzie się nie pali, ale żadna z nas nie miała ochoty na postój. Nie mówiłyśmy wiele przez drogę, dopiero wtedy, gdy wjechałyśmy do miasta, Natalia podjęła temat.

- Tak się zastanawiam... Przecież Danka jakimś cudem wyrwała się w tego zadupia, skończyła prestiżowe liceum w mieście, mogła lepiej pokierować swoim życiem.

- Poznała Karola i zaszła w ciążę, a wtedy ciąża oznaczała natychmiastowe małżeństwo. Karol swój honor miał - przypomniałam jej, siłąc się na sarkazm.

- A co się potem stało?

- A co myślisz? Karol pił na umór, a Danka go kochała. Zresztą, kto to wie? A ja na ich weselu przetańczyłam noc z Marcinem!

Natalia spojrzała na mnie zaskoczona.

- No co ty? Z tym wieśniakiem?

Skinęłam tylko głową na potwierdzenie.

- Jezu, jak to się wszystko popieprzyło w ciągu trzech lat. Co my teraz zrobimy, Izka? Nie znam żadnego ortopedy, tak tylko palnęłam, żeby dać jej trochę nadziei.

- No to masz czas do jutra do dziewiątej, żeby jakiegoś ortopeda zapoznać. - Poklepałam ją po kolanie, ale nie był to żart. Natalia wyciągnęła telefon komórkowy i zaczęła grzebać w liście kontaktów.

- A może by tak opiekę społeczną zaangażować w tę sprawę? - powiedziała niezwykle odkrywczym tonem. Wystarczyło jedno moje spojrzenie, żeby wycofała pomysł. Wszystko, byle nie opieka społeczna, obojętnie, czy tu, czy w jakimkolwiek innym kraju. Jechałyśmy, rozmawiając o formach pomocy, jakie mogłybyśmy zaoferować, ale wszystko było doraźnym rozwiązaniem, obie zdawałyśmy sobie z tego sprawę.

Było po północy, kiedy podjechałyśmy pod dom. Zapropnowałam, że się napijemy alkoholu, ale Natalia grzecznie odmówiła, tłumacząc, że to przecież za dużo kalorii jak na taką późną porę. Dałam jej nocną koszulę i ręcznik. Mama na

szczęście już spała, co bardzo mnie ucieszyło, bo nie miałam ani siły, ani ochoty, żeby jej wszystko opowiedzieć ze szczegółami. Z pewnością miała inny pogląd na tę sprawę i gotowe rozwiązanie, które nie było możliwe do zrealizowania. Mama była bowiem mistrzynią niepraktycznych porad.

Kiedy poszłam pocałować Natalię na dobranoc, poczułam się dziwnie. Leżała w łóżku Marleny, tym samym, które kupił jej nasz tato, kiedy skończyła podstawówkę. Nie było to właściwie łóżko, raczej rozkładany fotel, który na tamte czasy był obiektem marzeń nastolatek. Miał kolorową tapicerkę w czerwono-czarne wzory i był nadzwyczaj wygodny, biorąc pod uwagę prymitywne materiały i technologie, jakie wówczas stosowano. Jego największą zaletą był jednak fakt, że nie był wersalką, na której spędziłam całe swe dzieciństwo i wczesną młodość do momentu, aż Joachim Gross przysłał mi wspomniany już wcześniej materac z trawy morskiej.

- Nie wiem czy zasnę, za dużo wrażeń. - Wychyliła nos spod kołdry. Pogłaskałam ją po głowie jak małą dziewczynkę. Zawinięta w pościel wydała mi się bardzo drobna i blada. Dotarło do mnie, jak źle zniosła te odwiedziny na wsi. Najprawdopodobniej nigdy nie zetknęła się z taką biedą i beznadzieją, jej trasy nigdy dotąd nie wiodły przez tak szare i cuchnące okolice. W telewizji widywała nędzę, ale jak większość ludzi wychodziła z założenia, że jest to świat tak odległy, że aż nierealny. Czterdzieści kilometrów od miasta, w jakim się urodziła, mieszkali ludzie bez dostępu do bieżącej wody i z toaletą na zewnątrz domu.

- Nie musisz ze mną jutro tam wracać, jeśli nie chcesz. Poproszę mamę, posiedzi z Borkowym, a my z Justyną szurniemy do szpitala - powiedziałam, stawiając szklanek na stoliku obok. Natalia przez chwilę patrzyła tak, jakby nie rozumiała, o czym mówię.

- Uważasz, że nie dam rady przypilnować siedemdziesięcioletka przez dwie godziny, że go uduszę poduszką czy pomyślę jego lekarstwa?

- Nie, nie to miałam na myśli. Po prostu wyglądasz za przeziębioną i chcę ci oszczędzić kolejnych rewelacji, bo jutro na

pewno nie będzie łatwo. Borkowy to stary, obleśny pijak, nawet nie wiem, czy bezpiecznie jest cię z nim zostawić - powiedzia-
łam dokładnie to, co myślałam. Natalia zastanowiła się chwilę
nad moimi słowami.

- Myślisz, że mógłby mi coś zrobić?

Wzięła ode mnie szklankę i upiła spory łyk mojego drin-
ka. Nie zaprzeczyłam, choć nie wierzyłam, żeby Borkowy
stanowił zagrożenie, będąc w stanie, w jakim się znalazł. Kula-
wy dziadunio miałyby się zerwać z wyra i zaatakować postawną,
wysportowaną Natalię? Mało prawdopodobne, ale zaczęłyśmy
rozważać również taki dramatyczny scenariusz.

Ostatecznie rano pojechałyśmy we trzy. Mama wcielała się
w rolę, przez całą drogę zapewniając nas, że nie ma takich pro-
blemów, jakich by nie można rozwiązać, jeśli się tylko tego chce.
Zabrała ze sobą całą torbę leków ze swego skarbcza, w większości
przeterminowanych. Powiedziałam jej wprost, że zachowuje się
jak koncern farmaceutyczny, który upycha przedawnione me-
dykamenty Afryce, żeby wyglądać na dobrodzieja dla Trzeciego
Świata, ale nie udało mi się jej przekonać. Wszystkie leki i „tylko
raz użyte” bandaże miały służyć do pielęgnacji Borkowego.

Dotarłyśmy na miejsce i weszłyśmy do zasmrodzonej chałupy
w chwili, kiedy Borkowy załatwiał swoją fizjologiczną „potrze-
bę numer dwa”. Mamuśka ma wykonała wówczas natychmia-
stowy „w tył zwrot” i uciekła wraz z workiem leków. Po dłuższej
naradzie ustaliłyśmy, że najlepiej będzie, jeśli Natalia zostanie
z dziadkiem, a mama będzie towarzyszyć mi i Justynie w wizi-
cie szpitalnej. Przeprosiłam Natalię, w końcu wzięłyśmy mamę,
żeby ją wyręczyła, ale ona zbyła wszystko machnięciem ręki.
Twardsza była nasza Natalia - bardziej, niż myślałam - a mama,
dla kontrastu, okazała się zupełnym mięczakiem.

Późnym popołudniem wróciłyśmy do domu w poczuciu do-
brze spełnionego obowiązku. Mama wyliczała, co jeszcze można
by dla nich zrobić. Ja i Natalia podjęłyśmy się zorganizowania
pieniędzy na doraźną pomoc dla pani Anieli i Justyny, ale nie
wiedziałyśmy, jak dyplomatycznie im te pieniądze przekazać,
żeby ich nie urazić.

- A rodzina tego Karola, męża Danki, skąd pochodzi? - trajkotała bez przerwy mama, zadając głupie pytania. Chciała się dowiedzieć po prostu wszystkiego o mojej koleżance. Do tej pory w ogóle się nią nie interesowała, ale zabicie męża uczyniło z niej niezwykle interesującą postać. Natalia odpowiadała na jej pytania niezadowolona, ja się tylko przysłuchiwałam.

- A to drugie dziecko to też z tym Karolem?

- Oczywiście.

- A z jakiej on rodziny pochodzi?

- Z takiej jak Danka. Ojciec pije, piją bracia, bieda z nędzą, nikt nie pracuje.

- Przystojny był ten Karol?

- Owszem, ale lata picia zrobiły swoje.

- No popatrz, w życiu bym nie powiedziała, że Danusia może coś takiego zrobić. Musiała być u kresu wytrzymałości.

- Kres wytrzymałości to ona osiągnęła dużo wcześniej - odezwałam się.

Podjechałyśmy pod dom, ale Natalia nie wysiadła z samochodu. Mama podreptała do drzwi wejściowych i maleńką latarką przyświecała sobie, aby móc włożyć klucz do zamka. Rozczuliłam się na ten widok. Kiedyś to tato otworzyłby jej te drzwi, nawet by się nie zorientowała kiedy, teraz wszystko jest na jej głowie, nawet tak banalna rzecz jak ta. Radzi sobie całkiem nieźle. Mama weszła do domu, a ja czekałam na decyzję Natalii, gdzie zamierza nocować. Była bardzo dzielna podczas tej dzisiejszej wizyty, czytała Borkowemu gazetę, podała obiad, posprzątała w kuchni, ale kiedy wróciliśmy ze szpitala, wyskoczyła na dwór i już nie chciała tam wchodzić, żeby się pożegnać.

- Nic ci nie jest? - zapytałam.

- Nic, nic nie czuję. Chyba będzie lepiej, jak prześpię się u mamy. Podwieziesz mnie czy mam wziąć taksówkę?

Po dwudziestu minutach zaparkowałam pod blokiem jej mamy.

- Nie poradzimy sobie same z tym bałaganem, trzeba by zaangażować Marlenę, mojego brata, nie wiem kogo jeszcze, sama

widzisz, jakie tu są problemy. - Otworzyła drzwi, ale nie wychodziła z samochodu.

- Justynie trzeba pomóc w pierwszej kolejności, ale trzeba to zrobić ze spokojem, nie tak na łapu-capu jak ostatnio. Zastanówmy się. Pani Borkowa musi wrócić do domu, Borkowy podleczyć się, bo teraz gdybyśmy coś gwałtownego zrobiły, nie byłoby dobrze. Justynę trzeba stamtąd jak najprędzej zabrać. Pogadam z Radkiem...

- Nie Izka, to nie z Radkiem trzeba pogadać, tylko z Justyną.
- Natalia pocałowała mnie w policzek na pożegnanie.

Do domu mamy wracałam niezwykle przygnębiona. Czy to był obowiązek, czy raczej przymus, żeby się nią zająć? Dlaczego nie mam dobrego serca jak moja siostra? Ona by wiedziała, co zrobić w takiej sytuacji, a co gorsze, zrobiłaby to z ochotą i uśmiechem na twarzy, podczas kiedy ja już czuję, że dzieje mi się krzywda, ponieważ to na mnie spada cała odpowiedzialność.

Marlena

Szósty ślad hamowania

Sekretarka Ivany Bucovic zaprowadziła mnie do jej biura. Nie byłyśmy umówione, ale zgodziła się na krótkie spotkanie, żeby odpowiedzieć na kilka moich pytań. Zasadniczo miałam jedno: kiedy dostanę rozwód? Wniosłam sprawę już osiem miesięcy temu, jeszcze przed aresztowaniem Danki. Z początku toczyła się ona dosyć szybko, niczym National Express relacji Londyn-Norwich. Dostarczyłam wszystkie dokumenty na czas, zaświadczenie o zarobkach, akt małżeński, wyciągi z konta bankowego i co tam jeszcze Ivana umieściła na liście. Nie mieszkałam już wtedy z Alanem, więc czerpałam energię z faktu, że niedługo będę wolną kobietą, stanowiącą o swoim losie, zaczynając życie od nowa, być może u boku innego mężczyzny.

Nie doceniłam jednak męża. Już w pierwszym liście od jego adwokata zadeklarował, że zgodzi się na rozwód bardzo chętnie, ale na jego warunkach, a nieodwracalny rozpad małżeństwa miał powstać z mojej winy. Punkt kluczowy stanowiły finanse, bo o opiekę nad dorosłą córką nie musieliśmy się już spierać. W Anglii nie można dostać rozwodu, jeśli strony uprzednio nie podzielią się majątkiem, był to warunek, aby *county court* (sąd do spraw cywilnych) wydał upragniony dokument *decree absolute* (prawomocny dokument rozwodowy).

Może to i logiczne, sprawy majątkowe nie muszą bowiem ciągnąć się latami po uzyskaniu rozwodu. Alan wycenił szesnaście

lat małżeństwa na sumę 90 tysięcy funtów. Za takie pieniądze nie stać by mnie było na zakupienie nawet jednosypialniowej nory w Anglii, w Polsce natomiast mogłabym sobie kupić ładne mieszkanie w Lublinie, ale nie w Krakowie, gdzie Emilia chciała studiować. Zatem poszliśmy z Ivaną na wojnę. Alan dobrze się przygotował, po kilku miesiącach, naciskany przez adwokacki, zarówno moją jak i jego, przedstawił w końcu dokumenty, z których jasno wynikało, że jest bankrutem. Firma zatrudniająca szesnaście osób, dzięki której przez ostatnie osiem lat żyliśmy na bardzo przyzwoitym poziomie, w ciągu kilku miesięcy stała się niedochodowa. Ostatni rok finansowy wykazał stratę 11 tysięcy funtów. Księgowy naszej firmy, bo ja również widniałam w dokumentach jako dyrektor, był hochsztaplerem, który w przeszłości wszedł na drogę niemalże przestępczą, doradzając swoim klientom, jak uniknąć płacenia podatków. Oczywiście, dobry księgowy tak właśnie powinien doradzać, ale ten posunął się za daleko. Wyspy Owcze, Liechtenstein, Wyspa Jersey - tam prowadził podejrzanе interesy klientów. Alan od początku znajomości był nim zachwycony.

Ivana nie miała dla mnie dobrych wiadomości.

- Wygląda na to, że macie tylko dom, wart według szacunku agenta nieruchomości około 300 tysięcy funtów. Jeszcze dwa lata temu, przed kryzysem, jego wartość byłaby zapewne znacznie wyższa, powiedzmy 360 tysięcy, ale dziś są inne realia na rynku nieruchomości w tym kraju. Jest obciążony hipoteką - recytowała ze wzrokiem utkwionym w dokumenty.

- Niemożliwe! - Poderwałam się z fotela, żeby zajrzeć w rozłożone na stole papiery.

- Niestety. Do spłaty pozostaje nieco poniżej 100 tysięcy funtów. Mam całą dokumentację z Banku Lloyds. Twój mąż nie posiada funduszu emerytalnego ani oszczędności, a firma, jeśli nawet znalazłby się na nią kupiec, została wyceniona na 25 tysięcy funtów. Więc podsumowując... - Ivana zaczęła podliczać przy użyciu kalkulatora. - Powiedzmy, że 35% od sumy 225 tysięcy...

- Dlaczego nie połowa? Dlaczego tylko 35%? Po tylu latach małżeństwa?

Ivana z pewnością wszystko już widziała w swoim zawodowym życiu, więc nie musiałam się obawiać, że ją przestraszę, zniechęcę lub obrażę. Nie miałam zamiaru po tylu latach wymaszerać z tego związku z jałmużną. Tłumaczyła mi spokojnie, dlaczego nie będzie łatwe wynegocjowanie połowy majątku, ale to nie było już dla mnie aż tak ważne.

- Chętnie wezmę 35%, ale od całego naszego majątku, nie od tego, co mój mąż deklaruje! Ivana, przecież to są jakieś bzdury, on pochował pieniądze, przecież były fundusze, lokaty, polisy, gdzie to wszystko się podziało? No i jeszcze mówisz mi, że dom niespłacony... To jest jakiś zły sen, przecież pokrywaliśmy odsetki i kapitał przez lata. Alan sam mi obwieścił dwa lata temu, że dom mamy spłacony i dlatego wzięliśmy pożyczkę na zakup apartamentu w Alicante! Nie mów mi, że tego apartamentu w Hiszpanii też nie ma?!

Ivana pokręciła przecząco głową. Zrobiło mi się słabo, poczulałam, że przegrywam.

- Odpowiedzieli na mój list z zapytaniem o ten apartament, mam tutaj akt własności...

Podsunęła mi pod nos dokument w języku hiszpańskim. Nawet nie spojrzałam. Ivana kontynuowała:

- Właścicielem tego apartamentu jest Helen Holt. Teściowa?

- Teściowa. - Skinęłam głową.

- No właśnie.

- Nie wiedziałam, że kupił tę nieruchomość na matkę, to znaczy coś tam wspominał, że trzeba będzie to zadeklarować w Anglii i płacić podatki, bo od roku wynajmujemy ten apartament emerytowanemu policjantowi z Walii, ale nie wiedziałam, że naprawdę tak zrobił i kupił to na matkę, nie informując mnie o tym.

- Ten apartament jest wart, niech spojrzę, 99 tysięcy euro i nie jest obciążony hipoteką.

Zapadłam się w fotelu. Zachciało mi się płakać, bynajmniej nie z żalu nad sobą, ale ze złości, że byłam taka naiwna,

łatwowierna i beztroska. Rodzice nie nauczyli mnie czujności, jaką powinno się zachować, będąc w związku, nie wpoili mi, że trzeba ludziom patrzeć na ręce, kontrolować ich, wyprzedzać ich o jeden krok w myśleniu i w działaniu. Może dlatego, że sami nigdy nie mieli majątku, nie zrodziła się w ich głowach ta podejrzliwość i bezwzględność, jaką mają ludzie z dużymi pieniędzmi. Nie mówili: „Marlena, ty uważaj na tego swojego męża, bo on cię może kiedyś oszukać”. Po prawdzie, nigdy nie rozmawialiśmy o mojej sytuacji majątkowej, ja nie umiem się chwalić, a rodzice, szczególnie tato, byli bardzo powściągliwi, jeżeli chodzi o temat finansów. Co by mi tato powiedział teraz? Kiedy się uspokoiłam, znów zasypałam Ivane pretensjami i pomysłami.

- Czy nie można by przeprowadzić kontroli, no wiesz, żeby odnaleźć w systemie te zaginione pieniądze mojego męża? Przecież gdzieś są! - Spacerowałam po jej przestrzennym biurze, ale po chwili poprosiła mnie, żebym usiadła.

- Nie ma ich na swoim koncie w banku, więc szukaj wiatru w polu! Mam wiele takich przypadków, niestety muszę cię uprzedzić, że śledztwo przeważnie nic nie wykazuje. Ludzie ukrywają pieniądze po to, żeby inni nie mogli ich znaleźć, chyba to jasne. Oczywiście napiszemy list do nich, będziemy się domagać dalej rzetelnego przedstawienia finansów, dobrze by było, gdybyś mi podpowiedziała, gdzie miał te lokaty i fundusz emerytalny oraz cokolwiek jeszcze pamiętasz. Jednak naprawdę nie sądzę, żeby coś nowego się znalazło w kieszeni Alana.

Ivana patrzyła na moją złość i chyba mi współczuła, przecież sama była kobietą po rozwodzie, ale jej współczucie nie działało na mnie uspokajająco. Powiedziałam jej, że nie potrafię wymienić żadnej nazwy funduszu czy banku, gdzie należałoby szukać. Alan trzymał „papiery” w sejfie wraz z gotówką, jaką często przechowywaliśmy w domu, nigdy nie pytałam go o szyfr do sejfu, nie wydawało mi się to konieczne. Przecież on prowadził nasze sprawy, wszystko było zarejestrowane na niego, dom, samochód, wszelkie rachunki również adresowane były do Mr. A. Cattermole. Mrs M. Cattermole nie figurowała nigdzie. Byłam dyrektorem firmy, awansowałam na to stanowisko

z funkcji sekretarza, ale nie dostawałam oficjalnie żadnej pensji, Alan dawał mi gotówkę.

- Powiem szczerze, że trudno mi uwierzyć, że przystałaś na taki układ. - Ivana nalała nam wody do plastikowych kubków.
- Nie byłaś zabezpieczona na żadną ewentualność. Pracowałam przez tyle lat w firmie męża praktycznie na czarno, nawet nie odprowadzał składki ubezpieczeniowej za ciebie, więc dziś mogłabyś pewnie starać się o pełne zasiłki. Osiem lat prowadziłaś firmę z mężem jako duch? Bardzo nierozsądnie. To nie moja sprawa, a to, że cię oszukał jest oczywiste, ale czy on cię zmusił do przyjęcia takiej roli?

- Zmusił? Nie. Przekonał, że tak będzie lepiej z punktu widzenia podatków. Księgowy mu tak doradził, choć pamiętam, jak kiedyś pod wpływem alkoholu ten gość wyszeptał mi do ucha, że powinnam się jednak lepiej zabezpieczać. Wtedy pomyślałam, że bredzi coś o antykoncepcji, teraz jestem przekonana, że miał na myśli moją sytuację finansową. Jeśli ci powiem, że nie miałam podstaw, aby się obawiać, że mąż mnie zechce wykiwać, uznasz mnie za ciemną, naiwną babę, ale tak właśnie było. Nie brałam nigdy pod uwagę tego, że zechcę się rozwieść, że będziemy dzielić majątek, że dojdzie do tego. Przez lata byłam szczęśliwą mężatką! - tłumaczyłam żarliwie.

- Ale doszło. Co trzecie małżeństwo w tym kraju się rozpada.

- Ivana, moje miało być inne... - powiedziałam cicho.

- Moje też miało być inne, a cztery lata po rozwodzie nie potrafimy się do siebie odezwać jak cywilizowani ludzie, dzielimy się dziećmi w taki sposób, że złączą nas za chwilę nienawidzić, w dalszym ciągu kłócimy się o pieniądze i metody wychowawcze, nie cierpimy się!

Siedziałyśmy chwilę w milczeniu, zastanawiając się z osobna nad naszym losem. Zazdrościłam jej, miała już za sobą ten marsz ku wolności, pozamykała stare sprawy, co najwyżej jest narażana na obcowanie z byłym, kiedy przekazują sobie dzieci, a ja jeszcze nie ruszyłam z miejsca.

- Co teraz? - zapytałam.

- Jeżeli nie zgodzisz się na proponowane warunki, postawiemy sprawę przed sądem i tam zadecydują, komu co się należy. Mnie jednak w większości przypadków udaje się doprowadzać sprawy rozwodowe do szczęśliwego końca bez chodzenia po sądach. Negocjujemy dalej, zakładam, że Alan też wolałby uniknąć sprawy sądowej, bo nigdy nie można przewidzieć, co sędzia orzeknie.

Ivana Bukovic dyskretnie spojrzała na zegarek. Wiedziałam, że za to spotkanie w jej biurze nie przyśle mi faktury. Od Emilii wiem, że adwokatka Alana włącza licznik nawet wtedy, gdy odbywa z nim rozmowę telefoniczną. Ja w chwili składania pozwu rozwodowego byłam bezrobotna, więc za mój rozwód w większości zapłaci podatnik.

- Czyli jest możliwe uniknięcie rozprawy sądowej? Tak by było najlepiej. Wiesz, mogłabym jako ostateczność wyciągnąć trochę brudów na światło dzienne. Alan ma tam troszkę za uszami, podatki, zatrudnianie na czarno, VAT, takie tam, ale nie wiem, czy warto? - Nie byłam z siebie dumna, wypowiadając tę sugestię, wiedziałam z góry, że tego nie zrobię, takie metody były mi obce. Na twarzy Ivany pojawił się lekki uśmiech.

- Twoja decyzja. Ja będę działać zgodnie z instrukcjami. Mam jeszcze obowiązek przypomnieć ci, że jeśli zgodzisz się na określoną sumę i zostanie ona zapisana w dokumentach, za rok czy dwa nie będziesz mogła do tego wrócić i prosić o więcej. Tu i teraz jest twoja jedyna szansa, aby pozyskać od męża satysfakcjonujące cię pieniądze, drugi raz nie siada się do negocjacji. Teraz możemy jeszcze tygodniami i miesiącami się wyklócać i przyciskać ich do muru, ale jak się raz zgodzisz, będzie to definitywny koniec, więc dobrze się zastanów.

Gdybym miała o dziesięć lat mniej, decyzję podjęłabym zapewne w zaledwie kilka minut. Niech daje, co ma dać i niech się to jak najszybciej skończy. Gdyby mój mąż faktycznie był właścicielem niespłaconego domu i podupadłej firmy, jak deklaruje, 90 tysięcy funtów byłoby więcej niż fair, nawet bym grzecznie podziękowała. Naszą firmę rok wcześniej próbował od nas kupić pewien Hindus, proponował 60 tysięcy funtów.

Alan go w wyśmiał, była warta drugi raz tyle. Nie widziałam rocznego podsumowania, ale kiedyś wyliczyłam na brudno, że nasze roczne zyski, nie uwzględniając szachrajstw podatkowych, w ostatnim roku sięgnęły około 70 tysięcy funtów. Alan przedstawił adwokatce udokumentowaną stratę, jaką poniosła firma. Fakt, księgowego mieliśmy świetnego! Za dużo gotówki przelewało się w firmie, za dużo Polaków i Litwinów zatrudnionych na czarno. Skoro Alan nie spłacał domu, to gdzie podziewało się te 1500 funtów miesięcznie, jakie rzekomo przeznaczał na spłatę hipoteczną? Założył mamie konto w banku? Może siostrze? Może oddał na cele charytatywne? Zainwestował czy przepuścił z kochanką? Ivana miała rację, tego się już nie dowiemy. Wysłałam z jej biura o dziesięć lat starsza i dziesięć kilogramów cięższa. Usiadłam na ławce przed kościołem i zapaliłam sobie ostatniego papierosa. Alan odebrał po pierwszym dzwonku.

- Wstrętnie się zachowujesz. Szesnaście lat byliśmy małżeństwem, nie mogę uwierzyć, że tak mnie chcesz urządzić. Alan, mam prawie czterdzieści lat, mam zaczynać od zera?

- Nie od zera. 90 tysięcy funtów to sporo kasy - odpowiedział.

- Oszukałeś mnie. Z naszym domem, z mieszkaniem w Hiszpanii, z firmą... - wymieniałam i walczyłam z nadciągającą falą potwornej żalości, która podchodziła mi do gardła.

- Czego ty chcesz? To ty ode mnie odeszłaś. I od moich pieniędzy.

- Od twoich? Chyba od naszych! Najgorsze jest to, że ukartowałeś to już dawno, przygotowywałeś się na taką chwilę, a nie miałeś powodów, żeby być takim zapobiegliwym... że nie użyję tu innego słowa. - rozgoryczona wymieniałam przez chwilę wszystkie niegodziwości, jakich się dopuścił, ale on miał w rękę najmocniejszy argument - to ja odeszłam od niego.

- Co ty pieprzysz, Mia, zrobiłem dobrze! Życie pokazało, że miałem rację, bo moja kochana żona właśnie mnie porzuciła i ja się tego spodziewałem w dniu ślubu. Tak, wszyscy mnie ostrzegali, że mnie zostawisz. Wszyscy, cała moja rodzina! Niech cię teraz utrzymuje twój kochanek. Na mnie nie licz.

Przez kilka minut opowiadał mi o naszym małżeństwie jak o jakimś układzie, w którym jedna ze stron tak się obawia drugiej, że zmuszona jest do działań, jakich się brzydzi i posuwa się do nieuczciwości. Przerwałam mu w końcu:

- Nie Alan, tak nasze małżeństwo nie wyglądało. Byliśmy szczęśliwi, a potem to szczęście się skończyło - dla mnie wcześniej niż dla ciebie. Ja wymyśliłam tę firmę, ja ją zbudowałam od podstaw i byłam jej najlepszym pracownikiem, a teraz nawet nie chcesz tego uznać. Rozstaliśmy się, przyszło mi to z wielkim trudem, bolało i dalej boli, mnie, ciebie i Emilię. Tak czasami bywa, ale nie mów mi, że od początku, że od dnia ślubu miałeś podstawy, bo to nieprawda. Nie mam żadnego kochanka i dobrze o tym wiesz.

- Masz, masz i powiem ci, że za moje pieniądze nie będziesz się bawić! - mówił szybko, jakby przybijał gwoździe.

Jak miałam mu wytłumaczyć, że mi wcale nie chodzi o pieniądze? Zawahałam się, ale tylko na moment.

- Wiesz co? W dupę sobie wsadź tę kasę i popchnij mieszkanie w Alicante!

Wróciłam do biura Ivany, chciałam wydać jej nowe dyspozycje, ale miała już u siebie innego klienta i nie dostałam się przed jej oblicze. Poszłam do parku ochłonać, jednak wrzeszczące dzieciaki przegoniły mnie stamtąd po kilku minutach. Wyszukałam w telefonie numer do Izki. Pozwoliłam sobie na długą chwilę do namysłu, kiedy płynęły przeze mnie te wszystkie dziwne myśli i pragnienia, ale kiedy już miałam nacisnąć klawisz, zabrakło mi odwagi. Epoka lodowcowa, jaka zapanowała między nami, musiała widocznie potrwać jeszcze przez jakiś czas.

Marlena

Siódmy ślad hamowania

Wróciłam do domu wyjąłowana emocjonalnie. Zrobiłam sobie mocnej kawy i zabrałam się do przeglądania poczty. Poranna wiadomość w telefonie od Natalii informowała mnie o jej wizycie u mamy Danki. Nie odpowiedziałam od razu, bo właśnie wtedy wchodziłam do biura Ivany, ale teraz musiałam już odpisać. Pewnie to ja powinnam była tam pojechać i spojrzeć w oczy tej kobiecie, dodać jej otuchy, zapewnić, że Danka całkiem dobrze się trzyma, ale nie umiałam tego zrobić, ponieważ Danka nie chciała ani mnie widywać, ani ze mną rozmawiać. Jej adwokat obiecał, że będzie mnie informował na bieżąco, jeżeli pojawiłyby się jakieś nowe okoliczności. Zachęcał do pisania listów, był przekonany, że jego klientka tego potrzebuje. Nie widział również nic dziwnego w fakcie, że na razie nie chce się ze mną widzieć. Tłumaczył mi, że musi upłynąć trochę czasu, zanim przyjdzie pierwsza fala ukojenia, oswojenia z zaistniałą sytuacją, pogodzenia z losem. Pytałam, ile to potrwa, na co odpowiedział, że do tego czasu miną być może miesiące, być może lata, ale na pewno nie kilka dni. Przyjęłam to do wiadomości, ale nie umiałabym tak zgrabnie tego wytłumaczyć mamie Danki. Na pewno myśli, że jesteśmy w stałym kontakcie, że wożę jej paczki do więzienia, staram się odwiedzać jej synka u rodziny zastępczej, tymczasem poza wyrzutami sumienia obecnie nie mogę Dance zaferować nic.

Kiedy kilka miesięcy wcześniej szliśmy do sądu, Danka postanowiła, że skłamię po raz kolejny. Jeszcze w szpitalu po urodzeniu syna podpisała dokument, że nie będzie się kontaktować ani pośrednio, ani bezpośrednio z ojcem dziecka, Karolem Radymnym, bo tylko w taki sposób mogła zapewnić małemu bezpieczeństwo. Nie wiedziałam, że przystała na takie warunki władz lokalnych, więc nie dziwiło mnie, że kilka dni po porodzie, kiedy Karol wrócił z Polski, pojechał prosto do ich mieszkania. Dzień później opiekunka społeczna złożyła jej niezapowiedzianą wizytę i zastała Karola przy kuchennym stole, nalewającego sobie piwa do szklanki. Wtedy po raz pierwszy obie usłyszałyśmy zdanie: „Aby zapewnić bezpieczeństwo dziecku, należy rozważyć możliwość usunięcia go spod opieki matki”. Zachowałam wtedy zimną krew i przytomność, szybko załatwiłam adwokata specjalizującego się w sprawach rodzinnych i tydzień później odbyła się kolejna rozprawa pozwalająca Dancie warunkowo zatrzymać dziecko. Trwała chyba z pięć godzin, nasz adwokat biegał z piętra na piętro i negocjował zarówno z adwokatem Karola, jak i opiekunem prawnym dziecka, adwokatem z urzędu miasta i opiekunami społecznymi. Tłum ludzi zaangażował się w tę aferę. Zapanowało jakieś wielkie szaleństwo wokół sprawy. Ja rozumiałam, co się wokół nas dzieje, Danka marszczyła brwi i szarpała mnie za rękaw.

- Marlena, co oni chcą zrobić? Chyba mi nie zabiorą Krzysia? Gdzie jest Karol? Niech on coś powie.

Karol wpadł do sądu nieogolony, cuchnący alkoholem i papierosami. Kiedy go zobaczyłam, poczułam się dziwnie, ponieważ winna, że tak koszmarnie wyglądał. Kiedyś był wysokim, dobrze zbudowanym facetem, Danka zakochała się w nim bez pamięci, w tych jego piwnych oczach, śniadej cerze, białych zębach i mocnych kwadratowych dłoniach. Teraz w poczekalni sądu siedział zwyczajny żul, rozczochrany i sepleniący. Ile lat picia miał za sobą? Pewnie już dwadzieścia, więc zmiany były widoczne. Brakowało mu górnej jedyńki, zmalał i wychudł, miał czerwoną twarz i wielkie wory pod oczami. Czterdziestolatek wyglądający na starca. Z pewnością cierpiał na marskość wątroby, wyglądał

na chorego, nie tylko przepitego. Obserwowałam kątem oka, jak jego adwokat tracił cierpliwość, usiłując go uspokoić.

Siedzieliśmy skulone w fotelu, czekając na rozwój wydarzeń. Kiedy weszliśmy na salę, powiedział przy wszystkich, że ma gdzieś sądowe zakazy i nakazy, to jest jego żona, jego syn i jego życie, że nikomu nic do tego. Sędzina nas wszystkich wyprosiła. Słyszałam wrzaski Karola dochodzące z pokoju obok. Danka tuliła Krzysia i udawała, że nic się nie dzieje. Jej adwokat, Szkot Hadon Williams, próbował wytłumaczyć nam, jak poważna jest sprawa, jak bliska jest decyzją sądu o zabraniu Krzysia i umieszczeniu go tymczasowo w rodzinie zastępczej. Danka patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Powiedz mu, żeby mnie nie straszył. Ja dziecka na pewno nie oddam.

Hadon głaskał małego po główce i przemawiał do Danki jak najdelikatniej potrafił:

- Nie będziesz miała wyboru. Musisz zaakceptować fakt, że ci ludzie tutaj nie są twoimi wrogami, ale ich obowiązkiem jest chronienie Krzysia, skoro ty nie potrafisz tego zrobić. Jakie on ma szanse? To jest niemowlę, a twój mąż pod wpływem alkoholu może wyrządzić mu krzywdę. Wiesz o tym, przecież poturbował cię tyle razy.

- Krzysia na pewno by nie skrzywdził! - przerwała mu.

- Wierzę, że nie, ale może znowu uderzyć ciebie, a ty będziesz go miała akurat na rękach, co wtedy? On się sam nie obroni, ty masz to robić za niego, Danka! Wiesz, jak miałaś go bronić? Separując się od męża. Tak się nie stało, ale teraz musimy sporządzić kontrakt, który podpiszesz, w którym zadeklarujesz, że od tego momentu nie będziesz kontaktować się z Karolem - ani osobiście, ani telefonicznie. To jedyna szansa, jeśli chcesz z tego budynku wyjść z synem.

Danka przycisnęła Krzysia do piersi i spojrzała na mnie. Tłumaczyłam słowo w słowo, co mówił Hadon Williams, ale ponieważ te jedyne zrozumiałe dla niej słowa po polsku padały z moich ust, wydawało jej się, że to ja mówię te wszystkie straszne rzeczy.

- On nas nie zostawi w spokoju. Ile by miała trwać ta separacja? - zapytała mnie, a ja Hadona.

- Tyle, ile potrzeba. Karol, twój mąż, musi poddać się leczeniu, musi stawić czoła swojemu nałogowi, udowodnić, że mu zależy na tobie i na dziecku. Z tego, co słyszę, to jest bardzo agresywny człowiek, więc wydaje mi się, że ma problem nie tylko z alkoholem, ale również z kontrolowaniem swojej agresji. Robi na wszystkich tutaj fatalne wrażenie.

Cieszyłam się, że obcy człowiek mówi jej takie rzeczy, których ja nigdy nie odważyłabym się powiedzieć głośno. Karol był bydlakiem, ale do tej pory nie udało mi się wyartykułować mojej opinii na jego temat, a poza tym, czy miałam do tego prawo?

- No to gdzie ja mam się podziąć? On się nie wyprowadzi. Powiedz mu, że nie mamy pieniędzy, nie mogę również wyprowadzić się do rodziców ani do hotelu, na jakim świecie żyje ten twój adwokat? Tak się nie da! - Danka położyła Krzysia do wózka i zaczęła go kołysać. Hadon czekał cierpliwie, aż przetłumaczę jej wypowiedź. Patrzył jej w oczy, łowił wszystkie spojrzenia, podziwiałam jego spokój i opanowanie.

- Danko, myślę, że powinnaś myśleć przede wszystkim o tym, jak zatrzymać przy sobie Krzysia. Nie martw się, kto gdzie będzie mieszkał ani jak to będzie. Karol ma zniknąć z twojego życia natychmiast! Zrozum, on jest realnym zagrożeniem dla twojego maleńkiego synka, jak również dla ciebie samej. Cztery razy w ciągu ostatnich dwóch lat zgłaszałaś na policję, że cię pobił. Zrobił to również wtedy, gdy byłaś w ciąży i to tak dotkliwie, że wyładowałaś w szpitalu. Doczytałem w dokumentach policyjnych, że straciłaś wzrok na kilka dni w lewym oku. To było kilka miesięcy temu. Zaledwie kilka miesięcy temu....

Poczułam ukłucie gdzieś w środku. Nie wiedziałam o tym pobiciu. Bywały okresy, że nie widywałam się z Danko tygodniami, to musiało nastąpić właśnie wtedy. Danko wzywała policję? Nie mogłam sobie tego wyobrazić. Nie patrzyła mi w oczy, Hadon również nie mógł złapać z nią kontaktu wzrokowego, choć uciekał się do wielu sztuczek, żeby na niego spojrzeć.

- Danka, popatrz na mnie! - powiedział w końcu. - Trudno mi do ciebie mówić, jak na mnie nie patrzysz.

- Karol już nie pije. Najwyżej piwo. Powiedz mu to - burknęła do mnie.

Powiedziałam, ale nie doczekałyśmy się odpowiedzi, ponieważ poproszono nas na salę. Kiedy wszystkie strony przedstawiły swoje stanowiska, głos zabrała sędzina. Mówiła wolno, delektując się każdym wypowiedzianym słowem. Tłumacz przysięgły przełożył Danusi jej wypowiedź na język polski, ja niestety nie miałam takich uprawnień. Pozwolono mi jednak wejść na salę, a Krzysiem zajmowała się wtedy opiekunka społeczna. Przemówienie trwało kilka minut, zaczynałam już tracić wątek, ale zupełnie niespodziewanie kobieta zasądzająca w sprawie zakończyła swoją tyradę wnioskiem, że po raz ostatni postanawia zaufać matce i pozostawia Krzysztofa Adama Radymnego pod jej opieką, oczywiście jeżeli będzie stosować się do warunków kontraktu, czyli do natychmiastowej separacji z Karolem. Danka powiedziała jedno zdanie, że chce zatrzymać syna i zrobi to, czego od niej żądają. Sędzina pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Ależ my niczego nie żądamy, to pani sama deklaruje się pozostawać w separacji z mężem, który używa w stosunku do pani przemocy, jest alkoholikiem i stanowi realne zagrożenie dla pani syna. My mamy obowiązek bronić pani syna w sytuacji, kiedy pani sama tego zaniecha, a jeśli chciałaby pani w dalszym ciągu pozostać w związku z mężem, dla nas będzie to oznaczać, że rezygnuje pani z ochrony syna przed agresją ze strony ojca dziecka, a wtedy obowiązek ochrony spada na nas. Czy pani to rozumie?

Za Dankę chciał odpowiedzieć jej adwokat, ale sędzina czekała na wypowiedź mojej przyjaciółki, zupełnie ignorując jej pełnomocnika.

- Czy pani rozumie, jakie mogą być konsekwencje, jeśli złamie pani warunki kontraktu i wznowi kontakty z mężem?

W tym momencie Karol wstał zza stołu i przez chwilę obawiałam się, że zrobi coś naprawdę głupiego, kogoś uderzy lub wybije szybę. Spojrzał na sędzinę takim wzrokiem, jaki nie pozostawiał cienia wątpliwości, że gdyby mógł, to by ją udusił.

- Ludzie, czego wy od nas chcecie?! - krzyczał oparty o stół, przechylony do przodu. Głowa odskakiwała mu na boki jak na ringu bokserskim. - Odpieprzcie się od nas raz na zawsze! To jest moje dziecko, kocham mojego syna! Danka, co oni chcą nam zrobić? Przysięgam, że się zabiję, jak go zabierzecie! Was też pozabijam! Co za pojebany kraj!

Wybiegł z sali sądowej. Wszyscy zamarli, nie bardzo wiedząc, jak kontynuować tok sprawy. Danka siedziała wciśnięta w krzesło i z uwagą obserwowała swoje paznokcie. Hadon Williams chrząknął kilka razy, przygotowując się do zabrania głosu, ale sędzina go uprzedziła:

- Jesteście wszyscy tu świadkami agresji pana... Karola Radymnego. Nie wiem, czy nie powinnam zarządzić natychmiastowego zabrania dziecka od matki. Ten człowiek jest niebezpieczny.

- Nie możecie mi zabrać Krzysia! - Danka wstała z miejsca i zaczęła płakać, ale w takich miejscach jak to, gdzie wtedy wspólnie przebywałyśmy, łzy nie robią na nikim wrażenia. - Błagam! Przysięgam na Boga, że już się nigdy z mężem nie spotkam.

- Nikt pani nie chce zabrać synka, my go chcemy tylko chronić i jeżeli pani zachowanie nas do tego zmusi, będziemy musieli działać. - Sędzina założyła na nos okulary i zaczęła coś zapisywać w swoich dokumentach. Opiekunka prawna małego Krzysia nachyliła się i szepnęła coś swojemu koledze. Po chwili wszyscy coś sobie szepotali do ucha, a sędzina pisała i pisała. Trzymałam Dankę za rękę.

- Musi się pani zobowiązać, że nie będzie się pani z nim kontaktować, a jeżeli to on by się z panią usiłował skontaktować, musi pani bezzwłocznie powiadomić opiekunkę społeczną, panią Daniel Hood. Czy pani to rozumie? - Sędzina odłożyła pióro i utkwiała wzrok w Dance. Jej skrzeczący głos wiercił mi dziurę w głowie. Rozejrzałam się po sali, wszystkie osoby znajdujące się w pomieszczeniu były bardzo brzydkie, zupełnie tak, jakby ktoś je umyślnie wybrał według jednego kryterium: im brzydszy, tym lepiej. Opiekunka społeczna Daniel Hood mogłaby być zakonnicą w jakimś zakładzie poprawczym dla nieletnich, a opiekun prawny małego Krzysia, łysy, sepleniący, czerwony na twarzy

niczym ofiara poparzenia, mógłby z powodzeniem zagrać rolę seryjnego mordercy. Danka zwlekała z odpowiedzią, a po chwili skinęła głową, ten gest jednak nie wystarczył sądowi, musiała głośno i wyraźnie powiedzieć, że rozumie.

Wyszliśmy z budynku sądu roztrzęsione i przerażone. Dzień później pod domem Danki zjawił się pijany Karol i sąsiedzi wezwali policję. Został aresztowany na całą dobę za zakłócanie porządku i złamanie zakazu zbliżania się do żony, a w tym czasie Daniel Hood wywiozła Dankę wraz z Krzysiem do schroniska dla kobiet dwieście kilometrów stąd. Dowiedziałam się o tym od jej adwokata tydzień później, ale nie wyjawiał mi miejsca jej pobytu, pozostawił to Dance, a ona odezwała się dopiero po miesiącu. Niechętnie opowiadała mi o tym, co zaszło, wywnioskowałam, że ma wielkie pretensje do wszystkich zaangażowanych w sprawę osób. Najmniej żalu miała do Karola.

- Jak oni mogą oczekiwać, że ojciec nie będzie się widywał z synem? Co to jest za kraj, Marlena? Przyszedł, trochę miał wypite, ale nie awanturował się. Sąsiad akurat wyszedł z domu i kazał mu się wynosić. Ja nie chciałam Karola wpuścić, bałam się, że nas nakryją, wiesz, jak oni lubią zniecka się zjawiać, mówiłam mu, żeby przyszedł w nocy, ale uparł się. Wtedy przyjechała policja, szybko go zabrali, a zaraz potem Daniel przyjechała po mnie i po Krzysia. Spakowałam się i zabrali nas tutaj do schroniska.

Usiłowałam wyobrazić sobie tę całą sytuację, owo wywiezienie Danki z dzieckiem na rękę i umieszczenie jej w schronisku dla samotnych matek.

- Jak ci tam jest? - zapytałam po chwili.

- Nie mogę się z nikim porozumieć, tutaj nikt nie mówi po polsku. Co będzie z mieszkaniem? Tam zostały nasze rzeczy, zabrałam tylko to, co najpotrzebniejsze. Klucz ma ta Daniel z opieki. Karol tam nie mieszka. Może mogłabyś wszystko zabrać i u siebie przechować? Miesiąc nie zapłaciłam za czynsz, to pewnie wszystko wyrzucą na ulicę.

- Załatwię to. Potrzeba ci czegoś? Jak się ma Krzysiu?

- Dobrze, rośnie jak na drożdżach. Chciałabym też, żebyś nikomu nie mówiła, gdzie jestem, no wiesz, mamie, Izce albo Natalii, one by nie zrozumiały.

- Ja też nie bardzo rozumiem, jak mogło do tego dojść
- podjęłam temat ostrożnie.

- Uwzięli się na mnie, mam już tego dość. Nikt mi nie potrafi powiedzieć, jak długo tu mam przebywać. Piszę listy do adwokata, ale nie widzę, żeby działał w mojej sprawie.

Odłożyłam słuchawkę i zadzwoniłam do Hadona, bardzo się starałam, żeby w moim głosie nie brzmiała nutka pretensji, nie chciałam go do siebie zrazić. To od niego dowiedziałam się, że Karol siedzi w więzieniu. Dotkliwie pobił ochroniarza z klubu nocnego. Zapijał swoje smutki w miejscach publicznych i awanturował się. Danka nie wspomniała o tym ani słowem. Powiedział, że jej sprawa jest w toku i już wkrótce będzie wnioskować o zezwolenie na powrót do miasta, opieka społeczna ma jej zapewnić mieszkanie socjalne. Może dwa, może trzy miesiące... Zadzwoniłam do Danki z tą wiadomością, ale dla niej „trzy miesiące” brzmiało jak „wieczność”. Nie rozmawiałyśmy o sześciomiesięcznym wyroku Karola, udawałam, że nic nie wiem na ten temat. Gdybym była taka jak moja siostra, w pierwszych słowach skomentowałabym to, co ten drań wyrabia, ale nie miałam takiej śmiałości. Może lata spędzone w Anglii zmieniły mój charakter i zaraziłam się angielską powściągliwością. Już nie umiałam walić prosto z mostu, po polsku.

Kilka dni po tej rozmowie, z Alanem pojechałam zabrać rzeczy Danki, opiekunka społeczna dała mi klucze. Alan nie chciał wchodzić do środka, czekał w aucie, podczas kiedy ja kursowałam, wynosząc torby i torebki z mieszkania, upychając je do firmowego busa. Obiecałam mu, że to jest rozwiązanie tymczasowe i wszystko ładnie porozkładam u nas w domu tak, żeby nic nie zawadzało. Nie był zachwycony, ale zgodził się. Do dziś te rzeczy leżą w walizkach i pudłach u niego w garażu. Kiedy pozwolono Dance po trzech miesiącach wrócić do miasta, zabrała od nas tylko zabawki Krzysia, materac i lampkę nocną. Dostała mieszkanie socjalne na drugim końcu miasta. Rozpoczęła wtedy swe ostatnie cztery miesiące życia na wolności...

Izabela

Ósmy ślad hamowania

Kiedy tylko zaparkowaliśmy pod blokiem teściowej, Radek natychmiast wrócił do tematu, jaki zaczęliśmy wątkować w domu. Za dwa tygodnie urządzaliśmy wielką imprezę urodzinową dla mojego męża. Od kilku lat nie obchodził imienin, z upodobaniem powtarzając wszystkim, że ma wspólnych znajomych zarówno z Radosławem Pazura, jak i z Radosławem Sikorskim, dlatego też nie chce stawiać ludzi przed wyborem, do kogo mają pójść z życzeniami. Mówił to takim tonem, że co poniektórzy w to uwierzyli. Radkowi na niczym nie zależało bardziej niż na odpowiednim pokazaniu się przed ludźmi przy okazji imprezy urodzinowej. Właśnie miała mu stuknąć magiczna czterdziestka, więc przyjęcie musiało być wyjątkowe, tym bardziej, że zaprosił sporo osób powiązanych biznesowo z jego firmą i prawie wszyscy zadeklarowali, że się zjawią. Tomasz z Tomaszowa, oczywiście, otwierali listę zaproszonych gości, potem byli państwo „doktorostwo”, on - ordynator oddziału onkologii, ona - pediatra z własnym gabinetem, dalej małżeństwo Hanna i Roman, dziś producenci mebli dębowych, kiedyś importerzy używanych kanap skórzanych z Niemiec, później już tylko Biernacki z żoną, prawa ręka Radka w firmie, notariusz Halama z jakąś nową dziewczuchą, nasi sąsiedzi po lewej, państwo Roztoccy, sąsiadka z prawej (ta zauroczona Radkiem), Mariola, dwóch kolesi Radka z liceum, Mokry i Jazz oraz „głupia Natałka”

ze swoim nowym chłopakiem, dwudziestoparoletnim maklerem giełdowym Hubertem. Podobno.

Nie miałam okazji go wcześniej poznać, więc miała to być niespodzianka. Natalia powiedziała tylko, że jest piękny i cudownie pachnie, a poznała go w samolocie, wracając z Londynu. Radek łaskawie pozwalał mi co roku zapraszać Natalię, aby dzięki temu wykrzesać ze mnie więcej zaangażowania i entuzjazmu przy organizowaniu imprezy. Nie wiem dlaczego, ale poza Mokrym i Jazzem nie mogłam znaleźć wspólnego języka z żadnym innym gościem z listy, a towarzystwo Tomasza i Tomaszowej było dla mnie naprawdę przykre. Nie znosiłam ich, reszta była mi serdecznie obojętna. Na szczęście widywałam się z nimi tylko przy okazji imprez, u nas lub u nich. Wizyty bez okazji nie były praktykowane. Radek tłumaczył mi, że nie możemy się towarzysko separować i za każdym razem wręcz zmuszał mnie do podtrzymywania kontaktów. Doktorostwo i Meblarze mieli do nas przyjść po raz pierwszy. Firma Radka wykańczała ich „rezydencję”, stąd też wzięła się ta ich nagła znajomość. Poznałam ich wprawdzie już wcześniej, ale nie mogłabym powiedzieć, że ich znam. Radek przeznaczył na imprezę sporą sumę, dając sygnał, że życzy sobie urodzin „na bogato”. Wiele osób urządzało imieniny czy urodziny w restauracjach, ale on chciał się pochwalić naszym domem, pragnął zaprezentować wszystkim wizytówkę naturalnych rozmiarów - dwieście metrów kwadratowych plus dziesięć arów ogrodu obsadzonego iglakami, krzewami, skalniakami i kwiatami. Nie mogliśmy zgodzić się co do menu, od miesiąca spieraliśmy się na ten temat.

- A może tak sushi? - Radek po raz kolejny wpadł na genialny pomysł. - Moglibyśmy zamówić z tej japońskiej restauracji na Puławskiej.

- Radek, pewnie, sushi - pyszna rzecz, ale to nie jest polski smak. My, Polacy, nie powinniśmy zmuszać się do jedzenia sushi, grania w golfa i mówienia po angielsku, bo to nam tragicznie wychodzi. Ja mam inny pomysł. Polskie jadło. Smalec, kapusta, jagnięcina, domowy chleb, wędzona szynka z kością, kaszanka...

- Chyba żartujesz? Chcesz doktorową uraczyć kaszanką? To nie są tego typu ludzie.

- A jakim typem trzeba być, żeby to lubić? Piastem Kołodziejem?

Staliśmy pod blokiem, kłócąc się o koncepcję kulinarną. Przez ostatnie lata wszyscy organizatorzy imprez prześcigali się w serwowaniu wyszukanych potraw w nadziei, że zaskoczą gości i to się udawało, jednak moje podniebienie i żołądek każdorazowo się buntowały. Chciałam zaproponować odwiedzającym nas coś prostego, ale smacznego. Mokry powiedział ostatnio na imieninach Jazza, że na zimno smakuje mu tylko ogórek do wódki oraz sałatka z majonezem, ale nie ryba. Przypomniałam o tym Radkowi.

- Mokry nie jest wyrobiony kulinarnie, pojechał raz do Tunezji, zjadł obiad i dostał sraczki, też mi autorytet... Ale ludzie jeżdżą po świecie, trochę zobaczyli, chcą już czegoś innego, a nie tylko bigos, barszcz czerwony i wędliny.

- Nie o to chodzi, rzecz w tym, żeby smakowało. Zamówimy w Markach pieczyste, pieczeń z jagnięcia, wiem też, gdzie na wsi pod Warszawą panie pieką super placki i chleb, sama zrobię smalec i kaszankę...

- Iza, mnie nie o takie przyjęcie chodzi! Zrozum! - piszczał mi nad głową.

- To o co ci chodzi? Kogo ty chcesz udawać? Magdę Gesler? A i ona preferuje polskie jedzenie zamiast wymyślnych potraw. Podajmy coś, na czym się znamy, coś, czego ludzie już w domu nie przyrządzą, a chętnie by zjedli. Kto w końcu smaży smalec czy zajada się dziczyzną?

- Jagnięcina nie jest dziczyzną - przerwał mi szybko. Musiałam sobie zadać pytanie, czy warto się dalej kłócić, czy lepiej odpuścić w tej sytuacji. Coraz częściej mi się zdarzało, że brnęłam na oślep w jakąś bezsensowną awanturę, a w ogóle mi nie zależało na jej wyniku. Uprawiałam sztukę kłócenia się i sprawiało mi to wielką przyjemność. Może Radek miał jednak rację, wysyłając mnie do specjalisty? Kontynuowałam:

- Mówię ci, że powinniśmy iść w polskie klimaty. Nie każe ci robić grilla z kiełbasą podwawelską i karkówką, ale właśnie... może dziczyzna? Pieczeń z sarniny, nadziewane bażanty...

Radek nie był przekonany, a mnie zaczynała lecieć ślina. Rano zjadłam tylko jajko na twardo i naturalny jogurt typu greckiego. Znowu musiałam się odchudzać po trzech dniach stołowania się u mamy, gdzie każdy serwowany produkt zawierał mąkę.

- A może curry? Zielone curry, czerwone curry, dziki ryż...

- Radek zastanawiał się, jak zaimponować swoim gościom, a przecież powinien głowić się nad tym, jaką im zrobić kulinarną przyjemność!

- Dobrze, jako danie główne może być, a co do tego tajskiego klimatu podasz? Sałatkę z kukurydzy i deskę serów? Trzeba zachować jakiś jednoraki klimat w potrawach, nie możemy mieszać Tajlandii z Podkarpaciem i Normandią. Albo-albo.

Wróciliśmy do samochodu, zgodnie uznając, że nie nadajemy się do tego, by odwiedzić jego chorą na serce matkę. Co do tej rzekomej choroby też miałam swoją teorię, ale nie ważyłabym się jej wygłosić przy tej okazji. Świat byłby nie do zniesienia, gdyby ludzie nagle zaczęli mówić to, co myślą. W jeden dzień rozpadłyby się wówczas wszystkie małżeństwa, runęły w gruz przyjaźnie, posypały interesy i połamały serca.

- Wynajmijmy firmę cateringową, niech nam zrobią całe przyjęcie - powiedziałam w końcu zrezygnowana. Nie chciałam dalej forsować pomysłu dziczyzny, nie mając pewności, czy w ciągu dwóch tygodni uda nam się nabyć przyrządzoną po staropolsku sarninę oraz bażanty nadziewane kaszanką i kaszą. A takie potrawy pasowały również do wnętrza naszego domu! Radek storpedował mój pomysł, zanim wyjaśniłam szczegóły. Wracaliśmy nadąsani. Po drodze rozmawialiśmy o naszych konfliktowych charakterach, ale po chwili temat imprezy powrócił do nas niczym bumerang. Miałam kolejny pomysł.

- Albo zróbmy coś szalonego, na przykład bal przebierańców, niech się wszyscy przebiorą za kogoś lub za coś zaczynającego się na literę P albo M.

Radek parsknął śmiechem, ale nie była to oznaka rozbawienia, raczej skrajnej irytacji.

- Nie będę gościom mówił, w co się mają ubrać na przyjęcie! Czasami zastanawiam się, czy ty jesteś aby normalna? Wyobrażasz sobie Halamę przebranego za Pinokio czy doktorową jako pomidor? A mnie, jubilata, za coś byś przebrała? Za palanta czy za papier toaletowy?

- Byłoby wesoło! Na M to może być matador, milicjant, a na P to na przykład piłkarz czy pajac. Możliwości jest mnóstwo, ludzie by się mogli wykazać pomysłowością, stroje można wypożyczyć albo zrobić samemu. Wszystkie te imieniny i urodziny są tak samo nudne! Bądźmy inni, bądźmy oryginalni! - pokrzykiwałam podniecona niczym dziecko przed Gwiazdką.

Radek prowadził samochód coraz bardziej agresywnie. Zaczął trąbić na ludzi, a także wyzywać ich od idiotów i baranów. Pędził szosą, używając hamulców z częstotliwością raz na trzy minuty, a mnie żołądek podchodził do gardła. Polski mężczyzna na drodze! Wkurzony, bezmyślny, dyktujący warunki, z pogardą i wyższością traktujący pozostałych użytkowników szosy. Wścikły był na mnie, a wyzywał się na innych kierowcach. Kontynuowaliśmy rozmowę na podjeździe przed domem. Sąsiadka Mariola udawała, że obrywa suche kwiatki z krzewów w ogrodzie, jednak bacznie obserwowała nas spod słomkowego kapelusza. Pewnie dziwiło ją, dlaczego od kilku minut siedzimy w samochodzie przed domem, gestykulując tak intensywnie. Bardzo chciałam wiedzieć, czym ona się zajmuje zawodowo, ponieważ podejrzenie dużo czasu spędzała w domu, chytrze nas szpiegując.

- Marnujemy czas na taką głupią rozmowę. Wsiadaj, ja pojedę po Konrada do klubu, a ty się jeszcze raz zastanów, co podamy gościom na MOICH urodzinach. To nie jest, kochanie, twoja impreza dla twoich koleżanek, zaprosiliśmy ludzi w okolicach czterdziestki, nie są jeszcze dziecienniaki na tyle, żeby się przebierać za jakieś owoce czy stwory. To jest pomysł dla studentów, ale nie dla biznesmenów i lekarzy.

Poddałam się. Tak naprawdę nie wiedziałam, dlaczego tak bardzo zależy mi na przeforsowaniu swoich pomysłów, chyba tylko dla zasady. A może po prostu otwarcie dążyłam do tworzenia konfliktowych sytuacji, ponieważ sprawiało mi to przyjemność, a nawet ulgę. Teraz uznałam, że mam już dość tej bezsensownej sprzeczki.

- Jak chcesz, będzie sushi. Wstąp jutro po pracy do tej restauracji na Mokotowie i zamów, a po południu pojedziemy po wino na Wierzbową do Konrada. Trzeba co najmniej po dwadzieścia butelek białego i czerwonego. Kilka butelek whisky *single mali* i coś na toast. Szampan Moet óc Chandon? Cztery butelki wystarczą. Rozumiem, że wódki nie będziemy serwować? - zapytałam.

Wysiadłam z samochodu i nadal rozmawialiśmy przez otwarte okno. Sąsiadka pomachała mi w geście pozdrowienia. Swoją drogą - chciałabym zobaczyć ją przebraną za marchewkę.

- Ty chyba nie wiesz, ile kosztuje butelka szampana Moet? Ja ci podpowiem. Przynajmniej dwieście złotych!

Ryknął, naprawdę już wściekły. Odpalił samochód, sapiąc pod nosem, po czym wrzucił bieg wsteczny.

- Chyba trochę przesadziłaś. Dobre wino musujące trzeba kupić, a co do whisky, to jeszcze się zastanawiam.

- Ruda wódka na myszach nie będzie smakować twoim gościom? Jeżeli czysta wódka, to tylko Belweder - powiedziałam szybko. Podkręcałam go w mało wyszukany sposób, ale mimo iż przywoływałam samą siebie do porządku, nie umiałam się powstrzymać.

- Belweder? Nie jest wart tych pieniędzy. Niepotrzebny szpan - odparł, ale nie odjeżdżał z miejsca.

- Nawet najlepsza wódka nie zatrze złego wrażenia, jakie pozostawi po sobie jeden z dowcipów Tomasza typu „Siedzi dwóch ubeków w polonezie i pije wódkę, nagle jeden mówi do drugiego: *My tu gadu-gadu, a Popiełuszko w bagażniku*” albo jak rzuci jakieś super śmieszne hasło pod adresem którejś z kobiet: „wąska w pasie, dobrze pcha się”. Tym się lepiej martw, a nie sushi!

Radek nałożył sobie okulary słoneczne i powoli zaczął ruszać z miejsca, ignorując zupełnie to, co właśnie powiedziałam.

- A co z muzyką? Nie będziemy przecież siedzieć w ciszy!
- podniosłam głos, żeby mógł mnie usłyszeć przez zamkniętą szybę.

Zatrzymał samochód.

- Chyba nie zamierzasz wyciągać tych swoich kompaktów z Jantar i Abbą tak jak ostatnio? Jezu, tylko mi znów nie wyskocz z tymi przebojami!

- A co ma grać? Jazzem mamy katować ludzi przy wódce? Sojka? Costello, Sting? Uszy ich zaczną boleć, to są normalni ludzie, prawdopodobnie z małych miasteczek i wsi, chodzili do gminnych szkół i lubią lekką muzykę, trzeba mieć tylko odwagę ją puścić, a nie udawać miłośników koncertów w Łańcucie!
- powiedziałam, prychnąwszy śmiechem. Rozpędziłam się na dobre. Nie wiem dlaczego, ale nie tylko chciałam go zezłościć, ale również zranić.

- Pogadamy potem, teraz jadę - uciał krótko.

- Radek, czy nie zauważyłeś, że my ostatnio w niczym się nie zgadzamy? - zapytałam, oddalając się od samochodu. Spojrzał w moją stronę, ale nie w moje oczy.

- Zauważyłem jeszcze jedno... - powiedział po chwili. - Nie spaliśmy ze sobą od trzech miesięcy.

Poczekaliśmy na dworze, aż odjedzie. A więc to o to chodzi jubilatowi? O brak seksu. Ja nie prowadzę zapisków, nie wiem kiedy ostatni raz się kochaliśmy, ale całkiem prawdopodobne, że minęło od tego czasu kilka tygodni. Gdyby mi przy tej okazji tego nie wypomniał, sama bym nie zauważyła. Nie jestem Natalią, ostatnio nie mam żadnych potrzeb w tym zakresie. Mogłabym zasłaniać się stresem, tempem życia, ale najbliższej prawdy byłoby przyznanie się choćby przed samą sobą, że mój mąż już od dawna po prostu mnie nie pociąga.

Marlena

Dziewiąty ślad hamowania

Kiedyś nie wszyscy mieli telefony, nie było komputerów, przychodziły listy, a w nich wiadomości zarówno dobre, jak i te złe. Telegram oznaczał śmierć.

Lubiłam pisać listy. Kiedy wyjechałam do Anglii, wysyłałam je do rodziców, przeważnie do taty, co najmniej raz w miesiącu. Opisywałam w nich swoje życie, wkładałam do koperty fotografię Emilki i naszego psa, wspomnienia z wakacji uwiecznione aparatem fotograficznym, czasami dołączałam zaszuszone liście lub pieniądze. Potem w nasze kontakty wdarły się telefon i komputer, więc pisać przestałam. Od kilku lat internet stanowi podstawowe narzędzie komunikacji, a ja byłam jego wiernym fanem. Zaczynałam dzień od przeglądu stron informacyjnych BBC i Sky News, zagłębiałam do portali plotkarskich typu Tmz.com i modowych, takich jak WhoWhatWear, sprawdzałam pogodę i skrzynkę mailową. Kiedy otworzyłam wiadomość od nieznanego mi nadawcy kryjącego się za loginem alosza729, nie zorientowałam się od razu, od kogo pochodzi. Kilka pierwszych zdań również nic mi nie mówiło.

Alosza pisał: „Cześć kochana Marleno! Czuję się tak, jakbym pisał zza światów i pewnie TY też tak to odbierzesz. Próbowałam obliczyć, ile lat minęło? Wychodzi z moich kalkulacji, że siedemnaście. Kawał czasu. Nie mam zamiaru Cię przestraszyć tą niespodziewaną wiadomością, ale tak sobie pomyślałem, że

skoro jesteś wolną kobietą, a wiem to od Natalii, to nie postawię Cię w niezręcznej sytuacji, kiedy musiałabyś tłumaczyć mężowi, że nagle odezwał się do Ciebie kolega z dawnych lat...".

Przerwałam czytanie, bo list był dość długi, więc wysłałam do Natalii sms-a. Odpisała natychmiast, potwierdzając, że jej brat Aleksander istotnie po latach przyjeżdża do Polski na miesięczny urlop. Sama dowiedziała się o jego niespodziewanym przyjeździe poprzedniego dnia i nie zdążyła mi o tym powiedzieć.

Dalsza treść była następująca: „Nie będę się rozpisywał, żeby Cię nie zanudzić, ale zapewniam, że nie zmieniłem się wiele, nie jestem psychopata i nie odbiło mi, po prostu mam prośbę. Przylatuję w przyszły wtorek do Londynu, robię sobie tam trzydniowy przystanek przed Polską i miło by mi było, gdybyś znalazła czas i spotkała się ze mną. Wiem, że nie mieszkasz w samym Londynie i być może wymagam zbyt wiele, ale wiesz, jaki zawsze byłem bezczelny! Nie znam żywej duszy w Anglii, a potrzebuję towarzystwa, żeby się odpowiednio nastroić przed powrotem do ojczyzny. Jeśli Ci powiem, że trochę jestem *nervous* przed tą jakże sentymentalną wycieczką, pewnie zrozumiesz to doskonale, sama będąc emigrantką. Zatrzymam się w hotelu Plaza on The River, ponieważ lubię widoki z okna... Alex".

Nie byłam w Londynie od czasów zamachów w metrze. Nie bałam się ataków terrorystycznych, ale szczerzeniem się terroryzmu na świecie chętnie usprawiedliwiałam swoją niechęć do wizyt w stolicy. Nie lubiłam dużych aglomeracji, napierającego tłumu ludzi, jazgotu ulicy i wszechobecnego pośpiechu. Perspektywa spotkania z Alexem w Londynie trochę mnie przerażała. On pewnie myśli, że znam miasto jak własną kieszeń, oprowadzę go po wszystkich atrakcjach, będę ciekawie opowiadać zarówno o zabytkach, jak i nowoczesnej architekturze, zabiorę go do jakiejś modnej restauracji, a może również do klubu, gdzie można spotkać sławnych ludzi. Jestem kobietą prowincji, zgubię się w Londynie!

Alex był niezwykle barwną postacią. Chodził do klasy z Danka i Izka, ale ja spędzałam w ich towarzystwie sporo czasu,

nie miałam swoich własnych klasowych przyjaciół. Zazdrościłam im, tworzyli fantastyczną grupę, mieli poczucie humoru, organizowali wyjazdy, imprezy, podczas gdy ja miałam w klasie samych kujonów, lizusów i małego formatu karierowiczów. Po latach mozołu i męki zagarnęli wszystkie stanowiska w naszym mieście, zagnieździli się w sądzie, urzędach miasta i bankach. Mama twierdzi, że gdziekolwiek pójdzie coś załatwić, spotyka moje koleżanki z klasy. Ula jest prokuratorem okręgowym, Anka wydaje paszporty, Ela w geodezji szasta na prawo i lewo mapkami, Kola rządzi księgami wieczystymi, Majcher jest dyrektorem banku, Zaleski przeszkakuje szczeble w policji skarbowej. Nikt nie wyjechał za granicę, mało tego - nie wyjechał nawet z miasta ani nie zrobił żadnej spektakularnej kariery w biznesie. Pobudowali szkaradne domy pod miastem, kupili rodzinne samochody, posadzili iglaki, złączyli się w szarą, nieciekawą masę klasy średniej, ani kroku przed szereg, ani kroku w innym kierunku. Klasa Izki i Alexa rozpieczętowała się po kraju i po świecie, raz po raz coś słysząc o ich życiu, nawet Danka, co prawda swoim potwornym czynem, ale zasłynęła w świecie. Co ja plotę, przecież to zabójczym!

Alex, którego faktycznie nazywaliśmy Aloszą w czasach liceum, był przywódcą grupy, pomysłodawcą i bezapelacyjnym prowodyrem. Namawiał do wagarów, co zawsze uchodziło im na sucho, bo wyróżniali się wynikami w nauce, wygrywali olimpiady przedmiotowe, startowali we wszystkich możliwych konkursach, bez względu na to, czy był to przegląd kabaretów, czy międzyszkolne dyktando. Moja klasa nie wyróżniała się niczym, były to ciche i bezbarwne postaci, bojkotowały młodszych kolegów, mnie poniekąd też, ponieważ ostentacyjnie się z nimi zadawałam. Miałam jednak żelazne usprawiedliwienie - młodsza siostra w tej „dziwnej” klasie. Kiedy uczniowie klasy Izki zdobywali swoje pierwsze seksualne doświadczenia i - jak zapewniała mnie siostra - „to nie było puszczanie się”, w mojej klasie działacze Oazy organizowali pielgrzymki, czuwania w kościele i sprzątanie plebanii przy katedrze.

Alex wyjechał do Stanów zaraz po maturze, co było niespodzianką, ponieważ rozgłaszał na prawo i lewo, że idzie na

SGPiS. Nawet nie wiem, czy przystąpił do egzaminów, ale raczej nie, ponieważ wyjechał na początku lipca, trochę po kryjomu. Jeśli wierzyć Natalii, to ani ona, ani matka nie wiedziały o jego planach, powiedział im trzy dni przed wyjazdem, zupełnie tak jak mnie teraz. Może lubił zaskakiwać, a może chodziło mu o spotęgowanie efektu? Nasz kontakt się urwał w dniu jego wyjazdu, choć wraz z całym towarzystwem żegnałam go na Okęciu śpiewem i machaniem. Zaczęłam wtedy studiować w Warszawie, mieszkalam w akademiku i szykowałam się do swojego pierwszego rozwodu. Pamiętam, że Alex przepowiedział mi szybkie macierzyństwo, jednak nie dodał, że nie będzie to dziecko spółdzone z moim pierwszym mężem. To jednak on zaniechał kontaktów z nami po wyjeździe, Natalia na początku trochę go usprawiedliwiała, a potem temat umarł śmiercią naturalną. Zajęliśmy się wszyscy swoimi sprawami, a amerykańskie sprawy Alexa nie były nam bliskie ani przez moment. Zazdrościliśmy mu, ja też, wyjechał tam, skąd mój pierwszy mąż już nie chciał do mnie wrócić.

Zwlekałam z odpowiedzią kilka godzin. Emilia spędzała czas u swojego ojca, więc teoretycznie mogłam wyrwać się z domu i spędzić dzień w Londynie, psa ulokować u sąsiada, który zawsze mi pomagał w nagłych wypadkach. Jechać? Nie jechać? Co ja mu pokażę w Londynie? London Eye? Buckingham Pałac? Houses of Parliament? Muzeum Figur Woskowych Madame Tussauds? Przecież on nie jest turystą z Japonii, wyśmiej mnie.

Napisałam: „Cześć, Kolego! Jak mi przysięgniesz, że nie będziesz narzekał na moje zdolności przewodniczą, a raczej ich brak, to chętnie się spotkam z Tobą w Londynie. Nie zaplanuję ci żadnych atrakcji, nie znam miasta, ale możemy się trochę powłóczyć, zjeść coś dobrego i pogadać, pewnie będzie o czym, coś się jednak przez te siedemnaście lat musiało dziać. Będę wczesnym wieczorkiem we wtorek, siedź w hotelu i się nie ruszaj, bo na mieście to się na pewno nie znajdziemy. Marlana”.

W niedzielę rano przyszła odpowiedź: „Spokojnie. Z okna pokoju hotelowego widać wszystko, co trzeba, i Parlament, i London Eye, i Big Bena, nie musimy nigdzie łązić jak turyści

z Japonii. Sprytnie to zaplanowałem, czyż nie? Będę czekał na dole w barze przy kieliszku szampana i postaram się mieć »Daily Telegraph« w kieszeni prochowca! Może jakoś mnie poznasz. Dziękuję Ci, koleżanko, że się zgodziłaś. Alex".

W poniedziałek straciłam cały entuzjazm, poczułam się zmęczona, niegotowa na wycieczkę, nieprzygotowana na spotkanie po latach z bratem przyjaciółki, który tak nagle wyskoczył na mojej planszy. To był idiotyczny pomysł, zgodziłam się na fali nostalgii i nudy sobotniego wieczoru. W jaskrawym świetle poniedziałkowego poranka całe przedsięwzięcie wydawało mi się już pomyłką. Zdarzyło mi się kilka razy, kiedy zaszumiło mi w głowie od alkoholu, zapraszać ledwie zapoznanych ludzi do domu, umawiać się na kolacje i wypadki, Alan miał mi za złe te spontaniczne aranżacje. W sobotę nie wypiałam nawet łyka piwa czy wina, byłam w pełni władz umysłowych, a w poniedziałek żałowałam decyzji, jakbym ocknęła się po kacowej drzemce. Iza w takiej sytuacji napisałaby sms-a, że przeprasza, ale jest chora i może następnym razem. Ja tak niestety nie umiałam.

Wsiadłam do pociągu i po godzinie oraz piętnastu minutach wysiadłam na stacji Liverpool w Londynie. Kupiłam banana na straganie w podziemiach i przesiadłam się na metro, a potem wolno przekroczyłam próg nowoczesnego hotelu Plaza on the River.

- Marlina! - Szedł do mnie Alex.

Zdażyłam tylko pomyśleć, że nie jest ani łyсы, ani gruby, ani tak wysoki, jak go zapamiętałam. Uściskaliśmy się, jak przystało na starych znajomych, trzy razy cmoknął mnie w policzki, a ja się tylko wdzięcznie nadstawiałam. Gdybym spotkała go na ulicy przypadkiem, na pewno bym go nie poznała, ale odwróciłabym głowę, bo był bardzo przystojny i w moim typie. Kalifornijska opalenizna z miejsca zamieszkania to nie to samo co wakacyjne spalenie skóry. Alex był blondynem, więc jego gęsta czupryna ładnie układała się z kolorem skóry twarzy i szyi. Niebieskie oczy, kiedyś zza okularów, teraz zza szkieł kontaktowych, przyglądały mi się uważnie. Co by nie powiedzieć

o ludziach mieszkających w Ameryce, trzeba im oddać, że mieli dużo radości w oczach i gestach.

- Pięknie wyglądasz, koleżanko! Jakbyś miała dwadzieścia kilka lat!

- Dzięki, amerykański *bull shit*, ale co tam... Zmieniłeś się, ledwie cię poznałam.

Pociągnął mnie za sobą do baru. Zamówiliśmy po koktajlu z szampana. Bardzo chciało mi się palić i jak najszybciej zamierzałam wyjść na dwór. Alex opowiadał mi, nie wciskając żadnych amerykańskich wyrażen (na jego szczęście), jak przebiegła podróż i jakie ma plany na najbliższe trzydzieści dni i nocy. Londyn zobaczy sobie z okna, ale potrzebuje tego przystanku w Europie, zanim zanurzy się w polską rzeczywistość. Miałam wrażenie, że boi się powrotu. Na amerykańskie obywatelstwo czekał dziesięć lat, nie miał szczęścia do loterii wizowych. Wszyscy jego znajomi mieli już zielone karty i obywatelstwa, a on jeden nie, dopiero pięć lat temu został pełnoprawnym mieszkańcem USA i mógł swobodnie opuszczać Stany oraz do nich wracać. Przez pięć lat zastanawiał się, czy naprawdę chce lecieć do Polski. Ożenił się z Amerykanką, ale związek ten nie przetrwał trzech lat. Rozwiedli się w trzecią rocznicę ślubu. Natalia mówiła mi o tym, ale musiałam przyznać, że mało interesowałam się życiem jej brata w Kalifornii. Wiedziałam, że ma dobrą pracę gdzieś w Dolinie Krzemowej, mieszka lub mieszkał w San Jose, ale czy zatrudnia go Microsoft, czy Google, już nie wiedziałam.

- Zakończyłem pracę dla monopolisty, po siedmiu latach... Teraz właśnie jest dobry moment, żeby zrobić sobie długie wakacje i spokojnie zastanowić się, co dalej. - Szybko wypiliśmy koktajle i wyszliśmy na miasto.

Obok London Eye rozłożono rynek bawarski, stragany z kiełbaskami, kapustą, upominkami, ciastkami, według mnie angielskimi udającymi niemieckie, ale przecież nie o autentyczność tu chodzi. Alex kupił nam po rogalu i piwie, usiedliśmy na drewnianej ławie naprzeciwko siebie.

- Czyli że to jakby przełomowa chwila w twoim życiu? — zapytałam pomiędzy kęsami. Patrząc na Alexa, musiałam

przyznać, że mimo iż zmienił się fizycznie, był tym samym chłopakiem, jakiego znałam. Lekki w rozmowie, ciekawy, dowcipny, może trochę bardziej powściągliwy niż kiedyś, ale to już zapewne zasługa procesu starzenia się. Czułam się młodo w jego towarzystwie, zawrócona z drogi w kleszcze wieku średniego. Nastąpiła stop-klatka.

- Pod każdym względem przełom. Ale nie denerwuj się, nie przechodzę kryzysu, nie kupuję porsche, nie wziąłem kochanki młodszej o dwadzieścia lat, nie nabyłem nawet złotego sygnetu ani nic z tych rzeczy. Oparłem się propozycji wyjazdu do klasztoru celem medytacji, nawet nie myślę jeszcze o śmiertelności i chorobach.

- Gratuluję. W Polsce na pewno oczyścisz umysł lepiej niż w Tybecie. - Stuknęliśmy się plastikowymi kubkami. Piwo po koktajlu z szampana smakowało okropnie.

- Chciałem zobaczyć się z mamą, Natalią, mam jeszcze parę innych spraw, a poza tym jestem ciekaw zmian. Dużo się zmieniło? Ty jeździsz często? - pytał.

- Różnie to bywa. Od śmierci taty przed trzema laty nie byłam ani razu.

Przyjrzał mi się uważniej, był dobrym obserwatorem, widział, że wyraz twarzy zmienił mi się lekko, kiedy wspomniałam O tacie. Nie chciałam rozwijać tematu, moja stężała twarz musiała go ostrzec, bo nie powiedział nic. Przeszliśmy pod London Eye i ruszyliśmy przez most Millenium w stronę City. W dole szumiała brudna i zimna Tamiza. Stosunkowo mało ludzi spacerowało w obydwu kierunkach, zatrzymywaliśmy się co kilka kroków, żeby podziwiać widoki.

- Opowiesz mi coś o Dance? Wiem tylko to, co wszyscy. Zabiła męża i dostała dwadzieścia pięć lat.

Patrzyliśmy na miasto. Staliśmy dość blisko siebie, rękawy naszych kurtek stykały się ze sobą, czułam zapach jego perfum.

- Nie mam siły teraz o tym mówić — powiedziałam spokojnie bez wzdychania. - Katuję się myślami o Dance dniami i nocami, a teraz tak miło się rozmawia, potem ci opowiem.

- Dobrze, to w takim razie opowiedz mi coś o sobie, też mało wiem poza tym, że się rozwodzisz...

- Drugi raz. Mam wprawę. Twoja siostra to plotkała! - Szturchnęłam go łokciem, niech wie, że nie boleję nad swoją sytuacją życiową.

Ruszyliśmy przed siebie i zaczęłam mu opowiadać o Emilii, Alanie, nagłej zmianie wiatru, jaka przyniosła decyzję o rozstaniu oraz o tym, jaką walkę toczą o pieniądze. Nie odzywał się, słuchał dłużej i miejscami chaotycznej opowieści, od czasu do czasu odwracając głowę w moim kierunku. Dobrze mi szło, powiedziałam mu nawet o tym, że swojego męża nigdy naprawdę nie kochałam, a takie wyznanie zaskoczyło nawet mnie samą. Jakoś do tej pory nie miałam okazji do jasnego podsumowania lat małżeństwa.

- Nic się nie działo przez tyle czasu i nagle wszystko naraz. Rozwody, morderstwa, spotkania po latach... To dlatego tak kiepsko wyglądam. - Dorzuciłam troszkę kokieterii do naszej rozmowy. Chciałam mu się podobać.

- Zawsze cię uważałem za skończoną piękność, nic się nie zmieniło pod tym względem. Wiesz, co mi się najbardziej w tobie podobało? Nigdy potem tego nie spotkałem u kobiety.

- Tak?

- Harmonia na twarzy podczas mówienia i elegancja wewnętrzna - powiedział po chwili.

Roześmiałam się. Kropelki śliny wylądowały na twarzy Alexa. Przeprosiłam i wytarłam mu policzek dłonią.

- A bez metafor? - Nie miałam zamiaru udawać, że rozumiem, co miał na myśli.

- Tyle myślałem nad tym, jak to ująć, a ty mi tu mówisz, że nie rozumiesz? To miał być komplement, a wyszedł jakiś literacki dziwoląg. W każdym razie myślałem o tobie czasami przez te lata na wygnaniu i zawsze bardzo ciepło.

Powinna być zrewanżować się tym samym, ale nie umiałam kłamać. Nie wspominałam Alexa, przeszedł przez moje szkolne życie, zostawił ślad, ale potem zniknął, nie pociągnął moich myśli za sobą. Nie czułam się ani piękna, ani atrakcyjna

i zaczynałam żałować, że nie włożyłam żadnego wysiłku w przygotowanie siebie do tego spotkania. Mogłam iść do fryzjera, kupić sobie jakiś nowy ciuch, pomalować paznokcie, nie wiem, spryskać się tymi drogimi perfumami, jakie oszczędzam na nie wiadomo jaką okazję. Alex był taki wypolerowany, pachnący, do brzo ubrany, mijające nas kobiety patrzyły mu bezczelnie w oczy i pewnie zastanawiały się, co robi u boku takiej szarej myszki w czarnym płaszczu.

- A twoje małżeństwo? - zagadnęłam, żeby pokryć zmieszanie. Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Jak powiedziałaś wcześniej, miło się rozmawia, nie wyciągajmy szkieletów z szafy.

- Zła kobieta była? - zapytałam.

- Zła. Zabrała mi dziecko.

Momentalnie opuścił nas dobry nastrój. Kiedyś Izka słusznie zauważyła, że kiedy osiąga się pewien wiek, znikają neutralne i bezpieczne tematy do rozmów ze znajomymi, ponieważ gwarantowane, że rozmówca albo się rozwiódł i walczy o dziecko lub kasę, albo ma zamiar, ktoś inny stracił pracę, kogoś zdradzono, ktoś choruje na raka bądź zmarł mu najbliższy członek rodziny. Absolutnie niewskazane jest podejmowanie tematów polityki i religii. Zostaje pogoda oraz ulubione przez wszystkich obgadywanie wspólnych znajomych. Jak mawiała Izka - dwie minuty o bliźnich to nie grzech. Tych bezpiecznych tematów nie brakowało, Alex wyciągał jakiś przykurzony incydent z przeszłości, potem opowiadaliśmy sobie o naszych najbliższych, poza małżonkami rzecz jasna, żeby gładko przejść do wspomnień minionych i zapomnianych przygód wakacyjnych i śmieszności ludzi, jacy w nich wystąpili.

Kolację zjedliśmy we włoskiej restauracji Zafferano, gdzie Alex miał zamówiony stół na dwudziestą. Nie wiem, jak i kiedy dokonał tej rezerwacji, ale podobało mi się, że przejął rolę przewodnika, do jakiej ja się kompletnie nie nadawałam. Restaurację polecił mi jakiś amerykański znajomy, przynajmniej, niezły wybór, choć osobiście nie przepadam za włoską kuchnią. Za dużo mąki!

Druga butelka Brunello di Montalcino (rocznik 2004) wjechała na stół po kolacji. Spojrzałam spłoszona na Alexa, zapowiedział się bardzo drogi wieczór. Już po pierwszej butelce przestałam się dręczyć myślą, jakim sposobem wrócę do domu. Ostatni pociąg odchodził o wpół do dwunastej, a było już po dziesiątej.

- Nie miej takiej przerażonej miny, Marlenu, to jest wieczór specjalny. Nie martw się, ile wyniesie rachunek. Smakuje ci wino?

Skinęłam głową. Kelner otworzył butelkę i wlał nam do kieliszków. Podziękowałam mu uśmiechem. Nie wiem, skąd czerpał podejrzenie, że martwiłam się o wysokość rachunku, ale było to zgodne z prawdą. Zawsze czułam się skrępowana, kiedy ktoś wydawał na mnie pieniądze.

- Znasz się na winach? - zapytałam Alexa, kiedy znów zostaliśmy sami.

- Niestety nie, ale lubię udawać, że się znam. Nie wiem dlaczego, ale kobietom to imponuje.

- Jestem, widać, samą przeciętnością, bo mi bardzo imponuje, jak facet zna się na rzeczy. To znaczy na winach, chciałam powiedzieć. Poszło mi to drogie wino do głowy, oj, poszło - przyznałam, upijając kolejny łyk. Nie miałam wprawy, nie byłam Izką, która mogła wypić butelkę wina do obiadu i nie spaść pod stół. Zazwyczaj poprawiała to jeszcze drinkiem. Mama przestrzegała ją, że skończy na odwyku, ale Izki nie można łatwo przestraszyć. Wiem, że Alex bardzo ją lubił, jednak i ich kontakt również urwał się zaraz po jego wyjeździe. Mówiło się wśród znajomych, że brat Natalii uciekł z Polski, nie wyjechał, a uciekł i spalił za sobą wszystkie mosty. Był to okres w naszym życiu, w którym sporo się działo i mocne dotychczas więzy poluźniły się.

- Pewnie spotkasz się z moją siostrą w Warszawie? - zastanawiałam się, czy wiedział o naszych stosunkach, o braku komunikacji pomiędzy nami, czy Natalia zanudzała go opowieściami o konfliktach rodzinnych dziewczyn, które kiedyś znał. Wątpliwe, ale któż to wie.

- Natałka zaaranżowała spotkanie, ma mi przedstawić swojego nowego amanta, Izka oczywiście też przyjdzie, miło będzie

się z nią zobaczyć. Bardziej się boję spotkania z nią niż z tobą. Była moją bliską przyjaciółką i trochę mi głupio, że nie utrzymałem tej znajomości. Przyjaźnie cenię sobie ponad wszystko, szczególnie w dzisiejszych czasach, kiedy ludzie zapomnieli, co to znaczy przyjaźnić się. Nie udało mi się z nikim zaprzyjaźnić przez te lata w Stanach, chyba coś ze mną nie tak...

Pokręcił głową i dopił resztkę wina. Zaczęłam go pocieszać, przedstawiając swoją beznadziejną sytuację, jeżeli chodzi o przyjaźnie. Na koniec wygadałam się, że nie rozmawiałam z siostrą od trzech lat.

- Wiem - powiedział i skinął na kelnera. - Masz ochotę na coś jeszcze?

- Wyjdźmy na świeże powietrze, kręci mi się w głowie, ale niech się kręci, przyjemnie jest. Pamiętasz, co zrobił Wódz na wycieczce szkolnej w Górach Świętokrzyskich?

Alex nie zastanawiał się długo.

- Pamiętam, wpakował się do łóżka polonistce, udawał, że nie wie, co robi, a ona udawała, że nie ma siły go wyprosić. Odważny był! Pomyśl, jaki to mógł być skandal, nauczycielka z siedemnastolatkiem... Ile ona miała wtedy lat? Na pewno przed trzydziestką.

- Jak myślisz, przeleciał ją? - zachichotałam.

- To jedna z tych tajemnic, jakie Wołoszański powinien wyjaśnić w swoim programie.

Alex wziął mnie pod rękę i przeprowadził przez salę restauracji do wyjścia. Słusznie ocenił, że bez jego pomocy będę się zataczać.

- Pamiętasz, jak o nim mówiliście? Stary jebaka, gdzie pójdzie, to mu najebią. - Robiłam się coraz głośniejsza.

- Marlena, nie przestajesz mnie zadziwiać, takie słowa dawnej nie przeszłyby ci przez gardło. Brawo!

Kiedy ma się promil we krwi, każde słowo przejdzie przez gardło. Nie używałam wulgaryzmów, ale zacytować przecież mogłam, nie brzmiało to ohydnie. Lubiłam przeklinać, ale świadoma tego, jak brzydko przekleństwa brzmią w ustach kobiety,

wypeniłam u siebie tę pasję. Izka strasznie klnie, ale jej jakoś wypada.

Uczepiłam się ramienia Alexa na tylnym siedzeniu czarnej taksówki, ponieważ kierowca, równie czarny jak jego gabłota, prowadził pojazd gwałtownie i stylem szarpiącym. Alex trzymał mnie mocno i śmiałyśmy się z byle czego. Kiedy zaczął śpiewać piosenkę, za którą niemalże zawieszono go w obowiązkach ucznia, nie mogłam zapanować nad sobą. Posmarkałam się ze śmiechu.

- Profesor od matmy to szalony człowiek... Kiedy zaczął pytać, przechodziły nas ciarki... I wszyscy uczniowie bardzo się go bali, dziewczyny dawały, pały nie dostały...

Wygrzebałam z torebki chusteczkę i zatkałam sobie usta. Nie miałam pewności, czy nie obejrzę zaraz tej drogiej kolacji *in reverse*.

- Alex, to co z tą moją harmonią wewnętrzną? Nie, piękno wewnętrzne, a harmonia na twarzy... - bełkotałam, tuląc się do jego rękawa. Piękna jest noc miejska obserwowana przez okno taksówki, szczególnie gdy jest się tak cudownie znieczulonym jakja w tej chwili.

- Już niedaleko, trzymaj się, zawsze byłaś taka dzielna.

- Pewnie. Alex, słodki Alex... Jezu, jaki ty piękny jesteś. Ralph Fiennes to przy tobie jakiś zwykły Gargamel jest! Albo nie, nie Gargamel, Popierdółka!

- Ralph Fiennes? Ten nazista z Listy Schindlera? Naprawdę? - Przytrzymał mnie mocniej, kiedy wchodziliśmy w zakręt.

- A tam nazista, Angielski Pacjent raczej...

Zanim dojechaliśmy do hotelu, zaśpiewaliśmy sobie jeszcze jedną zwrotkę jakiejś śmiesznej szkolnej piosenki. Dlaczego my, Polacy, pod wpływem alkoholu tak uwielbiamy śpiewać? Dusza nam się drze czy co? Nie przypuszczałam, że będę pamiętać słowa po tylu latach, ale pamiętałam, choć moje śpiewanie musiało być koszmarem dla taksówkarza. Kiedy dojechaliśmy na miejsce, Alex wyciągnął mnie na świeże powietrze i postawił na chodniku, ale wciąż przytrzymywał w pasie. Nie przestawałam się

śmiać, najbardziej bawiło mnie to, że nie mogłam utrzymać równowagi i przy każdym ruchu leciałam na Alexa.

- Jezu, aleja się upiłam. Mam zaraz pociąg, taxi! Taxi! - Usiłowałam zawrócić odjeżdżającą taksówkę.

Alex był bardzo rozbawiony całą sytuacją, obiecywał, że się mną zajmie, żebym tylko przestała wykrzykiwać. Miałam być grzeczna i pozwolić się położyć do łóżka. Wjechaliśmy windą, pamiętam, że jeszcze chciałam mu coś zaśpiewać, ale głos utknął mi gdzieś w gardle i byłam w stanie tylko prychać jak kot. Nie przestawałam się śmiać, wszystko wokół wydawało mi się takie nieważne oraz inne. Wystarczyło tylko wyjechać z miasta na jeden wieczór, żeby przekonać się, jakim malutkim trybikiem jesteśmy w wielkiej maszynie świata i jak banalne są nasze problemy oraz infantylne troski.

- Bawmy się! - szepnęłam mu do ucha i osunęłam się po ścianie.

- Dobry pomysł. - Podciągnął mnie jedną ręką i przewiesił sobie przez ramię.

- Napijmy się szampana albo nie, pogadajmy sobie. Wszystko ci powiem, o Dance, o moim ojcu, jego kochance, o Izabeli, mojej siostrze, tylko pytaj, wszystko ci powiem. Albo nie, zaśpiewajmy sobie coś, pamiętasz tą piosenkę: „Tacy sami, a ściana między nami”? Alex, ja mam pociąg, a co tam! Jak to mówią - dziewczyna pijana, dupa sprzedana...

- Marlena, ty mi tu propozycji nie składaj i stój spokojnie, muszę otworzyć drzwi.

Nie chciałam stać spokojnie, podskakiwałam i cały czas ocierałam się o Alexa.

Bełkotałam jeszcze o szampanie, kiedy mnie układał na łóżku. Zdażyłam pomyśleć przed zaśnięciem, że świetnie się składa, iż w apartamencie znajdują się dwa łóżka, nie będziemy się stykać nogami pod jedną kołdrą. Jaka miałam na sobie bieliznę? Jakieś czarne koronki czy majty ala Bridget Jones? Widok z okna był faktycznie imponujący, ale nie zdażyłam się nim należycie zachwycić. Zasnęłam.

Obudziłam się o jedenastej, otworzyłam jedno oko i stwierdziłam, że Alexa nie ma w pokoju. Rozejrzałam się po apartamencie. Jasno, przestrzennie, piękny widok z okna, a na to wszystko mój wielki, prywatny, całkiem nienowoczesny kac! Sięgnęłam po butelkę gazowanej wody. Gdybym miała dość siły, wstałabym i wygrzebałabym z torebki listek z tabletkami Anadin Extra, które zawsze miałam przy sobie. Naciskałam skronie kciukami, żeby przekonać się, czy naprawdę boli mnie głowa. Ktoś, zapewne Alex, położył telefon komórkowy na stoliku przy łóżku. Z wielkim trudem wystukałam wiadomość do sąsiada z prośbą, żeby przechował Puszkiną jeszcze przez parę godzin. Ostatni raz alkohol zmorzył mnie kilka miesięcy temu. W moim wieku powinnam była przewidzieć, czym zazwyczaj kończy się mieszanka koktajlowo-piwno-winna! Katastrofą. Pamiętałam wszystko, co działo się poprzedniego wieczoru, tylko ostatni etap usypiania trochę mi się zamazał w pamięci. Czy to aby nie było urwanie filmu? No i po kiego czorta tak się spałam? Co on sobie o mnie pomyśli? Zastanawiałam się, co powinnam zrobić. Wziąć prysznic? Zamówić kawę? Uciec? Zbierałam myśli bardzo wolno, czekając na działanie tabletek przeciwbólowych. Po piętnastu minutach przyszedł moment ukojenia, nie groziła mi natychmiastowa eksplozja głowy. Z okna pokoju hotelowego roztaczał się pyszny widok na miasto, rzekę i mosty.

Kiedy tak leżałam sobie w tym luksusowym jednosypialniowym apartamencie, patrząc na płynący gdzieś w dole Londyn, poczułam, że wiele rzeczy nie jest już aż tak bardzo ważnych, jak mi się jeszcze wczoraj wydawało. Spotkanie z Alexem, nasz wieczór wspomnień i opowieści, a teraz to, jakby się wyraziła moja mama, „gnicie w łóżku”, spowodowało, że czułam się zupełnie odłączona od swoich problemów w domu. Od humorów Emilii, podstępów Alana, uwięzionej Danki, obrażonej Izki oraz wyrzutów sumienia związanych z nimi wszystkimi. Jeden dzień bajki wystarczył, żebym nabrała dystansu do otaczających mnie gęstą siecią spraw. Rozluźniła się nieco pętla codzienności na mojej szyi, nagle, chyba pierwszy raz od wielu miesięcy mogłam swobodnie oddychać i przeciągać się w pościeli.

Mieliśmy w tym apartamencie kuchnię, mogłam sobie zrobić kawę, grzanki, włączyć telewizor oraz pogapić się przez okno jak w tej chwili. Widok leżącego niżej mnie Londynu miał właściwości terapeutyczne. Ja panowałam nad sytuacją, mogłam pójść, dokąd chciałam lub zostać. Alex pozwoliłby mi na każdy kaprys, czułam się bezpiecznie w jego towarzystwie.

Nasłuchiwałam odgłosów dochodzących z korytarza. Po chwili cicho zgrzytnął zamek i do pokoju wszedł mój kolega. Znów świeży, pachnący i tryskający energią. Zaciągnęłam kołdrę pod samą szyję. Trochę mi było wstyd, że dalej leżę rozmemłana w pościeli, wczorajsza, pognieciona i że tak bardzo chciało mi się pić.

- Jak się mamy? - Usiadł na fotelu i położył obok pakunki.
- Ponieważ zostałam u mnie na noc, a pewnie nie miałaś takich planów, wychodząc wczoraj z domu, pozwoliłem sobie kupić ci parę niezbędnych drobiazków, żebyś mogła wstać z barłogu i wyjść na świat.

- Nie wiem, co powiedzieć, więc dyplomatycznie pomilczę.

Wyciągał po jednym przedmiocie i układał je na stoliku. Patrzyłam na ten spektakl bez słowa, absolutnie zauroczona jego witalnością.

- Po pierwsze, szczoteczka do zębów, średnio twarda. Po drugie, mleczko do demakijażu. Po trzecie, maskara i podkład oraz puder sypki, zaryzykowałam Diora. Po czwarte, perfumy Chanel, postawiłem na Mademoiselle, chyba będą do ciebie pasować. Po piąte, bielizna... I tu pozwoliłem sobie rzucić okiem pod kołdrę, jak spałaś, aby mniej więcej stwierdzić rozmiar i styl. Zakupiłem majteczki i biustonosz, rozmiar 36B, Calvin Klein, linia sportowa. Co my tu jeszcze mamy? Błyszczyk do ust w kolorze, jak na moje oko, brzoskwiniowym. Może być?

W torebce miałam tylko szminkę i miętusy, nawet papierosy skończyły mi się poprzedniej nocy. Nie chciałam grać niewdzięcznicy, ale też nie mogłam mu się rzucić na szyję z podziękowaniem, byłaby to zbyt wielka egzaltacja jak na mój stan fizyczny i psychiczny. Mój uśmiech musiał zadziałać.

- Dziękuję ci, będę o tym opowiadać wnukom, ale pewnie mi nie uwierzą.

- Czyli trafiłem. Klasa. Zjemy śniadanie i pójdziemy na spacer, a wieczorem, bo do wieczora na pewno cię nie puszczę, idziemy do teatru. Old Vic. Mam dwa bilety na sztukę *Kto sieje wiatr*. W roli głównej Kevin Spacey. Pasuje? - Pomachał mi przed nosem wejściówkami. Opadłam na poduszki.

- Alex, ty jesteś jednym wielkim zaskoczeniem. Nie bardzo wiem, co powiedzieć. Nawet mi już kac ustępuje z tego wszystkiego - powiedziałam i poprosiłam, żeby pozwolił mi zapłacić za zakupy.

- Nie ma mowy! To jest prezent, a teraz zejść na dół i tam na ciebie poczekam, żebyś miała trochę prywatności przy porannej toalecie. Zbieraj się.

Skinęłam tylko głową. Kiedy wyszedł, zerwałam się z łóżka i poszłam do łazienki. Czyściutko, wyświecone kurki, ręczniki w kolorze śniegu, przybory toaletowe, ach, jak ja lubię takie luksusy! Miałam początkowo trudności z odkręceniem kurka nad wanną, szarpałam się chwilę, zanim popłynął strumień ciepłej wody. Zanurzyłam się ostrożnie, żeby nie zmoczyć włosów. Po kąpieli poczułam się znacznie lepiej. Założyłam nową bieliznę i wczorajszą kreację, niestety lekko wymiętą i naszpikowaną drobnymi kłaczkami. Tak właśnie wyglądają ciuchy w kolorze czarnym dnia drugiego. Trudno, może kupię po drodze taśmę klejącą i się „obiore”. Był to stary i niezwykle praktyczny zwyczaj biurowy z czasów, kiedy nie było jeszcze w sprzedaży wałków z przyklepcem. Jak mawia Emilia - Polak *can*! Nie rozpieierała mnie duma, ale czułam się znacznie lepiej, schodząc do kawiarni na dole. Kroki stawiałam ostrożnie, lekko chwiejąc się na wysokich obcasach. Alex pił kawę i czytał gazetę. Usiadłam naprzeciwko niego i nalałam sobie soku pomarańczowego, który stał w dzbanie za stole. Smakował wyśmienicie, musiał być ukrecony ze świeżych pomarańczy.

Amerykański zwyczaj, jakim było popijanie sokiem pomarańczowym dosłownie wszystkiego, bardzo mi odpowiadał. Woda znudziła mi się już kilka lat temu.

- Kawa czy herbata?

- Dzięki Bogu, nie proponujesz mi piwa, wtedy miałabym już absolutną pewność, że uważasz mnie za alkoholizkę! Mam cię zamiar przeprosić za wczorajsze zachowanie. Upiłam się - powiedziałam bez ogródek. Chciałam mieć już to z głowy, a nie mogłam udawać, że nic się nie stało. Zachowałam się skandalicznie, co by powiedziała na to moja córka? A moja mama?

- Upiłeś, ale nie przepraszaj, nie bądźmy hipokrytami. Najważniejsze, że dobrze się bawiliśmy i że jeszcze mamy trochę czasu dla siebie. Nie wiem, czy jeszcze kiedyś cię zobaczę. Nie planowałem w powrotnej drodze przystanku w Londynie. Mam bezpośredni samolot z Warszawy do Nowego Jorku.

Zrobiło mi się smutno, kiedy to powiedział.

- Ciekawe, czy wytrzymasz w Polsce przez miesiąc? Pierwsza euforia minie po tygodniu, resztkami entuzjazmu pogonisz drugi tydzień, ale co będzie dalej? Wszystko cię zacznie irytować. Kierowcy, panie w sklepie, przechodnie, kelnerzy, taksówkarze. Polska jest inna, niż myślisz, ta z twojej młodości już nie istnieje, teraz jest to kraj nadrabiający stracone lata, trochę na siłę. Sam zobaczysz. Mam nadzieję, że masz najnowszy telefon komórkowy, markowe ciuchy, drogi zegarek i foto jakiegoś luksusowego auta, jakim jeździsz w Stanach, bez tego wszyscy uznają, że ci się w życiu nie udało - zrobiłam mu mały wykład, ale zaraz potem żałowałam, bo z każdym moim słowem zmieniał mu się wyraz twarzy. Dzieliłam się z nim moimi doświadczeniami, tylko osoby, które wyjechały z Polski, rozumiały, o czym mowa.

- Liczy się tylko to, czego się dorobiłeś, nie to, kim się stałeś - powiedziałam na koniec.

Alex słuchał z niedowierzaniem. Opowiadałam mu o tych wszystkich śmiesznych sytuacjach, które mnie spotkały podczas wizyt w Polsce, udało mi się go rozbawić kilka razy, potem znów przerazić, gdyż w naszej ojczyźnie, jak wiadomo, jest na przemian „i śmieszno, i straszno”.

- Nie jadę do Polski licytować się ze starymi znajomymi.

- Będą cię zapraszać i będą pytać, choć prawdę powiedziawszy, znając twoich szkolnych znajomych, jest szansa, że nadal są ponad to. W przeciwieństwie do moich.

- No właśnie. Co z **Danka?** - wrócił do tematu, ale patrzył mi w oczy bardzo uważnie, chcąc wyczytać, czy mam ochotę na podejmowanie tego tematu.

- Naprawdę nie powoduje mną ciekawość, dobra, może trochę, ale przede wszystkim chcę wiedzieć, czy można jej jakoś pomóc.

Chrupaliśmy maleńkie ciasteczka, jakie podano nam do kawy. Powinniśmy je zamoczyć przez zjedzeniem, ale skonsumowaliśmy je na sucho, nie dbając, czy się nam nie ułame przedni zęb. Dziś mogłam już swobodnie opowiedzieć mu o tym, co się zdarzyło naszej wspólnej znajomej. Moja opowieść nie była oblepiona poczuciem winy. Alex, jak przystało na najwspanialszego słuchacza, jakiego w życiu spotkałam, nie przerwał mi ani razu, nie wtrącał pytań i nie robił żadnych uwag. Pomięłam kilka szczegółów, które nie wydawały mi się istotne. Miałam pewność, że nie będzie mnie pytał, jak to się stało, że nikt nie zauważył przez te lata, iż Karol znęcał się nad Danka ani dlaczego nie reagowaliśmy, jak już prawda wyszła na jaw. Musiał wiedzieć, że takie sprawy są trudne i ofiara, nawet jeśli jest twoją koleżanką, nie chce przyjąć pomocy i nie życzy sobie wtrącania się osób trzecich. Danka dopiero w chwili, kiedy pierwszy raz usłyszała, że mogą zabrać jej syna, otworzyła się przede mną. Do tamtej pory była jak zaklęta w kamień z tą swoją wewnętrzną męką.

- Wiesz, nie była mi szczególnie bliska, ale chciałbym ją jakoś jej pomóc. Jeżeli trzeba by było jakichś pieniędzy... - zaczął niepewnie.

- Dance kasa niepotrzebna, ale jest jej córka, Justyna. Pojedziesz do Polski, to zapytasz Izkę, ona tam ostatnio jeździła z Natalią, są na bieżąco. Trzeba tej dziewczynie pomóc, ale tak konkretnie. Mam nawet pomysł, ale muszę najpierw ułożyć parę swoich spraw, żeby przygotować grunt. Alex, mam nadzieję, że nie myślisz, że ja jestem odpowiedzialna za to, co się wydarzyło z Danka? Fakt, wydarzyło się to pod moim nosem, ale ja naprawdę nie przewidziałam, nawet w najśmielszych analizach, że dojdzie do takiej tragedii.

- Marlena... - Alex sięgnął po moją dłoń. - Widzę, jak bardzo cię to męczy, dlatego powinnaś może o tym więcej rozmawiać.

- Ale nie chcę, żeby wyglądało, że się tłumaczę, bo tłumaczą się winni - przerwałam mu.

- Nieważne, co inni o tym sądzą. Najważniejsze, czy ty w swoim poczuciu sprawiedliwości jesteś przekonana, że zrobiłaś wszystko, co było możliwe do zrobienia.

Kiedy to powiedział, musiałam się w końcu przyznać. Patrzyłam w okno, ale nie udało mi się uciec wzrokiem, kiedy już przygotowałam odpowiedź.

- Właśnie. Nie mam takiego poczucia, że zrobiłam wszystko. Mogłam zrobić więcej.

- Co konkretnie? Gdybyś mogła wrócić do przeszłości, to do którego momentu? Co zrobiłabyś inaczej? Nie ma co się biczować tak ogólnikowo, trzeba wysunąć konkret i z nim się zmierzyć. Więc co?

Wiedziałam, że Alex chce mi pomóc w tych rozliczeniach, dobrze się do tego zabierał, ale chwila, ta konkretna chwila nie była po prostu odpowiednia... Powiedziałam mu to. Na talerzu stygły mi grzanki.

- Danusia wybrała życie z alkoholikiem, może w Polsce trudno jej było od niego się uwolnić, ale zakładam, że tu, tak jak w innych mądrzejszych i bogatszych krajach, odejść od kata jest znacznie łatwiej. Kobieta może liczyć na pomoc, nie ma poczucia beznadziejności i zaszczucia, ale musi chcieć. Danka widocznie nie chciała, nie wiem z jakich powodów, ale nie mów mi, że nie mogła. Zawsze można - dodał od siebie.

- Pewnie masz rację, ale i tak czuję się z tym podle. Nie chce mnie znać - powiedziałam zgaszona.

- Może to samej siebie nie chce znać...

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę. Alex sprawił, że poczułam się nieco lepiej. Rozgrzeszył mnie, a tego potrzebowałam najbardziej.

Zabrał mnie na długi spacer po mieście, zatrzymywaliśmy się w galeriach, odpoczywaliśmy na ławce, kupiliśmy sobie

po parze rękawiczek na straganie i lody z polewą. Poprosiłam, żeby mi opowiedział o swoim synu, ale zgrabnie ominął temat, musiał to być wrażliwy punkt na jego mapie. Zaczęłam nalegać i pokazał mi jego fotografię. Był bardzo podobny do Natalki, Alex o tym wiedział. Jakie szczęście, że nie do swojej babci Zofii!

Zjedliśmy wczesną kolację w małym bistro przed teatrem, a potem, siedząc na balkonie w historycznym i kultowym miejscu, jakim jest Old Vic, przeżywałam naprawdę wielką duchową ucztę. Kiedyś, w zamierzonych czasach, jeździliśmy do Rzeszowa na Spotkania Teatralne, gdzie gościnnie występowały wielkie gwiazdy scen polskich. Teraz mój ulubiony (od dnia premiery filmu *American Beauty*) aktor Kevin Spacey wygłaszał ze sceny kończący sztukę monolog! Nie wiem, czy wzruszył mnie jego kunszt aktorski, czy raczej słowa, którymi podsumował spór toczący się w czasie procesu Scopesa, a może spowodowała to bliskość Aleksandra, jego zmrużone oczy i wystający spod mankieta koszuli szczupły nadgarstek, od którego nie mogłam oderwać oczu. Mrugnęłam powiekami raz i drugi, aż popłynęły mi łzy. Wstaliśmy z miejsc i biliśmy brawo całemu zespołowi na scenie. Byli świetni, Spacey i Troughton, a ja - zapłakana. Czubkiem palca wytarłam łzę, uważając, żeby Alex tego nie zauważył. Patrzyliśmy w dół na scenę i nagradzaliśmy aktorów owacjami na stojąco, nie byłam gotowa odwrócić głowy. Alex objął mnie ramieniem i lekko przycisnął do siebie.

- Kto by pomyślał, że razem obejrzymy taką zajebistą sztukę w Londynie - powiedział mi do ucha.

Wdychałam jego ciepło. Wychodziliśmy z teatru w pośpiechu, przeciskając się przez tłum. Jeżeli chciałam zdążyć na ostatni pociąg, a chciałam, musieliśmy się bardzo sprężyć. Alex zatrzymał taksówkę i w pierwszych słowach poinformował kierowcę, że mamy tylko dwadzieścia minut. Londyn był rozkopany, w nocy prowadzono większość robót drogowych, żeby nie paraliżować miasta, zgadywałam, że zapewne uwijają się tak przed Igrzyskami Olimpijskimi, które mają odbyć się w 2012 roku. Taksówkarz był Albańczykiem, niezbyt skorym do rozmowy, niewiele nam powiedział o tych wykopach. Staliśmy na

światłach i w korkach, ale na pięć minut przed odjazdem pociągu udało nam się odnaleźć właściwy peron na wielkim dworcu Liverpool. Można było przejść do pociągu tylko po włożeniu biletu do maszyny, więc Alex musiał zostać po drugiej stronie barierki. Trzeba było się tam pożegnać. Zanim się zorientowałam, jaki ma plan, już odbywał krótką rozmowę z pracownikiem ochrony i ten pozwolił mu wejść bez biletu na peron, żeby mnie odprowadzić. Podeszliśmy do ostatniego wagonu. Elektroniczny zegar zawieszony nad naszymi głowami wskazywał, że mamy na pożegnanie aż dwie minuty.

- Nie jedź. - Alex położył mi rękę na ramieniu, a potem ujął mnie za łokieć.

- Muszę. Emilia, pies, praca.

- Tak dobrze się czuję z tobą - powiedział cicho.

- Alex... Ja też. Było tak miło, że nie potrafię tego wyrazić. Kiedyjechałam na spotkanie z tobą, przeklinałam siebie, że nie umiałam się z niego wykręcić - przyznałam się. Spojrzał na mnie zaskoczony.

- Naprawdę?

- Owszem. Popełniłabym straszny błąd, gdybym tu wczoraj nie przyjechała. - Na dowód tego podniosłam w górę moją torebkę i potrząsnęłam jej zawartością. Zagrzechotały w niej wszystkie prezenty od niego. Chciałam jeszcze dodać, że wyjazd mi się opłacił, ale w pewnym momencie znów poczułam zbierającą się pod powieką łzę. Odwróciłam głowę, zaczynałam zachowywać się bardzo niepoważnie. Alex zrobił krok w prawo, abyśmy mogli na siebie patrzeć. Zajrzał w moją twarz.

- Hej, popatrz na mnie.

- Dziękuję ci za wszystko. Gdybyś kiedykolwiek jeszcze był w Londynie, to proszę, daj znać - powiedziałam, zastanawiając się, czy podać mu rękę, pocałować w policzek, czy go objąć na pożegnanie. Konduktor przeszedł obok nas i pokazał mi gwizdek. Zostało nam kilka sekund. Zaczęłam się wycofywać, ale Alex zatrzymał mnie, przyciągając do siebie. Położyłam obie dłonie na jego ramionach i przytuliłam się do niego. Trwało to kilka chwil. Uniosłam głowę, żegnałam go uśmiechem,

najpiękniejszym, na jaki mogłam się zdobyć. Wydawało mi się, że jeszcze raz powiedział „nie jedź!”, ale kiedy zaczął mnie całować, słowa już nie pchały się pomiędzy nasze usta. Oddawałam mu te pocałunki i zaciskałam palce na jego szyi. Wszystko było takie znajome, zapachy i odczucia, gładka skóra i miękkie usta. Jeszcze jedna stop-klatka: proszę się zatrzymać, wszyscy stańmy w miejscu i nie ruszajmy się ani na krok...

Konduktor odsunął się kilka kroków od nas, myślę, że w swojej wspaniałomyślności podarował nam kilkanaście sekund, ryzykując, że pociąg odjedzie spóźniony.

Izabela

Dziesiąty ślad hamowania

Radek stał w drzwiach łazienki i obserwował moje przygotowania przed lustrem. Rozpraszał mnie, ale powzięłam postanowienie, że nie dam się sprowokować przed wyjściem. Zawsze, kiedy się nagle zdenerwowałam, wychodziły mi na szyi czerwone plamy, a na dodatek czerwienił mi się również nos. Natalia poprosiła, żebym pojechała z nią po jej brata na lotnisko. Alex?! Naprawdę? Była to niespodzianka roku. Podobno w drodze do Polski zatrzymał się w Londynie na kilka dni, miał nawet zamiar odwiedzić moją siostrę, ale nie dowiedziałam się, czy doszło do spotkania, Natalia nie umiała mi powiedzieć. Trochę to dziwne, nie byli w wielkiej przyjaźni, to ja byłam jego najlepszą przyjaciółką, mnie pierwszej zwierzył się ze swoich planów wyjazdowych, byłam strażnikiem wielu jego tajemnic, ale potem wyjechał i już przy pożegnaniu uprzedził mnie, że wyjeżdża na zawsze. Przyznaję, w pierwszym roku kontakt się nieco rozluźnił, a potem nagle urwał, ale to, co najważniejsze, przetrwało.

Cieszyłam się, że go zobaczę, miałam same dobre wspomnienia z nim związane. Był doskonałym kompanem, świetnie opowiadał, miał masę szalonych pomysłów, a przede wszystkim był inny. Ciekawiło mnie, czy lata spędzone w Ameryce zmieniły go? Przeważnie ludzie powracający zza oceanu porażali nas „amerykanizmem”. Byli głośni, sztucznie spontaniczni, robujani tym swoim radosnym amerykańskim stylem, jaki na tle

polskiej smuty narodowej i ogólnie panującej postawy „ściśniętej dupy” po prostu kłuł w oczy. Czy będzie udawał, że zapomniał języka polskiego i maltretował nas ciągłymi wtrąceniami typu *really, well, no way, get outofhere..*} Tego bym mu nie wybaczyła, gdyby się stoczył w takie klimaty.

Malowałam usta czerwoną szminką, uważając, żeby nie wyjechać nią poza kontur. Przechodziły mnie dziwne dreszcze przed tym spotkaniem, a Radek to obserwował i posykiwał jak wąż. Wcześniej wydepilowałam każdy niesforny włosik na ciele, z tymi w miejscach intymnych włącznie. Wyszorowałam się aż do czerwoności skóry peelingiem z kawałeczkami pestek brzoskwiń, pofarbowałam siwiejące odrosty na włosach i zafundowałam sobie *manicure* w salonie kosmetycznym. Odkąd się dowiedziałam, że przyjeżdża, wstąpił we mnie nowy duch, obudziła się kobietka, trzpiotka, nastolatka. Nie byłam ładna ani nawet atrakcyjna, ale posiadałam tajemną wiedzę, jak wywołać wrażenie na mężczyznach. Nie musiałabym uczyć się latami tej sztuki, gdybym była choć w połowie tak ładna jak Natalia albo atrakcyjna jak Marlena. One miały łatwiej, wystarczyło, że się umyły i uczesały, i już mogły iść na podryw, ja musiałam zadać sobie wiele trudu i wydać sporo kasy, żeby nie być kocmołuchem. W zeszłym miesiącu zapłaciłam dwa tysiące złotych za zabieg upiększający. Pozwoliłam sobie wstrzyknąć trochę botoksu w zmarszczkę na czole pomiędzy brwiami i nieco wypełniacza wokół ust. Efekt przerósł moje najśmielsze oczekiwania. Wprawdzie była to część przygotowań do hucznych urodzin Radka, ale teraz ten wydatek miał się opłacić. Niech Alex widzi, że jeszcze się nie sypię!

- Tylko się nie posikaj z wrażenia! - Radek nie ukrywał swojej niechęci do moich starych znajomych, a teraz jego wrogość zaczęła obracać się w cynizm i wulgaryzmy. Przeczesałam włosy i zaczęłam się zastanawiać nad doborem perfum. Miałyśmy być na lotnisku w samo południe, więc należało spryskać się czymś lekkim i świeżym. Sięgnęłam po perfumy Aqua di Gio, Armaniego.

- Nie pamiętam, żebyś dla mnie tak się pacykowała. Wyglądasz jak Trojanowska z czasów, kiedy śpiewała z Budką Suflera.

Inni facet by cię pewnie nie puścił na takie spotkanie - drwił, chodząc za mną krok w krok.

- Radek, ja cię nie pytam o zgodę i daj mi się ubrać, bo się spóźnię. Kolega z klasy przyjeżdża po latach, to najciekawsze wydarzenie w tym roku. Zajmij się czymś! Małysz nie skacze dzisiaj? Nie ma meczu piłki ręcznej albo jakiejś Formuły Jeden?

Wysłałam z łazienki i przeszłam do sypialni. Przyłazł tam za mną.

- Ależ ty jesteś dowcipna... Wiesz, że zaraz wyjeżdżamy.

Oboje śpieszyliśmy się. Radek miał odwiedzić matkę do sanatorium w Krynicy Morskiej, gdzie postanowił spędzić jeden dzień. Konrad jechał z nimi, choć do końca walczył, żeby zostać w Warszawie. Kłóciliśmy się potwornie, krzyczałam, mój syn trzaskał drzwiami, Radek pukał się w czoło, ale nie interweniował. Chciałam mieć wolny dzień i wieczór, Natalia uprzedziła mnie, że odbędzie się uroczysta kolacja, napijemy się, może pójdziemy do jakiegoś klubu. Nie miałam zamiaru zęgnąć się z gośćmi o dwudziestej, żeby wracać do domu robić synowi kolację. Wynegocjowałam sobie ten wolny dzień, a Konrad jak wszystkie niewdzięczne dzieci nowoczesnej Europy myślał tylko o sobie. Mogłam poprosić matkę jego kolegi, żeby u niego nocował, ale wolałam tym obarczyć Radka, który bardzo rzadko udzielał się przy opiece nad synem. Powód? Praca zawodowa i zwyczajowe tłumaczenie, że jak chcemy żyć na przyzwoitym poziomie, on musi pracować na okrągło. Toteż pracował, a Konrada wychowywałam ja. Dobrze im zrobi taki integracyjny wyjazd na dwa dni. Babcia też będzie miała okazję zapoznać się z wnukiem, a zna go mniej niż wnuka sąsiadki, o którym zresztą nieustająco opowiada, czym nas zanudza.

Wyszliśmy z domu jednocześnie. Radek nie oszczędził mi kilku rad na pożegnanie, żebym się nie spiła, wróciła taksówką, nie zapraszała Alexa do nas i nie dała się głupiej Natalce namówić na jakąś dziwną eskapadę. Pocałował mnie w policzek. Konrad pożegnał mnie spojrzeniem, jakie inną matkę mogłoby zabić, ale nie mnie, ja już się uodporniałam. Kiedy wsiadał do

samochodu, odwrócił jeszcze głowę w moją stronę i pokazał mi język. Oczywiście, odwzajemniłam mu tę serdeczność.

Natalia podjechała pod nasz dom minutę po ich odejście. Całą drogę na lotnisko paplała o swoim nowym chłopaku, którego miałam okazję poznać na urodzinach Radka. Jak zwykle źle ulokowała uczucie i jak zwykle nie miałam odwagi jej o tym powiedzieć. Zresztą, przyjaźń nie polegała na waleniu prawdy w oczy, pouczaniu, nawracaniu, wygłaszaniu swoich opinii, ale na wsparciu i akceptacji decyzji drugiej osoby. Przynajmniej ja tak rozumiałam przyjaźń i jeśli Natalia mi mówi, że się zakochała po uszy i to jest ten, na którego czekała całe życie, nie miałam zamiaru pakować się do jej serca ze swoimi krytycznymi uwagami na temat wybranka. Nigdy nie czerpałam satysfakcji z wypowiedziania po fakcie tego przemądrzałego „A nie mówiłam?”.

Kiedy dotarliśmy na lotnisko, samolot z Londynu już wylądował. Na szczęście mama Natalii przyjeżdżała dopiero następnego dnia zobaczyć syna, rze musiałam się dodatkowo stresować jej obecnością. Ostatnia wspólna podróż wyczerpała moje zapasy wyrozumiałości. Jak to możliwe, żeby Zofia urodziła dwoje takich fajnych dzieci? Kręciłyśmy się niezdecydowane, rozglądając się na boki. A może przegapiłyśmy, jak wychodził? Zastanawiałam się, czy odnajdziemy się w tym morzu ludzkich głów.

Natalia nieoczekiwanie rzuciła się do przodu i nastąpiło cudownie egzaltowane powitanie brata i siostry. Całowali się i ściskali na przemian, a ja, stojąc zaledwie kilka kroków dalej, oniemiałam. Alosza w jednej chwili stał się Alexem. Nie zapowiadał się na przystojniaka, kiedy miał dziewiętnaście lat. Owszem, był wysoki, dobrze zbudowany, proporcjonalny pod każdym względem, ale teraz z Natalią ściskał się mężczyzna po prostu... odlotowy! Fryzura ala wczesny Beckham, niby poranne roztargnienie, niby „moje włosy żyją własnym rytmem”, do tego opalenizna na stałe, jaką mogą pochwalić się tylko osoby mieszkające w Kalifornii, kurtka, koszula, buty, wszystko w dobrym stylu, powiew nonszalancji i świeżości. Nie pamiętałam, czy Alex w młodości miał ładne zęby. Teraz miał. Przez kilkanaście sekund coś do siebie mówili i obdarzali się czułościami,

Natalia zapomniała, że stoję obok jak kolek w płocie. Czekałam jednak cierpliwie, aż się sobą nacieszą.

Kiedy przyszła kolej na mnie, serce zabiło mi mocniej, bałam się, że on może ten łomot usłyszeć. Obejrzał mnie sobie, obrócił dookoła i powiedział tyle miłych słów, że zadrżały mi kolana. Pewnie, że kłamał, ale nie zwracałam sobie tym głowy. Jaki on był piękny i niecodzienny! Czy nie zafundował sobie mniejszego nosa? Nie, twarz mu dojrzała i nos się zmniejszył, a poza tym nigdy nie był wielki. Chciałam natychmiast wynaleźć jakąś niedoskonałość w jego wyglądzie, ale szukałam na próżno. Aleksander Brach był ideałem, to on powinien był zagrać Skrzetuskiego w *Ogniem i mieczem*. Opuszczaliśmy terminal gęsiego, miło mi było stapać po jego śladach. To ja z nim do jednej klasy chodziłam? Naprawdę?

Zapakowaliśmy bagaże do samochodu Natalii i pojechaliśmy do hotelu. Alex usiadł za sterami, co trochę mnie zaniepokoiło.

- Nie roztrzaskamy się po drodze o jakiegoś bardzo kulturalnego kierowcę śpieszącego do pracy? - zapytałam, kiedy wjechał na główną ulicę.

- Zobaczymy. Hej, Izka, opowiadaj pierwsza, co u ciebie? Nie oczekiwałem cię w komitecie powitalnym, ale bardzo, bardzo mi miło, że się pofatygowałaś!

- No wiesz... Odwołałam spotkania, przełożyłam zebra-
nia, zawiodłam wiele osób, ale są rzeczy ważne i ważniejsze - zaćwierkałam.

- Żartujesz, oczywiście?

- Oczywiście.

Przez całą drogę do centrum mówiliśmy wszyscy naraz, wy-
pytywałam go o plany, o wrażenia i o samopoczucie. Nie nadażał z odpowiedziami. Natalia wtrącała się ze swoimi pytaniami, chciała nam przede wszystkim zareklamować swojego nowego ukochanego.

- Widziałeś się z Marleną w Anglii? - zapytałam.

Natalia siedziała obok niego i pilotowała przez miasto.

- Owszem. Nic się nie zmieniła, urocza jak zawsze - odpowiedział.

Nic nie wywnioskowałam z tonu jego głosu. Trochę byłam zazdrosna, że Marlena widziała go pierwsza po tylu latach, w końcu wcale nie była jego bliską przyjaciółką. Nie to co ja. Nie pytałam więcej o to spotkanie, jak będzie miał ochotę, sam temat rozwinie, a wtedy chciałam wrócić do naszych spraw.

- Poznam twojego nowego kawalera? Jak ma na imię? - Alex zwrócił się do siostry.

- Hubert. Hubert Gratt. Gratt przez dwa „t”. Ma dwadzieścia sześć lat i jest maklerem giełdowym - powiedziała z dumą.

Nie widziałam twarzy Alexa, nie wiem, jak zareagował. Owo drugie „t” pan Grat dodał sobie pewnie wtedy, kiedy zaczął pracować na giełdzie, jedna literka, a jaka różnica! Wyszłyżdałam w duchu wszystko, co było z nim związane, nie przypadł mi do gustu przy pierwszym spotkaniu. Może był skrępowany obecnością gości Radka, ale gdyby był tak obyty, jak zapewniała Natałka, poradziłby sobie w każdym towarzystwie. Nie włożył żadnego wysiłku, żeby mnie sobie zjednać, bardzo brzydko z jego strony. Natalia przez resztę drogi opowiadała nam, jak się poznali, jak ukochali i jak im ze sobą dobrze. Nie kłóca się, lubią jeść to samo, słuchają tej samej muzy, uwielbiają polskie kino, są spod tego samego znaku zodiaku. Szkoda, że nie mają takie samego rozmiaru buta!

- Polubisz go, Alex, Izka, powiedz, że jest super. - Natalia odwróciła się do mnie.

- Super. Naprawdę klasa gość - potwierdziłam z ochotą.

Alex posłał mi szybkie spojrzenie w lusterku, usłyszał w moim głosie dokładnie to, co tam umieściłam.

W hotelu Sheraton nigdy nie byłam. Alex wyjaśnił szybko, że znajomy znajomych ma tu spore zniżki jako stały klient, więc skorzystał z oferty. Nie chciał wyjść na snoba, a ja bym i tak nie miała nic przeciwko spędzeniu wieczoru z takim snobem jak on. Nie ma się czego wstydić - masz kasę, to sobie nią szastaj dla własnej przyjemności, pław się w luksusach bez poczucia winy. A że innych nie stać na to samo, trudno.

- Jako młody człowiek obiecywałam sobie, że kiedyś, jak będę miał pieniądze, spędzę chociaż jedną noc w hotelu Victoria

w Warszawie. Nie wyobrażaliśmy sobie wtedy bardziej luksusowego miejsca w tym kraju, a mogliśmy go tylko oglądać na filmach. Ten hotel naprawdę sporo występował w polskich produkcjach. - Alex rozglądał się po wnętrzu. - Ale jak przyszło co do czego, to wybrałem ten, jakoś mi przeszła miłość do Victorii. Pamiętasz, Izka?

Pamiętałam, a jakże: „Victoria hotel, hotel twoich snów, tutaj jak w telewizorze jest niebo...”.

Weszliśmy do środka. Natalia rozglądała się jak małe dziecko zwiedzające Pałac Kultury i Nauki w latach siedemdziesiątych. Musiałam własnoręcznie zamknąć jej szczękę. Od progu wypatrzyliśmy dwóch znanych polityków i jednego dziennikarza z lokami, któremu z pewnością zawsze cuchnie z ust. Popijali sobie kawkę, a my rozsiedliśmy się obok. Kelner nie zdążył jeszcze do nas podejść, kiedy Alex wrócił z recepcji, zgłaszając, że formalności dopełnione i idzie się szybko przebrać do pokoju. Musiałyśmy mu towarzyszyć. Pojechaliśmy windą na górę obejrzeć apartament, a raczej pokój typu Deluxe. Obie z Natalią z piskiem rzuciłyśmy się na wielkie łożo. Kątem oka zaobserwowałam, jak Alex zręcznie wręczył napiwek boyowi hotelowemu, ale cóż się dziwić, przyjechał z kraju, gdzie ów napiwek wynaleziono. Poczekałyśmy chwilę, aż się rozpakuje i zeszliśmy z powrotem na dół do kawiarni.

Rozmawialiśmy tak, jakbyśmy rozstali się zaledwie przed miesiącem, nie siedemnaście lat temu. Zarzucaliśmy się wspomnieniami i opowieściami, rywalizując, kto więcej pamięta. Po godzinie trajkotania Natalia pojechała po swojego ukochanego, zostawiając nas samych. Nie wiem, dlaczego Hubert po prostu nie wziął taksówki, tylko ciągnął ją w godzinie szczytu przez miasto, mogłam mieć tylko nadzieję, że nie z chytryści.

Zamówiliśmy jeszcze jedną kawę i po kieliszku koniaku. Nie ustalając tego wcześniej, oboje waliśmy koniak do kawy.

- Tylko w takiej formie wchodzi mi koniak - powiedział, mieszając malutką łyżeczką w filiżance.

- Alex, tak się dziwnie czuję, że siedzisz tu przede mną, jakby mi się to wszystko śniło. Nie jesteś podobny do siebie sprzed lat,

ale patrząc na ciebie, czuję się jak przed maturą. Przypominasz mi to, co najlepsze w moim życiu... - mówiłam, nie odrywając od niego oczu.

Nie chciałam robić żadnych aluzji, byłoby to chyba krępujące na trzeźwo, ale myślałam o tym. Dzień przed maturą straciłam z Alexem dziewictwo. Uczyliśmy się razem do egzaminu z języka polskiego. Bardzo mi pomagał zdyscyplinować się w ostatnie dni przed pisemnym i niespodziewanie dla nas obojga z dymu papierosowego, nieprzespania i strachu przed tym, co miało nastąpić następnego dnia, wyłoniła się nagle mocno erotyczna aura. Nie wiem, czy byłam jego pierwszym doświadczeniem seksualnym, pytałam, ale nie odpowiedział, natomiast on dla mnie tak, w ten sposób przeszedł do historii. Nie zniszczyło to naszej przyjaźni, ale też i nie powtórzyliśmy więcej tego wybryku na podłodze, właściwie sama nie wiem dlaczego. Wtedy poczułam wielką ulgę, że mam to już za sobą i na pewno nie kwiczałam z rozkoszy. Nie miałam ochoty wracać pamięcią w szczegółach do tego wieczoru, który od początku do końca traktowałam wyłącznie jako przykry zabieg chirurgiczny. Ufałam mu, a ten Alex, który teraz siedział przede mną, z tamtym miał niewiele wspólnego.

- Hej, nie zawieszaj się, co tam ci się kotłuje w głowie? - wy-rwał mnie z zamyślenia. - Nie mogę ci powiedzieć. - Iskierka w oczach mnie zdradziła. Uśmiechałam się znad filiżanki kawy. Naga na kocu leżałam sobie odwrócona plecami do kolegi z klasy, który pozbawił mnie cnoty. Kiedy się zorientował, że to będzie pierwszy raz, chciał się wycofać, ale mu nie pozwoliłam. Czy pamiętał swoje zażenowanie, kiedy podawał mi podkoszulek, żebym się wytarła, zanim wstanę? A gdybym tak wtedy zaszła w ciążę? Takie młodzieńcze „uważanie” nie było najpewniejszą z metod antykoncepcji.

- Izka, Boże, jak to było dawno temu. Założę się, że nawet nie pamiętasz szczegółów.

Wywołał lekki rumieniec na mojej twarzy.

- Pamiętam. - Pogłaskałam go po twarzy wierzchem dłoni. Leciłam w przepaść nierealnych tęsknot.

- A jak tam twoje sprawy? - Zgrabnie zmienił temat, słusznie oceniając, że nie czas i nie pora na takie wspomnienia. - Mąż cię nie bije? Syn będzie piłkarzem?

Opowiedziałam mu krótko o moim małżeństwie. Trwałe, poukładane, na solidnych fundamentach. Postawiliśmy dom, syn nam się udał, piłkarzem na szczęście nie chce być, nie chorujemy, mamy oszczędności, przyjaciół, jeździmy na zagraniczne wakacje i niczego nam nie brakuje. Prawie niczego. Zachowałam się po amerykańsku w swojej opowieści i szybko się odnalazłam jako narrator tryskający optymizmem. Jest tak fantastycznie, że po prostu nie może być lepiej, bo mogłoby nam się to doczesne życie pomylić z rajem. Wystarczyło jedno spojrzenie w jego oczy, żeby przekonać się, iż wie, że zmyślałam.

- Pewnie, że kłamie, ale nie mam zamiaru truć, lepiej opowiedz mi coś o swoich sprawach sercowych. Natalia mówiła, że się rozwiodłeś niedawno. Ile lat ma twój syn? Sześć?

- Scott ma pięć lat i mieszka z mamą w Nowym Jorku. Rozwiodłem się dwa lata temu. Jeszcze po koniacku? Czuję się jak na delegacji. - Zachichotał nagle.

- Dużo jeździsz po Stanach? - Zgodziłam się na jeszcze jeden koniak. ^

- Sporo, ale nie narzekam, lubię się przemieszczać. Lubię lotniska, hotele, nowe zapachy, spotykać ciekawych ludzi w drodze, tak jak ja. Fascynuje mnie świat podróżujących ludzi. Chciałbym o tym napisać książkę, jak przejdę na emeryturę.

Ja nie miałam dla niego żadnych ciekawych opowieści z podróży, chyba że musiałabym wspomnieć o Tomaszu i Tomaszowej oraz ich ekonomicznym podróżowaniu przez Europę. Może kiedyś mu opowiem.

- A co z twoją pracą?

- Zwolniłem się z firmy, teraz robię sobie przerwę, jak wrócę do Stanów, rozważę te propozycje, jakie mam. Żadna nie jest szczególnie ciekawa, chciałbym robić coś innego. Nie będę już siedział przed komputerem, to postanowiłem, a resztę się zobaczy - powiedział wymijająco.

- Po co naprawdę przyjechałeś do Polski? - wypaliłam bez ostrzeżenia. Niestety, miałam taką podejrzliwą naturę. Nie

przyjmowałam do wiadomości, że po tylu latach, ot tak się po prostu wraca do ojczyzny na długie wakacje. Przyszło mi nawet na myśl, że może Alex jest ciężko chory, umierający i przyjechał się pożegnać. Spodziewałam się, że nam to oznajmi pod koniec wieczoru. Wypytywałam go nadal, coraz natrętniej.

- Jeśli ci powiem, że zatęskniłem za krajem, to pewnie nie uwierzysz. Masz rację, ale wiesz co, nie mówmy o tym, to sprawy delikatnej natury.

- Ciekawe, ile tu wytrzymasz? Niech to zabrzmi, jak chce, ale ty tu nie będziesz pasować do tej scenerii, tych byle jakich ludzi, zaraz cię wszystko zacznie wkurzać i z pewnością przyspieszysz powrót do Ameryki.

- Dziwne, twoja siostra wróżyła mi podobnie. Macie mnie za mięczaka najwyraźniej. Ja w zasadzie mogę żyć wszędzie, nie przywiązuję się do miejsc ani do przedmiotów. Gdybym nie miał syna, zmieniałbym miejsce zamieszkania regularnie. Kusi mnie pewna firma z Izraela, ale obawiam się, że jak miesiącami nie będę widywał dziecka, to o mnie zapomni i stanę się dla niego obcym człowiekiem.

Kiedy to mówił, marszczył czoło w jakimś grymasie bólu. Nie wiedziałam, jak pociągnąć ten temat, ale było jasne, że w tym układzie nie wszystkie trybiki przekręcają się na czas. Zapytałam, czy często spotyka się z synem.

- Według łaskawości mojej byłej żony, a ona szczególnie łaskawa nie jest. Po powrocie z Polski zamieszkać w Nowym Jorku, będę miał bliżej do tych wyliczonych i odmierzonych spotkań ze Scottem. A twój syn? Ile ma lat?

Opowiadałam mu wersję skróconą mojego macierzyństwa i przeprowadzki do stolicy. Słuchał, ale nie udało mi się go zainteresować, cały czas uciekał gdzieś myślami. Wypytał mnie jeszcze szczegółowo o Justynę i jej babcię, napomknął, że rozmawiał z Marleną na ten temat i że ona szykuje jakiś plan. Nie skomentowałam.

Powspominaliśmy placki pani Borkowej, jakie Danką przez cztery lata liceum przywoziła nam z domu. Zajadaliśmy się sernikami, jabłecznikami, kremówkami i biszkoptami z polewą

czekoladową. Mama Danki to była prawdziwa czarodziejka wypieków! Nikt nie miał takiej ręki, nawet nasze mamy. Alex przypomniał mi, jak złożyliśmy się na prezent dla pani Borkowej w podziękę za te wszystkie pyszności. Kupiliśmy jej zelmerowski mikser. Zupełnie o tym zapomniałam.

Powrót Natalii z Hubertem zgasił atmosferę wspomnień. Zrobiło się trochę zamieszania z powitaniem, przedstawianiem i szuraniem krzesłami. Siedzieliśmy przy małym stoliku, zrobiło się bardzo ciasno. Natalia promieniała u boku maklera giełdowego. Żeby być sprawiedliwą, muszę dodać, że on też wydawał się nią zauroczony. Dotykali się czule, wymieniali słodkie spojrzenia, tręcali ramionami, wykonywali taniec godowy w duecie. Hubert trochę zbyt nachalnie wypytywał Alexa o pracę dla jego byłej firmy, ale mój kolega radził sobie doskonale, odpowiadał grzecznie na pytania, ale informacje dawkował maleńkimi łyżeczkami, tak maleńkimi jak ta spoczywająca na brzegu filiżanki z kawą.

Zamówili sobie butelkę wina i rozmowa popłynęła wartko jak górski strumyk. Ja po trzeciej dawce koniaku zaczęłam opowiadać najśmieszniejsze historie ze szkoły, swoim zwyczajem ubarwiając je, aby słuchacza zainteresować i zjednać. Hubert dziwił się, że taka fajna szkoła istniała na terenie „Polski B”. Podawał się za warszawiaka, nie dopuszczał do siebie tezy, że poza stolicą może toczyć się jakieś ciekawe intelektualnie czy rozrywkowo życie. Alex pamiętał więcej anegdot i ciekawiej opowiadał, aż w końcu Natalia musiała nam przerwać, w trosce, że zanudzamy jej chłopaka. Zaprotestował bez przekonania, ale stanowczo pewniej poczuł się, kiedy rozmowa zeszła na tematy mamony, samochodów, wielkiego świata i podróży. Opowiadał tajemniczo o swoich klientach, wielkich interesach na Kajmanach, luksusowych dziwkach i kolegach z pracy wciągających kokainę. Może moja wcześniejsza opowieść nie była najciekawsza, ale to, co opowiadał Hubert, Alexa zupełnie nie interesowało. Ponieważ jednak był grzecznym i kulturalnym facetem, słuchał i nie przerywał.

Kolację zjedliśmy w hotelu, mimo protestów Natalii, która zarezerwowała dla nas stolik w Bistro de Paris na Placu

Piłsudskiego. Dała się jak dziecko, ale my byliśmy już rozbawieni i nie chciało nam się zmieniać lokalu. Kelner zapewnił nas, że mają świetną kuchnię i powinniśmy zostać na kolację. Bar, owszem, serwował wspaniałe dania z grilla oraz *live music*. To nam wystarczyło, przenieśliśmy się do supernowoczesnych wnętrz i zrobiło się od razu modnie i zagranicznie. Alex chyba nie był zachwycony, za to Hubert wręcz przeciwnie. Przejął obowiązki gospodarza, zadeklarował przy wejściu, że zna się z barmanem, zamówił nam kaczkę i jakieś inne mięswo. Nie pytał, na co mamy ochotę, ale nie wydało mi się to niegrzeczne. Było mi wszystko jedno, co zjem, byle usadowić się obok Alexa. Natalia przestała marudzić i zaczęła pić te swoje kolorowe koktajle, podrygując w takt muzyki. Emanowała młodością zabarwioną infantylnością. Nie potrzebowała wiele, żeby poczuć się bezgranicznie szczęśliwą i spełnioną. Patrzyłam na jej wygłupy z zazdrością.

- Chyba zostaniemy na noc w tym hotelu, Hubert poszedł zapytać, czy są wolne pokoje. - powiedziała nam pomiędzy łykami koktajlu. Była już jedenasta, mijała ósma godzina naszego spotkania, zaczęło wciskać się pomiędzy nas zmęczenie. Jedynie Alex wydawał się trzeźwy i rześki. Był najbardziej interesującym mężczyzną w tym barze. Młode dziewczyny rzucały mu zachęcające spojrzenia; teraz młodzież jest bardzo bezczelna. Siedziały przy stolikach w towarzystwie swoich amantów, a rozglądały się po barze niczym sroki śledzące otoczenie z gałęzi drzewa. Denerwowało mnie, że gapią się na Alexa, wszyscy się na niego gapili, mężczyźni też, a on ani na chwilę nie opuszczał naszego towarzystwa. Był z nami, w przeciwieństwie do Huberta, który cały czas się rozpraszał i wiercił, dziwię się, że głowa nie zamieniła mu się w lotniskowy radar od tego ciągłego kręcenia. Alkohol nieładnie wpływał na jego krążenie krwi. Zrobił się czerwony na twarzy, choć powinien raczej powiedzieć: na pysku. Nie miał za grosz szlachetności w rysach. Taki topór w drogim gangu. Zniknął chyba trzy razy, ale w końcu się uspokoił, kiedy przyniósł nowinę, że udało mu się zarezerwować pokój w hotelu. Chciał nam powiedzieć, ile to będzie kosztować, ale Natalia wyhamowała jego zapędy nie aż tak dyskretnie, jak jej się wydawało.

Podobała mi się muzyka na żywo, Kanadyjczycy z zespołu Cease and Desis przypadli mi bardzo do gustu, w pewnym momencie nawet poszłam do nich zagadać, ale Alex szybko mnie przyprowadził z powrotem do stolika. Uznałam, że nadszedł odpowiedni moment, żeby przestać pić. Natalia też już miała dość, ale dzielnie dotrzymywała kroku Hubertowi, który zaczął bełkotać:

- Nie jest tak źle w Polsce, ale musisz trzymać się Warszawy. Gdybyś chciał zmienić miejsce zamieszkania, to musisz trzymać się dużego miasta! Warszawa, chłopie! Tylko Warszawa. Pomogę ci się ustawić! - powiedział, a zaraz potem przesiadł się, wciskając swoje cztery litery pomiędzy mnie a Alexa. Chciałam go wypchnąć siłą, ale się nie dał, zarzucił już kotwicę. Natalia była uradowana, wydawało jej się, że jest świadkiem zawiązania wielkiej przyjaźni pomiędzy rodzonym bratem a ukochanym. Ja zaczynałam trzeźwieć, więc ten jej Hubert mnie tylko i wyłącznie denerwował. Alex maskował znużenie, raz po raz zagadując do mnie. Nie udawało mi się jednak przekrzyczeć Huberta, który wychwalał Warszawę i jej uroki.

- Hubert, gdybym chciał mieszkać w dużym mieście, to bym zamieszkał w Nowym Jorku albo w Londynie. Na pewno nie w Warszawie - odpowiedział mu z uśmiechem.

- Warszawa jest naładowana. Jak będziesz chciał, pokażę ci w stolicy zajebiste miejsca, tu jest moja wizytówka, mam też niezłe koleżanki w pracy, jakbyś chciał się zabawić. Przysięgam, porządne dziewczyny... Od słowa „pożądać”, rzecz jasna! Nie byłem w Stanach, ale się wybieram. Natalia! Jak myślisz, zaprosi nas do siebie twój brat? - Obejmował ramieniem Alexa w ten sposób, że wpakował mi swój łokieć w oko. Alex to zauważył i delikatnie wyzwolił się z jego uścisku.

- Pewnie, że zaprosi. - Natalia nachyliła się i pogłaskała brata po policzku.

Zapraszał ją regularnie raz na dwa lata, kupował bilet i leciała do niego na dwa tygodnie. Wracała zawsze z mocnym postanowieniem, że kiedyś zostanie w Stanach na stałe, ale dopóki żyła ich mama, nie było to możliwe.

- Zawsze chciałem przejechać sławną trasą 66 z Chicago do Los Angeles - głądził dalej Hubert. - Na Harleyu na przykład albo jakimś wypasionym cadillackiem. Bracie, jakie tam przygody czekają na takich wolnych ptaków jak ty i ja!

Nie włączałam się w dyskusję, wystarczyło mi bezmyślne gapienie się na Alexa. Nastąpiło przedziwne zjawisko. Im więcej pił, tym był bardziej trzeźwy! Hubert zalewał się pijackim potem, szarpał kołnierzyk koszuli i pstrykał zapalniczką.

- Przejeżdżałem tą trasą. Nuda. - Alex mrugnął do mnie porozumiewawczo.

- No co ty? Izka, jedziesz z nami? Pojedziemy we czwórkę.

- Hubert, mam prośbę. Nie mów do mnie: Izka! To jest zdrobienie zarezerwowane tylko dla najbliższych - powiedziałam poirytowana. Alex wstał i przesiadł się obok mnie.

Hubert stawał się coraz bardziej pijany i nieznośny. Kelnerowi kazał się odwalić i bez przerwy dopraszał się powtórzenia zaproszenia do Ameryki. W końcu Alex nie wytrzymał:

- Chłopie, to już nie czasy PRL-u, że trzeba było mieć zaproszenie do Stanów, dzisiaj jak chcesz, to wsiadasz w samolot i lecisz do Ameryki, i nikt cię nie zapyta, do kogo lecisz, gdzie się zatrzymasz, czy masz bilet powrotny. Jak będziesz w Stanach, to daj znać, może się spotkamy.

Natalia pokiwała głową i znów zadeklarowała, że poleca razem, ale Hubert jeszcze o coś pytał, próbował ustalić termin, miejsce *meetingu*, zanudzał do granic wytrzymałości. Miał może czerwone szelki, ale nic poza tym nie świadczyło o tym, że jest błyskotliwym młodzieńcem pracującym na giełdzie. Wprawdzie warszawska giełda to nie Wall Street, a WIG to nie NASDAQ[^] ale szpanować można było do woli, przedstawiając się jako Pan Broker. Hubert tak o sobie zaczął przed chwilą mówić i wtedy wszystko się we mnie zagotowało. Natalia! Co za palanta kochasz?!

Kiedy nareszcie poszli do swojego pokoju, odzyskałam dobry humor. Znowu zostaliśmy sami i można było nacieszyć się chwilą. Alex nie skomentował w żaden sposób zachowania rekina

z giełdy ze względu na Natalię, ja natomiast nie czułam potrzeby tuszowania uczuć.

- Co za dupek. Za miesiąc będzie po wszystkim - zawyrokowałam, ale on się tylko uśmiechnął.

- Dobrze znałaś Karola? - zapytał nagle.

- Jakiego Karola? Wojtyłę?

Alex roześmiał się.

- O Wojtyle opowiesz mi potem, a teraz pytam o męża Danki. Co to był za koleś?

- A taki tam drobny pijaczek. Był i już go nie ma. - Nie chciało mi się o północy opowiadać mu u Karolu.

- Dużo o tym myślałem. Zabicie człowieka nie jest jednak takim sobie wyczynem, Danką musiała być w jakiejś niewyobrażalnej desperacji. Kiedy odebrali jej syna?

- Jakoś zaraz przed zabójstwem, pewnie obwiniała o to Karola i wrzuciła mu ten grzejnik do wanny czy co to tam było, na prąd w każdym razie. W Anglii nie wolno mieć gniazdka elektrycznego w łazience, więc Danką jakiś przedłużacz pociągnęła z holu lub coś w tym stylu, sama nie wiem. Nikt za bardzo o tym nie chce gadać, Marlena wie najwięcej, ale my chwilowo nie gadamy w ogóle... - zawiesiłam głos.

- Tak, wiem. Trzeba wyprostować ścieżki, im prędzej, tym lepiej, i tak już sporo czasu upłynęło.

- Ej, panie mediator... - Szturchnęłam go zakrzywionym palcem, który złapał szybkim ruchem.

- Przyjaciół, nie mediator, a to wielka różnica.

Pocałował mnie w rękę i puścił. Topniałam od środka, miałam wewnątrz galaretkę, która wypełniała całe moje ciało. Dopiłam drinka i poprosiłam, żeby mi zamówił taksówkę. Dwie godziny temu napisałam Radkowi, że jestem w drodze do domu. Jeśli zechciał to sprawdzić i zadzwonił do domu na telefon stacyjny, to już po mnie. Odpisał: „baw się dobrze”. Bawiłam się dobrze, może nawet aż za dobrze.

Akx wyszedł ze mną na zewnątrz i razem czekaliśmy na taksówkę. Kiedy podjechała srebrna laguna, pierwszy zagadał do kierowcy, a potem otworzył mi drzwi.

- Nie będziemy się wielce żegnać, bo jeszcze nie raz się spotkamy w ciągu następnych tygodni.

Cmoknął mnie w policzek i delikatnie wepchnął na tylne siedzenie.

- Dobranoc - zdążyłam powiedzieć, zanim zatrzasnął drzwi.
- Do zobaczenia.

Samochód ruszył gwałtownie, a ja opadłam na oparcie. Nie czułam się pijana ani nawet zmęczona. Zapytałam kierowcę, czy mogę zapalić, a ten grzecznie odmówił. Poprosiłam, żeby się w takim razie zatrzymał. Nie był zadowolony, ale nie zaprotestował. Niechętnie wręczył mi dwieście złotych, „jakie ten pan dał mu za kurs” i pojechał. A jedź w cholerę! Usiadłam na ławce i wygrzebałam papierosy z torebki. Wypaliłam tego wieczoru już dość dużo, czułam nadciągające mdłości, ale zaciągnęłam się jeszcze kilka razy. Usiłowałam nie myśleć o tym, co zamierzałam zrobić. W telefonie sprawdziłam nieodebrane połączenia. Wszystkie od Radka. Napisałam mu sms-a, że nocuję u Natalii, bo tam zakończyliśmy wieczór. Miasto jeszcze nie udało się na spoczynek, choć trudno było wyczuć jego puls. Czy ja dobrze czułam się w Warszawie? Wiedziałam, że będę musiała się nad tym zastanowić, ale dopiero wtedy, gdy wyjaśnię sama ze sobą sprawę fascynacji Alexem.

Zadzwoeniłam po taksówkę.

- Sheraton - wydałam rozkaz i zaczęłam robić sobie przegląd zębów w lusterku od puderniczki.

Nie znalazłam żadnych resztek jedzenia. Chuchnęłam na dłoń przystawioną do ust. Szybko sięgnęłam po gumę do żucia. Szybciej, szybciej, zanim się rozmyślę, panie kierowco!

Kiedy stanęłam pod drzwiami pokoju Alexa, nadszedł moment zawahania. Nasłuchiwałam przez chwilę, zanim zdecydowałam się zapukać. Wyplułam miętową gumę do żucia w serwetkę i czekałam, aż mi otworzy. Liczyłam sekundy.

- Iza? - Stał w drzwiach niezdecydowany, co zrobić z koleżanką ze szkoły. Miał na sobie czarne bokserki i trzymał w dłoni ręcznik, najwyraźniej wyrwałam go z łazienki. - Co się stało? - zapytał, ale nie wykonał zapraszającego mnie do środka gestu.

Czy była to poniżająca chwila? Jak najbardziej. Oczekiwałam więcej entuzjazmu, miałam nadzieję, że rzucimy się sobie w ramiona, że wciągnie mnie do pokoju i wylądujemy w łóżku. Miałam również nadzieję na fajerwerki.

- Jak mnie teraz odeślesz do domu, już nigdy się do ciebie nie odezwę - powiedziałam i przestąpiłam próg. Zrobił dwa kroki w tył, żeby pozwolić mi wejść. Rzuciłam torbę na stolik i usiadłam na brzegu łóżka. Alex odłożył ręcznik i podszedł do okna. Stał odwrócony do mnie plecami. Trwało to wieki, nie miał pojęcia, jak z tego honorowo wybrnąć, żeby nie pojawiła się żadna skaza na jego połyskującej reputacji dżentelmena. Ja siedziałam jak pacjent na kozetce u psychiatry i nie zamierzałam ruszyć się z miejsca. Nie było mi wszystko jedno, to nie był ten etap zapomnienia się, moja świadomość współpracowała ładnie z moimi pragnieniami.

- Iza, to nie jest dobry pomysł - powiedział po chwili. Sama o tym wiedziałam, ale było już dla mnie za późno. Przeszłam do łazienki, zamknęłam drzwi i usiadłam na sedesie. Powoli zdjęłam buty, pończochy, a potem rozebrałam się do naga i obwinęłam ręcznikiem. Udało mi się nie spojrzeć w lustro ani razu, nie chciałam zobaczyć siebie w takim momencie. Kiedy wróciłam do pokoju, Alex kompletnie ubrany stał przy łóżku z moją torbą w ręce.

- Sprawy się niepotrzebnie skomplikują, jeśli zostaniesz. Rano będziesz żałować i będziesz mieć do mnie żal. Odwiozę cię do domu - próbował mi przemówić do rozsądku.

Zrzuciłam ręcznik i stanęłam naprzeciwko niego. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę. Szukałam w jego oczach chwili sprzed lat, kiedy odłożyłam książkę, rozciągnęłam się na podłodze w maleńkim pokoju ciasnego mieszkańca jego mamy i powiedziałam: „teraz albo nigdy”. Wtedy Alosza, trochę zdezorientowany, trochę przerażony, położył się obok mnie, a potem zgrabnie i delikatnie spełnił moje życzenie. Dlaczego teraz nie mogło być tak samo?

Marlena

jedenasty ślad hamowania

Bardzo chciałam opowiedzieć Izcie o tym, co zaszło. Ciekawa byłam jej reakcji na moją rewelację sezonu: „Hej, Izka, nie uwierzysz, Alex mnie pocałował na peronie i to w taki sposób jak jeszcze nikt nigdy, a porównanie mam, bo przecież byłam dwa razy mężatką i miałam jeszcze jednego kochanka pomiędzy ślubami”. Iza wystawiłaby wówczas na widok publiczny swoje piękne zęby i z pewnością skomentowałaby szaleństwo swojej siostry jakąś sarkastyczną uwagą. Izka nie zobaczy w nim tego co ja. A co mnie olśniło? Położyłam się w wannie, pod pianą, zanurzyłam głowę pod wodą i zatrzymałam oddech na kilkadziesiąt sekund. Nie spałam w nocy, przyciskałam telefon do poduszki, ale nie dostałam żadnej wiadomości. Obudziłam się tak późno, że nie usiłowałam nawet iść do pracy. Pochrzakałam i pokaszlałam w słuchawkę, a ponieważ jeszcze nie chorowałam, odkąd mnie zatrudniono w tej firmie, udało mi się odegrać początki grypy niezwykle wiarygodnie. Nic nie interesowało mnie w życiu mniej niż moja obecna praca w firmie ubezpieczeniowej. Trzeba to zmienić w trybie natychmiastowym - to było postanowienie numer jeden.

Ostrożnie, żeby nie narobić sobie zbyt wielkiego apetytu i zbyt śmiałych planów na przyszłość, zabrałam się ochoczo za porządkowanie spraw w języku polskim nazywanych sprawami osobistymi. Mój tato zwykł mówić: „zdradź Panu Bogu swoje plany, a cię wyśmieje”.

Bardzo cichutko, pod nosem, marzyłam o czymś więcej niż tylko o pośpiesznym pocałunku na peronie, ale nie zdecydowałam się w myślach stanąć na lodzie, bo mógł okazać się on zbyt cienki. Zabrałam się więc za to, co leżało pod moim progiem i czekało na ostateczne przygniecenie obcasem. Zadzwoiłam do Ivany i umówiłam się na popołudnie. Znalazła dla mnie czas, bo z góry zapowiedziałam, że mam dobre wieści.

- Biorę, co oferuje - powiedziałam z uśmiechem od progu.
- Nie mam zamiaru ciągnąć tego rozwodu jeszcze rok! Dosyć. Chcę być wolna jak najszybciej.

- Dobrze. Jutro napiszę do jego adwokatki. - Ivana przyjęła moją wiadomość ze spokojem, nie sprawiała wrażenia zaskoczonej. Pewnie większość klientów tak postępuje. Z początku walczą, pienią się, rozdierają szaty, nienawidzą i złorzeczą, aby na koniec z kwaśną miną przystać na propozycję drugiej strony. Nie wiem, czy spotkanie Alexa tak na mnie wpłynęło, ale nagle zaczęło mi się wydawać, że jestem młoda i jeszcze wszystko przede mną. Jeszcze zarobię na dom, na emeryturę, na wakacje w Toskanii, mam czas i nieograniczone możliwości. Motyle w brzuchu to jedno, a skrzydła u ramion to drugie. Nie objaśniałam swojej wewnętrznej transformacji adwokatce, jeśli jest tak inteligentna, jak podejrzewam, sama się domyśli. Takie zmiany w kobiecie mogą zajść tylko „na tle sercowym”.

- Bardzo proszę, napisz do nich jeszcze dziś, że godzę się na sto tysięcy funtów, ale chcę zatrzymać samochód. To wszystko, chyba nie można nazwać mnie chciwą?

Ivana entuzjastycznie zaprzeczyła i usiadła przed komputerem. Podśpiewywałam sobie, kiedy stukała w klawisze. Piękny początek tygodnia, nawet jeśli odczuwa się pierwsze symptomy grypy. Po „chorobie”, którą zaplanowałam na pięć dni, żeby nie nadużywać niczyjej cierpliwości, miałam zamiar złożyć wymówienie.

Ivana pisała bardzo długo, wciąż wstawała od biurka i z wielkim trudem znów przy nim siadała. Miałam wrażenie, że wykracza poza swoje służbowe obowiązki i oddaje mi przyjacielską przysługę lub nie ma po prostu nic innego do roboty i dla zabicia

czasu zajmuje się moim rozwodem. Kiedy skończyła, skonsultowała ze mną ostateczną wersję, a potem cała w skowronkach opuściła jej biuro. Spodziewałam się być rozwiedziona w okresie nie dłuższym niż cztery tygodnie. Gdyby ktoś wpuścił teraz sondę w głąb mojej duszy, przekonałby się, że nie ma tam nic poza uczuciem ulgi. Przebolełam fakt, że Alan oszukał mnie na dużą sumę, złość przeszła mi bardzo szybko, nie celebrowałam okresu wielkiej smuty i nie odczuwałam już skutków tego nagłego wstrząsu, jaki przeżyłam, kiedy powiedziano mi o rzekomym bankructwie mojego męża. Machnęłam na to ręką, demonstrując raz jeszcze swój pogardliwy stosunek do pieniędzy. Wolność nie miała żadnej ceny.

Wróciłam do domu po lunchu z butelką wina i bagietką pod pachą. Sąsiad, którego uwielbiałam za dwie rzeczy - poczucie humoru i przechowywanie mojego psa w okresach mojej nieobecności - jako pierwszy dowiedział się, że kończę negocjacje i naprawdę się rozchodzę z mężem! Udawał, że się namyśla, a potem, ponieważ znał sprawę Danki, wypalił z odpowiedzią:

- Może trzeba było powiedzieć tej twojej koleżance, że w tym kraju można się rozwieść, nie trzeba od razu męża zabijać, jak już się znudzi...

Pogroziłam mu palcem. Pewnie, że mnie to rozśmieszyło, ale nie byłam gotowa na szybką i błyskotliwą wymianę zdań. Podziękowałam za przechowanie Puszkina i obiecałam, że upiekę mu placek z jabłkami w następnym weekend. Zaświeciły mu się oczy i zaraz zaferował, że przywiezie mi jajka z fermy, które nie cuchną paszą. Dobrze, ale nie dzisiaj, dzisiaj chciałam rozmyślać i marzyć. Chyba po raz pierwszy od dnia wyprowadzki z domu poczułam całym ciałem i umysłem, że mogę odzyskać wolność. Czy miała być ta wolność? Czy miała pachnieć Alexem? Tak bardzo chciałam do kogoś zadzwonić i się wygadać, ale nie miałam wokół siebie bliskich mi osób. Po rozstaniu z Alanem wszyscy, ale to wszyscy nasi wspólni znajomi odsunęli się ode mnie. Dorobiłam się przez tyle lat małżeństwa sporo znajomości, kobiet, mężczyzn, w różnym wieku, w różnych miejscach, ale potraktowali mnie niczym trędowatą. W pierwsze święta

spędzone bez Alana wysłałam kilka kartek świątecznych z życzeniami, każdemu podając mój nowy adres. W rewanżu dostałam dwa sms-y i ani jednej kartki. Jak mawiają Rosjanie - *aluzju poniał*.

Rozpierała mnie dobra energia i przemożna chęć rozmowy z kimś bliskim. Wykręciłam numer do mamy, dawno z nią nie rozmawiałam. Mama działała jako pośrednik pomiędzy mną a Izką. Opowiadała jej o mnie, a mnie o niej, oczywiście według własnego uznania filtrując wiadomości. Źle pojmowała nasz konflikt, uznała, że nasze stosunki przeżarło uczucie zazdrości i pretensji, podczas kiedy ja sama, bądź co bądź strona konfliktu, nie umiałabym postawić właściwej diagnozy. Mama odebrała po pierwszym dzwonku, jakby trzymała wargę przy aparacie i przez pierwsze kilkanaście minut nie dopuściła mnie do słowa, zamęczając opowieścią o podpaleniu sklepu w jej wsi. Nic mnie to nie obchodziło, ale grzecznie służyłam.

- To był jedyny sklep, gdzie wisiły plakaty Komorowskiego w kampanii wyborczej, wszędzie indziej Kaczyński. Dobrze, że twój ojciec tego nie dożył... Tego bardzo kulturalnego pana ze sklepu szykanowano przed wyborami, próbowali wymusić na nim, żeby zdarł plakaty Komorowskiego, napisali mu na sklepie czerwoną farbą: „Dzisiaj tu wisi Komorowski, jutro zawiśniesz ty”. Sama na własne oczy widziałam. Wiesz, tu sami PiS-owcy, tylko nas z PO garstka jest, jak to na wsi. Ten pan nawet po wyborach plakatu nie usunął, chyba chciał im pokazać, że się nie boi, to mu sklep spalili. Mówię ci, jestem przerażona. Skąd w ludziach tyle nienawiści i brak tolerancji? No powiedz, Marlena, co to za podłe nasienie?

Oburzała się osoba, która twierdzi, że Murzyni wydzielają przykre zapachy, choć nie precyzuje, skąd ma taką wiedzę, gdyż nigdy nie znalazła się w bezpośrednim sąsiedztwie czarnoskórej osoby. Osoba, która uważa, że Pan Bóg najprawdopodobniej nie stworzył upośledzonych umysłowo, a jeśli już stworzył, to ich z pewnością tak nie kocha jak zdrowych katolików mieszkających w Polsce. Osoba, która wyraziła pogląd, że karły, których historię obejrzała w *Rozmowach w toku*, nie powinny się żenić

i płodzić dzieci, bo to jest jednak trochę obrzydliwe być karlem. Mama powtarzała również, że Anglicy powinni zacząć uczyć się języka polskiego, skoro tylu Polaków mieszka w Anglii, natomiast Rumunów, Ukraińców czy Arabów w ogóle nie powinno się wpuszczać do naszego kraju. Nie miała żadnej, ale to żadnej litości dla homoseksualistów i niewierzących. Cóż ją zatem tak dziwiło w ludziach podpalających sklep przeciwników politycznych?

Nie orientowałam się zupełnie w polskiej polityce, ale wiedziałam z gazet angielskich, że Komorowski został prezydentem, natomiast cała historia z tym drugim nie była mi w ogóle znana. Mama od śmierci ojca biernie, ale namiętnie interesowała się polityką. W ten sposób oddawała mu hołd.

- Spalił się ten sklep? To ten, gdzie mama robi codziennie zakupy?

- Ten. Całkiem to się nie spalił, ale generalny remont trzeba zrobić. Tak mi żał tego pana, dopiero co ten sklep wybudował w tamtym roku, on z miasta jest. Ludzie nie przyjęli go tu dobrze, obcych nie lubią. Trochę się boję, co z tego wyniknie.

- Mama miała w głosie strach.

Mieszkałam w Anglii już siedemnaście lat i nigdy z nikim nie rozmawiałam o polityce, poza jednym incydentem, kiedy Cameron i Clegg przejęli władzę po wygranych wyborach Torysów. Byli przystojnymi mężczyznami i z ich ust wszystko można było przyjąć, nawet wielkie zaciskanie pasa, w wyniku którego straciłam pracę w urzędzie miasta. W polskiej polityce nie było przystojniaczków, dobrze wykształconych i w eleganckich garniturach, tyle zapamiętałam.

- Mamo, niech mama nie opowiada nikomu o swoich sympatiach politycznych - powiedziałam, a pomyślałam, że jeśli podpalają komuś sklep tylko dlatego, że głosował inaczej niż większość, to coraz bliżej Polsce do Iraku.

- Dziecko, ja tu z nikim nie rozmawiam, lepiej się nie wdrawać w spory. A co tam u was? Jak Emilka?

- Dobrze mamo, wszystko dobrze. Nie zgadniesz, z kim się spotkałam trzy dni temu... Zaczęłam nieśmiało.

- Z kim?

- Z bratem Natalii, Aleksandrem. Pamięta go mama? - Nawet z mamą mogłam o nim rozmawiać. Z kimkolwiek, żeby tylko wypowiedzieć jego imię na głos.

- Jak mogłabym nie pamiętać? On taki przystojny był, blondyn, wysoki, taki rasowy, bym powiedziała. Niepodobny w ogóle do Natalii. Tak jej się przyjrzałam, jak była tu z Izą jakiś czas temu, powiem ci, zbrzydła ta Natalia. Nos jej się wydłużył, taką ziemistą cerę dostała, znowu wychudła na szkapę. Kiedyś to była ładna dziewczyna, a teraz do matki robi się podobna. Za mąż powinna wyjść, przecież ona ma już trzydzieści lat, czy nie?

Ze zgrozą pomyślałam, jak zareagowałaby Natalia, gdyby to usłyszała, nie można by jej było głębiej dotknąć. Moja mama niestety nie należała do starannie dobierających słowa kobiet. Kiedy przysłałam jej zdjęcia swoje i Emilii z naszych wakacji w Meksyku, powiedziała, że obie wyglądamy, jakbyśmy dopiero co przeszły ospę. Ja nie zauważyłam u Natalii ani dłuższego nosa niż ten, jaki zawsze miała, ani wychudzenia, a widziałam ją zaledwie miesiąc wcześniej.

- Tak, Aleksander zaproponował mi spotkanie i oprowadziłam go trochę po Londynie. Nie był w Polsce siedemnaście lat, wierzy mama?

- Naprawdę? Natalia nic nie mówiła, że przyjeżdża. Ożenił się?

- Tak, ale jest już po rozwodzie - odparłam szybko.

- Co z wami jest? Wszyscy się rozwodzą. A ty kiedy w końcu będziesz wolna?

Dla odmiany chętnie opowiadałam mamie o ostatnich decyzjach i rychłym zakończeniu sprawy. Przerwała mi wprawdzie kilkanaście razy, żeby wygłosić swoją opinię, ale miałam wrażenie, że jest już o krok od pogodzenia się z faktem, że jej córka znów będzie rozwódką.

- Całe szczęście, że nie miałaś ślubu kościelnego - powiedziała na podsumowanie.

- No co mama? Jakbym słyszała mamę Natalii. Podobno gdzieś się do krzyża w Warszawie przywiązała.

- Natalia? - mama aż krzyknęła ze zdziwienia.

- Nie Natalia, jej matka.

Musiałam jej opowiedzieć o całym zdarzeniu. Powstrzymałam się od śmiechu.

- Co za głupie babsko z tej kobiety. Ona jednak bardzo prosta jest. Kiedy była młoda, chodziła krokiem czapli po osiedlu i wypatrywała tego swojego, wiesz, ojca Natalki. On pracował w wojskowości, mundurowym był, też go dobrze pamiętam, postawny, taki Ben Hur osiedla. On żyje jeszcze?

- Nie wiem, mamu, Natalia o nim nigdy nie mówi. Wyjechał do Gdańska... - odparłam.

- Wyjechał? Raczej uciekł. Co to był za skandal! Za naszej młodości nie było rozwodów, mężczyźni nie porzucali kobiet z dwójką małych dzieci. Mieli honor, nie to, co teraz.

Pozwoliłam mamie na szeroki komentarz odnoszący się do dzisiejszych mężczyzn, a potem gładko wróciłam do tematu, jaki interesował mnie najbardziej.

- Myśli mama, że Aleksander jest podobny do ojca?

- Na pewno nie do matki! To taka zwykła, wiejska baba była, a jak się dumnie nosiła! Pierwsza na osiedlu miała czapkę z lisa, a że siadywała w kościele w pierwszej ławce, to ta czapa sterczała jak maszt, wiadomo było, gdzie Zofia się znajduje w danej chwili - mama dodawała nutę odrazy do swoich wypowiedzi. Nigdy nie przepadała za mamą Natalii, ale też wcześniej nie pozwalała sobie na takie uszczypliwe komentarze. Ileż to wyniosłości grało w jej wypowiedziach! Wyraziła na koniec nadzieję, że Alex nie odziedziczył po ojcu lekkomyślności i że wyrósł na prawego mężczyznę, a nie kobieciarza jak jego ojciec.

- Kobiętę mógł mieć każdą. Zakochała się w nim Jola z Pewexu. Miała takie piękne, olbrzymie oczy! Chodziłam czasami to Pewexu po perfumy lub inne drobiazgi, więc ją znałam z widzenia. To podobno z nią się związał. Zofia już wtedy wyglądała staro i wypadły jej po urodzeniu Natalki wszystkie zęby! Pamiętam, bo się tego wstydziła i z nikim nie chciała rozmawiać. Ile ona miała wtedy lat? - mama zastanawiała się głośno. Nie wiedziałam, jak jej przerwać, przecież nie chciałam słuchać

o Zofii Brach, tylko o jej synu. Mama jednak już wsiadła na swojego ulubionego kucyka i patataj, patataj, patataj... - Miała osiemnaście lat, jak urodziła Aleksandra. Potem była przerwa, urodziła się Natalka, chyba w siedemdziesiątym dziewiątym? Nieważne. To był rok, kiedy Aleksander szedł do Pierwszej Komunii, to pamiętam, no to Natalia miała roczek. Myśmy się wtedy wyprowadzali z bloku. Pamiętasz? Wtedy mężą zostawił.

Pamiętałam jak przez mgłę naszą wyprowadzkę z osiedla. Beczałam, żegnając się z piaskownicą i koleżankami z podwórka. Tato kupił stary dom pod miastem i przez cztery lata go remontował, aż w końcu zakończono prace i musieliśmy się do niego wprowadzić. W mieszkaniu została babcia, mama taty i tam też umarła dziesięć lat później. Ona na wieś nie chciała z nami iść. Kategorycznie odmówiła: „ani apteki, ani przychodni, ani kościoła, ani autobusu... za stara jestem na takie eksperymenty”. Babcia Trutka urodziła się „na zachodzie”, w małym miasteczku pod Wrocławiem. Była kobietą miastową i nie znosiła wsi, szczególnie mentalności ludzi i brudu oraz nieprzyjemnych zapachów. Wyszła za męża za „miastowego”, a kiedy urodził się mój tato, przeprowadzili się „na wschód”, gdzie dziadek Tolek dostał dobrą pracę jako geodeta czy coś w tym rodzaju, na państwowej posiadzie. Ojciec spełnił jego marzenia, kształcąc się na architekta.

Ja w ogóle nie pamiętam rodziny Brachów, mimo iż mieszkaliśmy w tej samej dzielnicy miasta. Z Alexem spotkałam się dopiero w czasach liceum, był dla mnie kolegą z klasy mojej siostry, więc nawet nie moim.

- A ja myślałam, że wyście się znali jeszcze z podwórka. Może coś ci się pomyliło, dziecko, bo przecież wyście się razem bawili na plantach i na łąkach, ty i Aleksander... - Mama uraczyła mnie serią westchnień. Nie ganiałam z Alexem po łąkach, szukając „skarbów po Niemcach”, nie zjeżdżałam z górki w parku na kawałku plastiku ani nie kradłam lizaków w supersamie u pani Lusi, choć mama twierdziła, że właśnie tak było. Posprzeczałyśmy się delikatnie, a potem wróciła do historii nieszczęsnej Zofii Brach:

- Ona pracowała w moim przedsiębiorstwie na magazynie, więc oczywiście wszystko odbywało się na forum. Przyszła do pracy zapłakana, oczy spuchnięte, no pamiętam jak dziś. Kierownik odesłał ją do domu. Wróciła do pracy chyba po tygodniu. To było zaraz po Wigilii, jak ją zostawił, jeszcze święta spędzili razem. Jola z Pewexu też zniknęła z miasta, więc wszyscy uznaliśmy, że to z nią miał romans, ale czy na pewno? Ja tam nigdy z plotkami nie trzymałam, ale wiesz, jak to jest w biurze i na osiedlu. Ludzie gadają, wtykają nos w nieswoje sprawy i to tak nachalnie! Jak się wyprowadziliśmy z bloku, to mi ulżyło. Powiem ci tak. Mężczyźni nie zdradzają żon bez przyczyny, ot tak sobie. Musi być zawsze jakiś powód. Ta Zofia to naprawdę nie była interesująca kobieta. Niebrzydka, owszem, ale taka zanie-dbana, zahukana, a on? Trudno było o mniej udaną parę. Zaszła w ciążę, to się z nią ożenił, wielkiej miłości to tam nigdy nie było.

Gdyby mama wiedziała, gdyby tylko wiedziała, że w życiu jej męża też kiedyś pojawiła się Jola", może nie byłaby taka surowa dla innych? Skąd mogła wiedzieć, czy Zofia Brach wyszła za mąż z miłości, czy jej mąż uciekł z Jolą z Pewexu, czy może był gejem, jak kiedyś zasugerowała Natalia? Ciekawe, ile osób z naszej wsi i osiedla wiedziało o Tamtej Kobiecie? Może wciąż jeszcze opowiadają sobie o niej i o moim ojcu?

- A jaki ten Aleksander jest? Mam nadzieję, że nie taki hulaka jak jego ojciec?

Pośpieszyłam z zapewnieniami, że na mnie zrobił doskonałe wrażenie.

- No popatrz, jak to im się w życiu nie układa... Natałka - stara panna, Aleksander już rozwiedziony, jeden Pan Bóg wie, jak on tam w tej Ameryce żyje? Wszyscy zapewnniają, że robią kariery, a potem się okazuje, że sprzątają biurowce albo są kelnerami. Coś tak jak moja kuzynka, wiesz która, co nazwałyście ją Bietką, jak u Balzaka. Co ten mój brat nie opowiadał o niej i jej synu, jak tam im się dobrze wiedzie w Ameryce, a jak się może wieść, skoro Staszek homo się okazał? Jaki to musiał być dla niej szok, jedyny syn i...

- Mamo, ja cię bardzo proszę! - zaprotestowałam. Nie mogłam już tego dłużej słuchać.

- No przecież ja nic nie mówię, sama mnie pytałaś.

Po rozmowie z mamą nie poczułam się lepiej. Mierzył mnie fakt, że Alex był synem Zofii Brach. Przy odkurzaniu i myciu podłóg zakotłowały mi się w głowie fantastyczne teorie, że może Alex został adoptowany, ponieważ Zofia nie mogła mieć dzieci, może znalazła go na stopniach kościoła i przygarnęła, nie mówiąc nic nikomu, a może jest to syn brata ojca Aleksandra, który zginął tragicznie w katastrofie lotniczej. Gotowa byłam przystać na jakąkolwiek wersję, tylko nie tę, że Zofia, nazwisko paniieńskie Kolczyk, urodziła mojego księcia z amerykańskiej bajki.

Izabela

Dwunasty ślad hamowania

Jak to ujęła pani Bovary: „mój Boże, i po cóż ja wyszłam za męża?”. Radek przeprowadził już swoje śledztwo i postanowił mi uwierzyć, że nocowałam u Natalii. Gdyby doszedł do innego wniosku, nie bardzo by wiedział, co z tym fantem zrobić. Przegnać mnie z domu? Zbić? Przekląć na wieki? Uratował mnie fakt, że na niedzielę zapowiedzieli się Tomaszowie, aby nas uraczyć opowieścią, popartą dziesiątkami fotografii, ze ślubu siostry Tomaszowej. Przynieśli jakieś rozmemłane wczorajsze placki, w jednym znalazłam zatkniętą zapałkę, rozłożyli w naszym salonie swój obóz, podłączając kamerę do komputera, rozrzucając sweterki i szaliki, manifestując kaca i niewyspanie. Niewyspana to byłam ja!

Radek zrobił wszystkim kawę, ale zaraz potem wszyscy zaczęli mnie błagać o ugotowanie rosółu, a wiadomo, że jak rosół, to zaraz trzeba będzie upiec mięso, ugotować ziemniaki i przyrządzić zestaw surówek. Nie protestowałam, znacznie lepiej czułam się w kuchni przy garach niż w ich jazgocącym towarzystwie. Krojąc marchewkę i obierając ziemniaki, miałam czas na wspomnienia wczorajszego dnia. Przerzucałam sobie w pamięci wszystko, co zostało powiedziane, każdy dowcip, spojrzenie, przypadkowy dotyk i przede wszystkim zapachy, na co jestem bardzo wyczulona. Alex pachniał wszystkim naraz - Ameryką, Armanim, lotniskiem, młodością. Sprawdzałam skrzynkę

co pięć minut, ale nowych wiadomości w telefonie nie przybyło. Obiecałam sobie wytrzymać do końca dnia, zanim złożę broń i sama do niego napiszę. Wiedziałam, że na tym się skończy, ale teraz nie był odpowiedni moment na ćwiczenie charakteru i odgrywanie niedostępnej.

Radek kursował między kuchnią a salonem z butelką białego wina, czipsami, dipami, serwetkami i za każdym razem posyłał mi pogardliwe spojrzenie. Oczywiście ukradkiem, bo Tomaszowie nie mogli zobaczyć żadnej rysy na naszym małżeńskim szkle. Kiedy przejrzeni zdjęcia w aparacie, do odtwarzacza DVD wjechała płyta z nagraniem z wesela. Dwie godziny męczarni. Sama msza w kościele trwała godzinę. Słyszałam tylko dźwięk i czułam się jak w duchowym przybytku, nawet w odruchu szacunku zdarzyło mi się przyklęknąć w momencie Podniesienia. Towarzystwo obejrzało całość, komentując każdą fryzurę, grymas, lampas i koronkę. Konrad zszedł na dół i zajrzał do mnie do kuchni.

- Kiedy oni sobie pójda? - zapytał, jak mu się wydawało, cichym głosem. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale przezornie położyłam mu dłoń na ustach. Wyrwał się niezbyt delikatnie z moich szponów

- Co ty gotujesz? Oni tu będą jedli? - Zajrzał do garnka i szybko zorientował się, że taka ilość rosołu wystarczy dla sztabu wojska, nie dla nas trojga. Chciał jeszcze mi coś powiedzieć, ale weszła córka Tomasza, Anastazja i wlepiła błagalny wzrok w mojego syna. Tomaszowie nosili nazwisko Golonka i dali córce na imię Anastazja! Anastazja Honorata Golonka - właśnie to zapisano w jej metryce urodzenia. Nie mogłam się powstrzymać, zawsze żartowałam na ten temat. Nie dość, że Konrad nie lubił tej dziewczyny, to jeszcze śmiertelnie go nudziła. Pamiętna wspólna podróż do Francji na dwa samochody przypieczętowała niechęć Konrada do rodziny Tomaszów, obiecałam mu, że więcej się to nie powtórzy. Mój syn jednak trochę się mnie jeszcze bał, a już na pewno bał się swojego ojca, więc posłusznie podreptał za Anastazją. Słyszałam, jak proponowała kolejną rundę

na konsoli gier Wii, a on zbombardował ten pomysł w kilku niegrzecznych słowach.

Podaliśmy rosół i usiedliśmy do stołu. Tomaszowa popiskiwała o moich talentach kulinarnych, ale rosółu jeść nie potrafiła, lała się jej po brodzie. Tomasz spożywał go trochę zgrabniej, nie przerywając gładzenia o weselu, kto ile wypił, co skonsumowała, a kto „zwrócił” oraz ile to wszystko kosztowało jego rodzinę, bo jak wiadomo, wedle tradycji zawsze płaci rodzina panny młodej. I bardzo dobrze, siostra Tomasza była już sporo po drugiej stronie trzydziestki, trzeba ją było szybko sprzedać.

- Alkohol to był taki, że zdierał papę z dachu he, he, nawaliliśmy się okrutnie! Macie pojęcie, że młodzi o północy zniknęli amerykańskim zwyczajem i pojechali do hotelu, a jutro startują w podróż poślubną na Dominikanę? A myśmy się na naszym weselu bawili do piątej rano, a poprawiny zaczęliśmy o dwunastej następnego dnia. Nie wiem, co jest lepsze? Co myślisz, Iza?

Nie myślałam nic, przytulałam się w myślach do Alexa i odsuwałam łokieć od łokcia Radka. Nie chciałam, żeby się stykały. Tomasz nie czekał na moją odpowiedź, rozkręcił się i już tylko mówił do siebie. Radek włączał się od czasu do czasu do rozmowy, a ja pozbierałam talerze i znów ewakuowałam się do kuchni. W telefonie znalazłam sms-a od Natalii o treści: „Pozdrawiamy Cię. Jedziemy po mamę na dworzec. Było super. Hubert zachwycony Alexem. Musimy się jeszcze spotkać we czwórkę”.

Bardzo proszę! A może by tak pojechać na dworzec i niby to przypadkiem wpaść na nich przy wyjściu albo na peronie? Radek wszedł do kuchni i dołożył mi do zlewu dwa noże i talerzyk.

- A co ty taka gospodyni się nagle zrobiłaś? Usługujesz nam, że aż się boję. Chodź z nami pogadać...

- Zaraz, tylko skończę. Nie chcę, żeby został burdel do poniedziałku - odpowiedziałam, nie przerywając przecierania blatów kuchennych. Radek powstał chwilę za moimi plecami niezdecydowany. „Idź już!” - krzyknęłam na niego w myślach. Kiedy usłyszał wołanie Tomasza, wyszedł. Odpisałam Natalii: „Organizuj szybko spotkanie, dawno się tak dobrze nie bawiłam. A jakie wrażenia ma Alex?”.

Nie doczekałam się odpowiedzi. Goście poszli, Radek zasnął na kanapie przed telewizorem, Konrad poszedł do sąsiada oddać ich wnukowi jakieś pożyczone gry. Lubił tam przesiadywać, po-
winnam się tym może zainteresować. Wprawdzie to bardzo mili ludzie, ale jednak trzeba zachować czujność.

W poniedziałek nie dostałam żadnej wiadomości od Natalii ani Alexa. Swoją frustrację przelałam na współpracowników i najbliższe osoby z otoczenia. Niech czują, że jestem wkurzona. Co to ma znaczyć? Takie milczenie? Przecież ma mój numer, sama mu go wstukałam w komórkę. A może jest mu głupio? Nieśmiałość zmuszona byłam wykluczyć, zbyt dobrze się znamy. Czas chyba też nie gra roli, ile można się witać z mamą? Nawet jeśli jest to spotkanie po latach... A może to ja powinnam zadzwonić? Cześć Alex, jak się miewasz? Zjesz ze mną kolację? No właśnie, najprostsze rozwiązania są zazwyczaj najlepsze. Alicja jak zawsze okupowała ekspres do kawy. Jak to dobrze, że nie pracujemy razem, ani że mi nie podlega. Musiałabym ją zdyscyplinować, upomnieć, rozliczyć z ilości wypitych kaw i przerw na papierosa. Nasze drogi zawodowe nie krzyżowały się jednak, więc mogłam spokojnie pielęgnować tę biurową znajomość. Alicja należała do tej kategorii pracowników, którzy niewiele potrafili, a cokolwiek robili, zajmowało im to masę czasu, byli leniwi i lawirowali pomiędzy zleceniami, a jednak szefostwo uważało ich niezastąpionych i niezwykle przydatnych. Jako jedyna w naszej firmie wynegocjowała sobie możliwość pracowania w domu przez dwa dni w tygodniu. Jej szefowa ze zrozumieniem podesała do tej propozycji, a pozostałym wytłumaczyła, że Alicja jest zbyt cennym pracownikiem, żeby zaryzykować jej odejście z firmy. Z opowiadań wiem, że decyzja szefowej wzbudziła jeszcze większą niechęć do Alicji, a u niektórych wręcz odruch jawnego buntu. Miał być jawny, ale skończyło się na solidnym obgadywaniu w korytarzowych pogawędkach poza plecami jej i szefowej. Nikt nie zaprotestował głośno, strach o stołki zwyciężył jeszcze. Jak Alicja to zrobiła? Nie wiem, po prostu opanowała do mistrzostwa stwarzanie pozorów fachowca, którego nie można łatwo zamienić na lepszy model. Fakt, przyszyła

do nas z bardzo prestiżowej firmy, ale jakie tam wypełniała obowiązki i dlaczego odeszła, pozostawało jej tajemnicą. Ja ją lubiłam, nie przeszkadzało mi, że była największą „ściemniarą” w budynku.

Ponieważ był poniedziałek, Alicja miała kaca i ani grama zapału do pracy. Jadła czekoladowy baton, zapijając go kawą. Ucieszyła się, że to właśnie ja weszłam do naszej kuchenki, a nie jej szefowa. Opowiedziałam jej o moim sobotnim spotkaniu z dawnym kolegą z klasy. Zanim zdecydowałam się, czy wyjawić jakieś szczegóły mojej nocnej wizyty w jego pokoju hotelowym, Alicja już się uśmiechała, kiwając głową. Co to miało oznaczać? Aż tak to po mnie widać?

- Kolega, mówisz? Coś w stylu „mam ochotę na chwileczkę zapomnienia” czy raczej „nie było ciebie tyle lat, myślałam, że nie wrócisz już”?

- Nic z tych rzeczy, Ala.

- Spałaś z nim? - rąbnęła prosto z mostu. Nie miałam kłopotu z odpowiedzią.

- Był moim pierwszym.

- O! Co za piękna historia! A mówią, że nie powinno się dwa razy wchodzić do tej samej rzeki. Mój pierwszy to nawet nie zauważył, że mam na tyłku rajtuzy, tak się śpieszył! Gdybym go teraz spotkała, to bym go wyśmiała. Pan Minutka!

Alicja chichotała, wycierając kąciuki ust serwetką. Obawiałam się, że nagrodzi moją szczerość swoją opowieścią, ale nie miała na to ochoty.

- Ja jestem za rozwiązłością moralną - mówiła, nalewając sobie kolejną porcję kawy. - Nie tak, żeby się pieprzyć byle gdzie i z byle kim, ale kiedy nadarza się jakaś wyjątkowa okazja, to moim zdaniem trzeba brać. Kobiety, które szczycą się tym, że miały tylko jednego partnera, te wierne rzeki, to są kobiety, które nigdy nie stanęły przed dylematem, bo nikt ich nie chciał. Rozumiesz? Nie miały okazji, nie miały pokus, nie było okoliczności, żeby sprawdzić, z jakiego materiału jest zrobiona ta ich wierność - z żelaza czy z wosku? Co innego kobiety, za którymi faceci łążą jak psy z podniesionym ogonem i cieknącą im z pyska śliną.

Takie kobiety, które mają powodzenie i wzbudzają zainteresowanie u mężczyzn, cały czas są narażone na pokusy i muszą być twarde, ale czasem ulegają. Za tobą koleś w pracy odwracają głowy, wiem, że masz ich gdzieś, ale cały czas jesteś pod ostrzałem, pewnie to czujesz?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam - odparłam.

- Ale tak jest. Fakt, że są beznadziejni na maksa, a ten twój kolega to pewnie ciacho?

- Kremówka.

- No to w czym problem?

Przerwałyśmy rozmowę, kiedy weszła moja koleżanka z dzieła. Spojrzała na nas pytającym wzrokiem, zalała sobie herbatę wrzątkiem i wycofała się.

- Taka to będzie wierna mężowi, bo nic jej się nigdy nie trafił

- Alicja cierpko skomentowała wygląd naszej wspólnej koleżanki. Racja była po jej stronie.

- Problem w tym, że teraz przechodzę kiepski okres w małżeństwie i najłatwiej by było wplątać się w romans. Ale czy to jest rozwiązanie? - Głośno wybrzmiał mój niepokój. Alicja zatrzymała na mnie swoje wnikliwe spojrzenie, trochę mnie to speszyło.

- A on? Jak on do tego podchodzi? Czujecie to samo?

Nie umiałam określić, Alex nie był otwartą książką, z której można było wszystko wyczytać i zrozumieć. Posiadał umiejętność zachowywania się w taki sposób, że wiele zależało od interpretacji drugiej osoby. Nie prowadził ze mną żadnej gry, ale też nie stawiał jasnych warunków. Nasza przyjaźń szkolna wymieszkała się ze wspomnieniem utraty dziewictwa, z jego nagłym powrotem, pięknym wyglądem, powściągliwością i moimi tęsknotami za tym, co już minęło. Ta mieszanka zrobiła mi chaos w głowie i zaburzyła zdolność trzeźwego myślenia oraz analizy. Znalazłam się w sytuacji dla mnie zupełnie nowej, nie było znaków drogowych nakazujących ograniczenie prędkości i kierunku jazdy. Powiedziałam o tym Alicji.

- Czasami trzeba po prostu zapytać - powiedziała.

- Jego mam zapytać, jakie ma plany i zamiary w stosunku do mnie? Oszalałaś?

Alicja westchnęła.

- No nie wprost, ale zadzwoń i wybadaj sprawę.

- A czy to nie on powinien zadzwonić? - zapytałam, bo to mnie najbardziej męczyło.

Alicja namyślała się chwilę, zanim opowiedziała mi anegdotę na temat niepewności w związku:

- Kiedyś do radia zadzwoniła młoda dziewczyna i pyta, co ma sądzić na temat zachowania swojego chłopaka, który od jakiegoś czasu przy przypadkowym spotkaniu na mieście na jej widok przechodzi na drugą stronę ulicy i spluwa na chodnik. Czy to ma oznaczać, pytała, że już jej nie kocha i nie chce się z nią widywać. A pani z radia odpowiada na to: „być może, ale poczekaj aż ci to da wyraźnie do zrozumienia”.

Zaczęłam się śmiać. Alicja spojrzała na zegarek i stuknęła paznokciem w szkielek. Musiała wracać do biura, żeby imitować pracę jeszcze przez następne trzy godziny, bo przecież na takim kacu nie da się normalnie funkcjonować... Wróciła się jeszcze od drzwi.

- Iza, zrób tak, żeby nikt nie cierpiał, a cierpieć nie będzie, jak się nie dowie. Przez telefon komórkowy i jego zawartość wpada osiemdziesiąt procent zdradzających kobiet i mężczyzn. Miej to na uwadze. - Mrugnęła do mnie i zniknęła. Wróciłam do swojego biura. Odczekałam, aż będę w pokoju sama i wykreśliłam numer do Alexa. Odebrał po czterech sygnałach. Bardzo mi zależało na zachowaniu lekkiego tonu głosu.

- Cześć, kolego! - krzyknęłam w słuchawkę. Złe zaczęłam, za głośno i za entuzjastycznie, na kilometr trąciło fałszem. Wzięłam głęboki oddech, najgłębszy, na jaki pozwalały mi płuca. - Witam cię. Jak przebiega aklimatyzacja? - Ponownie próbowałam brzmieć lajtowo.

- Przeżyłem lekkie trzęsienie ziemi z mamuszką, a poza tym jakoś sobie radzę - odpowiedział.

Usiłowałam go sobie wyobrazić w tej chwili. Co robi? Czy siedzi, stoi, czy może leży w swoim pokoju hotelowym na tym wielkim łożu? Nie mogłam go o to zapytać.

- Mama długo zostanie w Warszawie? Macie jakieś konkretne plany? - zagadywałam, wyginając biurowy spinacz we wszystkie możliwe kierunki. Kiedy się skaleczyłam, wrzuciłam go do kosza.

- Udało mi się mamuszkę namówić na trzy dni w hotelu Bryza w Juracie, ale sam nie wiem, czy to był dobry pomysł. Chcę z nią spędzić trochę czasu, zafundować jej trochę luksusu, nadrobić stracony czas, ale teraz wydaje mi się, że powinienem być ją zabrać do Częstochowy albo Kalwarii Zebrzydowskiej, tym bym ją bardziej ucieszył. Problem w tym, że ja się nie bardzo nadaję na pielgrzymka... - opowiadał, a ja zlizywałam w tym czasie krew z palca.

Samo brzmienie jego głosu mnie rozaniałało. Powiedział, że jeszcze jest w Warszawie, ale jutro, jeśli mamuszka się nie rozmyśli, jadą wynajętym samochodem nad morze. Nie mogłam sobie wyobrazić Zofii Brach w tym drogim przybytku próżności, skoro nawet ja tam się źle czułam. Byliśmy w Bryzie rok wcześniej na wiosnę, teściowa zapłaciła za nasz weekend na wyjeździe w ramach prezentu na okrągłą piętnastą rocznicę ślubu. Nie miałam ani odpowiednich strojów na takie miejsce, żeby czuć się dobrze, ani nie bawiło mnie nieustanne wypatrywanie znanych osób z telewizji. Radek tą czynnością pochłonięty był bez reszty. Biegał podekscytowany jak Mroczek w serialu *M jak Miłość*. Grał mi na nerwach całe trzy dni, tym bardziej, że jak już udało mu się wypatrzyć jakąś znaną twarz, nie potrafił dopasować do niej nazwiska i strzelał na oślep. Widział Ibisza, Zawadzką i Mołęk, którzy wcale nie były tymi osobami, za jakie je uważał. Kłóciliśmy się strasznie, kto jest kim. Przysłoczył mnie tamtejszy luksus, więc z góry współczułam Zofii. Alex nie znał swojej mamy. Kiedy wyjechał z Polski przed laty, nie zapowiadała się jeszcze na taką zaciekłą dewotkę, wyznawczynię Prawa i Sprawiedliwości, sędzinę sądu ostatecznego na ziemi.

- Jak wróćcie, może się odezwiesz... Wyskoczylibyśmy gdzieś... - Moje słowa przypominały szuranie kapciami po panelach, wszystko dlatego, że propozycja miała zabrznieć jak

gdyby rzucona mimochodem. Nie udawała mi się ta obojętność w głosie. Nie w stosunku do Alexa!

- Oczywiście. Natalia już robi dla nas plany. Najpierw chciałbym jeszcze na weekend polecieć do Londynu. Mam tam parę spraw do załatwienia, to może jak wrócę, spotkamy się w szerszym gronie.

Powiedział i zgasił mi pożar w sercu. Do Londynu? Po co?

- Alex... - zaczęłam już innym tonem. - Jeżeli chodzi o tamtą noc...

- Iza, proszę.

- Chciałam tylko powiedzieć, że... no wiesz, nie zrozum mnie źle.

- Najlepiej będzie, jeśli to zostawimy tak, jak jest - przerwał mi. Nie podobała mi się ta rozmowa i kierunek, jaki obraliśmy. Przez cały dzień planowałam sobie, co powiem, ale również i odpowiedzi Alexa miały być inne. Miałam panikę w głosie, gdy zadawałam kolejne pytanie.

- Myślisz, że to tylko taki mój kaprys był?

- Nigdy nie uważałem cię za kapryśną dziewczynę - odparł ze śmiechem. - Po prostu nie chciałem, żebyś się źle czuła z tym wszystkim.

- I jak o tym nie będziemy rozmawiali, to mam się poczuć lepiej? Chyba mnie jednak nie znasz - powiedziałam z pretensją.

Do pokoju weszła Alicja, ale poprosiłam ją gestem, żeby mi dała jeszcze parę minut. Skinęła głową i wycofała się. Wtedy postanowiłam, że zrobię z niej moją przyjaciółkę i będę się jej zwierzać do woli ze swoich mrzonek o moim koledze z Ameryki. Natalia nie wchodziła w grę, przed nią byłoby mi jednak trochę wstyd. Alex nic nie mówił przez chwilę, a potem zaczął się żegnać. Zrobiło mi się zimno z nerwów. Sięgnęłam po kolejny spinacz.

- Ale jeszcze znajdziesz czas, żeby się ze mną zobaczyć przed wyjazdem? - zaskomlałam. Mój lot w dół nie miał końca, jeszcze mogłam zlecieć niżej, uderzyć tyłkiem albo głową w cement i stracić przytomność. Może wtedy przyszyłoby opamiętanie?

- Pewnie. Natalia nam coś zorganizuje, zdaje się, że jej amant nas polubił.

- A może odwiedzilibyśmy panią Borkowa i Justynę? Skoro mamy im pomagać, to może trzeba zacząć od wizyty. Sam ocenisz skalę problemu i może będziesz miał jakiś pomysł, bo my z Natalią trochę błędzimy w tej swojej akcji charytatywnej. Dobra myśl?

Wytoczyłam najcięższą artylerię, ale to był jedyny sposób na spędzenie z nim trochę czasu. Jechalibyśmy sobie przez Polskę, zjedli obiad w karczmie, potem zepsułyby się samochód, zano-cowalibyśmy gdzieś w hoteliku, wspólne śniadanie wyjaśniłoby naszą sytuację do końca. Widziałam już siebie na przednim siedzeniu, czułam prędkość, sięgałam po okulary słoneczne i wykładałam nogi na deskę rozdzielczą - taki nonszalancki gest kobiety podróżującej ze swoim ukochanym.

- To nie jest zły pomysł, daj mi się trochę zastanowić. Mnie strasznie męczy ta historia z Danka, a właściwie nikt nie opowiedział mi jeszcze, co się tak naprawdę stało. Wiesz co, wrócimy do tematu, jak obokoczę Londyn, odezwę się. Obiecuję, Izka!

Potem już tylko szybko pożegnaliśmy się i przycisnęłam klawisz czerwonej słuchawki w telefonie. Po pięciu minutach zadzwoniłam do Natalii, ale z nią też nie umiałam rozmawiać. Przechodziła fazę zauroczenia Hubertem i tylko ten temat ją interesował. Nie wybierała się z mamą i Alexem do Juraty, uznała, że brat przez te trzy dni powinien zajmować się matką samodzielnie i przy okazji ocenić, jakie to wyzwanie, gdyż on nie zdawał sobie sprawy, jak dziwną osobą stała się Zofia. W tym czasie Natalia będzie kochać się z Hubertem, który właśnie osiągnął szczyt swojej sprawności seksualnej. Nie mogłam tego dalej słuchać i zakończyłam rozmowę. Niestety, nawet ja nazwałam mą przyjaciółkę w myślach „głupią Natałką” i gdyby Radek to słyszał, bardzo by się ucieszył. Kiedy już sądziłam, że nic gorszego nie może się wydarzyć w ten poniedziałek, zadzwoniła wychowawczyni Konrada i wezwała mnie pilnie na rozmowę. Co tym razem? Uciekłam z pracy, nie tłumacząc się przed nikim. Jestem w końcu kierowniczką, mogłam sobie na to pozwolić.

Dojechałam do szkoły syna w pół godziny. Udało mi się ani razu nie zatrzymać myśli na rozmowie z Alexem. Niczym Scarlett O'Hara postanowiłam pomyśleć o tym później. Konrad czekał na mnie przed głównym wejściem, nie wyrażał skruchy ani spojrzeniem, ani postawą. Zwróciłam uwagę na jego rozczochraną fryzurę i opuszczone w kroku spodnie. Usiłował być modny, ale nie bardzo mu wychodziło. Nie odezwałam się do niego, poszliśmy prosto do pokoju nauczycielskiego. Pani wychowawczyni nie wyglądała na osobę, która kiedykolwiek komukolwiek cokolwiek mogła przebaczyć. Zacięte usteczka w kształcie kreski wyrażały dezaprobatę dla świata spoza murów szkoły, spiczasty nosk wachał wrogie zapachy obcych, okulary-denka ukrywały świdrujące spojrzenia, a rzadkie włosy zwisały niczym kurtyna w teatrze. Nie miała więcej niż trzydzieści lat, ale chciała mieć już pięćdziesiąt i status kwoki.

Posadziła nas za stołem i długo, bardzo długo perorowała na temat odpowiedzialności, jaką rodzice przerzucają na szkołę w skomplikowanym procesie wychowawczym. Rodzice skoncentrowani na wyścigu szczurów, pochłonięci bez reszty codziennymi sprawami, zbyt zmęczeni i mało cierpliwi mijają się ze swoimi dziećmi w drzwiach dzień po dniu. A dzieci rosną! Dojrzewają! Potrzebują drogowskazu, mądrości, skarcenia, nie mogą tego wszystkiego otrzymać w szkole lub, nie daj Boże, na blokowisku! Nie odzywałam się, Konrad robił coraz głupsze miny i wzdychał głośno. Kiedy przyszła kolej na mnie, ukorzyłam się, posypałam głowę popiołem i wyszliśmy równiutko, gęsiego, ze spuszczonej głowami. Kobieta była zadowolona, pożegnała nas uprzejmym w jej mniemaniu skinieniem głowy.

- Dlaczego nazwałś kolegę pedałem? - Taki było moje otwierające reprimendę pytanie.

Konrad usiadł w samochodzie na przednim siedzeniu i w pierwszym odruchu zapiął pasy bezpieczeństwa. Dobry nawyk. Na moje pytanie odpowiedział wzruszeniem ramion, ale mnie to nie wystarczało. Dostałam naganę od nauczycielki. Ja, nie on!

- Czy ty w ogóle wiesz, co to jest pedał? To nie jest ładne słowo, pomijając już wszystko inne.

- A bo mnie wkurzył! - Konrad podniósł głos. - Takiej siary mi narobił przy Karolinie, że miałem go ochotę za...

- Wyhamuj synu, wyhamuj! - Podniosłam rękę w geście, który dobrze znał.

Staliśmy w korku. Bezmyślnie obserwowałam innych użytkowników drogi, wszyscy mieli miny znudzone lub zacięte. Spieśzyli się, a ulica dosłownie zastygła na kilka minut. Jeśli się nawet nie śpieszyli, denerwowała ich myśl o zmarnowanym w podróży czasie. Ile można by było zrobić, nie musząc jeździć po Warszawie? Czas to najcenniejszy skarb. Mój syn nie miał jeszcze takiego czułego stosunku do czasu jakja. W jego wieku jest on raczej abstrakcją, jakimś wskazaniem na zegarku, nie oznacza zbliżania się do starości, a w końcu do śmierci. Ja o czasie myślałam już zupełnie inaczej. Zbliżałam się do czterdziestki, a po czterdziestce coraz trudniej przychodzi pogodzenie z upływającym czasem. O Karolinie nie słyszałam nigdy wcześniej.

- Kto to jest Karolina? - zapytałam mojego syna wprost, mając absolutną pewność, że niczego się nie dowiem.

- Nikt - burknął, uciekając wzrokiem.

Nie wiem, dlaczego Konrad boczył się na mnie. Przecież ja tu byłam bez winy! Dobrze wychowywałam syna, pokazywałam mu świat, nie szczędząc mądrego komentarza, nie wrzucałam mu wszystkiego naraz do głowy, tylko w konkretnych sytuacjach padały konkretne objaśnienia. Dawałam dobry przykład - słabszych trzeba chronić, najważniejsze przykazanie to przykazanie miłości do bliźniego, żyj i daj żyć innym, nad biednym się ulituj, dziel się, nie oceniaj, nie potępiaj, nie pal i nie pij. Wszystko to zostało mu powiedziane i mam nadzieję, że zapamiętał. Kiedy miał pięć lat, przyszedł z przedszkola spłakany i rozgoryczony, a kiedy zapytałam o powód, powiedział, że jakaś nowa dziewczynka w grupie wszystko mu zabiera, niszczy jego rysunki, a raz nawet napluła mu do zupy! Co to za brzydka dziewczyna? Kim ona jest? Kiedy przyszła do grupy? Skąd przyszła? Pytałam i pytałam w świętym oburzeniu. Mały Konrad namyślał się chwilę,

a potem sobie przypomniał, że pani przedszkolanka im mówiła, iż ta dziewczynka przyszła do nich z jakiegoś zespołu... Jakiego zespołu? Zapytałam. Nie wiedział, dopiero kilka minut potem zapytał mnie, czy wiem, co to jest zespół Downa? Ta dziewczynka miała na imię Karolina, więc tak mi się skojarzyło przy tej okazji. Tamtą Karolinę nakazałam mu traktować ze szczególną sympatią, nawet jeśli jej zachowania nie rozumiał. Niestety inni rodzice protestowali tak długo, aż dziewczynkę „za porozumieniem stron” wypisano z tego przedszkola. Teraz, dziesięć lat później, nie byłoby to możliwe. Słowo „integracja” zaczęło wypuszczać pierwsze zielone listki.

- Fajna ta Karolina? - zapytałam. Konrad nie zareagował. Jechaliśmy dalej, słuchając muzyki. Jakiś czas temu oduczyłam go zmieniania programów w moim samochodowym radiu. Wybór rozrywki zawsze, ale to zawsze należy do kierowcy! Buntował się z początku, ale nie ustąpiłam i już nie grzebie przy klawiszach. Wyjechaliśmy wreszcie z Warszawy. Prowadziłam swój wykład, niezrażona brakiem odzewu. Musiałam się wygadać, słowa zawsze dobrze mi robiły.

- Synu, rozwiązywanie problemów pięścią uważam za największy obciach. Największą siarę. Chciałbyś żyć w świecie, w którym ludzie zamiast przekonywać do swoich racji, laliby się po mordzie? Prawo pięści ci imponuje? Mniejszego i słabszego też byś pobił?

- On jest mojego wzrostu. A tak w ogóle to tylko raz go walnąłem.

Zaczął pyskować i to mniej mi się podobało.

- Bardzo się cieszę, że go nie łałeś przez całą długą przerwę! Naprawdę, niezwykle szlachetnie się zachowałeś. Raz z pięści i „ty pedale”, magiczna broń! Nie mam zamiaru straszyć cię twoim ojcem, ale powiem ci, kusi mnie, żeby mu opowiedzieć o twoim wyczynie! - Parsknęłam sarkastycznym śmiechem.

Może i nie stało się nic wielkiego, zawsze byłam zdania, że chłopcy jednak muszą pozostać chłopcami i bić się w szkole, ale społeczeństwo oczekiwało ode mnie udzielenia synowi oficjalnej nagany, a może i wymierzenia surowszej kary. Zastanawiałam

się, co go najbardziej zaboli. Pozbawienie dostępu do komputera na tydzień! Zanim mu obwieściłam swoją decyzję, musiałam zadać jeszcze jedno ważne pytanie.

- Czy kolega, którego uderzyłeś i wyzwałeś od pedałów, jest homoseksualistą? Bo jeśli jest, to wszystko się zmienia, będzie inna kwalifikacja czynu...

- Jezu, mammo... Co ty gadasz? - Konrad szarpał swoje loki na głowie.

Ładny był z niego chłopiec, bardzo podobny do ojca, ale to akurat nie tragedia. Dobrze, że podobny z wyglądu, a nie z charakteru. Natalia kiedyś powiedziała, że chłopcy posiadający takie wspaniałe loki na głowie przeważnie grają na skrzypcach, ostatecznie na fortepianie. Konrad pogardzał graniem na instrumentach, nie miały kół ani ekranu...

- Więc rozumiem, że nie było to prześladowanie kolegi za jego odmienne preferencje seksualne?

- Mamo, on nie jest żadnym homo, tak mi się powiedziało, bo to debil jest i ma kompletnie zryty beret. Gdyby mnie nie prowokował, to bym go nie ruszył, ale nie, on się po prostu napraszał, żeby mu... Mama mi tu radzi, żeby rozmową problemy rozwiązywać, ale z takim szajbusem to się nie da gadać, a przede wszystkim nie warto!

- Nie rozkręcaj się. Nie powiem ojcu i tym razem, ale masz się już uspokoić. Zrozumiano? Przegiąłeś i teraz koniec już. Kara zwyczajowa. Szlaban na komputer.

- Ile? - Utkwił we mnie błagalny wzrok.

- Tydzień.

Miesiąc wcześniej ta sama stęchła z wyglądu wychowawczyni wezwała mnie do siebie na dywanik w związku z nakryciem Konrada i jego kolegi na paleniu papierosa. Ucieszyłam się, że nie są to dopalacze, ale nie podzieliłam się z nią swoim uczuciem ulgi. Wysłuchałam uprzejmie jej długiego przemówienia i obiecałam zająć się tą sprawą. Kiedy przy wyjściu zapytała mnie, czy palę papierosy, znenawidziłam ją do końca. Oczywiście powiedziałam, że nie. Przypomniałam Konradowi o tym incydencie, ale uraczył mnie tylko kilkoma minami, na przemian wnosząc

oczy ku niebu i kręcąc głową w obie strony, jakby czemuś zaprzeczał. Cały Radek.

Uzgodniliśmy, że nie będzie mnie już więcej stresował swoimi zagraniami w szkole, a ja ze swej strony obiecałam, że nie będzie musiał już spędzać czasu z Anastazją Golonką. Dobiliśmy targu, zanim dojechaliśmy do naszej rezydencji w Markach. Konrad pobiegł do swojego pokoju, a ja w spiżarni nalałam sobie kieliszek czerwonego wina. Po pierwszych trzech łykach zaczęłam się rozluźniać i uspokajać. Kiedy godzinę później wynosiłam do śmietnika stojącego za zewnątrz pustą butelkę, byłam zdecydowana - zawalczę o Alexa!

Marlena

Trzynasty ślad hamowania

Chciałam komuś opowiedzieć o tym, co się stało, ale nie miałam komu. Kiedyś mogłam zadzwonić do Izki, umiała słuchać, odciążała mnie, obracała w żart moje pseudodramaty, ale to już zamierzchała przeszłość. Codziennie zastanawiałam się, co musiałyby się wydarzyć w moim i jej życiu, żebyśmy przerwały tę koszmarną podróż w przeciwnych kierunkach. Mam ją przeprosić? Czy oczekuje się ode mnie złożenia samokrytyki? Mama nie ma racji, twierdząc, że tylko jej zależy, aby córki się pogodziły. Mnie zależało chyba bardziej, ale czas nie pracował na naszą korzyść, wręcz przeciwnie.

Kiedy po pogrzebie taty pojechałam do Warszawy rozmówić się z Izką, byłam pełna dobrych przeczuć. Nie zamierałam jej wprawdzie powiedzieć o Tamtej Kobiecie, tego by sobie tato na pewno nie życzył i do zachowania tajemnicy mnie osobiście zobowiązał. W testamencie zostawił mi sto tysięcy złotych, nie zaznaczył, co mam zrobić z tymi pieniędzmi, ale i bez jasných wskazówek wiedziałam. Tamta Kobieta przeżyła z nim równoległe do naszego życie. Nie była ani ładna, ani bogata, ani szczególnie seksowna, zresztą, kiedy ją spotkałam, miała pięćdziesiąt pięć lat, resztki młodości zniknęły już z jej twarzy.

Pierwszy raz zobaczyłam ją na pogrzebie taty. Ustawiła się w kolejce do kondolencji, ale tylko do mnie. Szlochała, obejmując mnie tak mocno, że straciłam oddech. Całowała mnie

i głąskała, zupełnie nie zwracając uwagi na wyraz kompletnego zaskoczenia i dezorientacji, jaki miałam na twarzy. Znałam wszystkich żegnających tatę poza nią jedną. Tak jak nagle się pojawiła, tak nagle zniknęła w tłumie, dopiero tydzień później, kiedy odnalazłam adres i dom, zobaczyłam ją po raz drugi. Chwilę trwało, zanim uświadomiłam sobie, że to ta sama kobieta. Tato, w liście do mnie, który napisał kilka dni przed śmiercią, podał jej imię, nazwisko i adres. Opisał już bardzo nieudolnie, koślawymi literami, ich wieloletni związek i poprosił, żebym się nią zaopiekowała. Miałam zostać jej aniołem stróżem w tajemnicy przed wszystkimi. Jak miałam tego dokonać, kiedy na tę opiekę zostawił mi aż tyle pieniędzy? Najgorsze jednak było to, że nie miałam ochoty na kontakty z nią. Przekazałam pieniądze, wypiliśmy kawę z rumem i wyszłam, nie obiecując, że jeszcze kiedyś wrócę. Nie rozmawialiśmy ani o ojcu, ani o ich związku.

Pojechałam do Izki z zamiarem wręczenia jej połowy sumy ze spadku, ale zamiast dyplomatycznie przekazać jej pięćdziesiąt tysięcy, zaczęłam rozmowę od pokrętnego tłumaczenia decyzji taty. Koperta z gotówką leżała na stole pomiędzy nami. Mieszkali jeszcze wtedy w mieszkaniu na Geodetów, ich wspianały dom był dopiero planem na papierze. Radek zabrał Konrada i pojechał do matki, poprosiłam go o to, chciałam spokojnie porozmawiać z siostrą. Przyjęła mnie chłodno, gdybym nie należała, zostałybyśmy w przedpokoju.

- Przywiozłam ci pieniądze. Twoją część spadku. - Położyłam je na stole.

Izka spacerowała po pokoju, nie odzywała się.

- Przydadzą wam się na budowę domu. Pięćdziesiąt tysięcy. Bierz - dodałam po chwili.

Zniknęła w kuchni na dłuższą chwilę. Nie miałam zamiaru jej popędzać.

Kiedy po śmierci taty okazało się, że sporządził testament, byliśmy zaskoczone. Tato zawsze miał pieniądze. Coś sprzedawał, kupował, jako wzięty architekt co chwilę dostawał zlecenia, nie miałyśmy poczucia, że nam się źle powodzi. Jego brat był również nadzwyczaj hojny i z Ameryki przysyłał mu pieniądze

przez trzydzieści pięć lat do samej śmierci, a zmarł rok przed ojcem. Były to niewielkie sumy, jednak w latach osiemdziesiątych sto dolarów amerykańskich równało się półrocznej pensji mamy. W testamencie był jeden zapis pozostawiający mi sto tysięcy złotych i list przeznaczony tylko do mojej wiadomości. Ani słowa o Izie. Mama była współwłaścicielką reszty majątku - domu, mieszkania oraz dwóch działek budowlanych pod miastem.

Notariusz przyjechał zaraz po pogrzebie i zapoznał nas z wolą taty. Pamiętam wyraz twarzy Izki, prześladuje mnie on zresztą do dziś. Szybko podjęłam decyzję. Pojechałam do Tamtej Kobiety i wręczyłam jej pięćdziesiąt tysięcy. Na drugi dzień pojechałam do Warszawy do siostry z taką samą sumą w torebce. Nadal uważam, że zrobiłam sprawiedliwie, niech mnie oceni historia.

Tato mógł Tamtej Kobiecie pieniądze wręczyć przed śmiercią, której rychłego nadejścia był przecież świadom, ale może po prostu nie zdążył? Jego stan gwałtownie się pogorszył i wszystkie sprawy, których załatwienie zaplanował sobie przed śmiercią, nie doczekały się realizacji. Z dnia na dzień przestał chodzić i nie mógł już działać. Pieniądze dał mi, choć nie były przeznaczone dla mnie, żeby mi uświadomić, jak ważna była dla niego ta kobieta. W ten sposób chciał mnie do niej przekonać, obwieścić jej istnienie, związać mój los z jej losem. Nie pomyślał, jak to będzie wyglądać, kiedy otworzymy testament, jakie będą konsekwencje tego jego planu. Nie zostawiał ani mnie, ani Izce pieniędzy w spadku, słusznie uznając, że nie ma co dzielić, dopóki żyje mama, ale te sto tysięcy jednak przyznał niby mnie, a to spowodowało poruszenie śniegu na najwyższych partiach gór. Lawina zaczęła schodzić w chwilę później. Mogłam wyjaśnić zamysł taty, wytłumaczyć się z tych pieniędzy, ale nie mogłam tego zrobić bez wyjawiania tajemnicy o Tamtej Kobiecie. Nie namyślałam się długo. Wręczyłam jej tylko połowę sumy, a resztę zawiozłam siostrze. Byłam spokojna o reakcję taty z zaświatów, sam pewnie zobaczył, że źle się stało.

Izka postawiła przede mną filiżankę kawy, ale nie usiadła przy stole. Krążyła po mieszkaniu jakby szukała sobie odpowiedniego

miejsca. Dotykała różnych przedmiotów, coś przestawiała, szarpała firanki, włączała i wyłączała telewizor. Poprosiłam, żeby usiadła.

- Zabieraj stąd te gówniane pieniądze! - powiedziała w końcu. Głos uwiązał jej w gardle.

- Bierz, nie rób sceny. Połowa.

- Połowa z czego? Nie chce mi się nawet patrzeć na te pieniądze, a co dopiero je brać. Ojciec tobie je zostawił, są twoje. Mnie nie zostawił ani grosza! - krzyczała. - Tak, ani grosza! Nie rób z siebie takiej wspaniałomyślnej, Marlena. Nie chcę tych pieniędzy.

- Tato mi je zostawił, bo jestem starsza i miałam się z tobą podzielić, więc robię to. Tak napisał w pożegnalnym liście.

Postanowiłam przejść przez to jak najszybciej. Napotkałam na mur dłuższy niż w Chinach. Izka nalała sobie sporą porcję wódki do szklanki, dołała jakiegoś soku i wypłała jednym haustem. Trochę mnie to przeraziło.

- Powiem tak... - zaczęła zmienionym głosem. - Gdyby ojciec chciał mi coś dać, to by dał. Sęk w tym, że nie miał takiego życzenia. Dobra, trudno. Natomiast wypraszam sobie, żebyś ty odgrywała rolę wykonawcy testamentu i pośmiertnie ojca tłumaczyła. Chcesz mi sprzedać jego miłość? Czy ty kurwa nie widzisz, co się stało? Czy naprawdę wydaje ci się to normalne, że umiera ojciec dwóch córek, a jedną żegna wielką kasą i listem, a drugiej pokazuje palec? Pokaż mi ten Ust! No, pokaż!

- Iza! Przestań! - Nie mogłam tego słuchać, ale nie dało jej się zatrzymać.

Już w tym momencie rozmowy zrozumiałam, jak trudno będzie mi nie powiedzieć o istnieniu Tamtej Kobiety. Tato! Wrobiłeś mnie! Od pogrzebu minął zaledwie tydzień, nie mogłam rozedrzeć teraz serca siostry opowieścią o kobiecie, do której przez tyle lat uciekał jej ojciec, oszukując nas wszystkich. Wystarczyło, że sama miałam jeden wielki koszmar w głowie, tocząc walkę, żeby ojca nie oceniać i nie potępiać. To, co napisał w swoim liście do mnie, trafiło w sam środek mojej miłości do niego. Okazał się tchórzem, nie miał odwagi powiedzieć mi

O tym w oczy, może wspólnie wymyślilibyśmy jakiś plan, który by tak nie wypalał wszystkiego do gołej ziemi w trakcie realizacji. Nie, on wybrał inną metodę, rodem z telenoweli, zostawił list. Co za egoizm!

Po śmierci ojca mojego męża Alana, rodzeństwo skłóciło się na wiele lat, mimo iż zostawił po sobie marną sumę. Starsza siostra Alana posunęła się najdalej, po kremacji zwłok wykradła prochy ojca i zabrała do domu. Oświadczyła rodzinie, że ich nie odda, bo to jest jej jedyna pamiątka po ojcu, podczas kiedy reszta rodzeństwa dostała pieniądze. Najmłodsza siostra odziedziczyła w spadku dom, nie uznała za stosowne podzielić się nim z bratem i siostrą, uznała, że jej się to należy, bo jest z całej trójki najbiedniejsza. Alan był na nią wściekły, nie docierały do niego moje tłumaczenia, że trzeba uszanować wolę zmarłego i że faktycznie źle się jej powodzi w porównaniu z resztą - kobieta samotnie wychowywała dwóch synów, jeden z nich cierpiał na autyzm. Minęło sześć lat od pogrzebu, prochy seniora w dalszym ciągu stoją w urnie w szafie sypialni u najstarszej z rodzeństwa. Taka to zemsta. Bez smaku. Opowiedziałam o tym Izie. Popatrzyła na mnie z niechęcią.

- A co mnie obchodzą perypetie twojego małżonka?! Nie mój cyrk, nie moje małpy!

- Proszę cię, Izka... Przestań tak wrzeszczeć. - Usiłowałam ją uspokoić. Zaczynało mnie irytować, że robi tak koszmarną awanturę z powodu pieniędzy.

- Nie przestanę. Jestem u siebie w domu! Jak on mógł mi to zrobić?! Zawsze byłaś jego sekretną miłością, ale nie spodziewałam się, że tak mi pomacha przed nosem tym... tym... kurwa... testamentem!

- Nie ja byłam jego sekretną miłością... - powiedziałam najspokojniej, jak umiałam.

Poprosiłam o drinka, ale Iza wzruszyła tylko ramionami. Poszłam do kuchni i sama się obsłużyłam. Przyszła do mnie, spojrzała w okno, rozejrzała się po kuchni i rozmyśliła. Wróciła po kilku sekundach z kopertą z pieniędzmi. Powinnam jej była powiedzieć, już się przymierzałam, żeby zacząć, ale coś

mnie powstrzymało. Przeraziło mnie jej zawistne spojrzenie, jej zapamiętanie i zacierzewienie. Sto tysięcy było nagłe wystarczającym powodem, żeby na ośleplone pluce jadłem w najbliższych.

- Zabieraj te śmieci i wracaj do Anglii, ukochana córeczko, powierniczko, spadkobierczyni! Ja tu zostaję! I poradzę sobie bez twojej jałmużny. Tatuś, widać, serce miał wielkie, ale jedna osoba się w nim nie zmieściła. Wiesz, kto? Ja! - Przycisnęła kopertę do mojej piersi.

- Nie mów tak, Iza, o te sto tysięcy robisz taką awanturę! Warto?

- W dupie mam te sto tysięcy! - krzyknęła. - Czy ty nie rozumiesz, co tu się stało? Całe życie mnie omijał szerokim łukiem. Całe życie i na koniec jeszcze to. Nie mogę na ciebie patrzeć, Marlenu. Twój widok sprawia mi fizyczny ból. Udawałam, przez lata udawałam, że nie zdaję sobie sprawy z tego, jak ojciec traktuje mnie, a jak ciebie. Miałam kompleksy, a kto by nie miał? Marlenu ładniejsza, zdolniejsza, wykształcona, mąż Anglik z rodowodem, a ja? Ja wyszłam za kolegę, syna prywaciarzy, Radosława Bojdę, ani ja po studiach, ani on po szkołach, ale był czas, bo już mi dwadzieścia pięć lat stuknęło. Ty mieszkasz w Londynie, ja w wynajętej klitce na przedmieściach małego miasta, wrzód na dupie! Ja jechałam do Kamionki, ty do Kenii, tobie urodziła się piękna córeczka, a mnie brzydki syn. Tatuś był niepocieszony.

- Izka, to są straszne zarzuty, nie wolno ci takich rzeczy mówić. To nieprawda! - zdenerwowałam się tak, że zabrakło mi słów.

- Prawda! Ty żyjesz w świecie obłudy, z daleka wszystko wygląda cacy, nawet nie byłaś przy śmierci ojca! Ja musiałam go trzymać za rękę! Ale gdybym wiedziała, że tak mnie nagrodi, pozwoliłabym mu umrzeć w samotności!

Wymierzyłam jej policzek. To był straszny moment, najczarniejszy korytarz, w jaki mogą wejść dwie kochające się osoby. Nie było już dla mnie ważne, że nie wie o Tamtej Kobiecie. Gdybym jej powiedziała, znienawidziłaby nas oboje, a co gorsza, podejrzewałam, że natychmiast powiedziała by o tym mamie,

żeby i ona poczuła odrazę. Toczyła się tu jakaś wałka, Iza sięgała po każdą broń, stawała się coraz bardziej obca, nie widziałam w niej mojej siostry, to był ktoś inny.

- Wynoś się - powiedziała, otwierając mi drzwi. Stałam niezdecydowana.

- Złe się stało, że cię uderzyłam. Za to przepraszam - powiedziała. Nie patrzyła na mnie.

- Won!

Wyszłam z mieszkania. Jeżeli miałam wtedy nadzieję, że jej przejdzie, to bardzo się myliłam. Na drugi dzień przysłała do mnie do hotelu i przyniosła tę kopertę, która podczas awantury upadła na podłogę i tam leżała, aż znalazł ją Radek. Iza była już spokojniejsza, ale przez to jeszcze bardziej nieugięta. Rzuciła kopertę na stolik i bez słowa skierowała się do wyjścia. Ja w ręczniku, boso, potargana i zmęczona nie wiedziałam, jak ją zatrzymać. Nie chciałam, żeby wyszła, więc szybko powiedziałam, torując jej drogę:

- Iza, to nie jest prawda, że tato cię nie kochał. Kochał cię bardzo, ale byliście innymi charakterami, nie zawsze było wam po drodze.

- W miłości ojca do córki charakter nie powinien odgrywać żadnej roli. Prawda jest taka, że ciebie ulepił na swój obraz i podobieństwo, stałaś się taka, jaką sobie wymarzył, a ja niestety nie. Koniec. Daj mi przejść.

- Poczekaj, musimy pogadać. - Uczyniłam gest, jakbym chciała ją złapać za rękę. Szarpnęła się.

- Znowu mnie chcesz uderzyć? - Złowrogo zacisnęła usta.

- Iza, Boże miłosierny, daj sobie wytłumaczyć! Jak teraz wyjdiesz, to nie wiem, jakie będą następne miesiące, jak sobie z tym poradzimy, nie wolno tego tak zostawić, bo to nie pokryje się kurzem, ale będzie krwawić.

- I te twoje wielkie słowa! Nie życzę ci źle, ale przegięłaś i nie mam ochoty na kontakty z tobą.

- Ale masz żal do mnie i nie wiem o co? - Coś we mnie pękło. Miałam poczucie, że bardzo mnie krzywdzi.

- O to, że mu na to pozwoliłaś! Skoro byłaś z nim tak blisko, mogłaś mu powiedzieć sto lat temu: „tato, okaż trochę serca Izabeli”, ale nie. Tobie odpowiadało, że całe życie masz go tylko dla siebie! Taką egoistyczną małą właśnie jesteś! Zawsze byłaś!

Stałam na środku pokoju hotelowego, usiłując zebrać myśli. Chciałam ją posadzić naprzeciwko siebie i jeszcze raz wszystko wytłumaczyć, ale coś między nami pękło, czułam, że siostra stanęła po drugiej stronie jakiejś głębokiej i brudnej rzeki, ledwo poznawałam jej twarz, tak już była daleko.

- Twoje zarzuty są po prostu absurdalne - powiedziałam, nie ruszając się z miejsca.

- Absurdalne czy dla ciebie nie do przyjęcia?

- Absurdalne i powiem ci jeszcze coś na do widzenia, bo widzę, że się śpieszysz. Nie mam zamiaru przeproszać cię za to, że kochałam ojca i rozumiałam lepiej niż ktokolwiek inny. A teraz idź sobie, powiem ci tak jak ty mi wczoraj. Won!

Wyminięłam ją i podeszłam do okna. Nasłuchiwałam, kiedy zatrzaśnie drzwi w spektakularnym geście pożegnania, ale przez kilka sekund było bardzo cicho. Może wtedy był ten moment, zastanawiałam się nad tym, budząc się wielokrotnie z płaczem po nocach, żeby do siebie podejść, dać sobie szansę na przelanie się czary żalu i bólu, i zacząć od nowa? Gdybym uczyniła jakiś gest, może ona też wyszłaby mi naprzeciw? A może wcale nie...

- Szczęśliwego lotu ci życzę - powiedziała, otwierając drzwi.

Nie zdążyłam nawet odpowiedzieć „dziękuję”, a Izka wyszła i zamknęła za sobą drzwi bardzo cicho. Jeszcze tego samego dnia umówiłam się z Radkiem na lotnisku i wręczyłam mu pieniądze. On nie miał takich oporów jak moja siostra. Wsadził kopertę do kieszeni kurtki i zapewnił, że nikt się nie dowie. Uzgodniliśmy, że założy lokatę dla Konrada i tam umieści całą sumę. Będzie miał niespodziankę od dziadka, kiedy skończy osiemnaście lat. Podobał mi się ten pomysł. Radek chciał mnie zaprosić na pożegnalny kieliszek wina na Okęciu, ale zrećnie się wymigałam. Potem miał powiedzieć, że pogardziłam jego towarzystwem, bo śpieszyłam się do swojego luksusowego świata. Mama mi to powiedziała. Miałam spory kłopot z wytłumaczeniem jej,

jak doszło do kłótni pomiędzy mną a Izką bez podawania szczegółów. Wypytywała mnie zaraz po moim powrocie do Anglii, ale szybko zrezygnowała. Kiedy miesiąc później przyjechała do mnie w odwiedziny, przy kieliszku wina usiłowałam sprzedać jej jakąś wersję najbliższą prawdy, ale poprzestałyśmy na pobożnych życzeniach, że czas załatwi za nas ten mały problem. Minęły trzy lata, a nic nie zostało załatwione.

Marlena

Czternasty ślad hamowania

Aby kobieta mogła się zmienić, a konkretnie - żebym ja mogła się zmienić, potrzeba wielkiego wstrząsu. Nie ulegamy tak łatwo naciskom zewnętrznym, które podpowiadają nam konieczne zmiany, wsłuchujemy się w cenne rady, ale robimy swoje, aż sami nie dojdziemy do wniosku, że coś jednak trzeba poprawić na własnym podwórku. Ja tyle chciałam zmienić, że istniała obawa, iż po tym burzliwym procesie sama siebie nie rozpoznam w tej nowej postaci. Spotkałam Alexa i rozstała się z nią, ale nie wpadłam w czarną otchłań, wręcz przeciwnie, dostałam kopniaka w górę. Zająłam się rozwodem z niezwykłą determinacją. Zaczęło mi się śpieszyć do wolności, choć czym ta wolność miała być, tego dokładnie nie precyzowałam. Jednego byłam pewna - nie chciałam być już dłużej mężatką, status ten przestał mi odpowiadać i gdybym miała zafundować sobie chwilę absolutnej szczerości, musiałabym przyznać, że od początku nie nadawałam się na żonę Alana. Nie, to on nie nadawał się na mojego męża, nawet jeśli szliśmy w tym samym kierunku, zawsze było nam nie po drodze. Zrozumiałam to, ale na tym się nie skończyło, teraz zaczęłam udowodniać, że racja była jednak po mojej stronie. Alan nie odbierał moich telefonów, a przecież miałam dla niego same dobre wieści. Ivana Bukowie działała bardzo szybko jak na adwokata.

Na warsztat wzięłam również zmianę pracy. „Ani miesiąca dłużej w Alpha Insurance” - napisałam sobie w notesie. Nigdy już nie dam się nikomu ubezpieczyć na żadną ewentualność. Ja również nikomu nie wcisnę już żadnej polisy! Jak w ogóle mogłam przepracować tam tyle miesięcy? Sporządziłam nowe CV, tak piękne i nieprawdziwe, że aż sama chciałam się zatrudnić. Moja szefowa kiedyś udostępniła mi swoje CV, skopiowałam je, a teraz zerznęłam większość sformułowań, przypięłam sobie jej umiejętności, cele życiowe, a nawet zainteresowania, bo przecież projektowanie wnętrz w połączeniu ze współczesnym kinem europejskim brzmiało zupełnie nieźle. Z czym ja mogłam wyskoczyć? Pod hasłem *hobbies* mogłam od biedy umieścić gotowanie i czytanie, ale nie chciałam być taką pichcąca tradycyjnę potrawy jak *bubble and squeak* czy *shepard pie* kobietką, wertykującą tłustym palcem kartki książki kucharskiej Delii Smith. Rozesłałam swoje imponujące CV do wszystkich możliwych agencji pracy w hrabstwie oraz ogłosiłam je w internecie na stronie Monster. Jakiej pracy szukałam? Przede wszystkim ciekawej, mniejsza o zarobki, takiej, która by mnie nie otumaniła i nie przygniotła w piątkowy wieczór. Pieniądze na razie brałam z kupki, ale według moich obliczeń życie z kapitału zakończy się w połowie marca, a wtedy muszę już siedzieć za biurkiem w nowej pracy. Wielki przypływ energii zamieniałam w wysokie loty, a paliwo do mojego odrzutowca lał właśnie Alex poprzez swoje codzienne e-maile. Nie codzienne, pierwsze dwa dni po wylocie do Polski milczał. Obydwoje podarowaliśmy sobie czas na ochłonięcie i przyzwyczajenie się do tej nowo narodzonej zażyłości. Miła mi była myśl, że on tam gdzieś jest, całkiem niedaleko i myśli o mnie tak czule i intensywnie, jak ja o nim. Czułam po prostu te jego myśli na mój temat.

We wtorek napisał, że przylatuje do mnie na weekend: „Miałem Ci zrobić niespodziankę, ale trochę się obawiałem Twojej reakcji. Uprzedzam Cię, że w piątek przyjadę do ciebie i miło by było, gdybyś podarowała mi trochę wolnego czasu. Jestem z mamuszką nad polskim morzem, szafu nie ma. Nie grymaszę, nie wiem, czego się spodziewałem, w każdym razie chętnie

porównam Juratę z Brighton. Bardzo chciałbym Cię zobaczyć, muszę sprawdzić, czy aby mi się to wszystko nie przyśniło. Alex”.

Zatem miałam dwa dni na doprowadzenie się do porządku. Wiedziałam, że do mnie przyleci, nie zostawia się tak kobiety w połowie pocałunku! Tym razem postanowiłam się dobrze przygotować do naszego spotkania. Zdecydowałam, że listę zadań do spełnienia koniecznie otwierać musi fryzjer, sklepy z bielizną umieściłam na drugim miejscu, a na trzecim higienistkę dentylistyczną. Nie odebrałam telefonu od Natalii, bo nie miałam pewności, czy jest poinformowana o planach wyjazdowych Alexa. Niezbyt dobrze czułam się przy tych konspiracyjnych zabiegach, ale rozumiałam, że na tym etapie lepiej zachować wszystko dla siebie.

Emilia została ogłędnie poinformowana, że przyjeżdża do nas w odwiedziny mój i cioci Izy kolega, brat Natalii.

- Ale nie muszę z wami siedzieć? - upewniała się.

- Nie, przedstawię cię tylko, bo chyba zjemy w piątek kolację u nas. Jeśli chcesz zjeść z nami, bardzo proszę.

- Mamo, w piątek mam imprezę, osiemnastkę Harriett. Zapomniałaś? - robiła mi wyrzuty.

Nigdy nie nadążałam za jej znajomościami, a już na pewno nie zapisywałam w kalendarzu, która z jej przyjaciółek, a miała ich sporo, którego dnia obchodzi urodziny. Według Emilii czyniło to ze mnie złą matkę. Sprzeczałyśmy się jeszcze przez chwilę, a potem wręczyłam jej dwadzieścia funtów, żeby mogła sobie coś ładnego kupić na wyjście. Sama o sobie lubiła mawiać: „można mnie kupić!”.

- Nie trzeba... - broniła się dla zachowania pozorów.

- Bierz, jak dają. Impreza domowa czy kluby? Myślisz, że powinnam ściąć włosy? Wyglądałabym młodziej? A może pasemka? Rozwiązać czy rozpuścić?

- Trochę przytnij i rozjaśnij, ale nie za bardzo. Imprezę zaczniemy u niej, a potem limuzyną przejedziemy do miasta. Ma nas ta limuzyna wozić po mieście godzinę, tak jest zapłacone i mamy tam szampana. Chcesz zrobić wrażenie na tym panu?

Zapytała, przyłapując mnie na wpatrywaniu się w swoje odbicie w lustrze. Obie szykowałyśmy się do wyjścia. Ona do szkoły, ja do miasta.

- A może już czas na botoks? - Naciągnęłam sobie policzki i odwróciłam się do córki twarzą.

- A pewnie, jak tylko masz kasę - odparła z ustami pełnymi wody.

Szczotkowała zęby już kilka minut. Upomniałam ją, żeby zakręciła kran na czas szczotkowania. Posłuchała, ale rzuciła mi niechętnie spojrzenie. Tak, zaczynałam już zachowywać się jak moja mama. Ale jak mogłoby być inaczej? Przecież byłam jej córką. Emilia swoje dzieci też z pewnością będzie napominać za niezakręcanie kurka w czasie szczotkowania zębów, choć teraz tak bardzo ją to denerwuje. Ja - jabłkoń, ona - jabłko.

Wieczorem urządziłyśmy sobie uroczystą kolację. Byłam fanem Jamie O'liveira i jego książki kulinarne zajmowały u mnie honorowe miejsce na półce. Emilia oddała się w moje ręce z jednym tylko zastrzeżeniem: „żeby nie było kalafiora, kminku, kolendry, indyka, ziemniaków, orzechów, ryżu, makaronu oraz gałki muszkatołowej”.

Przyrządziłam kaczkę w ziołach chińskich, a do tego grzanki z ciabatty, z rozmarynem i pieczonym w łupinach czosnkiem. Emilia mlaskała i oblizywała palce.

- Jedz powoli, nikt ci nie zabierze - napominałam ją jak zwykle.

- Jezu, ale dobre. Mamo, lepsze niż pierogi i łazanki razem wzięte!

Lubiłam jej sprawiać przyjemność, wiedziałam, że doceni mój wysiłek. Alan nigdy nie zwracał uwagi na to, co serwuję. Wszystko zamaczał w majonezie, nawet słodko-kwaśnego kurczaka, jedzenie popijał piwem, wino nazywał „chlapami” i żadna potrawa nie mogła obejść się bez frytek. Był bardzo angielski w swoich kulinarnych gustach, może dlatego, że od wczesnej młodości aż do momentu, kiedy mnie poznał, stołował się tylko i wyłącznie w pubach. Kiedy pierwszy raz ugotowałam zupę cebulową z pysznymi serowymi grzankami, wylał ją do zlewu, bo

myślał, że mi coś nie wyszło. Emilia wręcz przeciwnie, uwielbiała moje eksperymenty w kuchni.

Po kolacji po raz piąty włączyliśmy sobie film *Love Actually*. To był nasz wieczór. Przed pójściem spać sprawdziłam e-mail. Kolejna wiadomość od niego: „Mam poczucie straconego czasu. Boję się, że nam tego czasu zabraknie. Spotkałem Cię w dobrym momencie, ale teraz czas trochę przyspieszył. Za bardzo. Przyjemnie jest być w tej samej strefie czasowej co Ty. Kiedy będę zasypiał, Ty też będziesz się kłaść do łóżka, bardzo mi się podoba ta wizja. Ty mi się podobasz. Zawsze mi się podobałaś, ale tak jakoś nierealnie, jak pani z telewizji, teraz czuję, że mógłbym ośmielić się na tyle, żeby Cię dotknąć. Kończę, bo nie chcę Cię przestraszyć. Alex”.

Nie umiałam tak pięknie pisać jak Izka. Kiedyś ludzie zamawiali u niej życzenia okolicznościowe. Pisała dla innych kartki na święta, wierszyki z okazji rocznicy ślubu, a nawet listy miłosne w cudzym imieniu. Ojciec jednej z naszych koleżanek zakochał się w pięknej kobiecie mieszkającej w Niemczech, kiedy przebywał tam na kontrakcie. Wdowiec, przystojny, ale mało rozgarnięty. Talenty Izki były sławne w naszym towarzystwie i poprzez córkę poprosił Izkę, żeby jako on do tej pani pisała listy. Płacił markami! Sam nie umiał pisać, robił rażące błędy ortograficzne, a bardzo chciał, żeby to uczucie przetrwało rozłąkę. Izka ratowała więc świeżo rozpoczętą znajomość swoimi fantazjami i uduchowieniem. Miała wtedy siedemnaście lat, a pisała do trzydziestoletniej kobiety, i to jak pisała! Tamta od samych listów się zakochała i w trzy miesiące później przyjechała po niego do Polski. Zdaje się, że razem wyjechali do Niemiec, ale nie pamiętam, czy to uczucie przetrwało bez sprawnej ręki Izki. Usiadłam przed komputerem z kieliszkiem prosecco.

Odpisałam: „Ałex! Cieszę się, że przyjeżdżasz, nie sądziłam, że tak szybko znów się spotkamy. Kłamie, oczywiście, że miałam nadzieję, że się szybko zobaczymy. Nadzieją tą żyłam dłuższą chwilę, a potem nabrałam pewności, więc czekam tu na Ciebie, już od tego czekania głupieję”.

Wysłałam odpowiedź wraz z naszym jedynym zachowanym zdjęciem z tamtych lat, jakie udało mi się odnaleźć w pudle. Czarno-biała fotografia przedstawiała mnie w objęciach Alexa na ich studniówce. Znalazłam się na ich balu przypadkiem, towarzyszyłam jednemu z kolegów z klasy, którego dzień wcześniej rzuciła dziewczyna. Nazywał się Romek Budzik. Izka rzuciła się przede mną na kolana, błagając, żebym towarzyszyła Budzikowi na balu. Nie miałam stosownej kreacji, więc założyłam naszą „dyżurną” sukienkę, jaką wuj przysłał mamie z Ameryki kilka lat wcześniej. Mamie nigdy nie udało się w nią wcisnąć, ale zarówno ja, jak i Izka nie miałyśmy z tym problemu. Suknia była piękna, czerwona jak maki na polskiej łące, całe plecy obleczone były delikatną koronką, z przodu głęboko wycięta, sięgająca prawie do kostek. Występowałyśmy w niej na przemian przez kilka lat, oczywiście przy okazji różnych imprez. Była to jednak tak niezwykła kreacja, że wszyscy ją zapamiętywali i obgadywali nas potem, że mamy jedną sukienkę do podziątu. Izka była wyższa ode mnie, więc wyglądała w niej lepiej.

Ponieważ Budzik straszył, że podpali stołówkę studencką, gdzie miała odbyć się studniówka, dziewczyny z klasy postanowiły zrobić dobry uczynek. Izka powiedziała wówczas: „Srał pies na jego złamane serce, ale nie dam sobie zepsuć studniówki!”. Jej poczucie humoru zawsze mnie rozbrajało. Zgodziłam się, przede wszystkim ze względu na ludzi z jej klasy, których tak lubiłam. Budzik upił się do nieprzytomności zaraz na początku imprezy, więc usłużni koledzy ułożyli go w szatni pod płaszczykami. Izka zabrała mnie do swojego stolika i posadziła obok Alexa. Towarzyszyła mu jakaś dziewczyna z Radomia, przedstawiała się jako kuzynka, ale wątpię w to pokrewieństwo, natomiast całkiem prawdziwy był jej wspaniały biust, który zapamiętałam najbardziej z całego balu. Fotografia, jaką wysłałam Alexowi, zatrzymała w czasie piękną chwilę, szykowaliśmy się do tańca, już byliśmy spleceni w uścisku, ale na jedną sekundę spojrzeliśmy w obiektyw i tak to zostało uwiecznione. Niestety, nie pamiętałam ani tej chwili, ani tego tańca, ale miałam dowód na to, że to się kiedyś zdarzyło.

Krótko po tym otrzymałam wiadomość zwrotną: „Marlena, ale czad! Zupełnie zapomniałem o tej studniówce, a tu proszę, nawet nasze foto się zachowało. Ładna z nas para była, choć zdaje się, że mi towarzyszyła hmm... »kuzynka«. Nie pytaj, skąd ją wytrzasnąłem, to jeden z szalonych pomysłów Wodza, nigdy później jej nie spotkałem. Od kilku dni wygrzebuję z pamięci wszystko to, co dotyczy Ciebie, jestem trochę na siebie wściekły, że tylu rzeczy nie pamiętam. Robiłem Ci zadania z angielskiego, pamiętasz? Woziłem Cię na motorynce, wyjadałem kanapki, jakie miałas w torbie na drugie śniadanie, upiliśmy się raz u Ciebie w domu na wagarach. Marlena, wybacz, że Ci przypominam, ale trzymałem cię za brzuch w łazience, jak oglądałaś zjedzony wcześniej obiad od początku do końca. Mnie te wspomnienia ze szkoły, w których TY się przewijasz, nakręcają dobrą energią. Alex”.

Nie kładłam się spać, chociaż była już północ. Ja też miałam sporo wspomnień, wszystkie przymglone, nieuporządkowane, kilka sytuacji, obrazów, miejsc, ludzi. Oczywiście, że pamiętałam swoje wielkie torsje. Zjadłam wcześniej pierogi z borówkami i śmietaną, dwie tabletki gardanu, bo właśnie zaczął mi się wtedy okres, a potem piliśmy czystą wódkę rozmajoną sokiem z aromi. No i zaszkodziło. Wyrzuciłam Izkę z łazienki, nie chciałam, żeby mnie młodsza siostra oglądała w takim stanie, ale Alexowi pozwoliłam zostać. Dostałam potwornych palpacji serca, było mi na zmianę zimno i gorąco, nogi się pode mną ugięły i w pewnym momencie osunęłam się na podłogę z myślą, że umieram. Białe kafelki w łazience zapamiętałam na długo, ponieważ były przyjemnie chłodne i śliskie. Potem Alex wyprowadził mnie na zewnątrz i zmusił do spacerowania. Wziął mnie pod rękę i maszerowaliśmy po osiedlu. Nie chciałam iść, chciałam się położyć i umrzeć w spokoju, ale mi na to nie pozwolił. Miał rację, po godzinie spaceru poczułam się znacznie lepiej. Nauczka była taka, że o lepszą byłoby naprawdę trudno. Nigdy więcej nie wymieślałam środków przeciwbólowych z alkoholem.

Nakręcona tymi wspomnieniami, odpisałam: „Nauczyłeś mnie grać na gitarze *Białego misial* Alex, ja też zaczynam sobie

sporo przypominać, choć nie mam pewności, czy autorem niektórych żartów byłeś Ty, czy Wódcz? A może wasz kolega Jacek? Kto ukradł dziennik z pokoju nauczycielskiego? Kto zamknął woźną w schowku na szczotki? Kto nam pokazał, jak trzymać papierosa wciśniętego w plaster jabłka? Alex! Kiedy jechaliśmy na wakacje rok przed maturą dwoma grupami nad Solinę, czy wiesz, kto podmienił nam większość konserw w plecakach, zabierając turystyczną, a wkładając paprykarz szczeciński?"

Ja nie miałam takich kolegów jak Izka. Do mojej klasy trafili sami nieudacznicy z małych miejscowości i okalających miasto wiosek. Chyba tylko jeden Grześ Panek był z miasta. W ludziach ze wsi podkarpackich fantazja i luz budzą się jako ostatnie. Wszyscy byli niesamowicie poważni i spięci ostrymi agrafkami od wewnątrz. Wydaje mi się, że przytłaczał ich kompleks pochodzenia, więc najwięcej wysiłku wkładali w udawanie, że tego kompleksu nie mają. Każde nawet najmniejsze szaleństwo budziło w nich niechęć i święte oburzenie. Podczas kiedy towarzystwo Izki organizowało szalone imprezy, przeglądy kabaretowe, konkursy, wycieczki w góry, moje towarzystwo klasowe masowo zapisywało się do Oazy. Dziewczyny były rozmodlone i robiły swetry na drutach, chłopcy zakładali kółka matematyczne. Nikt nie palił, nie umoczył nawet ust w alkoholu, nie mówiąc już o popełnieniu grzechu ciężkiego, jakim jest seks. Jestem przekonana, że opuściliśmy liceum nietknięci, zarówno panie, jak i panowie. Gdybym chodziła do technikum lub szkoły zawodowej, może moja edukacja seksualna rozpoczęłaby się znacznie wcześniej. Izka, która ostentacyjnie gardziła wykształceniem, zwykła mawiać, że jedyna różnica pomiędzy uczniami z liceum a tymi z zawodówki jest taka, że licealiści na przerwie stoją z zeszytami, a ci drudzy - z petami.

Zbliżała się czwarta rano, a my pisaliśmy do siebie e-maile takiej ciekawej treści. Bardzo mnie wciągnęła ta zabawa, nie miałam przez lata ani okazji, ani specjalnej ochoty na wspomnienia, jednak tej nocy nic bardziej mnie nie mogło ucieszyć. Alex był w takim samym nastroju, odpisywał w błyskawicznym tempie: „Wiem, kto zamienił konserwy, ale nie powiem. Nie chciało

wam się targać butli gazowej, tylko wzięłyście sobie do gotowania maszynkę na denaturat. Po ugotowaniu jednej zupy butelka denaturatu została zużyta i przez dwa dni chodziłyście głodne. Przypłynęliśmy do was na Wyspę Energetyka z prowiantem, pamiętam, że pływaliśmy potem przez jezioro do Polańczyka na smażoną rybkę. Nie wiem, dlaczego nie chciałyście wtedy jechać z nami, tylko uparłyście się przy babskim wypadzie?"

A ja pamiętam. Danka już wtedy spotykała się z Karolem, który postawił warunek, że jeżeli chce jechać w Bieszczady, to tylko z dziewczynami, żadnych kumpli. Odprowadził ją na autobus, dopilnował, żeby wsiadła w damskim towarzystwie, obiecał, że złoży niezapowiedzianą wizytę. Danka bała się tej wizyty i nie przeprowadziła się z nami przez jezioro na obiady, siedziała przy namiocie, trzymała wartę i czekała na Karola. Kiedy w końcu przyjechał w towarzystwie jakiegoś dziwnego kolegi, miałyśmy kłopot z noclegiem. Ani ja, ani Izka nie chciałyśmy spać w namiocie z Karolem i Danka, a już na pewno nie z tym jego kolesiem, którego nazwałyśmy „obszczymurek”, ponieważ załatwiał potrzebę zaledwie kilka kroków od namiotu. Błąkałyśmy się całą noc po wyspie, przysiadając się do innych turystów biesiadujących przy ognisku. Karol z Danka uprawiali w tym czasie seks, nie dbając nawet o zachowanie pozorów. Był to bardzo głośny i wyczerpujący maraton, trochę mnie to krępowało, ale Izka szybko mnie napomniała. Powiedziała wtedy, że moja zacofana i bogobojna klasa jest wyjątkiem, a normalni ludzie, kiedy mają siedemnaście czy osiemnaście lat, zaczynają się kochać i nie lecą z tym zaraz do spowiedzi, bo nie czują, że grozi im wieczne potępienie. Kiedy ją zapytałam, czy ona też jest już „po”, odparła, że na pewno zrobi to przed maturą, bo nie ma zamiaru wносить „kwiatuszka” na salę egzaminacyjną. Byłam od niej rok starsza i wizja utraty dziewictwa po prostu mnie przerażała. Pocałunki, owszem, ręce pod bluzką też, ale nie pełen stosunek! Dopiero dwa lata później Leszek mnie przekonał, że to nic złego. Był moim pierwszym mężem.

Ostatni e-mail od Alexa przyszedł o piątej rano. Odpowiedziałam mu: „Noc się skończyła. Prześpijmy się chwilę. Choć

nie wiem, czy zasnę. Chciałabym jeszcze milion rzeczy Ci powiedzieć, ale zostawmy to sobie na piątek. Zaplanuję coś dobrego na obiad, zobaczysz, będziesz pod wrażeniem! Nad morzem będzie wiało i śmierdziało mułem, ale na pewno Cię tam zabiorę, żeby zrobić konkurencję Juracie w Twoim sercu. Alex, dziwnie to zabrzmiało na »papierze«, ale całuję Cię. Marlina".

Zamknęłam laptopa, jednak zanim zasnęłam, uruchomiłam go ponownie, żeby sprawdzić, czy odpisał. Nie myliłam się, treść była następująca: „Piątek będzie od teraz moim ulubionym dniem tygodnia. Ja całuję Cię wszędzie na dobranoc. Alex".

Izabela

Piętnasty ślad hamowania

Umówiłam się z Alicją w restauracji na obiad. Pewnie ją trochę przestraszyłam tą propozycją, ale chęć porozmawiania z kimś o moich zawirowaniach sercowych zwyciężyła. Niestety, w ostatniej chwili odwołała spotkanie. „Sorki, nie mogę” - powiedziała do słuchawki. Stałam w pełnym rynsztunku, gotowa do wyjścia, wyperfumowana, zapięta, odprasowana, a koleżanka, nie okazując ani grama skruchy, dwa razy podała powód pt.: „Coś mi wypadło”. Co?! Byłam na nią naprawdę wściekła, jednak nie umiałam tego okazać, nie chciałam jej do siebie zrazić.

Dziś Alex wylatywał do Londynu w interesach. Trochę mnie dręczyła ta myśl, a raczej brak wiedzy na temat jego rzekomych interesów. Przyszło mi nawet do głowy, że może jest on szpiegiem MI6 i dlatego tak oszczędnie wypowiada się na temat tej podróży. Gdyby był szpiegiem, nie mówiłby w ogóle o tym, gdzie leci. Natalia nie kontaktowała się ze mną, bez reszty pochłonięta jest romansowaniem z maklerem giełdowym. Wysłałam jej sms-a z zapytaniem, czy pojedzie ze mną i Alexem odwiedzić mamę Danki, ale odpowiedziała lakonicznie, że to się jeszcze okaże. Miałam nawet zamiar zajrzeć do jej butiku w czwartek po pracy, jednak Konrad wynajął mnie jako szofera na wieczór. Pokrzyżował mi plany, ale ponieważ rzadko mnie prosił o podwożenie do kolegów, uznałam, że mogę się poświęcić. Odkąd zamieszkaliśmy w Markach, jego życie towarzyskie

niecio ucierpiało, co nam zresztą chętnie wypominał przy każdej okazji. Wolał mieszkać w bloku w Warszawie i mieć wszystko pod ręką, a nie w jakiejś „pipidówie” na końcu świata. W jego wieku nie docenia się luksusu, jakim jest własny dom za miastem, z czterema sypialniami i trzema łazienkami, nie mówiąc już o garderobie i spiżarni, do których zresztą nigdy nie wchodzi. Ja zaliczam dzień przeprowadzki do naszego domu do jednych z najszcześniejszych w moim życiu.

Od momentu, kiedy zamieszkaliśmy w Warszawie, marzyłam o własnym domu, ale musiało minąć dziesięć lat, zanim moje marzenia zaczęły się murować na zakupionej okazjonalnie działce w Markach. Matka Radka nam to załatwiła, jej koleżanka miała spory ogród przy swojej posiadłości i po dwóch latach namyślenia się zdecydowała, aby nam kawałek odstąpić. Zarówno dom, jak i działka figurowały w księgach wieczystych jako własność Radka, taki warunek postawiła teściowa, a ja się zgodziłam, bo nie miałam ochoty na wojnę domową. Tak to jest, kiedy, powtarzając za teściową, bierze się za żonę „gołodupca”. Nigdy jej nie wybaczyłam tego określenia, choć Radek mnie wielokrotnie za to przeproszał. Nie byłam dobrą partią, doskonale zdawałam sobie z tego sprawę, ale widocznie Radek nie był aż tak wyrachowany jak jego matka. Zakochał się i postawił na swoim.

Jego rodzina od lat zajmowała się „prywaciarstwem”. W czasach, kiedy wolny rynek w Polsce prawie nie istniał, produkowała odzież z skóry, bogato zdobioną napisami w stylu *Marlborough* czy *New York City* i sprzedawała ją na bazarze. Były to kurtki-straszdyła, ale podwarszawska wieś za nimi przepadała, na tamte czasy posiadanie takiej czarnej kurtki z napisami było uznawane za szczyt elegancji. Dorobili się sporego majątku, wybudowali dom, kupili volvo i zjadali się miniaturowymi czekoladkami z Austrii, podczas gdy moja rodzina gnieździła się na pięćdziesięciu metrach kwadratowych, jeździła dużym fiatem, a pomarańcze jedliśmy tylko raz do roku w okolicach świąt. Kiedy poznałam Radka, wydawało mi się, że znalazłam się w bajce. Nie wiem, dlaczego w ogóle zwrócił na mnie uwagę?

Spotkaliśmy się w Bieszczadach na rajdzie. Na początku interesował się moją koleżanką z klasy, ale kiedy go w dwóch słowach odtrąciła, skierował radar na moją częstotliwość. Byłam świeżo po maturze i po ślubie Marleny, co nie jest bez znaczenia. Nie wybierałam się na studia, gdzie zazwyczaj ludzie łączą się w pary i pobierają, więc uznałam, że wakacyjna znajomość może zastąpić studenckie łowy. Radek uwiódł mnie bardzo szybko, nie tracił czasu na podchody i romantyczne oswajanie ofiary. Nie wiem dlaczego, ale jemu też się śpieszyło do ożenku, choć nie obawiał się chyba starokawalerstwa. Nie wybierał się na studia, powiedział, że szkoda mu na to czasu. Woził mnie tym swoim błyszczącym volvo po Bieszczadach, kątem oka sprawdzając, czy jestem zachwycona tym wyróżnieniem. Przyznaję, że byłam. Wtedy większość dziewczyn można było kupić na zawsze perfumami Masumi z Pewexu! Nie byłam wyjątkiem. Nie udało mi się zakochać w Radku, choć bardzo się starałam przez kilka miesięcy. Marlena zaklinała mnie na wszystkie świętości, żebym się nie pakowała w taki wykalkulowany związek. Pewnie, przy jej urodzie i wewnętrznym pięknie łatwo było udzielać mi takich niepraktycznych rad. Sama wyszła za mąż za bogatego i przystojnego Leszka Bahana i szykowała się do wyjazdu do USA. Miała dwadzieścia lat i widoki na naprawdę interesujące życie u boku faceta, którego zazdrościły jej wszystkie panie, zarówno te wolne, jak również te zajęte.

Fakt, że rodzina Radka była zamożna, przesądził sprawę. Nie miałam zamiaru być gorsza i dać się porwać jakiejś szalonej miłości, która i tak przeszłaby raz-dwa, a bieda by pozostała. Ojciec powiedział, że moje konkurowanie z Marleną wkroczyło na nieodpowiedni tor! Tak mi powiedział, kiedy oświadczyłam, że wychodzę za mąż. Boże, jak on Radka nie lubił! Mama ratowała sytuację, traktując mojego narzeczonego z wielką czułością i honorami, bardzo chciała mu wynagrodzić niechęć teścia. Myślę, że jej się to na początku udawało, ale potem Radek definitywnie zakończył okres próbny i odseparował się od mojej rodziny. Do jednego wora wrzucił mamę, tatę i Marlenę, worek zawiązał mocnym sznurem i wrzucił do piwnicy. Powiedział

na podsumowanie, że ożenił się ze mną, a nie z moją rodziną. Fakt, oni nie mieli ze sobą nic wspólnego. Radek miał naturę człowieka interesu, kochał pieniądze i wszystko to, co można było za te pieniądze kupić. Moi rodzice szanowali inne wartości, pieniądze grały rolę tylko wtedy, kiedy zabezpieczały nam byt na poziomie, jaki sobie wyznaczyli. Nie chcieli żyć ani dostatniej, ani ścigać się z innymi, a Radek biegł przez życie od celu do celu, rozglądając się na boki, kogo by tu jeszcze doścignąć. Byliśmy wielkimi rybami w małym stawie, ale bardzo długo trwało, zanim sobie to uświadomił.

Lata dziewięćdziesiąte ośmieszyły jego rodzinną smykałkę do robienia interesów. Nie dostosowali się do nowych czasów, zostali w tyle z tymi swoimi wyrobami, których od dawna już nikt nie chciał kupować. Ostatecznie śmierć teścia podcięła im skrzydła. To on był mózgiem i młotem firmy. Nawet kiedy zaczęły się kłopoty ze zbytem, tkwili na stanowiskach, trzymając się jego filozofii przeczekania. Rok po jego odejściu zauważyli, że bez niego zupełnie sobie nie radzą. Kiedyś wspaniały dom w Konstancinie niszczał i chylił się w dół jak wierzba płacząca. Nieremontowany od lat siedemdziesiątych, wymagał sporych nakładów, ale żadne z dzieci nie śpieszyło się z ratowaniem tej posiadłości. Rachunki za ogrzewanie pochłaniały niebotyczne sumy, drewniane okna przepuszczały cenne ciepło, woda w piwnicy spowodowała plagę wilgoci na dolnych piętrach, przeciekał dach i dziczał ogród. Poddali się po trzech latach i sprzedali dom za bezcen; wystarczyło zaledwie na mieszkanie dla matki Radka w Warszawie. Gdyby poczekali jeszcze parę lat, zrobiliby na tej sprzedaży znacznie lepszy interes. My dostaliśmy parę groszy, reszta się rozeszła po rodzinie, nawet nie wiem, kto ile dostał. Teściowa jednak miała jakieś zaskórniaki, bo sfinansowała nam kupno działki budowlanej, ale mówiąc „nam”, mam na myśli samego Radka. Wszystko jedno, dom stoi, ja w nim mieszkam i nie zamartwiam się, kto jest formalnym właścicielem. Oczywiście, rodzicom nie przyznałam się, że zgodziłam się na takie rozwiązanie kwestii własności naszego domu, nie zrozumieliby tego. Im dłużej żyłam z Radkiem, tym mniej zależało

mi na pieniądzech. Tego, czego naprawdę pragnęłam, nie dało się kupić. Chciałam być o dziesięć lat młodsza, ładniejsza, mieć dłuższe i zgrabniejsze nogi, chciałam, żeby tato żył i mnie kochał jak Marlenę i żeby Alex zabrał mnie ze sobą do Ameryki oraz usynowił Konrada.

Z takimi myślami zastał mnie mąż powracający z pracy. Był wściekły, że jego firma będzie musiała zrobić mnóstwo poprawek, zleceniodawca nie odebrał roboty, za dużo niedoróbek! Rzucił telefon na stół i poprosił, żebym mu zrobiła drinka. Nie chciał jeść kolacji ani wysłuchać relacji z meczu Konrada, nie włączył telewizora i nie zadzwonił do matki, co zawsze robił po powrocie z pracy. Jego problemy zawodowe śmiertelnie mnie nudziły, wiedział o tym i rzadko o nich opowiadał. Może dlatego tak chętnie spotykał się z Tomaszami, z nimi zawsze, ale to zawsze rozmawiał o pracy. Tomaszowa żywo interesowała się firmą swojego męża, chyba nawet prowadziła mu księgowość, więc wszystkie problemy Radka chętnie brała na swój warsztat i wałkowała. Ja nie chciałam nawet o tym słuchać, a co dopiero radzić! Tym razem nie było inaczej. Zamknął się w biurze z telefonem i kieliszkiem wina. Po kilku minutach zajrzałam do pokoju sprawdzić, czy jest gotowy na dolewkę. Wycofałam się szybko, zaalarmowana dzwonkiem do drzwi. Było już po ósmej, nie spodziewałam się wizyty, chyba że sąsiadka znów czegoś potrzebowała, a raczej kogoś, na przykład męskiego ramienia mojego męża. Co za bezczelna zdzirol! O tej porze?

W drzwiach stała zapłakana Natalia. Wciągnęłam ją do środka i posadziłam w kuchni przy stole. Znałam ją, musiała się najpierw uspokoić, żeby przemówić, więc czekałam cierpliwie, otwierając drugą butelkę wina. Potrząsnęła głową.

- Jestem samochodem. Izka... Stało się nieszczęście - powiedziała w końcu.

Przeszył mnie zimny dreszcz.

- Alex? - zapytałam, siląc się na spokój.

Natalia kiwnęła głową. Usiadłam.

- Jego była żona miała wypadek na autostradzie. Jechała nocą, warunki okropne, mgła. Na tylnym siedzeniu spał mały Scott, nie miał zapiętych pasów...

- Żyją? - Nie czekałam, aż wydusi z siebie całą historię.

- Tak. Ona jest nieprzytomna, ale przeżyje jednak Scott jest w stanie krytycznym - powiedziała i zaczęła płakać. Może i byłam małostkowa, ale odetchnęłam z ulgą.

Przez kilka minut myślałam, że to Alex nie żyje, więc każda inna wiadomość nie była mi już tak straszna. Wiedziałam, że ma pięcioletniego syna i że po burzliwym rozwodzie amerykańska żona zabrała małego z San Jose do Nowego Jorku, gdzie dostała pracę w jakiejś prestiżowej kancelarii adwokackiej. W całej przeprowadzce nie chodziło jednak o pracę, raczej o odseparowanie ojca od syna.

- A Alex?

- Właśnie wracam z lotniska, odleciał do Nowego Jorku. To jest makabra, miałam go zawieźć na lotnisko jutro, chciał lecieć do Londynu w jakichś interesach, a tymczasem... Jezu, w jakim on był stanie, jak się dowiedział... Mówię ci, Izka, on tego syna tak strasznie kocha! Dlatego rzucił pracę w Kalifornii, a powiem ci, że robił tam karierę i zarabiał kupę kasy, ale postanowił przenieść się na wschodnie wybrzeże, żeby być bliżej syna. Ta jego żona, jak jej tam, Margot, chciała za wszelką cenę ułożyć sobie życie ze swoim bogatym kochankiem tak, jakby w jej życiu nie było Alexa i żeby Scott o nim zapomniał i za swego ojca uznał jej nowego faceta.

Natalia jednym tchem snuła opowieść. Przekonałam ją, żeby została na noc, więc mogliśmy się uraczyć winem. Nie protestowała, jakoś w takiej chwili nie chciała znaleźć się w towarzystwie Huberta. Słusznie podejrzewała, że nie był dobrym słuchaczem i szybko by się znudził rolą pocieszyciela.

- Krótko byli małżeństwem - stwierdziłam.

- Najwyżej trzy lata. Alex mi się nie zwierzał, nie wiem, dlaczego im nie wyszło, mogę się tylko domyślać, ale to już teraz nieważne. Jeśli Scott umrze, to Alex się załamie! Może powinienam lecieć z nim? On tam będzie zupełnie sam... Za jakies

osiem, dziesięć godzin powinien do mnie zadzwonić, tak obliczyłam. Mamę też wsadziłam w pociąg i odesłałam do domu, zamęczyłaby mnie w takiej chwili. Znów się na mnie obraziła, ale nie mam zamiaru się tym teraz przejmować. Izka, co to za nieszczęście, sama powiedz! Jeszcze w sobotę siedzieliśmy sobie w barze i popijaliśmy drinki, a teraz Alex leci gdzieś nad Europą i nie wie, jakie wiadomości go przywitają w Nowym Jorku. Nie wzięął ze sobą nic, rozumiesz, nic, tylko laptopa. Wszystkie jego rzeczy mam w samochodzie, zabiorę do siebie.

Natalia zaczęła się uspokajać. Poszliśmy do garażu zapalić, u nas w domu było to zabronione. Założyłyśmy „dyżurne” polary, jakie miałam zawsze uszykowane dla siebie i osoby wizytującej garaż. Natalia usiadła na ogrodowym krześle przy drzwiach. Rozejrzała się dookoła, mrużąc oczy.

- Natalia... Nawet nie wiesz jak mi przykro, spotkanie z twoim bratem po tylu latach niewidzenia było po prostu magiczne. Przenieśliśmy się w czasie. Miałam nadzieję, że spędzę z nim trochę czasu podczas jego pobytu w Polsce, robiłam plany. Nic nie można w życiu z góry ułożyć, zawsze się trzymałam tej zasady, bo wiem, jak niebo się gniewa, kiedy usiłujemy coś w życiu zrobić na własną rękę.

Powoli zaczęłam odsłaniać kurtynę. Musiałam jej powiedzieć, co się ze mną działo, przecież nie stało się nic złego, tylko wybuchł pożar w sercu i palił się takim jasnym ogniem, który mnie grzał. Natalia wiedziała najlepiej, że nigdy nie byłam zakochana i jak bardzo mi się należała chwila całkowitego zapomnienia. Po prostu mi się należała i już..!

- Ja tak nie myślę, plany trzeba mieć. Nie wiem, czy on w takiej sytuacji w ogóle wróci do Polski...

- Myślisz, że zostanie w Ameryce na kolejne siedemnaście lat? - zapytałam zdenerwowana.

- Nie wiem, ja raczej mało o nim wiem, teraz dopiero to widzę. Niby jesteśmy blisko ze sobą, ale na odległość to nie jest żadna więź, namiastka zaledwie. Prawdziwie można być tylko z kimś, kogo się trzyma za rękę - odparła i zagasiła papierosa.
- Teraz żałuję, że wypiałam to wino, chciałabym spać u siebie.

- Zjedzmy coś, a potem dmuchniesz w alkomat - zaproponowałam. Natalia spojrzała na mnie zdziwiona.

- Ty masz alkomat?

- Mam, bo jak się dojeżdża codziennie do pracy, to trzeba być czujnym, a wiesz, ile wina piję. Czasami nas drugi dzień jeszcze trzyma, choć tego nie czujemy!

Wyjaśniłam i przeszliśmy do domu. Radek czekał na nas w kuchni, odgrzewał sobie zupę. Powiedziałam mu, co się stało, nawet się dosyć przejął, objął Natalię i zaproponował to, co ja wcześniej, żeby została u nas na noc. Nigdy wcześniej nie zaszczylił jej taką troską, ludzki pan. Zjedliśmy kartoflanek na boczku, wiosłując łyżkami w całkowitym milczeniu. Nie wiem, o czym myśleli mój mąż i Natalia, ale ja przypominałam sobie jedno zdarzenie z mojej młodości. Nie pamiętam, czy miałam siedemnaście lat, czy ciut mniej, kiedy poderwał mnie pewien student-praktykant i po długim okresie namysłu umówiłam się z nim na prawdziwą randkę. Tak naprawdę zależało mu na spotkaniu z Marleną, ale ona nie była nim zainteresowana, więc jak to się często w moim życiu zdarzało, zajęłam drugie miejsce na jego prywatnej liście wyborczej. Szykowałam się na to sobotnie spotkanie cały dzień, poprawiając sobie urodę wszystkimi dostępnymi wtedy środkami, zostawiając sobie ciepłą kąpiel na koniec. Kiedy wyszłam z wanny, poczułam piekący ból na skórze pośladków i w okolicach kości ogonowej. Posmarowałam palące miejsce kremem Nivea, a po kilkunastu minutach piekący ból zmienił się w nie do zniesienia palący mega ból, jakby mnie ktoś przypalał żywym ogniem. Ze zgrozą obejrzałam tyłek w lustrze. Skóra była czerwona od poparzenia, pojawiły się jakieś dziwne grudki i kropki, a żadna ilość kremu nie przynosiła ulgi. Nie mogłam nawet założyć majtek, tak mnie bolało. Poskarżyłam się mamie, a ona poinformowała mnie, że tato rano „coś tam z prostownikiem kombinował w wannie” i może jakiś kwas mu się wylał i zapomniał go zmyć. Jaki kwas?!” - krzyczałam ze łzami w oczach. Dotarło do mnie, że w takim stanie nie będę mogła iść na randkę, bo nie było pewności, czy nie wyląduję na izbie przyjęć! Moje wielkie romantyczne plany związane z przystojnym

i pociągającym mnie fizycznie asystentem poszły się paść. Przepłakałam cały wieczór, a kiedy już przestały się lać krokodyle łzy, wstrząsała mną wściekłość na ojca. Przez jego bezmyślność nie miałam okazji przekonać się, czy asystent by mnie rozważył. Kiedy tato wrócił z pracy, na moje zarzuty i pretensje odpowiedział, pukając się w czoło. Nie był skłonny do przyznania się do błędu.

Teraz, kiedy okazało się, że nie pojedę z Alexem w podróż sentymentalną do naszego miasta, czułam się dokładnie tak samo. W ostatniej chwili, kiedy już brałam łyżeczkę do ręki, ktoś mi sprzątnął kawałek tortu sprzed nosa! Brzydziłam się swoją małostkowością, a jakże, ale niestety tak właśnie się czułam i tak myślałam w dniach, kiedy syn Alexa walczył o życie.

Radek zostawił nas same, ale nie rozmawialiśmy wiele, byliśmy zbyt mocno zmożone alkoholem.

Marlena

Szesnasty ślad hamowania

Kupiłam Emilii bilet do Polski. Sama zaproponowała, że do-
trzymam babci towarzystwa w Święto Zmarłych. Ja na cmentarzu
byłam tylko raz, na pogrzebie taty i nie wybieram się po raz
drugi, chyba że na pogrzeb mamy, który - mam nadzieję - nie
nastąpi zbyt szybko. Mama ma zaledwie sześćdziesiąt pięć lat,
a wygląda dziesięć lat młodziej. Moja córka chętnie łąta do Pol-
ski, jest bardzo żyta z dziadkami i kiedy umarł tato, powiedziała
coś, co mnie najbardziej wzruszyło: że teraz, kiedy przyjdzie na
nią czas, będzie jej łatwiej umierać, bo wie, że czeka tam na nią
dziadziu. Jego śmierć spowodowała, że sama przestała się bać
śmierci.

Kiedy odłożyłam słuchawkę po rozmowie z Alexem, usia-
dłam na podłodze i zamieniłam się z posag. Emilia zastała mnie
w tej pozycji. Powiedziałam jej, dlaczego mój gość nie przyleci.
Zajrzała mi w oczy i pogłaskała po policzku.

- Mamo, to nie jest zwykły kolega, prawda?
- Prawda - odpowiedziałam.
- Kiedy będziesz wiedzieć, co z jego synkiem?
- Jutro po południu.
- Zrobię ci coś do jedzenia, chcesz?

Nie chciałam jeść ani pić, mogłam sobie tylko tak siedzieć
na podłodze w sypialni z głową opartą o kaloryfer i nie my-
śleć o niczym konkretnym. Na drzwiach szafy wisały sukienka

i komplet bielizny z białej koronki. Obok stały wysokie kozaki, za które zapłaciłam dwieście funtów, na klamce dyndał ozdobny łańcuch imitujący stare złoto. To był mój kompletny strój na jutrzejszy dzień. Dwie godziny wcześniej wszystko przymierzyłam, umalowałam się, wyperfumowałam i przyglądałam się swojemu odbiciu w lustrze. Zrobiłam próbę generalną i byłam zadowolona. Narzuciłam długi skórzany płaszcz w brązowym kolorze, a szyję owinęłam ogromnym szalem - to był mój jesienny powitalny strój. Wszystko nowe, w dobrym gatunku, kilkadziesiąt razy dotykane w sklepie i mierzone wczoraj oraz przedwczoraj. Patrzyłam na te wiszące w pełnej gotowości ciuchy z jakąś wielką niechęcią, jakby to one sprowadziły do nas to nieszczęście. Przez te zakupy dobiłam do sumy górnego limitu na karcie kredytowej. Emilia pomogła mi skompletować ten *oufit*, nie pierwszy raz zasięgałam jej porady w sprawie mody, naprawdę się na tym znała. Usiadła obok mnie na podłodze i obie gapiłyśmy się na otwarte drzwi szafy.

- Zawsze mnie uczyłaś, żeby być *optimist*, a nie *pessimist*. Ten Scott przecież jeszcze żyje, jeszcze nic się nie stało - przemawiała do mnie łagodnie i spokojnie jak nauczycielka do dzieci z najmłodszej klasy.

Teraz, kiedy już wybaczyła mi odejście od Alana, mogłyśmy rozmawiać otwarcie. Podejrzewała, tak zresztą wmówił jej Alan, że mam kogoś innego i zwyczajnie dopuściłam się zdrady. Tłumaczyłam Alanowi, dlaczego zdecydowałam się odejść, ale nie dotarłam do niego ze swoimi racjami. Nie, mężczyźni takich rzeczy nie przyjmują do wiadomości. Powiedziałam mu, że już go nie kocham, że przy nim gasnę i że muszę wyjść z tego domu i układu, jaki dla nas stworzył, bo do niego nie pasuję. Całe życie z Alanem on chciał, żebym była rękawiczką, a ja byłam kapeluszem i chciałam nim pozostać. Kapelusz udawał czasem rękawiczkę, ale nigdy się nią nie stał. Powiedział mi, że bredzę, a potem zapytał: „Kto to jest? Kim jest twój gach? Znam go?”. Szesnastoletnia Emilia tym bardziej nie mogła pojąć: „Przecież się nawet nie kłóćcie! Jesteście dla siebie dobrzy! O co chodzi?” - pytała.

Teraz może już bym jej mogła wytłumaczyć, bo minęły prawie dwa lata od decydującej rozmowy, w jej wieku to dużo, ale temat umarł śmiercią naturalną. Emilia miała swoje życie, zaciekał ją świat i ludzie, podzieliła siebie na dwa domy i jeśli zgłaszała pretensje, to tylko wtedy, kiedy chciała usprawiedliwić jakieś swoje poczynania, a nie ocenić moje. Nie miałyśmy jednak koleżeńskich relacji, ona potrzebowała matki, a nie przyjaciółki, ja zaś córki, nie koleżanki, więc nie uprawiałyśmy przyjaźni. Pewnie by się bardzo zdziwiła, gdybym jej opowiedziała o nocy w hotelu i pocałunkach na dworcu. Po rozstaniu z Alanem zdążyłam wpakować się w dwie intymne sytuacje. Obie koszmarne. Miałam te swoje tajemnice, każdy przecież ma.

- Mamo, może ty zadzwoń do niego, niech wie, że się martwisz.

- Jego samolot dopiero wystartował z Warszawy. Zarezerwowałam ci wczoraj bilet do Polski, babcia już wie, że przylatujesz i bardzo się cieszy.

- Ty nie chcesz lecieć? - zapytała, choć znała odpowiedź, więc się nie odezwałam. - Kiedyś mi musisz opowiedzieć, co zaszło między tobą a cicią Izą. Ja nie dowiem się, jak to jest kłócić się z siostrą, bo jej nie mam. Może jak zamieszkamy w Polsce, to się pogodzicie... albo jak któraś z was zachoruje na raka, wtedy kobiety zawsze się godzą - powiedziała.

- Co ty wygadujesz, Emilia... - Odwróciłam głowę w jej stronę. - Rak piersi? Skąd ci takie myśli przychodzą do głowy? U nas w rodzinie nie ma raka piersi i ja się tego trzymam.

- No to na co czekacie? Co ma was pogodzić jak nie śmiertelna choroba? Jak w serialu, ludzie dopiero nad grobem się... godzą i żałują, że tak późno, a zegar tyka, tyk, tyk, tyk - Emilia prawiła mi morały, do czego to doszło? Słuchałam jej, ale nie wysiliłam na tłumaczenie.

- To za długa historia jak na dzisiejszy wieczór - odparłam krótko.

- Zawsze mnie tak zbywasz. To nie *fair*. Jak są jakieś nieciekawe rzeczy, to opowiadasz i opowiadasz, że końca nie widać, a jak o coś ciekawego pytam, to ci się nie chce.

- To nie tak, że mi się nie chce, ale teraz nie mam nastroju, żeby ci omówić całą historię. A poza tym musiałabym opowiedzieć ci szerzej, dotyczy to nie tylko mnie i Izy. Jeszcze nie wiem, czy warto.

Nie przypominam sobie, żebyśmy wcześniej rozmawiały tak szczerze jak teraz. Emilia być może dorosła do roli partnerki do rozmowy, a ja odczuwałam tak wielką potrzebę mówienia, że aż mnie to trochę przerażało. Mówiłam i mówiłam, a ona siedziała naprzeciwko mnie, również na podłodze i popijała sok małymi łydkami.

- Twój tato posądził mnie o zdradę, do dziś uważa, że odeszłam od niego do kogoś, rozumiesz, nie od niego, ale do kogoś. To nie jest prawda, już nawet nie mam śliny w ustach, żeby mu jeszcze raz tłumaczyć moje powody. Nie rozumie, bo nie chce zrozumieć. Najłatwiej jest powiedzieć „masz kochanka i to przez niego rozbijasz naszą rodzinę”.

- Ty go, mamó, pewnie nienawidzisz... - Emilia miała współczucie w głosie, ale też i gotowość stania w obronie ojca.

- Emilia, jak mogłabym nienawidzić mężczyzny, który dał mi taki skarb! Ty jesteś moją nagrodą i będę zawsze kochać twojego ojca w tobie - powiedziałam, patrząc jej w oczy. Musiała w moich zobaczyć miłość.

- To dobrze, bo wiesz, chyba co druga moja koleżanka jest z zepsutej rodziny... *Broken home*, chcę powiedzieć.

- Nie mówi się „zepsuta rodzina”, ale „rozbita”. Chociaż... może to i lepsze słowo? Jak się coś rozbije, to raczej jest to koniec tej rzeczy, ale jak się zepsuje... Może chwilę nie działać, a potem się naprawi. - Bardzo mi się spodobało to przypadkowe określenie, jakiego użyła.

- To może jeszcze wrócisz do taty? - Uczepiła się tej myśli, widziałam na jej twarzy maleńki promyczek nadziei. Bardzo szybko odpowiedziałam:

- Nie, tego jednego jestem w życiu pewna. Za jakiś czas, kiedy oboje naprawdę zaczniemy nowe życie osobno, sama się przekonasz, że gdybyśmy do siebie wrócili, byłoby to po prostu nienaturalne.

- Tato już zaczął nowe życie - powiedziała krótko. Mogłam zapytać, z kim, czy jest młoda, czy ładna, gdzie pracuje i pewnie Emilia wszystko by mi opowiedziała, ale ja naprawdę nie znalazłam w sobie żadnego zainteresowania tym tematem. Nawet zwykła babska ciekawość mnie nie korciła. Emilia odczekała chwilę, zanim powiedziała drugie zdanie:

- Powiem tylko tyle, że taty rodzina też jej nie lubi, choć jest Angielką.

- Ano widzisz, nie ma kobiety odpowiednio dobrej dla tej rodziny.

- Gdzie jej do ciebie! Ona jest bardzo... Nie wiem, jak to powiedzieć po polsku. Taka prosta dziewczyna z *council estate*. Ale nie ja z nią się spotykam, to mnie to nie martwi. Tato ma pięćdziesiąt lat, nie chcę, żeby był sam.

Tym lepiej dla mnie, bo teraz oboje będziemy dążyć do jak najszybszego zakończenia procedur rozwodowych. W liście Ivana pisała mi, że druga strona przyjęła moją propozycję i teraz to już tylko formalność. Dostanę sto tysięcy funtów i mogę zatrzymać samochód, który jest wart co najmniej piętnaście tysięcy. Ponieważ nie zabrałam z rodzinnego domu prawie nic, mąż w ramach rekompensaty odpalił mi extra gotówkę - dwa tysiące funtów. Mogło być gorzej, ale też mogłam wywalczyć więcej, gdybym jeszcze kilka miesięcy się upierała. Powiedziałam o tym Emilii.

- Kupisz za te pieniądze mieszkanie w Krakowie, jak planowałaś?

- Musimy gdzieś mieszkać po powrocie do Polski w przyszłym roku, ale może na początek coś wynajmiemy, żeby się nie wiązać. Nie wiem, czy spodoba ci się studiowanie w Polsce.

- Mamo, tu nie mam szans dostać się do dobrej szkoły teatralnej, a w Polsce się zapłaci i będę się uczyć - odpowiedziała. Mówiliśmy na ten temat z częstotliwością raz na tydzień, obie niepewne, czy podejmujemy słuszną decyzję. Mnie pomysł powrotu do Polski od momentu spotkania z Alexem zaczął wydawać się zły. Czekałam jednak cierpliwie na ostatnie słowo w tej sprawie od Emilii. Wiem, że różnie o tym posunięciu myślała. Na pewno nie było w niej już tyle entuzjazmu, co rok wcześniej.

- Myślisz, że już wylądował? - zapytała nagle. Spojrzałam na zegarek.

- Chyba teraz ląduje. Nie spodziewam się żadnych wiadomości od niego aż do jutra rana. Teraz w Nowym Jorku jest osiemnasta, pojedzie z lotniska do szpitala, więc może, jak się czegoś dowie, da znać.

- Napisz mu coś ty, będzie mu miło, jak wyląduje, włączy komórkę i znajdzie tekst od ciebie.

Nie napisałam, uznałam, że nie potrzebuje tego w tej chwili. Wie, że myślę o nim, modłę się trochę, trzymam kciuki, ale nie umiem pomóc. Przede wszystkim walczę, żeby nie dopuścić do głosu egoistycznej części mojej jaźni, która chciałaby ponarżekać i ubolewać nad faktem, że ten straszny wypadek na pewno zmieni Alexa, on już nie będzie tym samym człowiekiem, a co za tym idzie, zmieni się również moje życie. Bajka nie potoczy się dalej. Jak w moim ulubionym filmie animowanym: „żyli długo i szczęśliwie, ale nie wszyscy”.

Ubolewałam nad losem synka Alexa, wyobrażałam sobie, jak leży podłączony do tych wszystkich rurek i urządzeń, taki maleńki na wielkim szpitalnym łóżku. Wyobrażałam sobie Alexa, jak wsiada do taksówki i jedzie przez szary Nowy Jork, ogląda miasto przez szybę, nie zatrzymuje na niczym wzroku i udaje mu się nie myśleć. Ale zaraz potem telepatycznie łączyłam się sama ze sobą w poczuciu krzywdy. Dlaczego akurat teraz? Jestem wyznawcą teorii, że co nam zapisane, to nas nie ominie, więc jeśli mały Scott miał ulec wypadkowi, to dlaczego nie mogło to nastąpić tydzień później? Po drugim spotkaniu z Alexem bylibyśmy już trochę dalej w naszym związku, łącząca nas nić byłaby znacznie grubsza i solidniejsza, stalibyśmy się bardziej związani tym, co zostałyby wypowiedziane oraz tym, co zrobiłyby nasze ciała. Wtedy mogłabym nawet lecieć z nim do Nowego Jorku, bo czułabym, że mam prawo mu towarzyszyć. Niestety, w tej chwili takiego poczucia nie miałam. Nie mogłabym ucześcić się jego mankietu, wsiadając do samolotu, a potem przynosić mu kawę z automatu ustawionego w szpitalnym holu. Nie chciałam się tymi przyziemnymi myślami dzielić z Emilią. Obiecałam, że napiszę do Alexa.

Izabela

Siedemnasty ślad hamowania

Przez siedem dni chodziłam zupełnie otumaniona swoimi myślami. Zaczęło się od pomysłu, aby polecieć do Nowego Jorku i pomóc Alexowi w tych niewątpliwie ciężkich chwilach. Mężczyzna w rozpacz jest o wiele bardziej bezbronny i bezradny niż kobieta, chowa się w głąb siebie, nie czerpie sił z tajemnych źródeł religijno-filozoficznych i choć nie płacze, rozpacza. Może nie nadawałam się na pocieszycielkę w sprawie Danki, ale jeżeli chodziło o Alexa, wydawało mi się, że do tego zadania szkoliłam się bardzo długo i to w elitarnej jednostce. Nie potrafię położyć palca na tachografie rejestrującym moją podróż przez życie i wskazać: tak, tu jest ten punkt w moim życiu, od którego zaczęło się inne myślenie. Czy zmianę spowodował powrót Alexa? W pewnym stopniu tak, ale reszta dokonała się samoistnie. Pchnął być może ten pierwszy kawałek domina, aja coraz wyraźniej odczuwałam, jak kolejne upadają na siebie.

Przez tydzień zastanawiałam się, czy powinnam rozejść się z Radkiem. Nie zarabiałam wiele, nie byłoby mnie raczej stać na wynajem ładnego mieszkania w Warszawie. Przede wszystkim myślałam o pieniądzach, rozważając separację, jeśli nie od razu rozwód. Kogo zranię? Komu dokuczę? Komu wyrwę świat do góry nogami? Nie, w takich ludzkich kategoriach swojej decyzji nie poddawałam analizie. Zajmowałam się wyłącznie stroną praktyczną. Jedną myśl przeznaczyłam na przygotowanie się

do obwieszczenia nowiny mamie. Nawet mieszkanie z Natalią wzięłam pod uwagę jako tymczasowe rozwiązanie, ale szybko je odrzuciłam. Hubert z pewnością u niej pomieszkiwał, a jeżeli jeszcze nie, to zaraz zacznie.

Nie mam wielkich szans na wyproszenie Radka z naszego domu, który formalnie jest jego własnością. Separacja musiałaby być faktyczna, z pakowaniem rzeczy osobistych, upychaniem do bagażnika oraz z walką o psa. Psa nie mieliśmy na szczęście. Konrad miałby pójść za mną, gdyż powszechnie wiadomo, że miejsce dziecka jest przy matce, nawet jeżeli jej całkowicie odbiło, tak jak mi. Byłam nawet skłonna to przyznać w jakiś mało zawołowany sposób: tak, jestem szalona, nigdy cię nie kochałam, Radku, i odchodzę, bo mój kolega ze szkoły się pojawił na horyzoncie i tak mnie do niego ciągnie, że gdyby mnie nawet przytwierdzono śledziami do gleby, i tak bym się zerwała. Jego syn walczy o życie, więc teraz jest naprawdę najstosowniejszy moment, żeby się uwiesić jego ramienia, udając, że ofiaruje się swoje. Nie mogłam wykluczyć, że Radek by mnie po prostu zabił. Po tym, co zrobiła Danka, słowo „zabić” wydaje się mało groźne, takie jakieś pospolicie brzmiące, na pewno nie wywołuje już przerażenia.

Wprawdzie Biblia zaleca, żeby w siódmym dniu odpoczywać, ale ja nie ustawałam w planowaniu nowego życia. Opamiętanie przyszło dopiero dnia ósmego, zaraz po przebudzeniu. Zadzwo- niłam do Alicji i powiedziałam, co zamierzam.

- Iza, a ja cię uważałam za mądrą osobę! Dlaczego zaraz tak dramatycznie? Rozwód, rozwód... Po co? Rozwód to straszna rzecz! Jedź do tej Ameryki, pofigluj trochę i wróć, a potem się naradzimy. A może tylko ci się wydaje, że tego pragniesz? Liznęłaś lizaka przez szybkę i chcesz się rozwodzić? No, sama pomyśl.

- Ja już sama nie wiem, czego chcę - przyznałam zrezygnowana.

- Nic w tym dziwnego, wielu ludzi na świecie tego nie wie. Potrzebujesz zaczerpnąć innego powietrza, każda kobieta przechodzi taki okres duszenia się w związku, ty też. Więc jedź, jeśli

cię na to stać i jak cię puści mąż. A rozwieść się to zawsze zdążysz, nie ma obawy...

Rozmawialiśmy cały niedzielny ranek, Alicja poświęciła mi sporo czasu i ostatecznie poszłam na układ sama ze sobą: nie odejdę od męża pod jednym warunkiem: że będzie mi dane przeżyć to COS z Alexem. Pierwszy i ostatni raz poddać się uczuciu, paść na kolana od jednego silnego trafienia, więc się na podłodze, nie otwierać okien i nie tłumaczyć przed nikim. Takie ultimatum. Jeżeli będę mogła to COS od początku do końca odegrać, to wtedy, założywszy pętlę codzienności na szyję, wytrwam w tym małżeństwie. Ale najpierw muszę dostać COS od życia, niech by nawet miało trwać tylko tydzień, ponieważ tyle planowałam zostać w Nowym Jorku. Alicja pochwaliła mój plan.

Formalności załatwiłam bardzo szybko, bilet kupiłam pomiędzy jedną a drugą butelką wyśmienitego rieslinga rozmieszanego z wodą gazowaną. Na koniec zadzwoniłam do kuzynki Bietki, wpraszając się do jej mieszkania na Brooklynie. Nie widziałam jej kilka lat, ale kontaktowałyśmy się sporadycznie. Mogło to być złudzenie wywołane podnieceniem wizją podróży, ale Bietka wydawała się bardzo szczęśliwa z powodu mojego przyjazdu. Niewykluczone, że udawała po amerykańsku niezmierny entuzjazm. Obie mlaskałyśmy do słuchawki, ale ona jakby głośniej.

Najmniej ucieszył się Radek, ale chyba pierwszy raz nie skoczył mi do gardła, kiedy mu obwieściłam szczegóły planu. Marlena byłaby ze mnie dumna. Nie pytaj o zgodę - obwieszczaj decyzję.

- Do Danki nie pojechałam, bo urlop, bo Konrad, okej, ale teraz lecę, czuję, że Alex potrzebuje przyjaciółki z dawnych lat. On tam przechodzi piekło - przekonywałam go niezbyt nachalnie. Byłam prawie pewna, że w tej sytuacji mi się nie postawi.

- Mogłaś przynajmniej zapytać mnie o zdanie... - Radek zareagował znacznie mniej dramatycznie, niż się tego spodziewałam.

Przez moment pojawił się nawet jakiś dziwny błysk w jego oku, zupełnie jakby mój wyjazd był mu na rękę. Hola, hola, a może on spotyka się z jakąś cizią na boku? Ostatnio jest taki drażliwy na punkcie swojego wyglądu, nie wolno już nawet

zartować z jego postępujących zakoli. Kiedy Tomasz powiedział mu ostatnio, że „formuje mu się na czole M z logo McDonalda”, w brzydkich słowach kazał mu się odczepić. Nie mogłam się, rzecz jasna, zatrzymać nad tą myślą, ale trochę mnie zaniepokoił swoją uległością wobec mojego szalonego planu. Zapytał tylko, czy Natalia leci ze mną. Natalia nie leciała.

- No, trochę to zastanawiające, ale leć, jak musisz, nie będę cię zatrzymywał, wystarczająco mi upiłowałaś ucho z tym procesem Danki w Anglii. Może faktycznie powinnaś była lecieć?

- Owszem, powinienam była. Nie będę płakać nad rozlanym mlekiem, Danki sprawa jest skończona, a Alexowi mogę pomóc i zrobię to - powiedziałam na koniec.

Radek nie był taki głupi, przeczuwał, że gdyby tym razem podjął walkę, to by ją przegrał, a przegrywać nie lubił. Pakowałam się w pośpiechu z słuchawką przy uchu. Podjęłam ostatnią próbę przekonania Natalii co do podróży. Chciałam ją wyciągnąć ze sobą choćby po to, żeby ją oderwać przynajmniej na chwilę od Huberta. No i w roli przyzwoitki rzecz jasna. Znacznie lepiej wyglądałaby ta moja eskapada, gdyby mi jednak towarzyszyła. Natalia rozmawiała ze mną chłodno, czuła się winna, że nie leci.

- Gdyby chciał, żebym przyleciała, to by mi powiedział, nie musiałby mnie prosić, wystarczy, żeby wspomniał, ale nie zrobił tego. Izka, rozmawiałam z nim wczoraj! - tłumaczyła mi coraz bardziej zła, że cała inicjatywa wychodzi ode mnie.

- Nie wygadałaś się, że ja lecę? - zapytałam.

- Nie, bo sobie życzyłaś, żeby była to niespodzianka.

- Mogę coś zrobić dla przyjaciela i nie zawaham się tym razem. Ty poleciałaś na proces Danki, mnie się nie udało, ale teraz nadrobię. Poza tym Alex jest mi naprawdę bliski i wiem, że jest tam samotny w tym czekaniu na poprawę u Scotta.

Natalia słuchała przez chwilę moich wywodów, ale nie wydała się przekonana co do moich szczerych intencji. Kiedy już miałam jej powiedzieć, co tak naprawdę mną powoduje, wypaliła z grubej rury:

- Nie wiem, czy dobrze robisz. Alex powiedział mi, zanim wyleciał, że się zakochał i że jest to jakaś absolutnie wyjątkowa

kobieta. Może ona już tam przy nim jest, a ty się trochę poczujesz jak piąte koło u wozu.

- Nie sędzę - odparłam szybko.

Serce biło mi tak mocno, że zaczęłam uciskać klatkę piersiową otwartą dłonią, żeby złagodzić ból. Może nie jestem aż taką wariatką, za jaką powoli zaczynałam się uważać, skoro spotykam się w swoim uczuciu z wzajemnością.

- No nie wiem, nie wiem. Mój brat mi się z zasady nie zwierza, a tu nagle złamany tą wiadomością o wypadku, mówi mi, że pojawiła się kobieta, że się zakochał, że to wszystko tak znie-nacka. - Natalia chciała mojego dobra, chciała mnie uchronić, ale zbyt mało wiedziała, żeby trafić celnie. Składałam się, żeby ją oświecić.

- Zakochał się? No proszę... - Miałam nadzieję, że sama w końcu się domyśli, ale na próżno. Mijały sekundy, aja zanurzałam się wolno w to, co usłyszałam od niej. Nagle przeszedł cały mój strach, że Alex nic nie poczuł. Powiedział o mnie siostrze, a to wielki znak na tym skrzyżowaniu dróg, że niebawem nastąpi zmiana kierunku jazdy.

- Nie wiem, kim jest ta kobieta, ale chyba odwzajemnia jego uczucie. Chyba. Tak mi powiedział, a skoro tak, to pewnie jej powiedział o wypadku Scotta i ona już tam jest. Nie mówił mi, że jest z nim, ale jak go kocha, to musi się pojawić, no nie?

Kontynuowała bez robienia przerwy na jakąś pobieżną choćby analizę informacji, jakimi dysponowała. Nie przerywałam jej trajkotu przez dobrą minutę, ale w końcu nie wytrzymałam.

- A nie przyszło ci do głowy, że tą kobietą mogę być ja? - zapytałam, kiedy zamilkła na moment. Rozmawialiśmy przez telefon i cisza, jaka wtedy zapadła, zdawała się trwać wieki. Wyobraziłam sobie Natalię stojącą za ladą swojego butik, kiedy bezmyślnie zatrzymała wzrok na luksusowej wieczorowej sukni od Versace. Suknia była złota, wycekinowana i lejąca. Typowa ohyda w tym stylu.

- Izka, bo nie wiem, czy dobrze zrozumiałam... Ty i mój brat?! Naprawdę?

- A pomyśl trochę, kojarz fakty! - powiedziałam tajemniczo.

- Jezu! To naprawdę ty? Mówił, że to był taki strzał, jakiego się nie spodziewał, przyszedł od strony przyjaciela, a nie z kosmosu... Tak powiedział: od strony przyjaciela! Jezu! Spałaś z nim?

- Natalia, to nie twoja sprawa, wybacz.

- Moja! Ty jesteś moją najlepszą przyjaciółką a on moim bratem. Jak w telenoweli wenezuelskiej. Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? - Słyszałam w jej głosie podniecenie wymieszane z pretensją.

- Bo na mnie to też spadło jak grom z jasnego nieba - odparłam po chwili.

- A Radek? Powiesz mi?

Nie miałam takiego zamiaru, ale też nie mogłam Natalii opowiedzieć o tych siedmiu dniach gorączki, kiedy to targowałam się sama ze sobą na temat przyszłości. Spacerowałam po naszym nowym pięknym domu i przymierzałam się do myśli, czy mogłabym się z niego tak po prostu wynieść. Widziałam Konrada i jego niedowierzanie w szeroko otwartych oczach, Radka opartego o drzwi ze skrzyżowanymi rękami, wpatrującego się w okno, jak również moją teściową kiszącą wyraz niechęci na twarzy, a w końcu moją mamę w kuchni z głową w dłoniach.

Po tylu latach nie da się wymiksować ze skostniałego rodzinnego układu, a nawet jeśli, jest to tak trudne, że wiele kobiet po prostu nie próbuje. Ludzie żyjący w związku przez wiele lat snują grubą pajęczą sieć, jaka ma ich opleść, właśnie po to, żeby nie można było zbyt łatwo z niej odfrunąć. Nie różniliśmy się pod tym względem. Spłacaliśmy kredyty, mieliśmy dziecko, towarzystwo, rodzinne układy i zależności, znaleźliśmy swoje nawyki i słabości. Wszystko to nas trzymało w jednym zlepku za gardło, sięgało poprzez głowę, serce, nadgarstki aż do kieszeni. Rozwód to nie tylko formalności, koszty i logistyka, to przede wszystkim cierpienie i stres. Czy Konrad kocha mnie tak bardzo, jak zakładałam i odejście właśnie ze mną? Ostatnia myśl przyniosła ugodę. Rozwód nie, ale przygoda miłosna - tak. Przynajmniej na początek, a potem się zobaczy. Pozostawało mi tylko okłamać Natalię.

- Nie wszystko naraz - powiedziałam. - To jest świeża sprawa, nie można się rzucać na oślep. Chcę najpierw spędzić trochę czasu z Alexem. Wiem, że teraz przechodzi najtrudniejszy okres w życiu, dlatego myślę, że mogę mu pomóc.

- Taki eksperyment?

- Nie eksperyment, ale pierwszy krok. Nie mogę od razu zakładać siedmiomilowych butów. Nie zdążyłam porozmawiać z nim przed jego wylotem, może nawet teraz też tego nie uczynimy, ale chcę być obok niego trochę czasu, musimy się wzajemnie poczuć.

Jeżeli Alex się we mnie zakochał, to pewnie nawet by mi tego nie powiedział. Nie należy do ludzi, którzy chcieliby budować swoje imperium na gruzach czyjegoś domu. Nie mógł mi powiedzieć, co poczuł, wiem, że nie. Ja usiłowałam, ale chyba się bronił przed tym, co nadciągało jak wiosenna burza. Każdy chce błękitnego nieba nad głową, a nie czarnych, kłębiastych chmur, które je poprzedzają. Mojego czystego nieba nie było widać z okna sypialni. Ani skrawka.

Spakowałam się i zamówiłam taksówkę. Po raz pierwszy Radek nie rwał sobie z głowy włosów, wykrzykując, że nie mamy opieki dla Konrada na czas mojej wycieczki. Rozmówił się z matką, a ona w swej łaskawości zgodziła się u nas zamieszkać. Zaczynała jej doskwierać samotność, a poza tym ponad inne rozrywki ceniła sobie czas spędzony z synem, z wnukiem chyba też. Radek patrzył na mnie trochę wystraszony. Nie zaproponował, że odwiezie mnie na lotnisko. Mój samolot odlatywał o 12.35 z Okęcia.

- Mam nadzieję, że uda ci się ta szlachetna misja - powiedział, kiedy zbierałam się do wyjścia.

Założyłam kozaki, zasunęłam zamek, zapięłam z wielką starannością guziki płaszcza. Czerwonego, wełnianego płaszcza za kolana od Ralphi Laurena, jedyne luksusowe ciuchu w mojej szafie.

- Misja? - udawałam, że nie rozumiem.

- Nie wiem, po co tam lecisz, ale mam złe przeczucia i chciałbym, żebyś się z tym liczyła. - Rzucił moją walizkę do

bagażnika, taksówkarz nie miał zamiaru pośpieszyć mi z pomocą. Otworzyłam tylne drzwi samochodu i przywitałam się z roześmianym kierowcą. Z samochodu buchnęła duchota.

- Wracam za tydzień. Trzymaj się - rzuciłam na pożegnanie.

Pocałował mnie w policzek, odchyliłam się gwałtownie, bo wydawało mi się, że za moment nastąpi pocałunek w usta. Niemalże zderzyliśmy się głowami. Kiedy usadowiłam się w taksówce, Radek jeszcze zwlekał z zatrzaśnięciem drzwi. Spojrzałam na zegarek.

- Nie mogę uwierzyć, że się na to zgodziłem — powiedział na koniec.

- Ja cię nie pytałam o zgodę.

Samochód ruszył i od razu poczułam się lepiej. Wiele kobiet miałoby w takiej sytuacji poczucie winy, ale ja nie. Nikomu nie działa się żadna krzywda i jeżeli ten wyjazd miał w rezultacie uratować moje małżeństwo, to chyba dobrze, że jadę, czyż nie?

Kierowca spojrział w lusterko i uśmiechnął się do mnie. Próbował oszacować, czy dam się wciągnąć w jakąś beznadziejną rozmowę w drodze na lotnisko. Moja mina nie wyrażała na to przyzwolenia, jednak kierowca podkreślił tylko węża i zachichotał oblesnie, mówiąc:

- Czytała pani... - Podniósł jakieś czasopismo z siedzenia obok i pomachał nim przed moim nosem. - Piszą, że Pan Jezus był gejem...

Marlena

Osiemnasty ślad hamowania

Informacja od Alexa przyszła dopiero na trzeci dzień. Napisał tylko sms-a, że Scott odzyskał przytomność, ale jest w stanie ciężkim. Ma liczne stłuczenia i pękniętych kilka żeber, ale najważniejszy jest uraz głowy. Lekarze zdecydowali się na operację usunięcia krwiaka mózgu i ten zabieg właśnie trwa. Nie dodał żadnego cieplejszego słowa, co oczywiście było zrozumiałe, ale poczułam się trochę zawiedziona. Odpisałam natychmiast, że jestem myślami z nim i że nie będę się narzucać, ale jeśli potrzebowałby mojej pomocy, to czekam i jestem gotowa na wszystko. Dodałam jeszcze, że proponuję, aby inne sprawy odłożyć na lepsze czasy i że tak będzie najlepiej. Nie otrzymałam odpowiedzi, więc zrozumiałam, iż był wdzięczny, że sama wyszłam z taką inicjatywą.

Nie mogłam oczekiwać, że poświęci choć jedną myśl na romansowanie ze mną, nawet bym sobie tego nie życzyła. Starałam się funkcjonować normalnie, tylko praca zawodowa mężczyłą mnie bardziej niż zwykle. Zawsze drażniły mnie obgadujące się wzajemnie koleżanki, strach było wychodzić z pokoju, bo szepty odprowadzały mnie do drzwi. Chyba nie byłam lubiana, przede wszystkim dlatego, że nie brałam udziału w plotkarskich seansach, nie przynosiłam do pracy fotografii rodzinnych, nie wychodziłam na papierosa z dziewczynami, a na dodatek cie szyłam się względami szefowej. Rozwód Tiny był mniej więcej na tym samym etapie co mój i korzystałyśmy z usług tej samej

kancelarii adwokackiej. Spotkałam ją przypadkiem w poczekalni i jej tajemnica stała się również moją. Rozwodziła się po cichu, ponieważ jej nowym mężczyzną był pracownik naszej firmy - nie dość, że z bardzo niskiego szczebla hierarchii, to jeszcze dziecię lat młodszy. Opowiedziała mi o tym sześć miesięcy temu i od tamtej pory namaściła mnie na swoją biurową przyjaciółkę. Z początku czułam się trochę niezręcznie, ale szybko doszłam do wniosku, że nie mogę jej zdyskwalifikować tylko dlatego, że jest moją przełożoną. Nie wciągała mnie na siłę w swoje sekretne życie uczuciowe, choć byłam jedyną osobą, która orientowała się w sytuacji. Szukała u mnie aprobaty, przytłoczona wyrzutami sumienia, że rani swoje małe jeszcze dzieci, wywracając im świat do góry nogami. Nie spotykałyśmy się nigdy poza biurem, więc nie ciążyła mi rola powierniczki.

Emilia jeździła do Londynu na przesłuchania eliminacyjne do szkół aktorskich. Wybrała sześć szkół, zapłaciła wpisowe i wyruszyła do stolicy zmierzyć się z tym nieprzyjaznym światem. Na jedno miejsce ubiegało się po pięćdziesięciu kandydatów. Prestiżowe szkoły, takie jak RADA czy LAMBDA były marzeniem setek młodych ludzi z całego świata, którzy zjeżdżali do Londynu spróbować swoich sił. Emilia nie wierzyła, że do któregoś z tych przybytków się dostanie, ale chciała przekonać się, jak wygląda nabór, jakie są wymagania, co warto, a czego nie można zaprezentować. Wybrała krótki monolog z nowoczesnej sztuki *The Long Road* napisanej przez Shelagh Stephenson. Obie zachwyciłyśmy się tą sztuką opowiadającą o bezmyślnym zabójstwie młodego chłopca przez dziewczynę z marginesu społecznego i o długiej drodze, jaką musiała przebyć rodzina zamordowanego, aby się pogodzić ze stratą i wybaczyć dziewczynie, która dźgnęła go nożem, kiedy nie chciał jej dać w sklepie jednego funta. Emilia zamarzyła o tej roli. Nie dziwiło mnie, że właśnie ją wybrała na przesłuchania. Drugi utwór musiał pochodzić z Szekspira, dla mnie kompletna nuda. Była dobrze przygotowana, ale kilkaset osób usiłujących wywalczyć sobie miejsce w szkole teatralnej było pewnie przygotowanych znacznie lepiej. Większość startowała kilka razy z rzędu, niektórzy aż do skutku.

Nas nie było stać na opłacenie wysokiego czesnego, więc szanse malały jeszcze bardziej, ponieważ zaledwie kilku osobom przyznawano ofiarowując im stypendium DADA. Mobilizowałam ją gorąco, taki pierwszy test swoich możliwości był bardzo wskazany. Alan boczył się nadal, w jego mniemaniu powinna raczej kształcić się w kierunku jakiegoś PRAWDZIWEGO zawodu, na przykład w prawie lub w księgowości. Nie znał chyba swojej córki, jeśli uważał, że nadaje się na te kierunki. Rodzina Alana cierpiała na brak wykształconych osób. Nie mogli pochwalić się ani jednym dyplomem wyższej uczelni. Zaledwie Annie, siostrzenica, skończyła jakieś szkoły dla księgowych, ale szybko wyszła za mąż i przeszła na utrzymanie męża, który dostał się do wielkiej firmy produkującej słodkości i szybko awansował. W ciągu dziesięciu lat przenosili się kilkakrotnie z kraju do kraju, opływali w dostatki, ale Annie nie chciała ani urodzić dziecka, ani iść do pracy, ani nawet zacząć gotować. Kiedy mieszkali w Szwajcarii, dwa lata jeździła na nartach, kiedy firma przeniosła ich na Florydę, trzy lata opalała się przy basenie, a kiedy ostatecznie zostali wysiani do Malezji, Annie zaczęła pisać wiersze. Ja musiałam być trzy razy lepsza, żeby jej dorównać i choć byłam, nie dorównałam. Annie rozpuszczała swoje długie włosy, zawsze ubrana w szarości i czernie siadała po turecku na podłodze i opowiadała o swoim fantastycznym życiu za granicą. Wiele razy mnie kusiło, żeby ją zapytać, czyjej się aby nie nudzi. Wszyscy słuchali absolutnie zauroczeni i przekonani, że to jej w życiu powiodło się najlepiej. Emilia pierwsza zauważyła głośno, że gdyby nie jej sprytny i pracowity mąż, pewnie skończyłaby w urzędzie gminy w dziale płac. Gdyby Wayne Rooney nie został piłkarzem, też pewnie obecnie można by go było spotkać w ponurej jadłodajni gdzieś w Manchesterze, jak kładzie talerz przed klientem i pyta: „podać ketchup?”. Emilia uwielbiała wygłaszać tego rodzaju sentencje. Wracała z Londynu przybita, opowiadając, że nie miała pojęcia, ilu utalentowanych aktorsko ludzi jest na świecie. Wszyscy mieli lepsze monologi, lepiej się poruszali, mieli lepszą świadomość sceny i ogólnie wszystko lepsze. Głosy, włosy i paznokcie też.

Kiedy usiłowałam ją pocieszać, że przecież najwięksi aktorzy wcale nie kończyli szkół aktorskich, rozzłościłam ją. Zarzuciła mi, że lekceważę jej życiową pasję i nie szanuję wyboru. Musiałam zamilknąć, jeżeli nie chciałam jej zrazić. Nie odzywała się do mnie przez resztę dnia, chodziła naburmuszona i trzaskała drzwiami. Typowe, była zła na siebie, że może okazać się nie aż tak uzdolniona, jak myślała i maszynka do łowienia talentów najzwyczajniej w świecie ją pominie, ale odreagowywała to na mnie. Kto z nas potrafi być zły sam na siebie? Wielka to sztuka i raczej niepraktykowana, szczególnie w tak młodym wieku. Zadaniem matki jest zrozumieć i wybaczyć, a przede wszystkim wycofać się na czas.

Odwiozłam ją na drugi dzień na dworzec, nie chciała, żebym z nią jeździła na przesłuchania. W znacznie lepszym nastroju żegnałyśmy się na peronie.

Prosto z dworca pojechałam do adwokata Danki, ponieważ telefonicznie poprosił mnie o spotkanie. Hadon był urodzonym mężczyzną w nieokreślonym wieku. Bardzo wysoki, elegancko ubrany, gustował w granatowych garniturach w białe prążki i fikuśnych spinkach do koszul. Miał pięknie przycięte włosy, lekko już szpakowate, niebieskie oczy i ładną, lekko oliwkową cerę. Kiedy go zobaczyłam po raz pierwszy, pomyślałam, że moja mama byłaby nim zachwycona - był uosobieniem elegancji, taktu i charyzmy. Mówił z lekkim szkockim akcentem, najpiękniejszą angielszczyzną, jaka istnieje. Zrobił na mnie piorunujące wrażenie, tak mi się wizualnie spodobał. To on reprezentował Dankę przed sądem rodzinnym w walce o zatrzymanie Krzysia. Był miłym przeciwieństwem gbura, który bronił jej w sądzie koronnym w procesie o zabójstwo Karola.

Przyszłam spóźniona, przepraszając od progu.

- Napijesz się czegoś? - zapytał, zanim odesłał sekretarkę. Poprosiłam o kawę.

- Widziałem się z Danką - powiedział, sięgając do kieszeni marynarki. Wyjął z niej list i położył przede mną. - Prosiła, żebym ci to wręczył.

Zgarnęłam list ze stołu i wrzuciłam natychmiast do torebki, palił mnie w rękę.

- Mogę zapytać, o czym rozmawialiście?

- Wiesz, jej syn Krzysztof został adoptowany - powiedział, patrząc mi w oczy.

- Tak szybko?! - zapytałam przerażona.

- To małe dziecko, już rok przebywał w rodzinie zastępczej od dnia, kiedy go... zabrano spod opieki twojej koleżanki. W zaistniałych okolicznościach to chyba najlepsze wyjście. Danka też tak uważa.

Patrzyłam przez okno na szarość dnia. Poczułam jakiś wielki, wszechogarniający mnie smutek. Nie chciałam się rozpłakać przed tym eleganckim mężczyzną, ale czułam zbierające się pod powiekami łzy. Hadon podjął temat, kiedy stwierdził, że panuje nad emocjami.

- Danka nie życzyła sobie, żebym kontaktował się w tej sprawie z jej rodziną w Polsce. Służby socjalne musiały działać, takie są procedury. Mały jest już w nowej rodzinie, jestem przekonany, że zapewnią mu szczęśliwe życie. Danka również to zrozumiała, choć jako matka pewnie nigdy nie pogodzi się z faktem, że nie zobaczy już syna.

Kiwnęłam głową, ale nie mogłam się jeszcze odezwać, bałam się, że załamie mi się głos. Tak szybko to się stało. Kiedy pozwolono jej na powrót do miasta po trzymiesięcznym pobycie w schronisku dla kobiet, ucieszyłam się, że będę mogła jej pomóc i częściej ją widywać. Krzys miał już półtora roku, bardzo wyrósł przez ten okres, kiedy go nie widziałam. Niestety, Danka od dnia przyjazdu do Londynu zaczęła mnie unikać. Zorganizowała sobie jakąś starszą panią do opieki nad Krzysiem i wróciła do pracy w zakładach mięsnych. Karol jeszcze odsiadywał wyrok. Odwiedziłam ją zaledwie trzy razy w ciągu tych czterech miesięcy, a za piątym razem widziałam ją już po aresztowaniu. Niebawem minie rok od dnia zabójstwa.

- Czy wiesz, co się stało? - zapytałam Hadona.

- Wiem.

Nie prosiłam go, żeby mi opowiedział, nie musiałam, chyba chciał się ze mną podzielić tą smutną historią.

- Kiedy pan Radymny wyszedł z więzienia, pojechał do niej. Dosłownie prosto z dworca pognął do jej mieszkania. Nie wiem, ile razy tam zachodził, ale wiem na pewno, że Danka nie chciała go wpuścić. Potem chyba jednak jakoś ją przekonał, pewnie siłą. Ile dni tam pomieszkiwał, nie mam pewności, ale biorąc pod uwagę, że wyszedł z więzienia w listopadzie, a został zabity w grudniu, to ich odnowiony związek trwał miesiąc.

Danka nie chciała się ze mną widywać, obawiała się być może, że natknę się na Karola i doniosę, gdzie trzeba, że znów są razem. Nigdy bym tego nie zrobiła. Zapytałam Hadona, w jakich okolicznościach odebrano jej Krzysia, bo nie było mnie przy tym.

- No cóż, opiekunka ze służb socjalnych złożyła jej wizytę późnym wieczorem, jeśli się nie mylę, było to trzeciego grudnia. Tak, trzeciego, bo czwartego zostałem poinformowany, że w poniedziałek odbędzie się kryzysowe spotkanie w sądzie, aby zdecydować, co dalej. Danka przyszła do mojego biura w tym samym dniu z jakąś koleżanką i z Krzysiem na ręku. Powiem szczerze, sam się nie spodziewałem takiego obrotu sprawy, więc może dlatego dwa dni później w takich beztroskich nastrojach stawiliśmy się przed sędzią. Był Karol, chyba trochę pijany z poprzedniego dnia, Danka, ja, moja koleżanka z kancelarii oraz wszyscy zainteresowani sprawą prawnicy, opiekunowie, asystenci.

Poczułam ukłucie zazdrości. Nie zwróciła się do mnie w chwili strachu i zagrożenia, tylko do jakiejś innej kobiety. Może nie chciała, żebym zbyt wiele wiedziała o jej problemach, może mi po prostu nie ufała?

- To, co się stało, wciąż jeszcze mnie prześladuje. - Hadon wstał od stołu i poszedł zamknąć drzwi do drugiego pomieszczenia.

- To znaczy? - zapytałam.

- Decyzja sędziego była jednoznaczna. Natychmiastowe odebranie Krzysztofa spod opieki matki. Natychmiastowe

oznaczało odebranie małego Dance siłą - powiedział, siadając naprzeciwko mnie.

- Myślałam, że takie rzeczy się nie zdarzają w tym cywilizowanym kraju - odparłam.

- To nie ma nic wspólnego z byciem cywilizowanym lub nie. - Hadon oparł łokcie o blat stołu i krzyżował ze sobą palce dłoni. - Danka zawsze przychodziła do sądu z Krzysiem, tym razem też, a opiekunka ze służb była na miejscu, pewnie spodziewali się takiej decyzji sędziego. Ja nie.

Słuchałam relacji o tym, jak Daniel Hood grzecznie, ale stanowczo odebrała Krzysia z ramion Danki po czterdziestu pięciu minutach negocjacji, rozpaczy i gróźb. Karola z budynku sądu wprowadziła policja.

- To był okropny widok, nawet dla tak doświadczonego prawnika jak ja. Nie pamiętam, żeby na moich oczach odbierano matce dziecko, niejednokrotnie zapadała druzgocąca decyzja, ale jej wyegzekwowanie nie odbywało się w budynku sądu. Tym razem było inaczej. Wiesz, od czasu tej makabrycznej historii Baby P, wszyscy wolą dmuchać na zimne.

Hadon był wyraźnie poruszony, pewnie sam miał żonę i dzieci, był przykładnym ojcem i mężem, dbającym i zabiegającym o to, żeby żadne nieakceptowane społecznie zachowania nie wtargnęły do jego domu. Wyobrażałam sobie, że kocha żonę i uwielbia swoje dzieci, jeżdżą na wspaniałe rodzinne wakacje, robią wiele rzeczy wspólnie, okazują sobie miłość w najdrobniejszych gestach i malutkich słowach. Jego świat był bardzo daleko od świata jego klientów. Danka ze swoim skomplikowanym scenariuszem życiowym musiała mu się wydawać postacią z dramatu, a jednak wykonywał tę pracę prawnika spraw rodzinnych; był jednym z najlepszych w mieście.

- Jest jeszcze coś - podjął wątek po chwili. - Wiele razy analizowałem, czy użyłem właściwych słów w rozmowie z Danką. Kiedy odebrano jej syna, nie była na to przygotowana. Ja jej nie przygotowałem, nie uświadomiłem jej, że służby socjalne naprawdę mogą jej zabrać Krzysia i że zrobią tak, jeżeli uznają, że coś mu grozi.

- Nie mów tak, byłam przecież przy tej rozmowie, mówiłeś jej, jak to się może skończyć! - zaprotestowałam.

- Owszem, nikt się nie spodziewał, że to nastąpi, ale zostało to jasno powiedziane. Problem w tym, że Danka źle pojmowała separację... To nie tylko przeprowadzka i zmiana numeru telefonu, separacja musi być emocjonalna, całkowite zerwanie więzów, a ona tego nie potrafiła wykonać. Nie winię i nie oceniam - Hadon zamyślił się na chwilę.

- Kiedy zabierali Krzysia, to przecież nie na zawsze, przecież to niemożliwe, żeby panowało takie bezprawie. Czyja się myślę? - zapytałam.

- Przyszła do mojego biura po tygodniu, miałem ją zawieźć na spotkanie z Krzysiem. Zapytała, czy Karol też może z nami jechać. Zupełnie nie rozumiała do samego końca, dlaczego tak się stało, jak się stało, że to częściowo jej wina. A może przede wszystkim jej. Gdyby zgłosiła od razu, że Karol po wyjściu z więzienia ją nachodził i jej groził, służby rozwiązałyby ten problem. Nie zgłosiła, miała nadzieję, że się nie wyda.

- Może się po prostu go bała...

Hadon spojrział na mnie i posmutniał jeszcze bardziej.

- Marlena, matka musi być odważna, jeśli chce zatrzymać dziecko, musi być bardzo odważna, jeżeli ma dziecko ochronić przed bijącym i pijącym mężem. Tego się oczekuje i wymaga - powiedział.

Chciałam zapytać, czy wie, w jakich okolicznościach doszło do zabójstwa. Nie chodziło mi o fakty, wysłuchałam opisu prokuratora podczas procesu, dowiedziałam się jak wszyscy obecni na sali, kiedy, gdzie i czym. Chciałam wejść w położenie Danki, dostać się na chwilę do jej głowy.

- Powiedziałem jej, co musi zrobić, jeśli chce odzyskać syna. Jechaliśmy na to spotkanie, towarzyszyła nam jej koleżanka, chyba Viola miała na imię, dosyć dobrze mówiąca po angielsku. Powiedziałem Dance, już nie dobierając słów zbyt delikatnie, że nigdy nie odzyska syna, jeśli będzie choć przez chwilę rozważać możliwość dalszego życia z mężem. Jeszcze po urodzeniu Krzysia pozostawialiśmy otwartą furtkę, że jeżeli mąż się zmieni,

podejmie leczenie, udowodni, że mu zależy, to kiedyś może, w dalekiej przyszłości będą razem. Potem jednak wydarzyło się wiele złego, Danką zaczęła go kryć, okłamywać wszystkich dookoła, on dalej pił i być może bił. Powiedziałem jej w czasie tej podróży, że teraz nie ma już takiej możliwości, żeby odzyskać syna, dopóki Karol przewijał się w jej życiu. Zasugerowałem, żeby się rozwiodła, ale przede wszystkim, żeby przeprowadziła emocjonalną separację z tym człowiekiem. Musiała wybierać.

Słuchałam, zapadając się w sobie.

- A co ona na to? - zapytałam.

Hadon rozłożył ramiona w geście demonstrującym bezsilność.

Zadzwoił telefon, Hadon wyszedł z pokoju, żeby porozmawiać. List od Danki dosłownie wypalał dziurę w mojej torebce. Wiedziałam, że go tak szybko nie przeczytam. Adwokat wrócił i obwieścił koniec spotkania, musiał pilnie wyjść.

- Doszło do wielkiego dramatu - mówił, sprowadzając mnie schodami w dół do wyjścia. - Nie mogę dojść do siebie, zastanawiam się nad sensem swojej pracy, nad prawem, nad rolą sądów... czy aby nie został popełniony jakiś błąd?

- Ja też czasami budzę się w środku nocy i nie dowierzam, że Karol nie żyje, Danką odsiaduje wyrok za zabójstwo, a Krzysia będą wychowywać obcy ludzie. Czy nie sądzisz, że ktoś tu był nadgorliwy? Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że zbyt pochopnie podjęto tę decyzję, więcej, Danką została zaszczuta i zrobiła to, co zrobiła - powiedziałam, zatrzymując się przy drzwiach wyjściowych. Hadon wyciągnął dłoń na pożegnanie. Nie skomentował moich słów, ale zrozumiałam, że myśli podobnie.

- Nie wiem, co jest w tym liście od Danki, ale mi powiedziała jasno, że Krzys nigdy ma się nie dowiedzieć, kim był jego ojciec i gdzie jest jego matka. Nie chce go obciążać, nie chce mu rujnować życia. Bardzo trudno będzie zachować taką tajemnicę i nie zależy to ode mnie, ale myślę, że to dobra decyzja. - Hadon przytrzymał mi drzwi.

- Może. Nie jestem jednak przekonana, że dzieci mogą mieć tylko pracujących na cały etat, niepijących, przykładowych

i modelowych rodziców, bo inaczej będą nieszczęśliwe. Wokół nas, Hadon, toczy się życie pełne przemocy, łez, biedy, uzależnień, konfliktów, zdrad, awantur... i to przygotowuje nasze dzieci do dorosłego życia. Kto wie, kim okażą się nowi rodzice Krzysia? Może teraz są idealną parą, świecą przykładem na całą okolicę, ale co będzie za kilka lat? Nikt nie wie. Wiem, co mi chcesz powiedzieć... - powstrzymałam go, unosząc dłoń w górę. - Ze gorzej już trafić Krzyś nie może...

- Nie! Nie to chciałem ci powiedzieć - przerwał mi. - Chciałem powiedzieć, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Ale jak to mówią - nigdy nie staraj się bardziej niż twój klient! A Danuta Radymna nie starała się, gdy był na to czas.

Przystanęłam jeszcze na chwilę, ale już nic nie powiedziałam. Hadon pozwolił mi zatrzymać się przez moment, nie ponaglał mnie, choć śpieszył się do swoich spraw. W innych okolicznościach pewnie bym mu dziękowała i obiecywała, że polecę go znajomym, ale choć niewątpliwie był dobrym adwokatem, nie czułam potrzeby składania mu podziękowań.

Izabela

Dziewiętnasty ślad hamowania

Powrotny lot do Polski spędziłam na wspomnieniach o ojcu. Alex został na lotnisku, nieogolony, zawinięty z wielki sweter, zapatrzony w kogoś obok. Odwiózł mnie rano na samolot. Być może codzienne wizyty w nowojorskim szpitalu niechcący otworzyły jakieś szufladki w moim mózgu? Prawie nie myślałam o ojcu przez trzy lata. Na początku przychodziło mi to z trudem, napominałam siebie co krok, ale po kilku miesiącach od jego śmierci blokada została samoistnie włączona na stałe i nie musiałam już tej funkcji każdorazowo uruchamiać. Podobno nasz mózg ma takie zdolności, że mieli tylko takie informacje, z jakimi może sobie poradzić. U mnie wiadomo było, że wspomnienie choroby ojca, jego śmierci, ostatnich kilku dni życia, wywołałoby reakcję złą, szkodliwą, więc znacznie lepiej było odrzucić wszystko bez silenia się próbną selekcją, która myśl może mi zaszkodzić, a która nie. Więc nie myślałam i nie wspominałam aż do teraz. Kiedy patrzyłam na małego Scotta leżącego w śpiączce, przypominałam sobie godzinę śmierci ojca. Scott spał tym głębokim snem, z jakiego mógł się wybudzić dopiero za kilka dni, miesięcy lub lat. Oddychał, miał rumieńce, delikatnie drgały mu powieki, jakby miał jakiś przyjemny sen. Czytałam mu bajki i opowiadałam po polsku o moim synu.

Pierwszego grudnia stan zdrowia ojca pogorszył się tak gwałtownie, że już raczej godziny, a nie dni powodowały potworne

zmiany. Zaczął wyglądać inaczej, przestał jeść, mówił z trudem i większość czasu drzemał niezdrowo lub leżał bez ruchu z zamkniętymi oczyma. Rano jeszcze zamieniliśmy kilka słów, po południu już kontakt był urywany, a wieczorem nie mogliśmy się z nim w ogóle porozumieć. Wezwałam pogotowie. Lekarz zaproponował opiekę szpitalną, zgodziłam się, ale po dwóch dniach pobytu zabraliśmy go z mamą z powrotem do domu. Kiedy czekałam na wypis, lekarz podszedł do mnie i poklepał po ramieniu. Był to bardzo jednoznaczny gest. Pierwszy raz zapytałam wprost, ile zostało mu czasu. Doktor ocenił z wyżyn swojej wiedzy i doświadczenia, że przyszedł odpowiedni moment na powiedzenie prawdy rodzinie. Może tydzień, może dwa. Kroplóweczki, opieka pielęgniarska, spokój, pożegnania, sakrament chorych i słowa otuchy - tyle ojcu będzie potrzeba w jego ostatniej drodze. Błyskawicznie podjęłam decyzję błyskawicznie, że tato umrze w domu. Całe życie bał się szpitala, choć uwielbiał pielęgniarki jako grupę zawodową. Nie znosił jednak szpitalnych zapachów, obchodów przemądrzałych doktorów, poniżających badań i bezradności. Kiedy dowiedział się, że ma raka, zareagował w swoim stylu:

- Skoro stoję nad grobem, to im prędzej, tym lepiej. Nie mam zamiaru narażać NFZ na wydatki - powiedział. Był zdenerwowany, choć starał się to ukryć. Znałam go zbyt dobrze, żeby nie usłyszeć przerażenia w jego na pozór obojętnym tonie głosu.

- Tato, medycyna zrobiła wielkie postępy, trzeba spróbować!
- Wracaliśmy samochodem od lekarza. Wyniki badań trzymałam na kolanach w białej kopercie, tato prowadził. Godzinę wcześniej czekałam na niego na korytarzu, kiedy za zamkniętymi drzwiami konsultował się z onkologiem. Wyszedł po kilkunastu minutach i powiedział: „Mam raka, córca”. A ja mu na to odpowiedziałam, że to pewnie pomyłka. Kiedy szliśmy parkingiem w stronę samochodu, pisałam ukradkiem sms-a do Marleny, żeby o nic nie pytała, tylko wsiadła jutro rano w samolot, bo jej potrzebujemy.

- Niegłupi ten doktor. Powiedział mi, jak jest, nie ma się co łudzić.

- A może trzeba się skonsultować z innym lekarzem?

- Nie ma sensu. Już zdecydowałem.

Marlena przyleciała z Londynu i zamknęła się z ojcem w pokoju na piętrze. Mama płakała tak głośno, że słysząc ją było w całym domu. Marlena umiała gasić pożary rodzinne, Uczyłam, że z łatwością złamię upór ojca, przekona go do chemii i zmusi do pozytywnego myślenia. Stałam pod drzwiami i podsłuchiwałam. Bałam się z ojcem rozmawiać o chorobie i, prawdę powiedziawszy, nie miałam nic mądrego do powiedzenia. Nie rozmawiałam z nim o jego stanie zdrowia od dnia diagnozy do dnia śmierci. Kiedy podjechalśmy pod dom po wizycie u lekarza, poprosił, a może raczej zażądał, żebym nikomu nie mówiła. To było szaleństwo, oczekiwać ode mnie, żebym sama dźwigała ten ciężar! Jak miałam to niby zrobić? Po cichutku wozić go do lekarza, szeptać po kątach, wykupywać leki w aptece, gdzie nikt nas nie zna? Kiedy Marlena przyleciała na drugi dzień, ojciec był wściekły, po raz kolejny rozczarował się co do mnie. Nie umiałam dochować tajemnicy, nie dostosowałam się do jego życzenia, poinformowałam jego kochaną córkę i naszczułam ją na niego, żeby wymusić na nim próbę leczenia. Dlaczego to zrobiłam? Z egoizmu, ponieważ ojciec chciał Marlenie oszczędzić bólu i dlatego uznał, że nie będzie jej martwił tak długo, jak się da. Ja mogłam gryźć poduszkę z żalu, wołać w niebo i płakać z bezsilności, a Marlena miała prowadzić życie niezakłócone diagnozą. O, nie! Po drugie, nie wiedziałam, jak się zachować w sytuacji, kiedy ojciec kategorycznie odmówił leczenia, bałam się, że odpowiedzialność spadnie na mnie. Po trzecie, uznałam, że jeśli ma umrzeć, to powinien zacząć się okres długiego pożegnania, że może mama i Marlena będą chciały wykorzystać każdy dzień, żeby z nim być, rozmawiać, przygotowywać siebie i jego.

Marlena powiedziała o chorobie taty mamie, jak tylko weszła do domu. Nie zatrzymała się przy niej, pozwoliła jej płakać w kuchni, pobiegła do gabinetu ojca i tam się zamknęli na dwie godziny. Stałam pod drzwiami odgradzającymi mnie od ich

świata, tego, który stworzyli wspólnie i tylko dla siebie. Nikt tam nie miał wstępu. Ja na pewno nie. Może się nie nadawałam, może nie byłam godna, a może po prostu nie próbowałam tam się do nich dostać? Teraz myślę, że nie byłam całkiem bez winy. Naburmuszyłam się, obraziłam chyba w wieku piętnastu lat i przerzuciłam za burtę. Małe wydarzenie dało początek tej trwającej prawie dwadzieścia lat mojej separacji z ojcem. Nie była to fizyczna separacja, ktoś patrzący z boku nawet by się nie domyślił, że pnie się w górę niewidzialny mur, jaki nas od siebie rozdzielił tak skutecznie. To małe wydarzenie, to były życzenia dla Marleny na jej szesnaste urodziny, jakie ojciec napisał na brudno w swoim brulionie, a obok zamieścił rysunek helikoptera, czego absolutnie nie rozszyfrowałam. Co miał oznaczać ten helikopter? Ale co do znaczenia słów nie mogłam się pomylić - „kocham Cię najbardziej na świecie!” - napisał jako PS. Jakiś dobry psycholog pewnie by mi to wyjaśnił raz-dwa i obalił moją kiełkującą wtedy teorię, że ojciec kocha Marlenę bardziej niż mnie. Kilka lat później ustaliłam sama ze sobą, a miałam w tym wielką wprawę, że nie kocha mnie wcale.

Marlena poszła do pokoju ojca z misją i pewna byłam, że jej się uda. Kiedy wyszła, wzięła mnie za rękę i poszliśmy sobie na spacer po sadzie. Nic nie mówiła przez dobre pół godziny. Obserwowałyśmy pasące się za ogrodzeniem krowy, potem prowadziłyśmy wzrokiem wiejskie psy, których właściciele nikt nie potrafił ustalić. Paliłam papierosa, Marlena zrywała maliny. Mama dołączyła do nas po chwili.

- No i co, Marlenko? Co tatuś ci powiedział? - zapytała, siadając na drewnianej ławeczce.

Była po prostu przerażona, każdy milimetr jej twarzy o tym mówił. Dowiedziała się zaledwie trzy godziny temu. Kiedy Marlena stanęła w drzwiach, mama krzyknęła z radości. Pomyślała, że to bardzo miła niespodzianka! Marlena przekazała wiadomość, która ją sprowadziła tak nagle do Polski, praktycznie bez znieczulenia. Uznała, że tylko sucha i zgrabna prawda będzie tu na miejscu. Nie mogłam tego krytykować, bo sama nie znalazłam w sobie odwagi, żeby mamie wcześniej powiedzieć.

Ukrywałam swój strach, ale byłam dokładnie tak samo przerażona jak mama. Marlena była oazą spokoju.

- Rozmawiałam z tatą. Przekonał mnie - powiedziała ostrożnie.

Obie spojrzałyśmy na nią zdziwione. Mama nie powiedziała nic, znów zaczęła płakać, ale ja zapytałam, co to będzie oznaczać.

- Tego typu raka nie da się wyleczyć. Jeśli podda się leczeniu chemioterapią, to może przedłuży sobie życie o dwa, trzy miesiące, jeśli będzie dobra reakcja. Chemia to trucizna, jak tata powiedział, a on nie chce się truć.

- Tyle ludzi pokonuje raka, medycyna zrobiła postępy!
- Mama wycierała łzy. - Ale on zawsze taki uparty... jakby nam chciał na złość zrobić.

- Mamo, nie mów tak! - Marlenie nie spodobało się to, co powiedziała. - Tato jak każdy z nas ma prawo do decydowania o sobie. Ten rodzaj raka to wyrok. Tata chce, żeby stało się to jak najszybciej.

- I mówisz to tak spokojnie? - przerwałam jej w pół zdania.
- Uradziliście, że nie będzie się leczyć, że umiera i tak nam to komunikujesz, niby nic, mimochodem?

Podeszłam do mamy i objęłam ją ramieniem. Obie spojrzałyśmy w górne okna domu. Tato mógł stać za firanką i nas obserwować, byłam prawie pewna, że tam był.

- Nie uradziliśmy, że tato nie będzie brał chemii, tylko on tak zadecydował, a ja akceptuję jego wybór i wy też niestety musicie. Izka, niech cię nie zwiedzie mój spokojny głos. Dzień dzisiejszy jest najgorszym dniem mojego życia. Dziś wszystko się skończyło. Nasze wieczne dzieciństwo, poczucie bezpieczeństwa, luksusy beztroski. Czuję się, jakby mi ktoś wyłączył światło i jednocześnie kazał iść przed siebie schodami w dół. - Marlena zrywała maliny, ale zamiast zjadać owoce, rzucała je na ziemię. Przemawiała do nas, ale patrzyła w głąb malinowych krzewów, zupełnie jakby tam miała ukryty skrypt.

- Nie możemy tego tak zostawić, Marlena, on musi spróbować. - Mama szlochała.

Całe życie wierzyła w lekarzy, przychodnie, tabletki, zastrzyki, maści i czym tam jeszcze konkretny farmaceutyczne ogłupiają człowieka. Kupowała każdą nowość na wzmocnienie serca, poprawę pracy wątroby, wyostrenie wzroku, lepsze wypróżnianie, ochronę przed grypą i przeziębieniem. Co tydzień reklamowano w telewizji nowy środek i mama po prostu musiała go mieć. Obie z Marleną żartowałyśmy z jej teorii na temat cudownych właściwości tabletek Rutinacea i maści Voltaren. Teraz pewnie też chciałyby zaproponować jakieś tabletki z apteki osiedlowej, ale się wstydziła. Marlena nie chciała z nami dalej rozmawiać. Uznała, że powiedziała już wszystko, co istotne, a resztę musimy same przyswoić. Mama uspokoiła się nieco i zaczęła mówić dalej:

- Tylu moich znajomych, no choćby Lesiowa miała raka piersi już chyba z pięć lat temu. I żyje! Albo pan Kaczmarczyk, z którym pracowałam. Miał raka jelita, już chyba jest ze dwa lata po operacji! Wprawdzie chodzi dalej z tym workiem, no wiecie, ale trzyma się. Albo nasza ciotka Tereska, też ma przecież raka i już pewnie rok po chemii, i żyje! - mama wymieniała jeszcze przez chwilę znane jej osoby, które toczyły walkę z chorobą i jeszcze snuły się po tym świecie. Snuły, bo nie było to życie. Marlena nie reagowała.

- Co mu lekarz powiedział? - zapytałam.

- Nie da się wyleczyć tego raka. Statystyki są zatrważające - odpowiedziała i usiadła obok mamy.

Denerwowało mnie obserwowanie, jak tak bezmyślnie zrywała te maliny i rzucała w trawę. Zaczęłam coś mówić o „mądrej chemii” dobieranej zgodnie z genetyką pacjenta, chemii celowanej, o artykule, jaki czytałam, o leku Avastin, który czyni cuda, przedłuża życie nawet o kilka miesięcy. Marlena popatrzyła na mnie wręcz z obrzydzeniem.

- Czy wy nie rozumiecie? Naprawdę? Tato umrze przed Bożym Narodzeniem. Już są przerzuty.

Kiedy Marlena to powiedziała, również musiałam usiąść. Na ławce już nie było miejsca, więc opadłam na trawę. Nie wiem dlaczego, ale objęłam nogi mamy i zaczęłam się do nich

przytulać. Poprzedniej nocy przejrzałam wszystko, co jest dostępne w internecie o tym typie raka. Doczytałam się, że obecność przerzutów świadczy o zaawansowaniu i że szanse maleją drastycznie. Maleją, ale nie znikają! Tak powiedziałam mamie i Marlenie. Nie mogłam pojąć, dlaczego ta ostatnia nas tak straszy, dlaczego w obecności mamy opowiada takie potworne rzeczy? Co to za nowa moda czy maniera, żeby tak bez ogródek, bez znieczulenia, na oślep siec tragicznymi informacjami? Czy to jest po angielsku?

- Chyba trochę przesadzasz - zwróciłam się do siostry.
- Niezbadane są wyroki boskie. Nie możesz wiedzieć, kiedy to się stanie. Nie mów tak.

- Cuda się zdarzają niezwykle rzadko, siostrzo. - Marlena wstała z ławki i usiadła obok mnie na trawie. Objęła mnie ramieniem i mocno przytuliła do siebie. Pomyślałam, że jeśli ojciec nas naprawdę obserwuje, to ta scena musi mu się wydawać po prostu straszna. Dlaczego do nas nie wyszedł i nie powiedział nam o tym, co czuje i czego nie zamierza robić? Dlaczego obarczył tym Marlenę? Może był większym egoistą ode mnie? Przestraszyła mnie ta myśl. W takich sytuacjach zawsze myślę w pierwszej kolejności o sobie.

Mama poprosiła o szklankę wody, Marlena poszła do domu.

- No powiedz, Iza, czy to jest normalne? Dlaczego on nie chce się leczyć? - Wykrzywiła usta w grymasie. Mogłaby szybciej pogodzić się z diagnozą, gdyby ojciec podjął leczenie. Wszyscy mielibyśmy poczucie, że coś się jednak może zmienić na lepsze, że może lek zadziała, byłaby nadzieja. Ojciec nie chciał nam tej nadziei podarować. Sobie też nie. Praktyczny, analityczny umysł podpowiadał mu, że nie tędy droga. To nie był człowiek żywiący się fałszywymi wskazówkami, czepiający się złudnej nadziei. Przeanalizował, ocenił swoje szanse, pewnie tak jak ja przejrzał strony internetowe, te w języku angielskim również i doszedł do wniosku, że nie warto. Mama tego nie akceptowała.

- Powiedz mu, żeby się leczył! Poproś go!

- Ja nie wiem, czy to jest leczenie, czy raczej przedłużanie agonii. - Niespodziewanie przesłam na stronę ojca i Marleny, ale tylko na chwilę. Mama poczuła, że nie znajdzie we mnie poplecznika. Pogłaskałam ją po dłoni. - Na pewno nie można go zmusić do brania chemii. Wszystko spadło na nas tak nagle, może jeszcze tato zmieni zdanie? Jeżeli Marlena nie potrafi na niego wpłynąć, to nie wiem, kto mógłby to zrobić.

Marlena wróciła z butelką wody i szklanką. Niosła przez ogród wodę i swój godny pozazdrosczenia spokój. Jak ja jej zazdrościłam tego szlachetnego opanowania! Widziałam, że cierpi, ale było to cierpienie po prostu eleganckie, z wyższych sfer, podczas kiedy moje można było porównać z emocjami, jakie okazują poszkodowani powodzianie. Miałyśmy sporo do zorganizowania od strony praktycznej, obie mieszkałyśmy daleko, trudno było zaoferować opiekę na odległość. Nie mogłyśmy zostawić mamy samej na placu boju. Ustaliłyśmy wstępnie z Marleną dyżury. Mama kręciła nosem na nasz plan, nie była nam wdzięczna, że tak szybko reagujemy i prezentujemy zwarte szeregi w godzinie tak wielkiej grozy.

- Jeszcze jedno muszę wam powiedzieć. - Marlena miała nam jeszcze coś do zakomunikowania. - Tato nie chce na ten temat rozmawiać. Wszystko już wiadomo i chciałby, żebyśmy żyli w miarę normalnie. Normalnie, na ile się da, żeby codziennie nie drażyć tematu i nie pytać go, jak się czuje. Powiedział, że jak się poczuje źle, sam powie.

- To co? Mamy udawać, że nic się nie stało? - pisałam wzburzona.

Było mi mało, chciałam jeszcze o tym rozmawiać, zadawać pytania, rwać sobie włosy z głowy, zastanawiać się wspólnie, czy tata odżywił się odpowiednio. A może nosił wadliwy gen? Czy można było tego uniknąć? Nie wyobrażałam sobie, żebyśmy tak po prostu zaniechali tematu, pozakładali maski na twarze i pozakręcali kurki ze łzami. Chciałam rozmawiać z tatą na ten temat, miałam mu wiele do powiedzenia, było mi to najzwyczajniej w świecie potrzebne, a Marlena tak kategorycznie obwieściła, że nie wolno nam wypowiadać słowa na R.

- Teraz wróćmy na werandę, zjedźmy kolację. Popatrzymy na zachód słońca. - Marlena poszła w stronę domu, nie czekając na nas. Objęła się ramionami, spuściła głowę i posuwała się bardzo wolno. Widziałam, że jest załamana i czułam jej trwogę, ale nie poszłam za nią. Nic by to nie dało, musiałyśmy się z osobna uporać z tymi emocjami. To był nasz tata, ale przeżywałyśmy wszystko inaczej.

Pięć miesięcy później tato umierał przy mnie. Jego przeniesienie się na tamten świat trwało aż kilka minut i nie mogłabym tego nazwać inaczej jak przeniesieniem właśnie. Nigdy nie widziałam śmierci, nie wiedziałam, czego się spodziewać, jak długo to trwa, czy człowiek się wtedy boi, czy dostaje zastrzyk dzielności od Pana Boga. Kiedy spjrzałam na twarz taty, wiedziałam, że umiera. Nie zaalarmowałam nikogo, do dziś nie wiem dlaczego. Mama spała na dole, Marlena miała przylecieć dopiero za cztery dni przejąć ode mnie obowiązki. Obiecała, że zostanie do nowego roku. Obudziłam się po trzeciej nad ranem. Spałam w pokoju obok, miałam nastawiony budzik na piątą, zaplanowałam, żeby zajrzeć do taty przed przyjściem pielęgniarki, ale obudziłam się dwie godziny wcześniej. W moje głowie zadzwonił dzwonek, zadzwięczał dwa razy. Zerwałam się z łóżka, zarzuciłam sweter na piżamę i poszłam do pokoju taty. Paliła się mała lampka stojąca na biurku. Kiedy mama kładła się spać, a jako ostatnia doglądała taty, zawsze wieszala na kloszu niebieską serwetkę, żeby światło było mniej ostre. Zerwałam ją i podeszłam do łóżka. Tato leżał na wznak, jego ręce ułożone były na kocu równo wzdłuż ciała. Miał zamknięte oczy i lekko otwarte usta. Oddychał coraz bardziej płytko i coraz wolniej. Nie ruszał się, nie bronił, był chyba nieprzytomny albo pogrążony w najgłębszym z możliwych śnie. Nie było na jego twarzy śladów bólu, mieliśmy tyle szczęścia, że ten nie pojawił się ani na chwilę w czasie choroby. Łatwiej nam było przez to przechodzić, mając absolutną pewność, że tata nie cierpi.

W pokoju panowała złowroga cisza. Cisza jeszcze cichsza niż ta, jaka zwykle panuje nocą. Zegar wskazywał sześć minut po trzeciej. Stałam nad tatą pokonana przez paraliżujący strach,

ale nie był to strach przed śmiercią bliskiej osoby, raczej strach przed samą sobą i reakcją, jaka może nastąpić. Zapragnęłam być tak dzielna jak Marlana. Było mi zimno, ale to zimno pochodziło gdzieś z wewnątrz mnie. W pierwszym odruchu chciałam się pochylić, żeby tatę pocałować, pożegnać, ale wahałam się zbyt długo, a z każdą sekundą już go było coraz mniej i mniej, kurczył się i przeistaczał. Z marszu przeszedł w spacer, a potem zatrzymał się nagle, ale nie gwałtownie. Śmierć nie jest jednym dramatycznym momentem, nie wiem, dlaczego tak dziwnie pokazują ją w filmach. W rzeczywistości odbywa się to zupełnie inaczej, spokojniej i znacznie wolniej. Patrzyłam, jak tato umiera, ale nie mogłam się nawet ruszyć ani zapłakać, ani powiedzieć słowa modlitwy. Zostałam zamurowana w tej chwili jako niemy świadek, w którym się wszystko rozdziera, ale takimi krótkimi szarpnięciami od góry do dołu. Nogi zaczynały się pode mną uginać, kiedy zegar wskazywał godzinę trzecią siedemnaście. Tato już nie oddychał, ale zdawało mi się, że jego dusza jeszcze się ociaga z odejściem. Nagle przyleciała wielka, czarna mucha i usiadła na jego nieruchomej dłoni. Skąd wzięła się ta mucha w grudniu w pokoju, gdzie nie otwierało się okien od trzech miesięcy? Czy prawdą jest, że w taki sposób odbywa się przeniesienie duszy w tamten lepszy świat, właśnie przy pomocy muchy, małego ptaszka, motyla..? Gdzieś o tym czytałam, wiele osób w to wierzy.

Na koniec nie był podobny do siebie ani do mojego dziadka Ludwika, ani do nikogo, kogo znałam. Kilka minut po śmierci był obcym. Choroba zmieniła go nie do poznania. Rak potrafi być takim okrutnym rzeźbiarzem, jeśli usadowi się w pewnych organach. Tutaj zrobił naprawdę makabryczną robotę, zupełnie jakby chciał ojcu na koniec dokuczyć jeszcze dotkliwiej.

Kilka miesięcy później pożałowałam, że byłam przy nim sama, ponieważ nie mogłam z nikim o tym mówić i wspominać. Tylko obecni przy śmierci mają pojęcie, jakiego rodzaju jest to doświadczenie, które żelaznym dłutem wykrawa rany w psychice.

Tato był wspianiałym człowiekiem, naszym ideałem mężczyzny, nauczycielem i najlepszym kompanem do rozmów,

a ta podstępna śmierć w porozumieniu z rakiem nic sobie z tego nie robiła. Zabrali go we dwoje, ta śmierć i ten rak, jak jakiegoś zwyczajnego człowieka, przerwali sobie przez ramię jego duszę i już ich nie było, i nastąpił koniec. Taka mnie złość ogarnęła, że musiałam jeszcze trochę posiedzieć przy tym zmarłym, który już moim tatą nie był, żeby się uspokoić. Jakim prawem tak sobie wybieracie z tłumu człowieka i ogłaszacie jego kres? - pytałam siebie. Mógł jeszcze żyć wiele lat, na nic nie chorował, nie przeziębiał się, nie miał wysokiego ciśnienia, dbał o siebie. Dlaczego nie mógł dożyć chociaż siedemdziesiątki? Zaczęłam się wyklócać z nimi i wygrażać, trwało to dość długo, to moje nocne gadanie do śmierci i raka. Do tej wstrętnej pary, złej i nie-laskawej, i takiej bezwzględnej w swej ostateczności.

Nakryłam zwłoki kocem i zgasiłam lampkę. Zadzwoiłam na pogotowie, kazali czekać dwie godziny, zanim przyjedzie lekarz i będzie mógł stwierdzić zgon. Skontaktowałam się też z zakładem pogrzebowym, obiecali, że też będą za dwie godzin-ki. Wykonałam telefon do Marleny, powiedziała, że będzie jutro. A gdy już przestałam dzwonić, usiadłam pod drzwiami pokoju, gdzie leżały zwłoki mojego ukochanego ojca i zaczęłam swoją żałobę, z której nie mogę się otrząsnąć do dziś.

Marlena

Dwudziesty ślad hamowania

Po tygodniu przyszedł długi e-mail od Alexa. Wzięłam laptopa do łóżka i dopiero późnym wieczorem go przeczytałam. Pisał o swoich dniach czuwania w szpitalu przy łóżku Scotta, który w dalszym ciągu był w śpiączce po operacji usunięcia krwaka mózgu. Lekarze wypowiadali się bardzo ostrożnie co do stanu jego zdrowia. Nie odbierali nadziei, ale też uprzedzali, że trzeba się uzbroić w cierpliwość. Alex chciał znać prawdę, ale nie naciskał ich, nie był gotowy na szczegółowe objaśnienia co do szans całkowitego powrotu do zdrowia. Poza tym był przekonany, iż jako pierwszy zorientuje się, gdy jego syn rozpocznie podróż powrotną i wypatrywał najmniejszych choćby znaków świadczących o tym, że ten proces się rozpoczął. Czekał na obudzenie syna, tkwił przy jego łóżku dzień i noc, przemawiał do niego po polsku i po angielsku, obserwował każde, choćby samoistne drgnięcie powiek, nie ustawał, miał ogromne zapasy nadziei i determinacji. Nie brał pod uwagę, nawet w chwilach najgłębszego zmęczonego smutku, że mógłby stracić syna.

Jego była żona leżała unieruchomiona w innym szpitalu. Była przytomna, ale miała połamane obie nogi i przebite płuco. Niestety, uszkodzeniu uległ również rdzeń kręgowy. Alex odwiedził ją raz, dała mu klucze do jej nowojorskiego mieszkania, gdzie po krótkim namyśle postanowił się zatrzymać. Nie wspominał o jej

nowym ukochanym, więc wywnioskowałam, że ten usunął się w cień albo po prostu stchórzył.

Alex nie pisał niczego, co by dotyczyło nas, ale też nie spodziewałam się żadnych wyznań w takiej chwili. Ostatnie zdanie listu zmroziło mnie: „Twoja siostra jest tutaj”. Przeczytałam je kilka razy. Było zbyt późno, żeby dzwonić do Natalii lub do mamy, musiałam odłożyć rozmowę na następny dzień. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Poczulałam się jak ofiara spisku. Wydawało mi się to nieprawdopodobne, żeby moja siostra poleciała do Nowego Jorku, nie informując o tym nikogo. Po co? Do kogo? Przecież ona boi się latać! Punktualnie o ósmej zadzwoniłam do Natalii. Była zaspana, chwilę trwało, zanim zebrała myśli.

- Poleciała wspierać Alexa. Wydaje mi się, że coś między nimi jest - powiedziała, ziewając. - Nie mówiłam ci o tym, bo sama niewiele wiem, obydwójce są bardzo tajemniczy. Ale bomba, nie?

- Jak to „coś między nimi jest”. Co? - zapytałam tym swoim pełnym pretensji głosem.

- Alex mi coś napomknął, że się chyba zakochał... Ale to tak w ostatniej chwili, kiedy odlatywał do Ameryki mi o tym powiedział. Nie mówił w kim, ale że to z przyjaźni ta miłość, czy coś takiego, więc kiedy Izka zdecydowała się do niego lecieć, to się domyśliłam... Nie wiem, co z tego będzie, przecież nie rzuci męża dla Alexa! Radek by im nie darował takiego numeru.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Fakt był jeden. Ja siedziałam w kuchni przy kawie w moim domu w Anglii, a Izka ocierała łzy Alexowi w Ameryce. Czy coś przeoczyłam? Czy znów zostałam oszukana? Zapytałam jeszcze, kiedy moja siostra wraca, okazało się, że za trzy dni. Odłożyłam słuchawkę, poszłam na górę do sypialni i położyłam się z powrotem do łóżka. Kiepsko spałam w nocy, do czwartej rano rozprawiając się z tą lakoniczną informacją, która kończyła e-mail od Alexa. Wypaliłam sześć papierosów i wypić kilka kaw. Teraz sto młotów uderzało mnie w głowę w rytm dobijania, czułam się chora.

Nie myślałam o Leszku przez tyle lat... Nagle wspomnienie mojego pierwszego krótkiego małżeństwa przejęło wszystkie

funkcje w mojej głowie. Gdybym miała jego fotografię, to bym ją pewnie dopiero teraz pocięła nożyczkami na maleńkie kawałeczki. To on zapoczątkował moje tragiczne życie uczuciowe. Za rok miałam kończyć czterdzieści lat i nawet wchodząc w bardzo dojrzałe życie, nie będzie mi dane zaznać odrobiny szczęścia.

Leszka poznałam, kiedy byłam osiemnastolatką. Kończył studia na politechnice i był wielkim pasjonatem lotnictwa. Imponował mi swoją energią, zaangażowaniem w studiowany przedmiot, a oprócz tego był przystojny, dobry, zupełnie wyprzedzający stylem i zachowaniem całe dziesięciolecie. Był tak inny od swoich kolegów, od moich kolegów, że wydawało się, iż nie jest z tego świata. Urodził się na Malcie, jego rodzice pracowali w dyplomacji peerelowskiej Polski i jeździli po świecie w czasach, kiedy wycieczka do NRD była postrzegana jako wielka zagraniczna wyprawa. Leszek wybrał politechnikę, żeby być bliżej staruszków, którzy mieszkali na obrzeżach miasta. Kiedy kończył studia, jego ojciec miał już siedemdziesiąt lat, a mama była po pięćdziesiątce, więc wszystko wskazywało na to, że zafundowali sobie syna dość późno jak na obowiązujące wtedy normy. Najwidoczniej jego mama nie bała się staropanieństwa lub późnego macierzyństwa i dopiero po trzydziestce wzięła się za obowiązki przedłużania rodu. Starsi rodzice lepiej wychowują swoje dzieci, sami są mądrzejsi, więc i mądrzej potomstwu pokazują świat i przygotowują do życia. Leszek taki właśnie był. Ukształtowany z całą starannością przez swojego inteligentnego i szlachetnego ojca, dopracowany w każdym szczególe przez swoją urodziwą i łagodną mamę.

Kiedy go poznałam, zakochałam się właściwie po pierwszej randce, choć nie była to prawdziwa randka, a spotkanie u znajomych. Uczyłam się do egzaminów maturalnych, a Leszek, świetnie znający angielski, zaoferował pomoc. Szykowałam się na te korepetycje jak na bal, podkręcałam rzęsy, malowałam paznokcie, szczotkowałam włosy milion razy i ścieliłam miękkie koce na wersalce. Przychodził i przynosił mi pomidory, kwiatki, jakie zerwał gdzieś na łące, czasami egzotycznie wyglądające smakołyki i gumy do żucia, czekolady z Pewexu. Mimo iż był

siedem lat ode mnie starszy, nie czułam różnicy wieku. Imponował nie tylko mi, moja mama była nim po prostu zachwycona. Woził ją swoim samochodem na zakupy i na działkę, kilka razy podwiózł do pracy, zawsze miał dla niej ciepłe słowo, zasięgał jej porad, wysłuchiwał opinii na najnudniejsze tematy, a nade wszystko wychwalał mnie. Każda matka byłaby dumna, że udało jej się wyhodować piękny i szlachetny kwiat, a moją mamę rozpierała podwójna duma. Widziała we mnie przedłużenie swojego życia, swoich marzeń i tęsknot. Leszek mówił o mnie piękne rzeczy, a mama troszeczkę zawłaszczwała te komplementy dla siebie, podkradała mi z koszyczka zalet. Izka od samego początku nastawiona była sceptycznie. Nazwała Leszka „Wazelina”, nie uległa ani na moment jego czarowi, choć przyznam, podejrzewałam, że może trochę się w nim podkochiwała. Wszyscy kochali Leszka, a ja wspaniałomyślnie godziłam się na formę współwłasności, mając kojącą serce pewność, że on był mój i tylko mój.

Kiedy go przedstawiłam rodzicom, tato powiedział mi: Jesteś piękna, to i masz pięknego chłopaka!". Fakt, byliśmy parą, za jaką odwracały się głowy na ulicy. Ulica wtedy była dość szara i jednowymiarowa, a my byliśmy uroczą parą w 3D! Leszek pachniał zagraniczną wodą, wszystkie ubrania leżały na nim jak na modelu, umiał się zachować w każdej sytuacji, wiedział, gdzie postawić przecinek, a gdzie wykrzyknik, wiedział, kto wyreżyserował film *Obywatel Kane* i w jakim kraju uprawia się najwięcej wanilii. Nie byłby jednak tak cudowny, gdyby nie jego autentyczna skromność, jaka towarzyszyła tym wszystkim przymiotom. W rozmowie zawsze stał na drugim planie, nie przypominam sobie, żeby przekrzykiwał rozmówców, choć zazwyczaj byli od niego głępsi. Nigdy nie okazał nikomu pogardy, a było wiele sytuacji, kiedy byłoby to wręcz wskazane, ale Leszek nie posuwał się do niegrzeczności, nieuprzejmości czy chamstwa. Może dlatego wszyscy tak bardzo go lubili?

Zdałam maturę na piątki, nie chciałam go zawieść. Uczyłam się dla niego i zebrałam najwyższe noty również dla niego. Skromny to dar, ale na tyle tylko było mnie stać w moim młodym

wieku. W nagrodę zaprosił mnie i moich znajomych na huczne obławanie matury do Arłamowa. Przy pomocy rodziców zorganizował wielką fetę na moją cześć, co mnie tak rozanieliło, że na owym ołtarzu miłości zdecydowałam się złożyć mu również swoją hodowaną na specjalną okazję - taką jak ta - cnotę. Leszek z ochotą przyjął mój dar, czuł się wyróżniony, a tak bardzo chciał mi oszczędzić bólu, że sam chyba żadnej przyjemności z tego nie miał. Elegancko, jak przystało na dżentelmena, przystąpił z samego rana bukiet róż i pozwolił, abym wyskubała wszystkie płatki i wsypała je do wanny. Była to nasza jedyna wspólna kąpiel.

Leszek otwierał przede mną drzwi do innego, lepszego świata. Nie ukrywał, że zaraz po skończeniu studiów chce wyjechać do Ameryki. Po dziadkach miał „odziedziczyć” obywatelstwo amerykańskie, procedury w tym kierunku były już mocno zaawansowane. Nie protestowałam, wręcz przeciwnie, sama chciałam uciec z szarej Polski. Właśnie - uciec, nie wyjechać i nie chodziło tu tylko o dobór słów. Nie pasowaliśmy z Leszkiem do swojskich klimatów - on nie pasował, a ja chciałam lepszego życia przy jego boku. Miewałam w tamtym okresie już tylko zagraniczne sny, przewijały się krajobrazy, a na ich tle własny samochód, dom z ogródkiem, zimne napoje pite prosto z puszeki oraz powoli wypalane marlboro, koniecznie czerwone, w twardej pudełku. Nie miałam żadnych, ale to żadnych własnych ambicji poza pragnieniem życia w dostatku. Dziś myślę o tym ze zgrozą i gdyby moja córka miała takie marzenia, zapłakałabym się na śmierć. Bałam się, że jeśli zostaniemy w Polsce, to „rzeczywistość zaskrzeczy” tak donośnie, że nas i naszą miłość przepędzą czym prędzej cztery wiatry.

Czekałam, aż Leszek skończy studia, a kiedy rok później to nastąpiło, zaczęły się wielkie przygotowania do wyjazdu. Wszystko we mnie wrzało, tak byłam podekscytowana tą perspektywą. Nie dotykałam stopami ziemi, po prostu unosiłam się nad brzydkim, nierównym asfaltem miejskiej drogi.

W czerwcu nie dostałam wizy amerykańskiej! Przeżyłam szok i coś, co można by dziś nazwać załamaniem nerwowym.

Nie braliśmy pod uwagę takiej przeciwności losu. Leszek wylatywał do Ameryki we wrześniu i ta data nie miała już ulec zmianie. Naradziliśmy się w altanie na działce jego kolegi. Padał deszcz, Leszek ssałowywał jego krople z moich policzków i ust, i tulił mnie do siebie jak małą dziewczynkę. Pozwolił mi szlochać przez godzinę, a potem przedstawił swój plan B. Byłam mu wdzięczna, że tak szybko wyciągał nas z opresji i tak mężnie się zachował. Kolejny raz potwierdziło się, że jest chodzącym ideałem.

Obwieściłam rodzicom, że w sierpniu wychodzę za mąż za Leszka, obywatela USA. Nikt nie miał tyle szczęścia co ja, po prostu nikt. Lepiej działało się tylko na ekranie w kinie. Słyszałam zewsząd, jaką jesteśmy piękną parą, jak dobrze dobraną, wręcz dopasowaną. Lawinowo sypały się życzenia lat szczęścia i słodyczy. Co najważniejsze, nie było w tych wróżbach ani trochę ludzkiej zawiści, ani fałszu. Jakimś cudem udało nam się uniknąć złych języków i niechęci tych, dla których los był mniej łaskawy. Czułam się wyróżniona. Nigdy nie miałam wysokiej samooceny, raczej głowę pełną kompleksów, więc to, co się działo dookoła, trochę mnie przerażało. Nie widziałam w lustrze żadnej wielkiej piękności, o czym mnie przekonywano, nie czułam się duchowo rozwinięta ani specjalnie inteligentna. Nie miałam poczucia humoru Izki ani jej iskier w oczach. Leszek powiedział, że gdyby miał brata, ożeniłby go z Izką, ale kiedy jej o tym powiedziałam, ofuknęła mnie:

- Nigdy w życiu! Pan Doskonały oczekuje doskonałego życia, a ja ani-ani. Piękne i dobre dziewczyny jak ty, Marlena, robią piękne i dobre rzeczy, a takie jak ja robią wszystko inne!

Zapamiętałam jej słowa, nawet je sobie gdzieś zapisałam, Izka była autorką wielu złotych myśli, jakie osoby z jej otoczenia cytują do dziś.

Ślub odbył się w sierpniu, a Leszek wyleciał do USA, jak zaplanował, we wrześniu. Moja sytuacja uległa zmianie, więc zaczęły się ponowne starania o wizę w konsulacie w Krakowie. Chciałam dołączyć do Leszka w marcu, tyle czasu miały trwać formalności, a przede wszystkim urządzenie nam gniazdka w Connecticut. Początkowo mieliśmy wynająć dom, ale Leszek

dostał świetną pracę, zdaje się, że przy protekcji wciąż wpływowego ojca, więc zapadła decyzja o kupnie nieruchomości. Nie pamiętam już nazwy tej jego firmy, ale to właśnie tam poznał miłość swojego życia.

Kiedy w grudniu okazało się, że nie przylatuje na święta, poczułam bolesne ukłucie w okolicy serca. Nie zdążyłam się nim nacieszyć po ślubie, wszystko odbywało się na wysokich obrotach, przeganiały nas z miejsca na miejsce dziesiątki spraw, nie obdarowaliśmy się miesiącem miodowym. Odliczałam dni do jego świątecznej wizyty. Zmieniłam fryzurę, schudłam, odrzuciłam jaskrawe kolory, przeszłam na pastele w ubiorze oraz makijażu i zaczęłam się sobie nareszcie podobać. Proste dzinsy, białe swetry, minimum biżuterii, a na palcu tylko maleńki pierścionek z brylantem, jaki dostałam od Leszka. Ta odmiana miała się mu spodobać, dla niego zadałam sobie ten trud, szlifowałam, dmuchałam, prostowałam szorstkie kanty mojego wyglądu. Rozjaśniłam włosy i definitywnie pożegnałam się z tuszem do rzęs koloru niebieskiego. Wyrzuciłam wszystkie klipsy, cekiny, oczojebne podkoszulki. Moja rzekoma uroda została nieco wyciszona przez zmianę stylu, ale przez to jeszcze bardziej rzucała się w oczy - tak bym to oceniła z perspektywy czasu. Nabrałam pewności siebie, czułam wielką radość z tych dwudziestu lat, jakie nosiłam na twarzy. W Wigilię zamierzałam odwiedzić teściów, ale grzecznie mnie uprzedzili, że wyjeżdżają na czas świąt. Dopiero kilka miesięcy później dowiedziałam się, że polecili do Leszka, żeby przekonać się na własne oczy, czy to, co mówi ich syn, jest prawdą. Kiedy było już po wszystkim, Izka powiedziała, że chyba lepiej by było, gdyby okazał się gejem.

Alarm włączył się dzień przed sylwestrem. Nie chciałam nigdzie wychodzić, wydawało mi się, że to będzie nie na miejscu, skoro mój mąż tak daleko. Listonosz nie zastał nas w domu, więc zostawił awizo. Dopiero drugiego czy trzeciego stycznia odebrałam na pocztę list od Leszka. Napisał tylko, że zadzwoni wkrótce, bo musimy porozmawiać i że będzie to najtrudniejsza rozmowa, jaką można sobie wyobrazić. Chciał mnie pewnie przygotować, ale tylko mnie przestraszył. Nie spałam dwa dni

i nic przez ten czas nie jadłam. Telefon u jego rodziców nie odpowiadał.

Kiedy w końcu zadzwonił, pamiętam, w jakiej pozie siedziałam wpatrzona w zielony aparat i modliłam się o dźwięk. Mama zajrzała do mnie kilka razy, powtarzając, żebym się już położyła, że może rano zadzwoni. Leszek zadzwonił w środku nocy, ale nie obudził mnie, bo czuwałam bez przerwy dwie doby. Kiedy usłyszałam jego głos, a nie rozmawialiśmy od Wigilii, zrobiło mi się słabo. Kochałam go tak bardzo, jak można to sobie tylko wyobrazić. Był moją pierwszą wielką miłością - do tego spełnioną, przypieczętowaną, rozchylającą płatki ku słońcu. Rozmawialiśmy chwilę o rzeczach nieważnych, obcość wkradła się już w pierwsze zdanie, a potem było coraz gorzej. Nie musiałam go ponaglać, przez te tysiące mil słyhać było w słuchawce, że chce mieć to już za sobą.

Powiedział mi, że poznał kobietę, Harriett. Nie wiem, jak mi to przeszło przez gardło, ale zapytałam: „Zakochałeś się?”. Wtedy zamiast odpowiedzieć krótko: „tak”, uraczył mnie długą opowieścią o tej niezwykłej kobiecie i o tym pożarze, jaki wybuchł i rozprzestrzenił się tak szybko, że nie zdążył nawet poczuć ostrzegawczego ciepła. W każdym zdaniu mnie przeproszał, setki razy rzucał się słownie na kolana i całował mnie po rękach oraz błagał o wybaczenie. To był wielki wybuch, większy od tego, jaki dał początek wszechświatowi - zapewniał mnie. Przecież nikogo i niczego nie szukał, przecież miał mnie, dla nas szykował dom z ogrodem od strony południowej, za mną tęsknił i pisał listy, nasi rodzice się lubili, wszystko dopiero zaczynało się rozwijać. Sporządzał listę miejsc, jakie chciał ze mną odwiedzić, zanim urodzę dziecko, kupił mi seksowną bieliznę, piękne buty, a nasze ślubne zdjęcie oprawione w ramkę stało obok łóżka - z nim się budził i do niego przemawiał. Ta wielka tęsknota musiała trwać może miesiąc, bo przecież w październiku poznał już Harriett!

Nie bronił się raczej, skoro w grudniu podjął decyzję o naszym rozwodzie. Ja siadałam do karpia, a on przysięgał Harriett, że kolejne święta spędzą razem. No i spędzili także wiele następnych, gdyż do dziś są razem. Urodziła mu dwóch synów. A ja w wieku lat dwudziestu byłam już po rozwodzie... Serce

mi krwawiło tak mocno, że rodzice obawiali się, czy nie targnę się na swoje życie. Izka trochę mnie pocieszała, ale miałam wrażenie, że gdzieś w najciemniejszym korytarzyku swojej duszy pielęgnowała uczucie ulgi. Nigdy jasno nie wypowiedziała się na temat Leszka, ale nie rozpaczała po nim. Mama czerpała pocieszenie z faktu, że nie wzięliśmy ślubu kościelnego, a tato oficjalnie groził, że jak go spotka, to zabije jak psa. Nie mógł pojąć, jak ktoś tak szlachetny i prawy mógł tak potraktować drugą istotę. Ja widziałam to inaczej i mówiłam o tym głośno:

- A co miał zrobić? Żyć bez miłości ze mną i marzyć o tamtej? - broniłam go.

- Taka fanaberia! Przeszłoby mu raz-dwa - odparł.

- Nie sędzę, tato. Czasami się takie rzeczy zdarzają, taki wielki przyptyw uczuć, takie trzęsienie ziemi, wielki wybuch... Widocznie nie kochał mnie tak jak ja jego, ale o tym nie wiedział.

- Jesteś zbyt wyrozumiała dla tego drania, córcia, podziwiam cię.

Siedzieliśmy przy kuchennym stole, korzystając z nieobecności mamy. Chodziła teraz do kościoła wieczorami, żeby pod osłoną nocy przetransportować swój wstyd z domu do przybytku bożego. Nie chciała być zaczepiana przez którąś z koleżanek, której musiałaby wyjaśnić, dlaczego nie jadę do USA. Popełniła błąd, rozpowiadając wszystkim bez wyjątku o moich życiowych planach, teraz na wielką skalę musiała to odkręcić.

- Pomyliłem się co do niego. - Tato kręcił głową z niedowierzaniem.

- Nie, tato, to jest ten sam człowiek, nie okazał się draniem, po prostu porwała go wielka fala i gdyby to przydarzyło się mi, poradziłbyś, żebym poszła za głosem serca, nawet jeśli byłoby to kilka miesięcy po ślubie - argumentowałam nadzwyczaj rozsądnie.

- Ty go przecież kochasz, córcia...

- Kocham, ale nie zmuszę go samą tylko miłością do porzucenia tamtej, nawet bym tego nie chciała.

- Nie chcesz o niego walczyć? - Tato nalał nam soku do szklanek, a potem dolał trochę wódki.

- Nie umiałabym. Zresztą - jak? Nawet nie mam jeszcze wizy, a poza tym, co mogę zrobić? Poprosić go, żeby się odkochał? Leszek to nie jest gorąca głowa, znam go przecież. Miałabym tam pojechać i zrobić z siebie pośmiewisko? Nigdy.

Mówiłam, a tato głaskał mnie po ręce. Nie myślał o tym, że to wstyd, iż jego córka została porzucona, ale o tym, jak bardzo cierpiałam. Moja młodość nie czyniła bólu łagodniejszym, nie radziłam sobie wtedy z takim odtrąceniem, nie wiedziałam, jak się zachować, ale miałam zapasy dumy i sięgałam po nie w tych krytycznych momentach.

- Nie spodziewałem się tego po nim.

- On tego nie planował, tato. Nie mamy dzieci, wszystko będzie prostsze - tłumaczyłam sobie to wszystko na głos.

Nie wiem, jak inne kobiety przyjmują takie ciosy, ja się ugi-
nałam pod jego ciężarem, ale nie upadłam. Tato widział w moich oczach wszystko to, co ukrywałam, ale był bezradny i to go de-
nerwowało najbardziej. Gdyby Leszek był blisko, mógłby go ukarać pięścią, a ja w tej swojej wyważonej szlachetności może bym i nie protestowała. Siedzieliśmy przy stole przykrytym serwetką w żółto-brązową kratę, pamiętam ją w szczegółach, nawet tłustą plamkę na środku. Za oknem była piękna mroźna zima, biel upiększyła okolicę, aż w oczy raziło. Rozmawialiśmy kilka godzin, potem już o innych sprawach, o taty projektach, nadciśnieniu mamy, planach na lato. Na koniec tato przytulił mnie i pocałował w czoło, zupełnie tak, jak gdy byłam małą dziewczynką i wiecznie spadałam z huśtawki.

- Jesteś taka młoda, jeszcze kogoś spotkasz, zobaczysz, kogoś, kto na ciebie zasługuje. Będiesz szczęśliwa.

- Wiem, tato. Wiem.

Obydwoje myliliśmy się. Musiało upłynąć dwadzieścia dłu-
gich lat, zanim przyszło uczucie. Rok po rozwodzie spotkałam Alana i wyszłam za męża, nawet nie z rozsądku, ale z rozpędu, żeby jak najszybciej zapomnieć o Leszku i żeby wyjechać za granicę. Nie kochałam go, ale zdecydowałam, że to będzie najlepsze rozwiązanie. Miało być tymczasowe, trwało piętnaście lat. Teraz spotkałam Alexa i wpadłam w rozpacz, że znów mi się nie uda.

Izabela

Dwudziesty pierwszy ślad hamowania

Rozmiar mojej naiwności ujawnił się w całej krasie dopiero wtedy, kiedy spoglądałam w oczy Alexowi. Jak mogłam przypuszczać, że to we mnie się zakochał? Chciałam w to wierzyć wbrew rozsądkowi i znakom na ziemi oraz na niebie. Kiedy przeleżałam noc z otwartymi oczyma u jego boku w eleganckim hotelu Sheraton w Warszawie, myślałam o naszych splecionych ze sobą losach, o tym, co nas łączyło i co przegnało w dwa krańce świata oraz o tym, co można było jeszcze uratować. Alex spał obok, oddychał nierówno, zrywał się co kilka minut, przewracał na drugi bok, a ja czuwałam nad jego snem. Wtedy nie udało mi się go uwieść, byłam mało ponętna i niezdecydowana pomimo swojej nagości i deklarowanej gotowości spędzenia z nim szalonej nocy. Jeśli wtedy miałam jakieś wątpliwości co do rodzaju emocji, jakimi mnie obdarzał, spotkawszy go na korytarzu szpitala, przyjąłam ponad wszelką wątpliwość, że nie jestem jego nową wielką miłością. Takie rzeczy się wie, nie potrzeba do tego wybujałej, osławionej w anegdotach kobiecej intuicji. Alex po prostu na mnie spojrzął i zrozumiałam, że popełniłam fatalny błąd w ocenie jego potrzeb i moich możliwości.

Siedział w poczekalni skulony na plastikowym krześle, być może drzemał. Kuzynka Bietka wysłuchiwała mojej opowieści i zaadoptowała moją wersję wydarzeń. Po amerykańsku zapewniła mnie, że wszystko będzie okej, *super, fantastic* i że trzeba mi

walczyć o swoje szczęście. Miód lał się na moje serce wielkim, ciepłym strumieniem. Bietka musiała uciec z Polski dla dobra syna, który „wyrósł na geja”, cytując moją mamę. Okazała się wspaniałomyślną, romantyczną osobą zagrzewającą mnie do szlachetnego boju w imię miłości. Rozlewała Southern Comfort w wielkie kryształowe szklanki wyprodukowane w Krośnie i zachłystywała się moją relacją ostatnich wydarzeń. Chciała poznać Alexa, zobaczyć na własne oczy tego bajkowego mężczyznę, który strząsa gwiazdny pył z pozłacanych sandałów. Obiecałam, że go jej przedstawię, ale nie dotrzymałam słowa, bo chciałam mieć go tylko dla siebie, gdyż wiedziałam, że to już po raz ostatni.

Podszedł do mnie i objął mnie. Nie był tak zaskoczony jakby nakazywały okoliczności.

- Izka, co ty tu robisz? - zapytał, przytulając mnie mocno do siebie po bratersku.

Nikt na nas nie patrzył, nie zwróciliśmy niczyjej uwagi, dwoje uczepionych siebie rozbitków w wielkim oceanie samotności zastygło w dziwnej pozie. Kolor ścian pasował do mojego nastroju, wszystko było lekko żółte.

- Ja też się cieszę, że cię widzę... - Pogłaskałam go po rozczochranej czuprynie i nieogolonym policzku. Uśmiechnął się i pociągnął za sobą w stronę wolnych foteli. Usiedliśmy z kubkami gorącej, niesmacznej kawy. Opowiedziałam mu krótko o podróży i kuzynce, która udzieliła mi schronienia. Mieszkała na Bay Bridge, miała ładny dom z małym ogródkiem. W salonie rozłożyła mi dmuchany materac, bo obie gościnne sypialnie wynajmowała Polakom, a w trzeciej sama urzędowała. Jej syn zamieszkał z kochankiem dwie ulice dalej, przychodził na obiady niemal codziennie. Miły z niego chłopak, choć bardzo ostentacyjnie manifestował swoją odmienność. Dobrze, że moja mama nie widziała go od dnia wyjazdu z Polski. Wtedy miał jedenaście lat i jego homoseksualizm mógł od biedy być postrzegany jako delikatność granicząca ze zniewieściałością. Alex przypomniał sobie jej historię, może nawet ja sama wtedy go wtajemniczyłam.

- Pamiętam, jak wyjechała z Polski. Pobili jej tego syna kilka razy na osiedlu i wtedy zrozumiała, że „Polska B” nigdy nie

zaakceptuje inności jej syna, że nie pozwolą mu żyć, bo nie jest taki, jakim by chcieli go widzieć. W tamtych czasach bycie homoseksualistą było czymś porównywalnym do bycia Murzynem.

- Nadal tak jest. Może w Warszawie, Krakowie lub Wrocławiu już uchodzi to na sucho ludziom o odmiennej orientacji seksualnej czy kolorze skóry, ale Polska to nie wielkie miasta, tylko wiochy i miasteczka, a ich mieszkańcy są nadal bezlitośni, jeśli chodzi o akceptację czegoś innego. Bietka chciała uratować syna, musiała uciekać.

- Jak jej się wiedzie? - Alex może nie był zainteresowany losami mojej kuzynki, ale był to dobry, neutralny temat do rozmowy. Opowiedziałam mu o jej życiu w Nowym Jorku, cudownym optymizmie, jakim przesiąknęła oraz o jej zmienionej botoksem i wypełniaczami twarzy, która już zaczęła żyć własnym życiem, tak samo jak jej usta w kształcie pontonu. Udało mi się go rozśmieszyć.

Dopiero po godzinie pogawędki poszliśmy do pokoju, gdzie leżał Scott. Alex posadził mnie obok łóżka, a sam stanął za moimi plecami. W milczeniu wpatrywaliśmy się w lekko zarumienioną twarz chłopca. Przez pierwsze minuty czułam się niezręcznie, nie wiedziałam, czy mogę zakłócać ciszę, czy raczej filozoficznie milczeć? Co najbardziej będzie pasować do tej sytuacji, co będzie lepsze dla małego chłopca pogrążonego w głębokim śnie, a co dla jego zrozpaczonego ojca?

- Wiesz, co jest najgorsze? - Alex mówił cichym głosem.
- Najgorsze jest to, że Scott ma tylko mnie. Jego mama leży połamana i sparaliżowana w innym szpitalu, a tutaj wartę trzymam tylko ja. Nigdy się nie zastanawiałem, aż do tej pory, jak mały jest jego świat rodzinny. Ja tu jestem sam. Natalia widziała go tylko raz, kiedy miał rok, moja mama nigdy. Nie ma tu żadnych kuzynów ani ciotek, ani nikogo spokrewnionego. Rodzina Margot mieszka w RPA, tutaj jest również sama. Ma jakąś ciotkę w Detroit, ale nie widziałem jej na oczy. Zafundowaliśmy synowi izolatkę. Dosłownie i w przenośni. Dopiero teraz to widać, kiedy zdarzył się wypadek. Może kiedyś, jak będzie starszy, sam

sobie stworzy świat i wypełni go ludźmi, kolegami, sąsiadami, pięknymi dziewczynami. Na razie ma tylko mnie.

Słuchałam i powoli wyciągałam rękę, żeby go dotknąć. Po chwili już głaskałam jego maleńką dłoń, spoczywającą bezwładnie na niebieskiej pościeli. Wydawał mi się taki malutki. Alex kontynuował przemowę:

- Ja dorastałem w poczuciu bezpieczeństwa, jakie płynęło od otaczających mnie ludzi. Ojciec matkę zostawił, ale jego rodzina tkwiła przy nas i tak jest do dziś. Nie zliczę nawet swoich kuzynów i kuzynek, z którymi spędzałem wakacje na wsi, ganiałem po ściernisku, dręczyłem koty, kradłem jaja i takie tam... I wiesz co, ja muszę to kuzynostwo odnaleźć, zabrać tam Scotta, kiedy podrośnie, pokażę mu jego korzenie - mówił z taką pasją, że przez chwilę zastanawiałam się, czy aby nie jest pod wpływem jakichś środków pobudzających. Nie przerywałam mu. - Tak nie może być, żeby myślał, że jest jakimś człowieczkiem bez dziadków i pradziadków, zwykłą przybłędą. Nowy Jork to nie jest jego miejsce na ziemi, ja to po prostu czuję. Póki mogę za niego wybierać, będę to robił.

Poprosiłam, żeby usiadł obok. Posłuchał mnie.

- Ja też spędzałam wakacje na wsi u ciotek mamy, fajnie było, beztrudno, chociaż surowo, słoma z siennika wbijała mi się w tyłek i nie mogłam spać, musiałam też pracować przy żniwach, ale wieczorami były potańcówki, a ja, dziewczyna z miasta, miałam niemożliwe branie, dopóki oczywiście nie przyjechała Marlena i mnie nie przyćmiła - powiedziałam z nutką nostalgii w głosie.

Nie było to aż tak dziwne, jak mogłoby się wydawać, że rozmawialiśmy o takich nieważnych bzdurach, a nie o stanie zdrowia Scotta. Tutaj wszystko było bardzo oczywiste - Scott leżał przed nami na wielkim łóżku w małym pokoju, oddychał samodzielnie i nie reagował na nic, a lekarze kazali czekać. Nic więcej nie zostało powiedziane, ja również nie zadawałam dalszych natrętnych pytań. O co miałabym pytać? Czy wyjdzie z tego? Będzie normalny? Kiedy?

Pielęgniarka zajrzała do pokoju, ale wycofała się szybko, uspokojona naszą obecnością przy łóżku małego.

- Zajmują się nim doskonale - Alex porozumiał się wzrokiem z pielęgniarką. Wymienili tajemnicze spojrzenia i ciągnął dalej temat. - O mnie też dbają. Budujące, naprawdę, spotkać ludzi, którzy z taką miłością i zaangażowaniem wykonują swoją pracę. Tutaj nikt nie jest zmęczony, znudzony pytaniami, poriryrowany brakiem postępu w leczeniu. Przychodzę codziennie i codziennie witany jestem jak honorowy gość. Gdyby nie to, dawno już bym się wykończył.

- W polskim szpitalu byłbyś natrętem! - powiedziałam, wdrygając się na to wspomnienie. - Kiedy pojechałyśmy z mamą odwiedzić panią Borkowa w powiatowym szpitalu, obie dostałyśmy taką lekcję zniechęcającą, że nie mam zamiaru nikogo więcej tam wizytować przez następną dekadę. Nie dość, że leżała obsikana i głodna, to jeszcze pielęgniarka zwyzywała nas od „paniuś” i kazała się wynosić, straszyla ordynatorem, a my ją telewizją TVN i doszło do koszmarniej awantury przy pacjentach. Nikt się nie odezwał, wszyscy się tych młodych pielęgniarerek boją, bo to są mściwe żmije.

Alex roześmiał się. Jednak byłam mu tu potrzebna, chociaż nie w takim charakterze, jak sobie wymarzyłam. Nic, absolutnie nic nie było między nami poza lekko zardzewiałą przyjaźnią. Nie widział we mnie kobiety. To, co kiedyś połączyło nas na dywanie jako eksperymentujących nastolatków, teraz nie było nawet wspomnieniem, tylko jakimś nierealnym powiewem przeszłości. To nie byłam ja ani to nie był on, to mógł być ktokolwiek.

- Czyli nic się nie zmieniło w Polsce pod tym względem? Pani w okienku na pocztę jest jak zwykle wkurzona na klientów za to tylko, że wchodzą, a otwierając drzwi, robią przeciąg? Personel medyczny i urzędniczy to zawsze było kłębowisko żmij...

Alex, mówiąc to, nachylił się nad Scottem i pocałował go w czoło.

- Zanim Scott dorośnie, te panie przejdą na emeryturę i będziesz mógł go spokojnie przywieźć do Polski - rzekłam.

- Chciałbym bardzo zabrać go do Polski. Wiesz, małe amerykańskie dziecko nie zachwyci się Polską, ale jak dojrzeje, to doceni uroki naszego kraju. Jestem pewien. Muszę go nauczyć

polskiego i zrobię to. Jego mama po tym wypadku stała się lepszym człowiekiem... Najwyraźniej w głowie jej się coś przedstawiło, bo dwa dni temu już mi zakomunikowała, że będę mógł spotykać się ze Scottem, kiedy zechcę i gdzie zechcę, pieprzyć orzeczenie sądu! Tak się wyraziła. Nie znasz jej, więc nie wiesz, co wyrabiała, żeby mnie odseparować od małego, chyba mi nawet życzyła śmierci.

- Nie mów tak! - przerwałam mu, zanim zdążył się rozkręcić na dobre.

- Spotkała takiego frajera po pięćdziesiątce, bogaty, ma jacht, kontakty w wielkim świecie, wielkie interesy i kupił ją. Kupił ją i mojego syna też chciał kupić, a ja na to musiałem patrzeć, więc wywiozła go z Kalifornii. Teraz przyszło opamiętanie. Pan Bogacz chyba się nie sprawdził w chwili kryzysu.

- No to przynajmniej jedna pozytywna rzecz w tej tragedii - powiedziałam.

Siedzieliśmy jeszcze dwie godziny przy małym, a potem poszliśmy do kantyny na obiad. Po południu Alex pojechał do domu, zostałam sama w szpitalu. Opowiadałam Scottowi o jego ojcu, o naszych szkolnych przygodach, o moim synu. Pielęgniarka przyniosła mi kubek dobrej kawy z ekspresu i chwilę ze mną pogawędziła o Alexie i o pogodzie. Kiedy przyszedł lekarz, porozmawiałam z nim na obojętne tematy, nie dotykaliśmy drażliwych zagadnień, a potem znów zostałam sama. Kiedy Alex wrócił wieczorem, ogolony, przebrany w czystą koszulę i marynarkę, miałam poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Moja obecność dodała mu otuchy, poczuł się bezpieczniej, odciążałam go trochę, mógł wyjść ze szpitala bez poczucia winy, że porzuca swoją rolę opiekuna. Nie bardzo wiedziałam, jak będzie się zachowywał po moim wyjeździe, czy pochłonie go fala bezradności i osamotnienia? Rozważałam, czy nie zostać jeszcze tydzień, ale szybko zarzuciłam ten pomysł.

Kolejne dni spędzałam z nim w szpitalu na zmianę. Rozmawialiśmy godzinami o różnych sprawach, snuliśmy wspomnienia najśmieszniejszych i najciekawszych wygłupów szkolnych i już po kilku takich rozmowach twarz Alexa przestała być taka

stężała. W oczach błyskały małe iskierki, jadł ze mną obiady, wypiliśmy nawet butelkę wina przemyconą w plastikowej butelczynie. Czekanie jest najtrudniejsze, ale po jakimś czasie niesie ze sobą spokój. Przychodzi taki moment, że wiesz, iż nic nie wydarzy się jutro, że nie spadnie grom z jasnego nieba i nie zapali się żadne czerwone światło na monitorze. Zmiany będą powolne, kap, kap, jak woda z ciekącego kranu, więc spokój przychodzi spontanicznie i trzeba go łagodnie przyjąć. Dzień przed wyjazdem udało mi się zaprosić Alexa na kolację w restauracji. Z początku się ociągał, marudził, ale zdołałam go przekonać. Ubraliśmy się odświętnie, upychając sporo normalności pomiędzy nasze wylężnione twarze. Zamówiliśmy wspaniałe wielkie krewetki, sałatki i białe wino.

- Tak się cieszę, że przyjechałaś. Nie wiedziałem, co sobie o tym myśleć, kiedy cię zobaczyłem na korytarzu, ale bardzo mi pomogłaś. - Podniósł kieliszek do góry, ja swój i stuknęliśmy się nimi. Rozkoszowałam się jedzeniem, rozgrzebując na talerzu ozdobą kompozycję. Alex jadł znacznie ładniej i wolniej.

- Ja też się cieszę, że moja spontaniczna natura nareszcie doszła do głosu, a wierz mi, była skutecznie tłumiona przez ostatnie lata - powiedziałam.

- Jak mam to rozumieć?

- Od dawna nie jestem już taką szaloną, bezkompromisową Izką, jaką znałeś. Czas zrobił swoje, nie udało mi się w małżeństwie przeforsować moich prawdziwych cech ani przemycić marzeń, jakie miałam kiedyś. - Patrzyłam mu prosto w oczy.

Powzięłam postanowienie powiedzenia mu, z jakim nastawieniem tu leciałam. Czekałam tylko na odpowiedni moment, wiedziałam, że go tym wyznaniem rozbawię, mnie samej wydawało się ono komiczne. Marudziłam o swoich problemach małżeńskich tytułem wstępu, ale w tym momencie spotkała mnie niespodzianka.

- Przed wypadkiem Scotta, gdybyśmy rozmawiali tak jak teraz, powiedziałbym ci: chrzań to, *fuck it* i rozwiedź się. Nie jesteś szczęśliwa z Radkiem, to go zostaw, spróbuj jeszcze raz z kimś innym. Teraz już bym nie był taki prędko w poradach

rozwodowych. Macie syna. Wypadek Scotta wiele mi uzmysłowił, powiedziałbym, że mnie totalnie zmienił. Ja do żony nie wrócę, to nie w tym sensie, ale jeśli chodzi o ciebie, to podejrzewam, że to tylko mały kryzys i nie wolno ci się rzucać na główkę w niesprawdzony basen. Rozumiesz?

- Rozumiem - wtrąciłam, popijając wino.

Alex zamówił drugą butelkę, po której nastąpiło już całkowite rozluźnienie. Alkohol tak właśnie magicznie działa. Troski precz, wątpliwości precz, zostaje tylko przyjemne uczucie, że młodość jeszcze nie przeminęła, wszędzie można dojść na piechotę, zaśpiewać, zatańczyć, zadzwonić.

- Nie martw się o mnie, kolego, nawet nie stoję przy cudzym basenie, a co dopiero, żebym skakała na główkę! Mogłeś tak sobie wtedy w Warszawie pomyśleć... Ale nie, to była jakaś gorączka, która szybko przeszła. Ale chcę ci powiedzieć coś naiwnego. Mogę? Nie jest to pijacki bełkot, nie obawiaj się. Otóż jestem pewna, że Scott wyjdzie z tego. Nie jestem lekarzem i nie wiem niczego, czegoś ty byś nie wiedział, nie miałam nawet proroczego snu, bo nie jestem moją mamą, ale po prostu czuję, że on się niebawem obudzi i będzie całkowicie sprawny, wiesz, o co chodzi, że nie będzie kaleką.

Alex patrzył na mnie jak zaczarowany. Musiałam mieć wielką pewność w głosie i stanowczość w oczach, ponieważ pojaśniał cały i szybkim ruchem sięgnął po moją dłoń. Zdjęłam mu wielki ciężar tym oświadczeniem, a nie oszukiwałam. Ja naprawdę tak myślałam, dlatego zdecydowałam się mu o tym powiedzieć.

- Myślę jeszcze, że twoja stała przy nim obecność wyciągnie go z tego ciemnego dołu, w jaki wpadł - powiedziałam już znacznie ciszej.

- Naprawdę? Mówisz takim tonem, że już mnie przekonałaś.

Alex miał zimne dłonie, ale szybko podzieliłam się z nim moim ciepłem. Patrzyliśmy na siebie intensywnie. Gdyby obserwował nas ktoś z boku, uznałby, że jesteśmy parą kochanków.

- Jestem ci bardzo, ale to bardzo wdzięczny za wszystko.

Obdarzyłam go uśmiechem i jeszcze raz stuknęliśmy się kieliszkami. Kelner przyniósł nam *cream brulee* na deser, ale nie

mieliśmy ochoty na słodkości. Zamiast tego zamówiliśmy po kieliszku drambuie.

- Jest jeszcze coś... - Zdecydowałam, że przyszła odpowiednia chwila. Nie byłam pijana, ale z pewnością bardzo ośmielona działaniem wina. Alex uniósł brwi, czekał. Ktoś za naszymi plecami wybuchnął śmiechem. - Sama siebie wprowadziłam w błąd, a Natalia mnie jeszcze w tym błędzie utwierdziła. Otóż... Zdradziła mi twój sekret. Powiedziałaś jej, że się zakochałeś i że uczucie przyszło od strony przyjaźni... - zaczęłam tajemniczo.

- Bo to prawda - Alex przytaknął bez zastanowienia.

- Tak, ale ja myślałam, że zakochałeś się we mnie. Nic nie mów, wiem, że tak nie jest. To nasze spotkanie po latach w Warszawie po prostu mnie rozwaliło. Pewnie, że się wygłupiłam, przychodząc do ciebie do pokoju, nalegając: „przeleć mnie”. Jezu, jak dobrze się stało, że do tego nie doszło! Nie chciałeś mnie, niby to wiedziałam, ale przekonałam sama siebie, że mi się zdawało, że ty mnie chcesz, ale sam jeszcze o tym nie wiesz albo nie masz odwagi, bo jestem mężatką. W każdym razie... Proszę, daj mi skończyć. Natalia wyskoczyła z tym uczuciem i ja niczym zła siostra w bajce o Kopciuszku chciałam na siłę wepchnąć moją wielką stopę w mały pantofelek.

Alex roześmiał się. Było to wspaniałe, że mogliśmy tak rozmawiać bez krygowania się i chowania się za własne niedorzeczności. Byłam w stanie śmiać się teraz z samej siebie. Nie było mi wstyd, jednak przede wszystkim spłynęła na mnie jednoznaczna pewność, że ja również nie jestem w nim zakochana. Gdybym tu nie przyjechała, może przez miesiące czy lata pielęgnowałabym to złudzenie miłości. Czułabym się poszkodowana przez podły los w tym nieszczęśliwym zakochaniu bez wzajemności. Ileż kobiet żyje mitem, nigdy nie przekonawszy się, że tęsknią za czymś, czego nie ma i nigdy nie było. Zawiedzione miłości są przecież takie piękne, wzniosłe i romantyczne, są gotowym materiałem na rozpasaną powieść, paliwem lotniczym przy pisaniu wierszy. Kobiety najdłużej i najzarliwiej wdychają do kogoś, kogo mieć nie mogą. Ja miałam to szczęście, że tak szybko przekonałam się o swojej pomyłce. Może Alex mi się

podobał, ale to bardziej nie podobał mi się własny mąż, a to nigdy nie jest dobry powód, żeby popełniać zdradę.

- Nie musisz mi nawet mówić, w kim jesteś zakochany. Mam nadzieję, że ci się z nią uda, bo zasługujesz na szczęście - powiedziałam, sygnalizując koniec tematu. Oczywiście, chciałam wiedzieć, ale umiałam się też powstrzymać od tej ciekawości. Alex chyba też się zastanawiał, czy mi powiedzieć. To musiała być jakaś wyjątkowa kobieta, tego byłam pewna.

- Bardzo dziwnie to wszystko się potoczyło, a przede wszystkim tak nagle i bez ostrzeżenia. Nie mogę o tym teraz myśleć, bo jestem za słaby, ale ona to rozumie, musimy oboje poczekać. Czekanie wydaje się moją specjalnością ostatnimi czasy.

- A jaka ona jest, ta twoja wybranka? Spodobałaby mi się? - zagadnęłam.

Jednak chciałam wiedzieć coś o tej kobiecie. Miałam nawet nadzieję, że pokaże mi jej fotografię, wyobrażałam sobie, że jest piękna.

- Izka, ta nasza rozmowa jest dziwna. Mam ci o niej opowiedzieć?

Alex oparł się o stół. Patrzyliśmy chwilę na siebie, dosłownie mierzyliśmy się wzrokiem. Pierwsza nie wytrzymałam:

- Opowiedz. To jakaś znana osoba? Alex, teraz to już musisz mi powiedzieć, to jakaś dziennikarka jest albo aktorka!

- Czy znana? Bardzo...!

Droczył się ze mną.

- No to gadaj! - Wierciłam się na krześle cała podniecona. Odczekał jeszcze chwilę, zanim powiedział:

- To Marlena. Twoja siostra.

I w tym momencie poczułam, jak wielka cegła spada mi na głowę. A właściwie nie - na głowę spadł mi cały ceglany sufit. Zakrztusiłam się łykiem wody.

Marlena

Dwudziesty drugi ślad hamowania

Stałam w oknie i obserwowałam, jak Emilia wysiada z taksówki, a zaraz po niej jakiś wysoki młody chłopak. Stali obok domu sąsiada w dobrze oświetlonym miejscu pod latarnią. Doznałam bardzo dziwnego uczucia, patrząc na ich pożegnalny pocałunek. Moja mała dziewczynka objęła ramionami chłopaka i przytuliła się do niego, a potem nastąpiła seria namiętnych, długich pocałunków. Podglądanie jest okropną rzeczą, a podglądanie własnej córki wywołało we mnie dziwne uczucia. Ganiłam się za to, nie mogłam się jednak odsunąć od okna, doczekałam końcowego muśnięcia warg, a do sypialni poszłam dopiero wtedy, kiedy trzasnęły drzwi wejściowe. Zegarek wskazywał godzinę drugą nad ranem. Nie spałam jeszcze.

Alex zadzwonił trzy godziny wcześniej, żeby mi powiedzieć, że Scott obudził się i wszystko wskazuje na to, że jego mózg nie został uszkodzony! Płakałam, kiedy to mówił. Lekarze przeprowadzili testy, ale i bez nich wiedział, że wszystko jest w porządku. Syn go poznał. Kiedy otworzył oczy i zobaczył go siedzącego przy łóżku, powiedział do niego „tato” a nie „daddy”, co Alexem wstrząsnęło, ponieważ mały nie znał polskiego. Czekąca go długa rehabilitacja po trzytygodniowym unieruchomieniu w szpitalu, ale teraz wszystkie opinie zabarwione były optymizmem. Powiedziałam mu, jak bardzo się cieszę i jak czekałam na tę wiadomość, dniem i nocą, przez ostatnie tygodnie.

Chciałam zapytać, czy przyleci do Anglii, ale nie odważyłam się. Mój nieposkromiony egoizm zaczynał z wolna podnosić łeb. Musiałam się kontrolować. Rozmawialiśmy krótko, ale dowiedziałam się sporo. Izka od dwóch dni była już w Polsce. Alex na koniec rozmowy zasugerował, że przepowiedziała mu właśnie taki rozwój wypadków i bardzo mu pomogła samą tylko swoją obecnością w szpitalu. Tak ciepło o niej mówił, bardzo chciałam być nią w tej opowieści. Fala zazdrości może nie była taka, co to przelewa się przez skały, ale biła mocno. Powinnam była do niego lecieć! To ja miałam siedzieć przy łóżku Scotta i trzymać jego tatę za rękę. Ja, a nie moja siostra!

Stałam się przez te lata mieszkania w Anglii osobą „od-tąd-dotąd”, równo w rzędzie stojącą kobietą, tak równo, żeby niteczka nie wystawała. Planowanie było koszmarem, ale realizacja planów zdawała mi się przygnębiająca jeszcze bardziej. Nie było planu, nie było działania, a plan musiał być przemyślany, dopracowany, musiał pasować do sytuacji i osób z najbliższego sąsiedztwa. Izka wsiadła w samolot, musiała przecież postarać się o wizę, pożegnała osłupiałego Radka, pomachała Konradowi, nie zdążyła nawet powiadomić mamy i poleciała, a ja w tym czasie analizowałam, czy moja znajomość z Alexem jest na tyle zażyła, aby wysłać mu e-mail! Pewnie rozczarowała go moja bierność. Bardzo słusznie! To była więcej niż bierność, to była niemoc.

Zasnęłam, kiedy już świtało i spałam do południa. Emilia wymknęła się z domu bezszelestnie, nie słyszałam o której godzinie. Znów jechała do Londynu na przesłuchania. Miałam dwa dni wolnego, więc postanowiłam w ogóle nie wychodzić z domu. Bezcelowe snucie się po nim należało do moich ulubionych rozrywek. Coś tam zjadłam, poczytałam, nałożyłam odżywcze maseczki na twarz, ogoliłam nogi i pomalowałam sobie paznokcie na czerwono. Na górze grało radio, na dole włączyłam telewizor i kursowałam pomiędzy poziomami, przeliczając spalane kalorie. Lubiłam być sama w domu. Mój dobry nastrój nie ulotnił się nawet wtedy, kiedy mama zadzwoniła do mnie z zapytaniem, czy przylatujemy na święta w tym roku.

Pozostawało mi jeszcze przeczytać list od Danki. Zosta-
wiłam sobie tę lekturę na wieczór, ale kiedy już z kieliszkiem
likieru brzoskwiniowego położyłam się do łóżka, zabrakło mi
odwagi. Od dwóch dni szykowałam się do przeczytania tego
listu i za każdym razem odkładałam to na później. Bałam się
tego, co Danka zdecydowała mi się wyznać. Zadzwoiłam do
Natalii, miałam nadzieję, że będzie mi raźniej. Odebrała po
kilku dzwonekach. Na powitanie zapytałam, czy wie coś więcej
o stanie zdrowia Scotta, ale nie powiedziała mi niczego nowego.
Nie słyszałam w jej głosie entuzjazmu, jakiego się spodziewa-
łam. Najwyraźniej coś ją dręczyło.

- Jak się mamy? Miłość kwitnie? - zaszcebiotałam do słu-
chawki. Natalia westchnęła.

- Zależy czyja...

- Twoja, a czyja?

Uśmiech zastygł mi na twarzy.

- Nie chce mi się o tym gadać.

- Hubert?

- Też na H! - prychnęła jak kotka.

Powinłam się była domyślić, że tajemniczy makler giełdowy
nie okaże się ani aniołem, ani nie będzie to Mister Right. Może
Natalia szukała kandydata na męża na siłę, poganiana przez
mamę i hordę zameźnych koleżanek z jej otoczenia, a może fajni
faceci wymarli jak dinozaury i dopiero teraz kobiety zaczęły to
zauważać. Ilu ciekawych mężczyzn spotkałam w czasie swoje-
go czterdziestoletniego życia? Jednego, może dwóch. Pierwszy
to Leszek, były mąż, a drugi to Alex. Wszyscy inni, pozał się
Boże, amanci już na pierwszym zakręcie wypadali z trasy. Jak
nie zakochani w sobie, to zakochani w swojej matce lub, co zda-
rzało się coraz częściej, w komputerze. Jak już byli ambitni, to
tylko na jednej płaszczyźnie, tj. zdobywania pieniędzy. Jeśli już
mieli ładną, artystyczną duszę, to cuchnący oddech, skłonności
do nałogów i manierę nudzenia otoczenia własnymi rozterkami.
Kiedy spotykało się prawdziwego macho, okazywał się mania-
kiem seksualnym, prowadzącym pamiętnik z imionami kobiet,
które zdobył. Nic, tylko seks i głupie sms-y. Istniała jeszcze

jedna kategoria mężczyzn: „ciamciamciam” i tych niestety było najwięcej. Natalia pochlipywała w słuchawkę.

- Myślałam, że mamy coś ważnego, ja i Hubert... Chciał jechać do Alexa na święta, ale przecież Alex ma teraz inne sprawy na głowie, a nie goszczenie nas, więc jedzie z kumplami do Zakopanego. Nie obchodzi go to, co ja będę w tym czasie robić, on już zaplanował wyjazd. Chciałam pojechać z nim, choć mama by się strasznie wkurzyła, ale on stwierdził, że to jest „typowo męski” wyjazd. Czyli co? Kurwy, konserwy i muzyka bez przerwy?

- Raczej takie są te męskie wyjazdy - odparłam nieco rozbawiona.

- Ja rozumiem, kilka lat po ślubie można sobie jeździć osobno, ale my się znamy krótko, powinniśmy spędzać czas razem, romantycznie, bo jak nie teraz, to kiedy? Boję się, że urodzę upośledzone dziecko, jeżeli zajdę w ciążę w późnym wieku. U mnie w rodzinie jest jeden „szurek”, mojego ojca brata syn.

- Natalia, widzę, że masz naprawdę podły nastrój.

- To nie nastrój jest, to jest permanentny stan ducha i umysłu. Znowu stracę rok czy dwa z Hubertem, a na koniec okaże się, że nie pasujemy do siebie i wesela nie będzie. Będę miała wtedy trzydzieści dwa lata! - krzyczała w słuchawkę.

- Naprawdę chciałaś wyjść za niego za mąż? - zapytałam z niedowierzaniem. Natalia odczekała kilka sekund.

- Nie jestem wcale kobietą wyzwoloną ani nowoczesną. Chcę mieć męża i dzieci - powiedziała.

- I będziesz mieć, ale nic na siłę.

- Mój zegar biologiczny tyka tak głośno, że nie mogę spać! Tik-tak, tik-tak, tylko to słyszę. A potem dzwoni moja mama i pyta mnie, czy mam dla niej jakąś nowinę, bo przecież spotykam się z tym bankierem już jakiś czas. Ciekawe, jak zareaguje, jakiej w końcu powiem, że Hubert jest niewierzący. Zabiję własną matkę, zobaczysz.

Słuchałam jej rozbawiona, zastanawiając się, czy sama nie znam jakiegoś normalnego, wolnego, niebrzydkiego mężczyzny, z którym mogłabym ją poznać. Taka piękna dziewczyna, więc to nie może być aż tak trudne, sama bym się w niej zakochała,

gdybym była mężczyzną. Niechby mi rodziła dzieci i umiała żyć! Może sąsiad? Po rozwodzie, bezdzietny, z poczuciem humoru, bardzo życzliwy i chętnie pomagający. Ale też trochę dziwny, nikt nigdy go nie odwiedza, spędza w domu większość dnia przy zasłoniętych zasłonach, nie wystawia śmietników, w listopadzie nadal chodzi w krótkich spodenkach, już trzeci raz w tym roku maluje płot i mówi bardzo, ale to bardzo cicho i niewyraźnie. Na dodatek powiedział mi szczerze w rozmowie przez płot, że oczekuje od przyszłej żony wniesienia w posagu przynajmniej domu, oczywiście nieobciążonego hipoteką. Ciekawe, czy przyjąłby w rozliczeniu mieszkanie w Warszawie? Może jednak dam sobie spokój ze swataniem.

Natalia przez chwilę jeszcze rozwodziła się nad stanem swojego starzejącego się organizmu, nieregularnych miesiączek, wzdęć i bezsenności. Był najwyższy czas, żeby zmienić temat. Powiedziałam jej o liście od Danki. Natalia zupełnie nie pojmowała mojej rozterki. Zaproponowała, żebym przeczytała jej ten list przez telefon albo zeskanowała i wysłała do niej jak najszybciej.

- Przecież w tym liście mogą znaleźć się wyznania bardzo osobiste. Wiesz, ile ją spotkało? Małżeństwo z alkoholikiem, przemoc, odebranie małego dziecka, a w końcu zabójstwo i więzienie. Materiału wystarczy na dwie powieści, a nie na jeden list - tłumaczyłam.

- A wszystko na własne życzenie. - Natalia straciła swoją wspaniałomyślność i łagodność, zaskoczyła mnie tym surowym osądem. - Tak, bo ja to sobie wszystko przemyślałam i doszłam do wniosku, że mogła inaczej, przecież tyle lat jej zajęło przekonanie się, że z tego Karola to już nic się nie da wyrzesać. No i po co jeszcze rodzić dziecko w takiej sytuacji? No sama powiedz, Marlena, po co jej była ta ciąża?

- Nie planowała... - przerwałam jej, ale Natalia nie dopuszczała mnie do słowa.

- Czy to jakieś średniowiecze jest? Nie planowała, nie planowała, to mogła to jakoś załatwić, w Anglii aborcje są legalne, sama mówiłaś. A przede wszystkim to się zabezpieczać trzeba!

Zdawanie się na wolę Boską jest po prostu śmieszne. Gdybym ja tak się zachowywała, to dziś byłabym już po kilku skrobankach. A może Kościoła się bała i nie stosowała antykoncepcji? Piekła się lękała czy co?

- Natalia, bez sensu ta rozmowa - powiedziała ostrzej.
- Krzys się urodził i takie rozważania, że w ogóle nie powinien się pojawić na tym świecie, są po prostu głupie, chyba sama siebie nie słyszysz. Stało się, nie ma co wracać do tego, co mogła zrobić, bądź mądra i nie rozliczaj w ten sposób naszej przyjaciółki. A poza tym...

- Poza tym to wszyscy się boją głośno powiedzieć to, o czym myślą. Nie róbmy z Danki męczennicy, pościeliła sobie i musi się teraz w tym barłogu do spania ułożyć. Tyle.

- Nie mogę uwierzyć, że takie rzeczy mówisz! Wiesz co, lepiej będzie, jak zakończymy tę idiotyczną rozmowę. Nie wiem, co cię ugryzło, ale najwyraźniej twoje osobiste frustracje wdarły się w osąd nad **Danka**. Innymi słowy, ty się wyżywasz na niej, choć zdaje się, że nie na nią jesteś teraz wściekła.

- Na nią.

- Tylko nie wiem, co by to miało dać w tej sytuacji? Zmieniłam zdanie, nie przeczytam ci tego listu.

- Jak chcesz. Wiesz, gdzie mnie szukać, gdybyś potrzebowała pogadać.

Odłożyłam słuchawkę roztrzęsiona. Nigdy nie słyszałam u Natalii takiego tonu i takiej manieri w osądzaniu innych ludzi. Hubert? Najpewniej to on ją buntuje i tak złowrogo nastawia do świata, sama by nie doszła do takich wniosków. Przecież nie rozmawiamy tu o jakiejś bohaterce serialu, tylko o naszej przyjaciółce, która zabrnęła w ciemność i samotność. Jeżeli przyjaciele tak się zachowują, to czego wymagać od obcych? Co się stało z podstawowymi wartościami, gdzie nas zaprowadzi takie bezkompromisowe wydawanie werdyktów w sprawie najbliższych? Byłam wzburzona i oburzona, ale przede wszystkim wściekła na Natalię, tym bardziej, że sama daleka była od ideału. Mało tego, jej dotychczasowe życie nie mogło dla nikogo być przykładem ani inspiracją.

Izabela

Dwudziesty trzeci ślad hamowania

Radek odebrał mnie z lotniska i pojechaliśmy prosto do teściowej, żeby odebrać Konrada. Podobno czuł się u niej znakomicie, miał bliżej do szkoły, pozwalała mu zapraszać kolegów i, co najważniejsze, wręczyła dwie stowy na otarcie łez po nagłym wyjeździe mamy. Był babcią zachwycony. Chciałam być już we własnym domu, w swoim łóżku, pić wino ze swojego wielkiego pucharu, więc przystanek u teściowej potraktowałam jako karę za wszystkie doczesne i zamierzone grzechy. Radek nie mógł uwierzyć, że „wałę takie fochy”, podczas kiedy wszyscy tak wspaniałomyślnie idą mi na rękę.

Ja wciąż byłam mentalnie w Nowym Jorku, w kolorowym tłumie ulicznym, na sofie u Bietki, na korytarzu szpitalnym, oparta o ramię Alexa. Warszawa stała mi się zupełnie obca w ciągu siedmiu dni. Wstrętne miasto głupich ludzi. Na Radka patrzyłam jak na taksówkarza, jego mama wydawała mi się tak bliska jak sprzedawczyni z zieleniaka na rogu. Konrad na szczęście pozostał nadal moim ukochanym synem, cała reszta przeniosła się na drugi brzeg brudnej rzeki. Paplanina teściowej wierciła mi dziurę w głowie, pewnie większą od tej, jaką nowojorscy lekarze musieli wywiercić w skroni małego Scotta, żeby wyssać mu krwiaka. Kiedy już obmówiła wszystkie swoje koleżanki, skrytykowała nawyki żywieniowe Konrada, wychwaliła talenty kulinarne Radka, uczepliła się mnie:

- No i co? Zadowolona jesteś z tego wyjazdu? Warto było tak się męczyć?

- A kto powiedział, że to była męka? - Wzruszyłam ramionami.

Zawsze formułowałam wypowiedzi w ten sposób, żebym nie musiała nazywać jej mamą. Nie było to łatwe, ale sztukę tę opanovałam do perfekcji, mogłabym napisać nawet o tym poradnik.

- No, nie była to wycieczka do Juraty - skwitowała, składając dłonie na podołku.

Siedziała sztywna, zapatrzona w okno. Czekaliśmy na obiad, jaki dla nas przyrządzała, a przynajmniej tak mi powiedziano, tymczasem od godziny siedziała w fotelu i głądziła, a z kuchni nie dochodziły żadne zapachy! Zapowiadało się źle. Byłam zmęczona i zbierałam się na odwagę, żeby głośno owo zmęczenie ogłosić i spróbować się wyrwać z tej matni. Radek poszedł po drobne zakupy i nie było go już dobre pół godziny, choć sklep znajdował się na dole. Konrad przywitał mnie dość wylewnie jak na jego oszczędną naturę, ale szybko zniknął w pokoju gościnnym wraz ze swoim laptopem i parą butów, jakie mu przywiozłam. Zostałam sama na placu boju.

- Oni tam mają dobrych lekarzy, wyleczą mu syna - teściowa ciągnęła temat, niezrażona brakiem mojego zainteresowania rozmową. - Nie to, co tu. W mojej przychodni sami smarkacze przyjmują, nawet nie potrafią dobrze człowieka zbadać, niewiele ich obchodzi emeryci. Tak mnie coś kłuje od dłuższego czasu w boku... A zaparcia mnie po prostu wykończą. Już wszystkie próbowałam, ale nie pomaga. Jutro mam zamówioną wizytę, może coś mi zapiszą. Ja się źle czuję, Iza, mówiłam Radziowi, może by trzeba prywatnie iść do specjalisty? Co myślisz? Ile to będzie kosztować?

- Na zaparcia dobry jest ruch - odparłam kwaśno.

Teściowa nie pokonywała dystansów dłuższych niż kilka metrów z pokoju do kuchni. Brzydziła się świeżym powietrzem, które nazywała „morowym” i tylko w czerwcu, lipcu i sierpniu mogła wychodzić z domu, nie narażając się na „złapanie jakiegoś świństwa”. Tak bardzo obawiała się chorób zakaźnych,

że chorowała co chwilę, a pogotowie wzywała co najmniej dwa razy do roku. Ileż to razy Radek musiał po nocach jechać do Warszawy, żeby asystować jej przy ataku kaszlu, zatwardzeniu, gorączce 36,9 stopni i atakach woreczka żółciowego. Znosił to dzielnie, nigdy nie narzekał. Przy całej mej niechęci do teściowej rozumiałam, że w ten sposób usiłuje ona zwrócić na siebie uwagę. Była bardzo samotna.

- Długie spacerowanie spowodowałyby ruch jelit, to najlepsze na zaparcia, naprawdę - kontynuowałam niezrażona jej zboląłą miną.

- Jak ja mogę wyjść, skoro mi się tak w głowie kręci? Upadnę na chodnik, złamię biodro i już nie wyjdę za szpitala tak jak moja sąsiadka z dołu. A poza tym, o tej porze roku ludzie są zaziębieni, kichają i smarkają na innych, sama zaraza! Tobie, młodej, łatwo takich porad udzielać!

Wizja idealnie spędzonego czasu po moim powrocie ze Stanów skończyła się na tym, że przyszło mi udzielać teściowej rad, jak zrobić kupkę. Niech jeszcze i to przeżyję....

- Ciemne pieczywo trzeba jeść, więcej błonnika - wyliczałam. - Do tego suszone śliwki, owoce. Trzeba zmienić dietę, no i ruch, ruch przede wszystkim. Dziś jest przyjemnie na dworze, można było wyjść na chwilkę i przewietrzyć głowę oraz rozprostować kości.

- A gdzie ja niby miałabym pójść? Z tym jedzeniem to jest tak, że owoce mi szkodzą, mam po nich zgagę. Ciemne pieczywo mi nie smakuje. Całe życie jadłam bułki i przyzwyczaiałam żołądek, za stara jestem na eksperymenty. Ziarna mi wchodzi pod protezę, jak próbuję jeść jakieś brązowe wynalazki. Wypróbowałam już wszystkie leki na zatwardzenie, nic nie pomaga. Podobno są łagodne lewatywy...

- Tutaj nie ma leku-cud, trzeba sobie samemu pomóc. A poza tym, w starszym wieku ma prawo coś dokuczać i wysiadać. Ja już zaczynam się źle czuć, choć nie mam jeszcze czterdziestki. - Moje przemówienie przerwał dzwonek do drzwi.

Radek wszedł do mieszkania, zziębnięty i zaczerwieniony, z głupim uśmiechem na twarzy, strasznie mnie to zdenerwowało.

Cieszyło go, że spędzamy czas u jego mamy, cieszyła go perspektywa wspólnego zjadania pulpetów z ciepłymi burakami, szarlotki z bitą śmietaną oraz drzemki przed telewizorem. Kupił dobre wino, wykosztował się na to chyba ze czterdzieści zeta, żeby mnie udobruchać. A ja jedynie chciałam stamtąd uciec. Marzenie miałam proste: położyć się w wannie, w gorącej, pachnącej lawendą wodzie, żeby dużym palcem u nogi odkręcać kurek, dolewając sobie wrzątku, i rozmyślać o tym, co się wydarzyło.

Kiedy Alex jeszcze raz dziękował mi za przyjazd do Nowego Jorku, ścisnął mnie jak ukochaną siostrę jadącą na drugi koniec świata, której mógł już nigdy nie zobaczyć. Zapytałam go wtedy o plany na najbliższą przyszłość, zakładając, oczywiście, że Scott się obudzi i wyzdrowieje. Powiedział, że bez względu na wszystko nie zamierza lecieć do Polski w tym roku, zmienił zamiary i, co za tym idzie, plany. Zrozumiałam, że być może poleci do Londynu spotkać się z Marleną.

Byłam zszokowana tym, co usłyszałam, ponieważ oni według mnie zupełnie do siebie nie pasowali! Marlena była poprawna, a przy tym zasadnicza i wyregulowana jak zegarek. Nie było w jej życiu miejsca na spontan lub szaleństwo, więc taki mężczyzna, niepokorny i zbuntowany jak Alex, z trudem pomieściłby się w jej ramki. W teorii, bo w praktyce przypadli sobie do gustu. Bardzo! Nie mogłam sobie ich wyobrazić razem w żadnej sytuacji, a już na pewno nie w łóżku. Powiedziałam mu o tym, ale skwitował to tylko śmiechem, a potem zapewnił mnie, że on sam wyobraża sobie różne inne rzeczy, całkiem nieprzyzwoite. Musiałam poprosić, żeby zakończył temat, bo czułam się niezręcznie. Powinnam była napisać choć sms-a do Marleny. Przecież z pewnością dowiedziała się, że poleciałam do Nowego Jorku, ale nie poinformowano jej w jakim charakterze. Dręczą ją niepewności i wcale mi jej nie jest żal, ale z drugiej strony to jednak dość nieeleganckie z mojej strony. Problem jednak tkwił w tym, że po tak długim milczeniu trudno jest ot tak napisać wiadomość tekstową do siostry typu: „Nie spałam z Alexem, on Ciebie wybrał, nie mnie”. Coś jednak musiałam napisać,

nie chciałam wyręczać się Natalią. Jeszcze z Nowego Jorku napisałam do Natalii e-maila o tej komedii pomyłek, jednak nie raczyła odpisać, co jednak, muszę przyznać, nie było w jej stylu. Po wylądowaniu na Okęciu zadzwoniłam do niej, gdy tylko kapitan wyłączył silniki, ale nie odebrała połączenia. Czyżby Hubert aż tak ją zajmował, że już dla mnie nie ma czasu?

Usiedliśmy do obiadu późnym wieczorem. Radek trajkotał o swojej budowie, a mama wsłuchiwała się w jego słowa niczym wierni w prorocтва. Jego opowieść toczyła się wokół pieniędzy, nieuczciwości ludzi oraz drożyzny. Na zmianę z matką wypowiadali takie banały, że nawet Konrad szukał mojego wzroku, aby się upewnić, czy jestem znudzona w takim samym stopniu jak on. Poprzedniego dnia siedziałam na Manhattanie w stylowych wnętrzach przy stoliku obok okna i jadłam królewskie krewetki, popijając francuskim chablis. Alex siedział naprzeciwko mnie, zajmując mnie rozmową.

Minęły zaledwie dwadzieścia cztery godziny, a nowy dzień zastał mnie wypychającą sobie do gardła wieprzowe pulpety w sosie pomidorowym. Kompot z truskawek stał przede mną w kolorowej szklance. Zdążyłam również pobrudzić obrus sałatką buraczaną. Jeszcze czułam się „amerykańsko”, więc nastrój w dusznym, nigdy niewietrzonym mieszkaniu teściowej zakładał mi na szyję niewidzialną pędę. Nie mogłam oczekiwać znikąd ratunku. Kiedy w końcu doczołgaliśmy się do deseru, wyskoczyłam ze swojej posłusznej skóry i ryknęłam na Radka, że chcę do domu, żeby się wyspać. Mój organizm oszalał, przenosząc się z jednej strefy czasowej w drugą, musiałam mu dać odetchnąć. Nastąpiło błyskawiczne pożegnanie, Konrad zakładał kurtkę już na klatce schodowej, a Radek zbiegał po dwa stopnie, komentując moje zachowanie:

- Pogieło cię, Iza, naprawdę! Jak to wygląda? Jeszcze ostatni kęs nie doleciał do żołądka, a ty już zrywasz się do wyjścia. Mamie było przykro, potraktowaliśmy ją jak bufetową!

Człapałam za nim bez słowa. Konrad przyszedł mi z pomocą.

- Tato, mama zmęczona jest. I tak długo wytrzymała!

- Twoja matka mnie wkurza, niczego nigdy nie docenia. Niczego! Tylko jej mamusia się liczy, a moja mogłaby nie istnieć! Kurde, do czego ja dopuściłem?

Usiadłam na tylnym siedzeniu, Konrad wskoczył do przodu, widząc moją irytację. Radek nie miał zamiaru szybko się poddać.

- Czasami zachowujesz się jak dzikus! Mama jest samotna, mogłaś jeszcze posiedzieć z godzinę, nic by ci się nie stało. Jutro się wypisz! Wielkie mi rzeczy! Ale okej, ja też tak potraktuję twoją matkę, od teraz taki będę dla niej, jak ty dla mojej! Przekonasz się.

Jego ruchy kierownicą stawały się coraz bardziej zamaszyste, zupełnie tak, jak jego słowa.

- Jutro idę do pracy na ósmą, więc muszę wstać o szóstej rano - powiedziałam spokojnie.

- Z tym twoim koleśkiem amerykańskim pewnie niejedną noc zarwałeś! - burknął, hamując ostro przed samochodem, jaki zatrzymał się na światłach. Konrad krzyknął „tato!”, ale było już za późno. Uderzyliśmy w tylny zderzak hondy. Opadłam bez sił na tylne siedzenie. Radek wyskoczył z samochodu i wdał się w ognistą pyskówkę z kierowcą uderzonego auta. Zapragnęłam wówczas zjawienia się anioła stróża, który poderwałby mnie z ziemi, przytulił między skrzydłami i uniośł ze sobą gdzieś daleko, jak najdalej stąd. Krople deszczu osiadały na szybach, rozmazywały się obrazy, ludzkie postaci, światła. Radek wymachiwał rękami, doskakując do niskiego, przestraszonego mężczyzny, którego samochód właśnie uszkodził. Konrad wiercił się niespokojnie na siedzeniu w obawie, że dojdzie do rękoczynów. Prosił, żebym Radka uspokoiła, ale nie miałam siły wyjść z samochodu.

- Jezu, mamo, on mu zaraz wpietrzy! - Odwracał głowę do tyłu i czekał na moją reakcję.

- Trudno.

- Ale to przecież my wjechaliśmy w niego.

- Nie my, synu, nie my, tylko twój tata - powiedziałam.

Nie obserwowałam już rozwoju wydarzeń. Położyłam się na siedzeniu i naciągnęłam czapkę na oczy. Czekałam na anioła, byłam gotowa na teletransportację. Dotarliśmy do domu w Markach przed północą. Moje marzenia o kąpieli i kieliszku wina

zamieniłam na marzenie, aby nie spać w małżeńskim łóżu. W gościnnej sypialni czekała na mnie świeża pościel, pastelowe ściany, nie świecił się elektroniczny zegar przypominający, że do włączenia alarmu pozostało jeszcze tylko sześć godzin snu. W sypialni małżeńskiej pieklił się Radek, trząsał drzwiami, rozrzucał ubrania po podłodze, grzebał w koszyczku z kosmetykami w poszukiwaniu plastra i cały czas pomstował na tamtego kierowcę. Nazywał go „kutasem” i „debilem”. Jeżeli wierzyć najnowszym badaniom, polscy kierowcy dlatego prezentują tak agresywną postawę na drogach, że w naszym narodzie płyną drobinki krwi mongolskiej, a co za tym idzie, dominuje postawa panującego nad resztą, wywyższającego się ponad wszystkich, najmądrzejszego i najbardziej uzdolnionego kierowcy. Uchyliłam drzwi do gościnnej sypialni i zaciągnęłam się cudownym niemałżeńskim zapachem.

- A co ty kombinujesz? - Radek zniecierpliwiony pojawił się za moimi plecami.

- Chciałabym się wyspać i zastanawiam się, czy by nie spać tutaj. Ty jesteś tak podminowany, że pewnie będziesz wierzcąc nogami całą noc, a ja naprawdę muszę wcześniej wstać - tłumaczyłam spokojnie.

- No nieeee. Chyba żartujesz?! Najpierw wycieczka do Ameryki, a teraz osobne sypialnie! Kiedy mogę się spodziewać papierów rozwodowych? W poniedziałek?! - krzyknęła.

Weszłam do sypialni i położyłam się na łóżku. Radek stał w drzwiach, zupełnie niezdecydowany, co ma zrobić. Nie było jeszcze między nami takiej sytuacji, była to absolutna nowość. Kusiło mnie, żeby sprawdzić, jak daleko mogę się jeszcze posunąć. Dobrze czułam się w tej nowej roli, nie obawiałam się reakcji Radka, a raczej własnego zachowania, tej bezczelności i pewności siebie, jaką właśnie prezentowałam. Skoro moja siostra przerobiła już dwóch mężów, dlaczego ja nie mogę zaszaleć? Podobno porzuciła Alana, bo przestała go kochać oraz dlatego, że ją zbyt mocno ograniczał, a co ja mam powiedzieć w takim razie? Byłam wręcz zniewolona!

- Radek, będziemy musieli porozmawiać, ale nie dzisiaj. Daj mi się wyspać, odpocząć, zebrać myśli. Jest już późno...

Zaczęłam, ale nie podniosłam się z pośłania. Radek chodził sprężystym krokiem wokół łóżka ze wzrokiem utkwionym we mnie. Krążył jak zwierzę szykujące się do ataku. Nienawidziłam go w tej chwili, chciałam, żeby za jednym moim dmuchnięciem zniknął, żeby się choć na chwilę zapadł pod ziemię.

- Kurwa mać! - ryknął i wybiegł do holu, ale wrócił po kilku sekundach. Złapał mnie za kostkę i zaczął ściągać z pośłania. Szarpnęłam się i kopnęłam ostrzegawczo w powietrze. Radek uchylił się, po czym złapał mnie już za obie kostki i jednym zdecydowanym ruchem powlókł na podłogę. Nie było to miękkie lądowanie, uderzyłam kością ogonową o brzeg łóżka, a potem o parkiet. Najwidoczniej Radek również wybrał dzisiaj dzień na przekraczanie wszelkich granic. Nigdy dotąd nie użył w stosunku do mnie przemocy, byłam trochę zszokowana, ale nie czułam strachu. Wstałam z podłogi i stanęłam naprzeciwko Radka. Nie miał już szaleństwa w oczach, zaczynało mu być wstyd.

- Masz zamiar siłą rozwiązywać nasze problemy? - syknęłam, patrząc mu w oczy.

- Jakie problemy? O czym ty gadasz, do cholery? Co tu się dzieje?!

- Nie drzyj się, nie chcę, żeby Konrad tu przyszedł. Wyjdź stąd. Po prostu idź spać.

Wyminęłam go i zaczęłam zasuwać zasłony. Nie zwracałam na niego uwagi, rozbierając się i układając ciuchy na fotelu. Wyszłam do łazienki, a kiedy wróciłam do sypialni, Radek siedział w fotelu i trzymał na kolanach moje ubrania. Obserwował moje ruchy, wodził za mną wzrokiem, ale milczał. Położyłam się i zgasiłam lampkę. Ciemność zaczęła mi sprzyjać, po chwili usłyszałam, jak wstaje z fotela i wychodzi. Nie otwierałam oczu, czekałam, aż przestanie mi walić serce. Oddychałam miarowo, leżałam skulona jak embrion i trzęsłam się z zimna, choć w sypialni było dość ciepło. W kieszeni piżamy miałam telefon komórkowy. Odczekałam jeszcze chwilę i wysłałam wiadomość do Alexa: „dotarłam szczęśliwie”.

Odpowiedź przyszła dopiero następnego dnia: „Scott się obudził”.

Izabela

Dwudziesty czwarty ślad hamowania

Odwiedzić groby na Wszystkich Świętych pojechałam pierwszy raz od lat bez Radka. Konrad szarmancko oświadczył, że go zastąpi godnie we wszystkim, tylko nie za kierownicą. Spakowaliśmy się i o siódmej rano wyruszyliśmy w drogę. Warszawa zniknęła za naszymi plecami, samochód był już przyjemnie nagrzwany, jechaliśmy wolno, rozmawiając o jego szkole i planach wakacyjnych. Kiedy wjeżdżaliśmy do mojego rodzinnego miasta, zadał mi pytanie, którego najmniej się spodziewałam:

- Mamo, będzie rozwód?

Nie byłam aż tak naiwna, żeby liczyć na to, iż trzynastolatek nie spostrzeże zmian, jakie w ciągu ostatniego tygodnia nastąpiły w domu. Na początku zbyłam go, tłumacząc, że śpimy osobno, bo mnie boli kręgosłup. Z tym samym pytaniem poszedł do Radka, a ten powiedział mu wprost: „mamie odbiło”. Minęły jeszcze dwie noce spędzone w separacji, a potem Radek przyszedł do mojej sypialni około północy i wślizgnął się do łóżka. Leżałam sztywna w zupełnym bezruchu, oddychając płytko. Kiedy poczułam jego dotyk, zrezygnowałam z udawania, że śpię. Odsunęłam się z obrzydzeniem. Radek nie zrezygnował, dalej się do mnie przytulał. Musiałam zapalić światło i poprosić go, żeby przestał i wyszedł. Nie powiedział ani słowa, odrzucił kołdrę i wybiegł z sypialni. Trzasnął drzwiami tak mocno, że obrazek, jaki wisiał na tej samej ścianie, na której znajdowały

się drzwi, spadł z hukiem na podłogę. Do sypialni przybiegł Konrad, zaspany i przestraszony. Stanął w drzwiach, patrzył na mnie pytającym wzrokiem, a potem schylił się i podniósł obraz. Uspokoiłam go i odesłałam do łóżka, nie tłumacząc wiele. Teraz wykorzystał okazję, żeby mnie przepytać. Miał prawo wiedzieć.

- Rozvodu nie będzie, taki mały kryzys nas dopadł - odparłam, klepiąc go w kolano. - Nic się nie martw, na pewno większość rodziców twoich kolegów z klasy ma jakieś problemy, no nie?

- My nie gadamy na takie tematy, ale niektóre chłopaki jeżdżą do ojców w weekend. Ja bym tak nie chciał - mruknął, zapatrzone w okno.

- Nie martw się na zapas - powiedziałam i głębiej usadowiłam się na siedzeniu. Bolały mnie plecy i kark. Męczyła mnie jazda samochodem, cierpły kolana i sztywniały mięśnie pleców, nie umiałam znaleźć wygodnej pozycji. Poirytowana, przeklinałam pod nosem.

- Nie będę mieszkała z tatą, wolę z tobą. Możemy się wyprrowadzić do miasta, te Marki to taka dziura. Ja się lepiej czuję w Warszawie.

Pomruczałam coś, co mogło oznaczać, że rozumiem jego tok myślenia, a potem znów zamilkliśmy na kilka sekund. Trochę mnie zdziwiło, że wszystko już sobie przemyślał w takich praktycznych szczegółach. Kiedy znów zaczął planować nasze życie we dwoje w Warszawie, ofuknęłam go oburzona. Martwiło mnie, że tak mało czuje się związany z Radkiem i tak błyskawicznie podjął decyzję, z kim chce mieszkać. Prawdopodobnie najbardziej zależało mu na zamieszkaniu w Warszawie i wykombinował sobie, że to ja będę musiała opuścić dom w Markach. Dom marzeń był Radka, a ja tam tylko mieszkałam, on też o tym wiedział.

- Tylko nie wyskocz przy babci z jakąś rewelacją o rozwodzie! - napomniałam go na koniec, kiedy wjeżdżaliśmy na podjazd przed domem mamy. Witająca nas szarość i mglistość ostatniego dnia października. Wszystko wydawało się mokre i chore - drzewa, płot, rzędy krzewów. Konrad był zły.

- Nie jestem debilem - wyparował i zaczął odpinać pasy bezpieczeństwa.

Tak samo robił Radek-jeszcze samochód dobrze nie wyhamował, a on już się uwalniał z pasów.

Mama czekała na nas na ganku. Zza jej pleców wyłoniła się Emilka i rzuciła mi się na szyję. Zupełnie zapomniałam, że miała przyjechać. Ucieszyłam się na jej widok. Ścisnęłyśmy się i całowałyśmy, wzruszyłam się bardziej, niż gotowa byłam przyznać. Ubrana w zimową puchową kurtkę, owinięta białym szalem wydała mi się bardzo drobna i dziecinna. Różowe policzki i niebieskie oczy podkreślały jej stuprocentową słowiańską urodę. Niczego nie odziedziczyła po swoim ojcu, może jedynie kolor włosów i ich marność. Marlena miała piękne, gęste włosy, Emilka dość wątłe i raczej jasne.

Ledwie usiadłyśmy do obiadu, mama zaczęła nas poganiać, bo śpieszyła się na objazd cmentarzy. Konrad patrzył na Emilkę spode łba, nie odzywając się wiele. Uświadomiłam sobie, że oni w ogóle się nie znają. Córkę mojej siostry widziałam zeszłego lata, ale Konrad nie przyjechał tu na wakacje, wybrał obóz tenisowy, czego nie miałam mu za złe. Wcześniej Emilka odwiedziła babcię na Wielkanoc, ale wówczas my przyjechaliśmy tylko na jeden dzień, więc znów zmarnowaliśmy okazję do ożywienia rodzinnych relacji. Kiedy przyjeżdżała z Marleną, Konrad był małym dzieckiem i nie pamięta zabaw w piłkarskie mistrzostwa świata w ogrodzie. Pamiętał jednak, że zawsze musiał być Zidanem, a chciał być „jakimś angielskim piłkarzem”.

Wspominaliśmy o tym w drodze na cmentarz dla rozładowania atmosfery. Mama zaczęła pochlipywać zaraz po obiedzie, wspominając tatę. Już trzy lata minęły od jego śmierci, a jej się wciąż wydawało, że ojciec zaraz tu wejdzie, usiądzie przy stole, założy okulary i zacznie rozwiązywać krzyżówkę. W szafach wisiały jego ubrania, w garażu stał zardzewiały już samochód, którego mama nie pozwoliła wyrejestrować, w gabinecie pachniało jego cygarami. Mauzoleum urządziło się samo po jego odejściu. Czasami mi się wydawało, że mama spodziewa się,

że on do niej wróci z zaświatów i dlatego chce, żeby zastał wszystko tak, jak zostawił.

Z drugiej strony, urządziła koszmarne przedstawienia na cmentarzu. Raz w tygodniu jechała tam, targając ze sobą kwiaty i znicze. Do szału doprowadzały mnie jej stwierdzenia, że „tatuś tam sam leży...”. Kłóciłyśmy się o to regularnie. Nie mogłam nie przyjechać na Wszystkich Świętych, nigdy by mi tego nie wybaczyła. Myślę, że Marlenę też terroryzowała, więc ta wysłała Emilkę jako przedstawiciela rodziny. Mnie cmentarze przygnębiały i straszyły, nie czułam żadnej potrzeby odwiedzania grobu taty. Byłam świadkiem jego śmierci, wiedziałam zatem, że tam, na tej górze, w czwartym grobie od lewej z pewnością nie leżał sam. Tam go po prostu nie było. Mama uwielbiała cmentarze na długo przed tym, zanim umarł jej mąż. Z koleżankami wdowami urządziły sobie regularne wypadki na cmentarz, właściwie nie wiadomo, w jakim celu. Nazywałam je „hienami cmentarnymi”, oczywiście za ich plecami.

Kiedy dotarliśmy na cmentarz, okazało się, że wszystkie piękne chryzantemy, jakie mama przywozła tu dzień wcześniej, zniknęły. Dwie wielkie ozdobne donice zostały skradzione przez jakiegoś padalca bez sumienia. Emilka była wstrząśnięta, nie mogła pojąć po pierwsze przepychu, jaki panował na płytach grobowców, po drugie, jaki to człowiek może ukraść kwiatki z cudzego grobu? Jak to jaki? Polak-katolik, tylko tacy mieszkają w Polsce! Mnie to nie dziwiło, Konrad był rozbawiony, a mama płakała i pomstowała. Przed bramą cmentarza stały stragany z kwiatami, poszłyśmy z Emilką kupić nowe. Opowiedziały mi po drodze, że ostatniej nocy śnił jej się dziadziu Franciszek. Najpierw zobaczyła wielki, żółty ołówek, który pisał coś w powietrzu, a ponieważ nie widziała, co pisze, podstawiła pod ten ołówek kartkę papieru. Żółty ołówek napisał: „Czuwam nad Tobą i pomagam Ci”. Kiedy to odczytała, za szklanymi drzwiami zobaczyła dziadka Franka. Podbiegła do tych drzwi, ale nie mogła ich otworzyć i wtedy on zupełnie jak na filmie przyłożył otwartą dłoń do szkła po swojej stronie, a ona w tym samym miejscu przyłożyła swoją z drugiej. A potem się obudziła.

Przeszedł mnie dreszcz, kiedy mi to opowiedziała, choć scena skojarzyła mi się z jakąś częścią Harrygo Pottera. Stałyśmy przy grobie ponad godzinę, rozmawiając i wspominając. Emilka nie mogła się nadziwić, że na cmentarzu tyle gotowych nagrobków czeka na swoich lokatorów.

- Patrz, ciociu, tu jest data urodzenia jakiejś pani Adeli Ryzek i kreska, wolne miejsce... Co to znaczy, nie wiadomo, kiedy umarła? - zapytała.

- Nie, to znaczy, że ona jeszcze żyje, ale już sobie przygotowała nagrobek - powiedziałam. Emilia nie uwierzyła, babcia musiała uwiarygodnić moje słowa skinieniem głowy. Wychowana za granicą, nie miała pojęcia o tych wszystkich śmiesznościach, jakie praktykują gorliwi obywatele społeczeństwa polskiego. W Anglii ludzie po kremacji zabierają prochy zmarłych do domów, a potem rozsypują je na wietrze według ostatniej woli, a u nas rozkwita przemysł cmentarno-nagrobkowy. Taka gmina.

- Ale tu jest dużo takich pustych nagrobków, to inni ludzie, nie tylko ta Adela, szykują sobie groby za życia? Naprawdę? Nie, żartujecie sobie ze mnie.

- Naprawdę i jak widzisz, przychodzą i palą znicze na tych pustych nagrobkach.

Mama wskazała palcem grób obok. Pusta płyta, bez jednej literki, a całość udekorowana rzędem zniczy i kompozycji ze sztucznych kwiatów.

- Dziwni są Polacy. - Emilka naciągnęła czapkę na oczy i założyła na głowę kaptur kurtki. Było bardzo zimno i zaczynał padać deszcz. - Ale z drugiej strony, może to i lepiej mieć taki fajny grób? Tylko czy mnie to będzie obchodzić, jak umrę?

- To może być potrzebne twoim bliskim, kochanie. - Mama przytuliła ją do siebie. - Nie wyobrażam sobie, żebym nie miała grobu twojego dziadziusia, miejsca, które mogę odwiedzać, kiedy chcę sobie popłakać.

Konrad przesunął świecę po marmurowej płycie, zapalał je, kiedy wiatr je gasił, znalazł sobie w końcu męskie zajęcie. Nie włączał się do rozmowy, jemu takie ostateczne sprawy były

na razie zupełnie obojętne. Mamie powiedzieliśmy, że Radek nabawił się zapalenia ucha i dlatego nie przyjechał z nami. Spojrzała na mnie uważnie, ale nie skomentowała tej nowiny żadną uszczypliwością. Radek i moja mama musieliby się twardo wziąć do pracy, żeby polepszyć wzajemne stosunki, pytanie jednak pozostawało to samo: czy im na tym zależy? Może i ja powinnam odegrać w tym procesie jakąś rolę, ale nie znajdowałam entuzjazmu, żeby się do tego zabrać.

Konrad, zadowolony, że udało mu się zapalić wszystkie dziecięć zniczy, przysunął się do babci i wziął ją pod mankiet.

- A ty, babciu, gdzie chcesz leżeć? - wypalił nagle.

- Jak to gdzie? Tu, z Franciszką. Tylko mnie skremujcie, Izuniu, bardzo proszę.

Mama odmawiała różaniec, ale słuchała naszej rozmowy. Wokół panował ruch jak na bazarze w piątek. Ludzie przepychali się nawzajem, krocząc wąskimi ścieżkami. Nieśli wielkie siaty, z których wystawały kwiaty we wszystkich kolorach, prowadzili dzieci przed sobą, podtrzymywali staruszków pod ramię, szeptali, rozglądali się na boki, obmawiali. Czułam nadszycie przygnębienie. Myślałam przez chwilę o ojcu i patrząc na krzątającą się mamę, próbowałam sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby przebywał wśród nas. Nie przyszedłby na cmentarz, nie lubił takich miejsc i unikał ich bez względu na to, jakie prowokował komentarze. Czy bał się śmierci, czy tylko wspomnień o osobach, które odeszły?

Wróciliśmy do domu późnym wieczorem, mama była niepokojna i roztrzęsiona, obawiała się, że nowe donice z kwiatami znów zostaną skradzione i grób będzie stał pusty i nieudekorowany w Zaduszki. Zaproponowałam, że pojedę z samego rana na cmentarz i sprawdzę. Emilka zadeklarowała, że będzie mi towarzyszyć, ale kiedy zaplanowałam wyjazd z domu na ósmą rano, zrezygnowała. Wyjechałam po siódmej, nie mogłam spać, udzieliła mi się panika mamy. Wypiłam tylko kawę i pojechałam na cmentarz.

Kiedy dotarłam na miejsce, poczułam kojący spokój. Było cicho i nie kręcił się żaden „żałobnik”, poza jedną kobietą, która

przechodziła właśnie główną aleją. Zapaliłam papierosa, siadając na wilgotnej ławce przed bramą cmentarza. Nie miałam poczucia, że „tata tam sam leży”, jak zwykła wyrażać się mama. Miałam tę absolutną pewność, że tata odszedł sobie w inny świat, inny wymiar, zrzucając powłokę ziemską. Zupełnie tak, jakby ściągnął płaszcz i rzucił go na ziemię, a sam wyszedł z pomieszczenia. Zgrabiały mi z zimna dłońmi wyciągnęłam telefon komórkowy, żeby sprawdzić wiadomości. Zdziwiło mnie, że ktoś pisze tak rano. To Natalia: „musimy się spotkać, jak wrócisz, mam newsa w sprawie Danki. Marlena dostała od niej list”. Nie załatwiłyśmy sprawy Justyny, przeczuwałam, że kiedyś temat wróci.

Ruszyłam główną alejką wolnym krokiem. Cmentarz po wczorajszych uroczystościach wyglądał jak krajobraz po przyjęciu weselnym. Kolorowo i bogato dookoła, ale kiedy się dobrze przyjrzeć, to wszędzie napotykało się ślady jakiejś zakończony w pośpiechu uczty. Wiele doniczek przewracał wiatr, nie paliły się znicze, błoto oblepiło wypolerowane na tę okazję marmurowe płyty. Mgliste światło poranka podkreśliło brzydotę niektórych miejsc, a niektórym dodało tajemniczego uroku. Skręciłam w lewo, w boczną aleję i zamarłam. Kobieta, którą widziałam wcześniej, pochylała się nad grobem taty, usiłując zapalić znicz. Stanęłam za jej plecami. Odwróciła głowę i nasze spojrzenia spotkały się we mgle.

- Dzień dobry - powiedziała i odstawiła znicz.

Wstała z klęczek i wyprostowana stanęła obok mnie.

- Dzień dobry - odpowiedziałam ze ściśniętym gardłem.

- Kim pani jest?

- Już sobie idę. - Wykonała ruch, jakby chciała jeszcze raz pochylić się, ale nie zrobiła tego. Mijały minuty w absolutnej ciszy. Niezdecydowana, co zrobić, przestępowałam z nogi na nogę, patrząc na nią ukradkiem.

- Ja już panią gdzieś widziałam. Gdzie? Przepraszam, że tak obcesowo... Znała pani mojego tatę?

Patrzyłyśmy na siebie. Usiłowałam sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach ją poznałam. Wydawała mi się znajoma,

ale to musiała być pani z zamierzchłej przeszłości, nie wiedziałam jej wiele lat albo tak mi się wydawało.

- Ty jesteś Iza, córeczka Franka. - Było to stwierdzenie, nie pytanie.

Skinęłam głową.

- Jestem znajomą twojego taty. Cieszę się, że mogłam cię spotkać.

Odwróciła się i postawiła krok, oddalając się ode mnie. Nie wiem, co mną powodowało, ale nie miałam zamiaru pozwolić jej odejść bez porozmawiania ze mną. Znałam wszystkich znajomych ojca, kobiety i mężczyzn, ale tej pani nie. Poszłam za nią.

- Pani płacze? - Delikatnie ujęłam rękaw jej płaszcza.

- Iza, bardzo cię przepraszam, pójdę już - powiedziała i ruszyła, tym razem bardziej zdecydowanym krokiem w kierunku alejki. Jej głos też wydawał mi się znajomy.

- Proszę zaczekać, dam pani chusteczkę higieniczną - rzekłam, a ona przystanąła na chwilę i odwróciła się w moim kierunku. Ta twarz, czy była ona z jakiejś fotografii? Może zdarzenia? Może z czyjejś fantazji? Sięgnęłam do torebki i nagle doznałam olśnienia.

- Czy pani... Czy pani kochała mojego tatę? - zapytałam.

Wyciągnięta dłoń z chusteczką zawisła pomiędzy nami. Była to absurdalna myśl, ale jedyna, jaka przychodziła mi do głowy. Wszystko w tej kobiecie mówiło o jej uczuciu do Franciszka Webera. Jej delikatność mnie o tym przekonała, jej upięte wysoko brązowe włosy, zielony wełniany płaszcz, bardzo jasna cera, szal, jakim owinęła szyję, skromność, powściągliwość, ale taka płomienna, rzucająca się w oczy. Było w niej coś niezwykłego, spokój oceanu w dobrą pogodę, a jednocześnie niepokój wzburzonej fali, jaka może uderzyć o skały. Czy on wiedział, że ona go kocha? Nie odpowiedziała na moje pytanie, spojrzała w górę, a potem poszła przed siebie. Dogoniłam ją i niemalże siłą zaciągnęłam do samochodu i zawiozłam do centrum. Po drodze obie skrywałyśmy emocje pod ciężkim milczeniem. Miałam tyle pytań, ale nie chciałam zacząć, bałam się tego, co może zostać powiedziane. Wówczas nie będzie można niczego cofnąć

i odkręcić, a tylko się z tym zmierzyć. Ileż to dobrodziejstw płynię z niewiedzy, a ile tragedii powoduje niepotrzebna wiedza!

Musiałam szybko decydować: chcę tego czy nie? Jeszcze mogłam zawrócić, wysadzić ją gdzieś w centrum i odjechać w swoim kierunku. Spojrzałam na zegarek, była dopiero ósma rano. Kiedy wjechałyśmy do miasta, zaproponowałam poranną kawę w barze. Kobieta zastanawiała się przez dłuższą chwilę, uznałam, że za bardzo pośpieszyłam się z tym zaproszeniem. Nie miałam zamiaru jej zmuszać do rozmowy ze mną, tym bardziej, że czytałam w jej gestach, że miała przed tym jeszcze większe opory niż ja.

Nagle, kiedy już zatrzymałam samochód, sięgnęła do klamki, żeby otworzyć drzwi i zamarła.

- Może podwiesz mnie do domu? Na Krakowską. Mieszkam w kamienicy naprzeciwko banku. A jeszcze lepiej, może wejdiesz na kawę?

Zaparkowałam samochód w podwórzu, po czym poszłam za nią na górę po krętych schodach. Kamienica, w której mieszkała, była zabytkiem architektury. Na wielu czarno-białych fotografiach naszego miasta widniała właśnie ta kamienica i dwie inne z jej sąsiedztwa. Zdobione balkony, piękne fasady, odnowione przed rokiem, prezentowały się naprawdę pięknie. Kraków by się nie powstydział! Klatka schodowa była już niestety w gorszym stanie. Cuchnęła moczem, na parterze na odrapanych ścianach królowało mało wymyślne graffiti. Udawałam, że tego nie widzę.

- Remont będzie na wiosnę, a jak odnowią klatkę, to my, lokatorzy, założymy domofon. Teraz każdy może wejść za potrzebą, nie ma publicznych toalet w centrum miasta. Nawet tych ludzi nie winię - powiedziała, otwierając kluczem drzwi.

Zanim przestąpiłam próg jej mieszkania, zdałam sobie sprawę, że zaledwie dwie godziny wcześniej wyjeżdżałam z domu mamy, jadąc na cmentarz. Wylądowałam w niezwykłym miejscu, gdzie mieszkała równie niezwykła kobieta, która kochała mego ojca. Fala ciepła rozeszła się po całym moim ciele, kiedy poczułam zapach tego mieszkania. W wąskim przedpokoju na rzeźbionym dębowym wieszaku wisiała kurtka mego taty.

Zielona, podszyta podpinką w kratę udającą tę słynną z Burberry. Na półeczce leżał jego kapelusz. Dotknęłam jego kurtki i odruchowo przytuliłam się do niej, zaczęłam ją wachać, potem dotykałam jej, obszukałam kieszenie. Zdjęłam z półki kapelusz, sprawdziłam metkę - Marks&Spencer. Prezent od Marleny. Pamiętałam dzień, w którym mu go przywiozła i przekonała, że powinien go zakładać zamiast czapek z daszkiem. Sugerowała, że jest już w wieku, kiedy najwyższy czas zaprzyjaźnić się z takim dystyngowanym nakryciem głowy. Ja głośno protestowałam, uważałam, że go bardzo postarza.

- Wejdz dalej, ja przygotowuję herbatę - usłyszałam za plecami.

Oderwałam się od tej kurtki i przeszłam do salonu. Dalej było gorzej. Salonik miał wydzieloną część jadalną, a z niej prowadziły drzwi do sypialni. Były uchylone, więc zajrzałam do środka. Całą przestrzeń wypełniało wielkie staromodne łóże, pościelone starannie niczym w wojsku, nakryte bordową kapą z tłoczonymi liliami. Po prawej stronie stał nakastlik, a na nim oparte o ścianę wielkie lustro w dębowych ramach, w które poptykane były pocztówki i kilka karteczek zapisanych drobnym, równym pismem. Nie musiałam podchodzić bliżej, żeby się przekonać, czy to charakter pisma. Nad łóżkiem wisiał wielki obraz przedstawiający leśną drogę. Wycofałam się szybko, miałam dość tego podglądania.

W salonie wszędzie rozstawione były fotografie w gustownych ramkach. Moja znajoma uśmiechała się z nich jako uczennica, młoda dziewczyna w białej sukience, pani z dziećmi na kolanach, pani w słonecznych okularach na tle spokojnego morza. Na jednej z fotografii mój tato stał na szczycie Kilimandżaro. Zdążył zrealizować swoje marzenie na pięć lat przed diagnozą. Jakiż on był piękny i szczęśliwy w ten dzień! Pozował jak zawsze, czyli dumnie i szlachetnie. Dlaczego nic po nim nie odziedzyczyłam? Nawet nie umiałam tak prosto stać. Na wszystkich zdjęciach pochylałam się, przekrzywiam na bok, odwracam, jakbym się wstydziła obiektywu. Nad telewizorem wisiał dyplom „Dla Franciszka Webera - wyróżnienie Towarzystwa Alpinistycznego”. Nawet nie wiedziałam, że należał do takiego

klubu. Jego okulary leżały na małym stoliku przy kanapie obok otwartej na stronie krzyżówek gazety. Sięgnęłam po tę gazetę i spojrzałam na datę - wczorajsza. Sweter taty, ciemnograny, zrobiła go mama na drutach, wisiał na poręczu jednego z krzeseł. Nie pachniał tak jak kurtka.

- Teraz to już musi mi pani wszystko opowiedzieć. - Było w moim głosie coś kategorycznego, ponieważ kobieta odstawiła cukierniczkę i natychmiast usiadła naprzeciwko mnie.

- Muszę i chcę, skoro już się spotkałyśmy. Na imię mam Stefania.

Tato przez lata miał kochankę, z którą prowadził „po godzinach” dość zwyczajne, ale szczęśliwe życie. Stefania Fink była jego kochanką, przyjaciółką, powierniczką, drugą połówką dojrzałej pomarańczy. Czego mama mu nie potrafiła lub nie chciała dać, dała mu Stefania. Czego nie znalazł przy nas, znalazł w jej małym mieszkanku w starej kamienicy z fortepianem, długimi regałami, na których leżakowały książki, piecem kafłowym i dywanami zdobiącymi ściany. Tam uciekał przed żoną, może również przed nami, wykorzystując cały swój spryt, żeby nie zostać przyłapanym. Częste prace w terenie prawdopodobnie oznaczały wyjazdy do niej. Musieli zamykać się w tym staromodnym, ale gustownym mieszkanku, żeby ich nikt nie wypatrzył, jak sobie jedzą wspólne kolacje, oglądają telewizję, czytają, kochają się. Mówiła, że ojciec czuł się winny, pogardzał sobą, ale nie znalazł w sobie siły, żeby z niej zrezygnować. Mógł być dla nas dobrym ojcem i przykładowym mężem tylko pod jednym warunkiem, że równocześnie miał ją. Godziła się na ten układ, bo go kochała bezwarunkowo.

Poznali się osiemnaście lat temu. Tato oszukał swoją żonę, nas również oszukał, ale w ten najbardziej humanitarny sposób - potajemnie. Nikt nie cierpiał, ponieważ nikt o nich nie wiedział. Jak mu się to udawało przez tyle lat, jeden Pan Bóg wie. Teraz Tamta Kobieta siedziała obok mnie tak blisko, że czułam zapach jej perfum. Nie wiem, w jakim była wieku, może miała pięćdziesiąt lat, może więcej, była bardzo zadbana i szykowna. Jej ciemne, uczesane w wysoki kok włosy ładnie kontrastowały

z bledością cery i orzechowym kolorem oczu. Miała bardzo staranny makijaż, delikatny błyszczek na ustach. Musiałam przyznać, że to piękna kobieta, a osiemnaście lat temu z pewnością powodowała napadowe bicie serca u mężczyzn. Reprezentowała zupełnie inny gatunek niż moja mama. Często na kochanków czy kochanki wybieramy osoby bardzo podobne do naszych małżonków, wierni niejako swojemu gustowi, ale ten przypadek był inny. Stefania Fink wszystkim różniła się od Heleny Weber.

Kiedy skończyła mówić, wstałam z krzesła, na którym wisił sweter taty i, przepraszając, ruszyłam do wyjścia. Nie przebrałam jej ani słowem, pozwoliłam na przekazanie mi w stanie nienaruszonym tej historii miłosnej. O co miałabym zapytać? Widziałam, jak bardzo cierpi i z jakim trudem wypowiada słowa wspomnień. Podjęła wielkie ryzyko, właściwie w swoim i w moim imieniu.

Stojąc w drzwiach, zapytałam:

- Czy będziemy się mogli jeszcze kiedyś spotkać? Chciałabym porozmawiać o ojcu, ale teraz nie mogę. Nie dam rady.

Spojrzała na mnie zaskoczona, pewnie spodziewała się, że ucieknę z tego jej mieszkania pełnego wspomnień, trzaskając drzwiami. Uświadomiłam sobie, że tylko z nią mogłam mówić o mojej tęsknocie za ojcem. Mama nie zaspokajała moich emocjonalnych potrzeb, wspominając ojca tak pompatycznie i z takim namaszczeniem, jakby w ogóle nie był za życia istotą ziemską. Po śmierci stał się bohaterem, wielkim myślicielem, najzdolniejszym architektem, najcudowniejszym mężem, orędownikiem nowoczesnej myśli technicznej, najtrafniejszym komentatorem politycznym. Przeważnie miałam wrażenie, że mama opowiada o jakimś innym człowieku. Do szafu doprowadzały mnie jej wspomnienia z ich podróży poślubnej do Jugosławii, co na tamte czasy było wielkim luksusem. Tato za życia nigdy nie wspominał tej podróży z jakimś szczególnym entuzjazmem, więc miałam podstawy sądzić, że nie był to udany wyjazd, natomiast z opowieści mamy wyłaniał się najcudowniejszy tydzień nad Adriatykiem, jaki można tylko zobaczyć

w filmach. Mama podkreślała, że ojciec był wielkim miłośnikiem literatury rosyjskiej, kiedy ja byłam absolutnie pewna, że poza Czechowem niczego nie przeczytał, co wyszło spod pióra Rosjanina. Amerykańscy i francuscy pisarze, owszem, ale nie rosyjscy.

Kłóciłam się z mamą do upadłego o jego gust literacki, a na koniec powiedziała mi: „Co ty tam wiesz o swoim ojcu!”. Ostatnio wzięła na warsztat jego kolegów z dawnych lat, opowiadając jakieś fantasmagorie na temat kumpli z wojska i z uniwersytetu. Nigdy o nich wcześniej nie słyszałam od taty ani tego, że chciał być lekarzem, co mama podkreślała od dnia jego śmierci. Przecież takie rzeczy powinnam wiedzieć, gdyby były prawdziwe. W głowie mamy namalował się i zawernikował z czasem obraz taty, który dla mnie był po prostu jego karykaturą. Najgorsze było jednak to, że ona wierzyła w te wymyślane przez nią samą jego cechy charakteru i zdarzenia, jakie według niej miały miejsce. Zaciętrzewiała się, snując wspomnienia, potrząsała głową, groziła palcem, wymuszała na słuchaczu dołączenie się do jej sposobu wracania myślami do przeszłości. Historia, jak spóźnił się w Budapeszcie na samolot, podnosiła mi ciśnienie najbardziej. Tato nigdy nie był w Budapeszcie, a samolot, na który nie zdążył, odlatywał z Pragi.

Dlatego unikałam rozmów na ten temat. Nie rozmawiałam z Marleną od dnia jej wyjazdu po pogrzebie ojca, więc wszystkie wspomnienia dusiłam w sobie, a było to złe uczucie, ponieważ czułam wielką potrzebę, a teraz i chęć porozmawiania o tacie. Wiedziałam, że Tamta Kobieta, nie miałam co do tego wątpliwości, będzie umiała mnie wysłuchać. Wszystko w jej mieszkaniu świadczyło o tym, że ojciec tu był prawdziwy i cały, mieszkał tu i miałam przeświadczenie, że czuł się dobrze.

Kiedy zaproponowałam jej spotkanie, w lot zrozumiała, czego od niej oczekuję i bez słów na to przystała. Poczułam się głupio, kiedy wciskałam jej numer telefonu zapisany na małej karteczce, zupełnie jakbym się umawiała z psychologiem na sesję. Po prawdzie psycholog bardzo by mi się przydał, mogłabym bezkarnie pobrodzić w błocie mojej pamięci. Pootwierają się

w mojej głowie wszystkie szufladki i drzwiczki, zaczęły wychodzić z nich dziwne myśli, wspomnienia, lęki, pragnienia, a to spowodowało jeden wielki bałagan.

Wróciłam do domu przejęta i pełna obaw, czy nie ma na mojej twarzy jakichś znaków, które by mnie zdradziły. Unikałam kontaktu wzrokowego z mamą, co nie było trudne, ponieważ była zajęta gotowaniem i napominaniem wnuków. Utyskiwała hałasując garami: „Jak wy te dzieci wychowujecie?”. Dzieci nie chciały jeść rosołu ani iść do kościoła, ani na spacer w deszczu. Przeczekałam ten dzień, jeszcze raz pojechaliliśmy na cmentarz, mama znów uraczyła nas opowieścią o nawykach taty, żeby na koniec wypalić z grubej rury, że wprawdzie miała wiele innych propozycji małżeńskich, ale dokonała właściwego wyboru, wychodząc za mąż za Franciszka, choć nie był najlepszą partią na tamte czasy. Nie mogłam wyobrazić sobie mamy rozchwytywanej przez kawalerów. A czym ona mogła ich zachęcić? Czym skusić, na miłość boską! Wystarczająco skomplikowaną łamigłówką było rozwiązanie tajemnicy, jak taki fajny facet jak Franciszek mógł zakochać się w takiej nieciekawej kobiecie, jaką była Helena, moja matka.

Wieczorem zaferowałam, że w drodze do domu zawiozę Emilkę na lotnisko. Wylatywała do Londynu o jedenastej przed południem, co bardzo pasowało do moich planów. Mamie nie spodobał się ten pomysł, ponieważ wcześniej umówiła sąsiada i teraz czuła się bardzo niezręcznie, zmuszona odwołać kurs na lotnisko. W dupie miałam jej sąsiada, który po kawałku odżywał nasz ogród i zagarniał go pod swoje uprawy, a przy tym wciąż coś pożyczał i nie oddawał. Uprawiał „szaber” przy cichym przyzwoleniu wdowy, a robił to niezwykle zręcznie, tak że mama mu na koniec zawsze dziękowała, że ją odciążył. Był to stary kawaler, chciwy i nieprzyjemny dla innych sąsiadów, jednak zważał korzyść w zagrodzie sąsiadki i kręcił się przy niej jak rekin, który poczuł krew. Kiedy tato żył, przestrzegał mamę przed nim, ale nie posłuchała, nigdy nie szła za jego radami. Dzień wcześniej słyszałam, jak wykrzykiwał swoje mądrości przed płot, że „dzieci to tylko lagą lać, żeby rozumu nabrały, a komunistów

powywieszać na cienkiej żyłce!". Nie wiem, do kogo adresował te złote myśli, być może nie spodobało mu się, że Konrad z Emilką wieczorem rozpalili sobie ognisko na tyłach ogrodu, żeby powspominać dziadka Franka. Rozległe pola sąsiada graniczyły z naszą ziemią i ogrodem, więc nieustająco spacerował po łąkach za naszym płotem z jakimś narzędziem, najczęściej widłami albo w tę i z powrotem jeździł po tych polach traktorem. Miałam wrażenie, że nas szpieguje, ale mama po śmierci taty zaczęła się z nim wręcz zaprzyjaźniać. Wiem tyle, że kiedy była sama, przesiadywał u niej w domu i wyjadał zawartość lodówki.

Nie byłam w nastroju, aby się pograżyć w tłumaczeniach, więc szybko zarządziłam wyjazd, a Emilka błyskawicznie dostosowała się do moich rozkazów. Mama się obraziła, bo sąsiad umył samochód specjalnie na tę podróż na lotnisko, i nie odzywała się do mnie przy śniadaniu, ostentacyjnie zagadując tylko do Emilki. Konrad nie chciał jeść jej rzadkiej jajecznicy ani pić herbaty z mlekiem, jaką przyrządziła dla wszystkich, nie zadając sobie trudu, aby zapytać, czy mamy na taką herbatę ochotę. Konrad zagroził, że „się wyrzyga, jak mu każę pić bawarkę, a tych luźnych jaj to na pewno nie tknie”. Emilka pogrzebała w swoim talerzu zamaszystymi ruchami, podzwoniła łyżeczką o szklankę, a potem ukradkiem wszystko wrzuciła do plastikowego woreczka, który nie wiem skąd znalazł się nagle w jej dłoni. Odskoczyła od stołu, pokręciła się po kuchni, pocałowała babcię w oba policzki i krokiem walcowym opuściła pomieszczenie. Z okna widziałam, jak zawartość worka wyspała psu do miski. Dlaczego ja nie mogę być taka mądra? Dlaczego tak łatwo mnie sprowokować? Po co ja się tak o wszystko wykińcam z matką? Postanowiłam pobrać lekcje od Emilki, bardzo by mi się przydały. To w końcu aktorka, zagra wszystko, nawet zjedzenie niejadalnej jajecznicy.

Kiedy już siedzieliśmy w samochodzie, mama z wymuszonym uśmiechem na twarzy pomachała nam na pożegnanie. Pies Aurora warował przy jej nodze, zadowolony i najedzony. Zupełnie nie spodziewał się na śniadanie jajek z kiełbasą i razowego chleba umoczonego w ciepłej herbacie z mlekiem.

Nie machałam mamie, robili to Konrad i Emilka, powinno jej to wystarczyć. Odjechalśmy... obserwowani przez sąsiada czającego się za drzwiami stodoły. Zboczeniec!

- Babcia jest babcia - Emilka mówiła rozbawiona. - Trzeba jej zawsze ustąpić. Przecież to nie *big deal* z tym sąsiadem i lotniskiem... Pewnie się chłopina ucieszył, że nie musi jechać.

- Nie wiadomo, co mu babcia obiecała za tę podwózkę. Może da mu samochód po ojcu albo ar ziemi? Nigdy nie wiadomo, z czym wyskoczy. Ale co tam, nie będziemy się babcia katować. Co tam u ciebie nowego? - Włączyłam radio.

- A nie spyta ciocia o mamę? - Emilka patrzyła przed siebie. Trochę mnie przestraszyło to pytanie. Zapadło milczenie na kilkanaście sekund.

- Dobrze. W takim razie, co u mamy? - Ruszyłam ostro ze skrzyżowania. Do lotniska miałyśmy czterdzieści minut jazdy. Jechałam spokojnie. Padał deszcz z czarno-szarego nieba, ludzie kulili się w swoich samochodach, a ci stojący na przystankach kurczyli się pod daszkiem. Drugi dzień listopada był wstrętnym, ponurym dniem, nie można było sobie wyobrazić gorszego. Gdzieś tam w słonecznej Kalifornii dzieci wspominają wciąż zabawy z okazji Halloween i przeliczają drobne oraz dzielą się słodyczkami. Nikt nie jest smętny, nie pada, nikomu nie ukradli doniczki z grobu ojca! Pognałam myślami w tamtym kierunku, ale Emilia przywołała mnie do rzeczywistości.

- Twoja siostra, ciociu, rozwodzi się z moim tatą. W sumie nie wiem dlaczego - Emilia wyciągnęła chusteczkę i wytarła nos. Ukradkiem sprawdziłam, czy nie płacze.

- Moja mama też się rozwodzi z moim tatą! - Konrad rzucał się na przednie siedzenie podekscytowany. Zaglądał do nas przez szparę pomiędzy siedzeniami, po tym, jak uwolnił się z pasów. Emilia obróciła się na siedzeniu i spojrzała na niego, a potem na mnie zupełnie zdezorientowana. Wzruszyłam tylko ramionami.

- Nie zwracaj na niego uwagi, Emilia, to nie jest prawda z tym rozwodem.

- Nieprawda? - Konrad skubnął rękaw mojej kurtki. - A te wasze kłótnie i spanie osobno? To też nieprawda?!

Zignorowałam jego zaczepki, choć nie byłam do końca pewna, który temat był gorszy do obgadania w tej krótkiej podróży - moje stosunki z siostrą czy kryzys małżeński? Emilia przyszała mi z pomocą, prawdopodobnie sama oceniła i uznała, że Konrad bredzi.

- *Anyway*, mama ma się dobrze, pracuje, ładnie wygląda...

- Ciekawe, kiedy powiesz babci, że się rozwodzisz? - Konrad nie odpuszczał. - Ja na pewno nie wrócę do twojej rodzinnej dziury! Mogę mieszkać z tobą w Warszawie, ale tu mnie nie zaciągniesz!

- Konrad, przestań! - podniosłam głos. Emilia pogładziła go po włosach, ale szybko odsunął się i usiadł głębiej na tylnym siedzeniu. Odczekałam kilka minut.

- No i zdaje się, że twoja mama jest zakochana?

- Skąd ciocia wie? To nowa sprawa. Czy zakochana, to nie wiem, ale ten jej dawny kolega to jakiś zajebisty gostek się okazał i kto wie, kto wie, może coś z tego będzie... Póki co, on ma syna po wypadku. Ja tam nawet bym chciała, żeby mamie się ułożyło. Z tatą to już definitywny koniec, a kobieta nie powinna być sama!

- Zajebisty gostek? Skąd ty znasz takie powiedzenia? — Rozśmieszyla mnie.

- Konrad mnie poduczył. Najbardziej mi się podoba określenie, że ktoś wygląda „jak głupi pod drzwiami”.

Odwróciła się do tyłu i mrugnęła do niego, ale nie doczekałam się reakcji. Będę musiała z nim porozmawiać na temat, bo najwyraźniej tworzy sobie na własny użytek jakieś przerażające scenariusze. Utkwiłam wzrok w zderzak samochodu wlokącego się przede mną. Nie chciałam już więcej nic mówić, ale Emilia czuła niedosyt i wypytywała mnie dalej o Alexa. Opowiedziałam jej, jak wygląda i jaki jest dowcipny oraz błyskotliwy, zachwalałam go jak najlepszy towar i chyba zrobiłam jej tym przyjemność. Wiedziałam, że opowie o naszej rozmowie Marlenie. Nie wspomniałam ani słowem o mojej wizycie w Nowym

Jorku. Mnie samej z biegiem czasu wydawała się ona trochę nie-realna, zupełnie jakby ktoś inny odbył tę podróż.

- Może mama będzie miała trzeci ślub, to by była dobra okazja, żebyście się wreszcie pogodziły. Wszyscy wam kibicujemy - powiedziała bardzo cicho.

Wahałam się przez chwilę, czy zareagować, czy przemilczeć to. Jakoś nie umiałam sobie wyobrazić siebie rzucającej ryżem na szczęście, ani wciskającej się w suknię drużyny koloru błękit paryski. Byłby to najdziwniejszy ślub, jaki mógłby zaistnieć. Moja siostra i mój przyjaciel... W radiu jak zawsze zespół Kombi śpiewał piosenkę: „nasze pokolenie (coś tam, coś tam)”, a zaraz potem zaserwowali dwa stare przeboje pod rząd: *Lemon tree* i *I am in the army now*. Zawsze się zastanawiałam, dla kogo grają komercyjne stacje? Dla jakiego rocznika? Na pewno nie dla mojego. Żadnych nowości, no chyba że Lady GaGa z nowym hitem co piętnaście minut w ramach dobrze opłaconej promocji. Absolutnie żadnej alternatywy dla tych głupawych przyspiewek starych polskich rockmanów, którzy już dawno temu powinni przejść w stan spoczynku i zamilknąć na zawsze. Ich piosenki po prostu znało się na pamięć i nie sprawiały żadnej frajdy po raz kolejny słyszane w głośnikach. Ulubieńcy szefów polskich rozgłośni radiowych nie byli moimi ulubieńcami. Włączyłam CD zespołu Lady Antebellum. Kiedy zabrzmiały pierwsze dźwięki, Emilia roześmiała się, klepnęła dłońmi w kolana i dała głośniej.

- Ale numer! Mama też tego słucha! Włącz pierwszy track z płyty... „It is a quarter after nine, I am little drunk and I need you now...” - zaczęła śpiewać, zanim zdążyłam przełączyć na właściwą piosenkę.

Ja i Marlena zawsze słuchałyśmy tej samej muzyki, ale tym razem byłam naprawdę zaskoczona, bo to nie był popularny zespół. W radiu BBC2 słuchałam on-line wywiadu z nimi i po prostu przypadli mi do gustu, a szczególnie ten kawałek, jaki zanuciła Emilka. Słuchałyśmy piosenki, moja siostrzenica znała słowa na pamięć, więc Marlena musiała jej często serwować ten przebój. Zrobiło się sentymentalnie, a deszcz walił w przednią szybę coraz agresywniej.

- Wiesz, Emilia, my w zasadzie nie jesteśmy pokłócone z twoją mamą - zaczęłam, kiedy wjechałyśmy na ostatni odcinek szosy prowadzącej do lotniska. - Trzeba będzie kiedyś usiąść i pogadać na spokojnie o naszych problemach. Może jeszcze nie jutro czy za tydzień, ale pewnego dnia, jak już wszyscy będą gotowi. Ja już prawie jestem. Może jak przyjedziecie na Boże Narodzenie, będzie okazja, to już za długo trwa.

Emilia skinęła głową.

- Pytałam mamy, na co czekacie? Żeby jedna z was ciężko zachorowała na raka czy coś, to wtedy byłoby szybciej z tym pogodzeniem. Ale ona też nie chce o tym gadać. Następna tajemnica! Ani nie wiem, dlaczego odeszła od mojego taty, ani nie wiem, dlaczego nie gada z tobą!

Podjechałyśmy pod budynek lotniska. Emilia wysiadła z samochodu, zanim zdążyłam skomentować jej słowa. Konrad ociągał się przez chwilę z pożegnaniem, ale w końcu dał się namówić na buziaka.

- Powinieneś przyjechać do nas, Konrad, zapraszam cię w imieniu mamy. Anglia nie jest taka zła. Zrobimy zakupy, pokręcimy się po mieście, sama cię oprowadzę! Trzymaj się, kuzyn i nie denerwuj mamy!

- Dobra. Może kiedyś - odburknął i szybko wskoczył do samochodu, żeby nikomu nie przyszło do głowy pocałować go drugi raz.

Emilia dziękowała mi za podwózkę i zapraszała do Anglii. Stałyśmy chwilę objęte mocno. To była naprawdę fajna dziewczyna, Marlena musiała mieć w niej duże wsparcie, można z nią było porozmawiać na każdy temat i nie miała żadnej brzydkiej manieri, jakie często spotyka się u dzieci wychowanych za granicą. Nadaşany Konrad na tylnym siedzeniu nie był szczególnym powodem do dumy, powiedziałam jej to. Emilka zapewniła mnie, że z tego wyrośnie, tak jak ona wyrosła i zanim się obejrzę, będę spacerować z nim pod ramię dumna jak paw na premierę filmu lub wernisaż. Powiedziała coś, o czym ja nigdy sama nie pomyślałam, że Konrad będzie bardzo, ale to bardzo przystojnym mężczyzną, kiedy już „wypadną mu mleczaki”. Wysoki,

oliwkowa cera po ojcu, piwne oczy, a kiedy już wymusi się na nim uśmiech, będzie to jeden z tych najładniejszych. Porozmawiałyśmy jeszcze chwilę, po czym ucałowałam ją i wcisnęłam jej po kryjomu sto euro do kurtki. Nie chciała, żebym jej towarzyszyła przy odprawie i dalej poszła sama sprężystym krokiem, nie obejrawszy się za siebie. Po godzinie dostałam sms-a, że wsiada do samolotu i że mnie bardzo kocha. Roztkliwiłam się do końca.

Do Warszawy dotarliśmy wczesnym wieczorem. Dom był pusty. Radek zostawił kartkę, że pojechał do Tomaszów napić się wódki. Pomyślałam, że dobrze mu to robi, martwiła mnie ta jego dziwna abstynencja. Konrad boczył się przez całą drogę, a kiedy przestąpił próg, pognał na górę, żeby się wykapać. W domu u babci obowiązywał trzeci i ostatni stopień oszczędności na wodzie i gazie, nie było mowy o kąpielach, a jeśli już, to w letniej wodzie ledwie zakrywającej pupę w wannie. Nie usiłowałam Konradowi nawet tłumaczyć, dlaczego babcia tak oszczędza, powiedziałam tylko krótko, że wykapie się w domu. Spędzał wieki w łazience, aż się bałam myśleć, co tam może robić. Musiałam się bronić, aby nie stać się taką jak moja mama, która wszystko kwestionuje, nie tylko czas spędzony w łazience, ale w ogóle samą potrzebę skorzystania z niej. Całą młodość dźwięczały mi w uszach jej słowa: „znowu się będziesz kąpać? Dlaczego nie śpisz pod kołdrą, tylko pod kocem? A co to za dziwny zwyczaj, smarować dżem na biały ser? Ja tam nóg nie goliłam, ty sobie musisz bezwzględnie te włosy skrócić? To ty nie idziesz do kościoła?”.

Wszystko, co nie było wedle jej gustu, musiało zostać zakwestionowane, a na końcu zdania stawiała zawsze wielki i kwaśny znak zapytania. „Nie za szybko ten ślub?”. Może nad tym jednym pytaniem powinnam była się zatrzymać i je sobie przemyśleć?

Moja mama kierowała się jedną dewizą życiową - *is my way or the high way*. Brakowało mi rozmów z Marleną na ten temat. Wyżalałyśmy się bez końca na mamę, przynosząc sobie wzajemną ulgę. Jakże miło mi było z nią porozmawiać o mamy wybrykach, jej konfliktach z sąsiadami, zgubionych portfelach, fascynacji proboszczem i gotowaniu, do którego nigdy nie udało

nam się przyzwyczać. Nie miałam drugiej połówki, gdzieś mi się zapodziała, teraz najlepsze rozmowy musiałam toczyć sama ze sobą.

Rozpędzona swoim złym samopoczuciem po wizycie u mamy, zadzwoniłam do Tamtej Kobiety i zaprosiłam ją do Warszawy. Nie miałam gotowego planu, jak ją ugościć, ale pewna byłam, że to zrobię. Chciałam jej pokazać nasz dom, moje rzeczy, mój ogród, chciałam ją oprowadzić po moim życiu, które przez tyle lat śledziła tylko poprzez opowieści taty. Wiem, że jej o nas opowiadał, malował jasne obrazy naszej egzystencji, komentował, chwalił się najpewniej piękną i mądrą Marleną i krnąbrną Izbela, ale jakoś mi to nie przeszkadzało. Może taka była właśnie prawda? Tamta Kobieta nas nie znała osobiście, ale wiedziała o nas wszystko. Przedziwne uczucie! Kiedy zaczęłyśmy rozmawiać, zgodziła się szybko i chętnie. Kiedy? Płaczliwym głosem poprosiłam: jak najszybciej!

Danka

Dwudziesty piąty ślad hamowania

Marlena,

pewnie już wiesz od adwokata, że Krzysiu został adoptowany. Myślę, że dobrze się stało. Mam tylko nadzieję, że nigdy się nie dowie, kim byli jego biologiczni rodzice. Miałam czas, żeby to sobie wszystko przemyśleć i przed Panem Bogiem zdać sprawę z tego, co zrobiłam. Teraz czasu mam dużo i codziennie mogę się przed Bogiem tłumaczyć i prosić, żeby mi wybaczył. Nie szukajcie Krzysia, on będzie teraz nazywał się Christopher, a ludzie, którzy go sobie wzięli, będą go kochać. Nie żał mi, że mnie nigdy nie zobaczy, ani się nie dowie, bardzo się z tego cieszę. Nie psujcie mu życia szukaniem go i opowiadaniem mu, kto go urodził, o to was proszę i dlatego piszę ten list. Moi rodzice i Justynka nie będą go szukać, ale tak się martwię, że Ty mogłabyś w swoim stylu robić dochodzenie i na siłę go poszukiwać. Nie chcę tego, Marlena.

Wolałabym tutaj odsiedzieć karę, ale pewnie przewiozą mnie do Polski. Nie powiem Wam, dokąd i kiedy, bo też nie chcę żadnych odowiedzin ani listów, ani paczek, ani uzalania się nad moim losem. Karol nie żyje i ja też już nie żyję i dobrze nam tak, bo obydwoje byliśmy zwykłymi śmieciami. Po co światu, rodzinie, przyjacielom tacy ludzie jak my? Jaki z nas był pożytek? Mam dwoje dzieci i nic im nie mogę zaoferować. Mogłabym Cię prosić, żebyś zainteresowała się losem Justynki, ale nie robię tego. Najlepiej by było, żeby ona gdzieś wyjechała za granicę, zmieniła nazwisko, odgradziła się od

tego wszystkiego i zaczęła nowe życie. Będę się modlić, żeby spotkała jakiegoś fajnego chłopaka, wyszła za mąż i zapomniała o swoich rodzicach. Nie byłam dobrą matką dla niej. Popatrz, jaka fajna jest Twoja Emilka, jaka poukładana i ufna, bo wie, że ma Was, Ciebie i swojego ojca, którzy stoją za nią murem i zawsze będą. Mnie nie było dla Justynki, pojechałam za Karolem, pilnować go, żeby nie pił. Jego picie było ważniejsze niż Justynka, a tego sobie nie wybaczę nigdy. Ma prawo mnie nienawidzić, święte prawo porzuconego dziecka. Nie mam z nimi kontaktu, ale myślę o niej codziennie i tęsknię za nią. Nie liczę, że mi wybaczy, nawet nie będę się o to starać, bo to by było ponad jej siły. Jak wyjdę z więzienia, to ucieknę gdzieś w Polskę, na pewno nie zapukam do jej drzwi, żeby znów przerwócić jej świat do góry nogami. Nic mi się nie udało, nie wiem, czy zrozumiesz, bo Tobie, Izie i Natalii udało się w życiu wszystko. Myślę o Was często. Nie pasowałam do Was, ale ciągnęłyście mnie za uszy do Waszego lepszego świata, no i to jedno Wam się jednak nie udało. Mówiłaś mi, że bym nie wychodziła za mąż za Karola, Izka mnie błagała, że bym się z nim nie wizała, ale ja chciałam wyjść za mąż, nie widziałam siebie na studiach i w wielkim świecie, jak Wy. Karola nie winię za wszystko, chyba sama jestem bardziej winna, ale dopiero teraz to widzę i rozumiem. Jego matka powiedziała, że rozpił się tak przy mnie. Może. Mój tato też pijak i mamę wiecznie bił, więc zachowanie Karola było mi dobrze znane i wcale mnie nie martwiło na początku. Potem stało się tyle złych rzeczy i już nie umiałam wysiąść z tego pociągu.

W więzieniu jest mi dobrze. Są tu Polki, Litwinki, Rumunki, wszystkie niewinne, a ja winna i wcale tego nie ukrywam. Uczę się angielskiego i pracuję na stołówce.

Marlena, nie będę więcej do Ciebie pisać listów ani do nikogo innego i proszę Ciebie, żebyś mi nie odpisywała, bo nie jestem gotowa na korespondencję. Lepiej mi myśleć, że jestem gdzieś na innej planecie i za tymi murami, które mnie odgradzają, nie ma życia, ludzie się nie żenią, nie kochają, nie piją i nie bawią. Mój świat jest mały i niech będzie jedyny. Nie interesują mnie wieści od Was, sama nie wiem dlaczego, ale nie. Może to się zmieni, może jeszcze będę czuła inaczej, ale po co miałoby się zmienić, kiedy jest dobrze tak, jak jest?

O tym, co zrobiłam, nie myślę wcale. Nie to, żebym coś wymazywała z pamięci, po prostu samo się skasowało i tylko mury więzienne przypominają mi, że jednak coś się stało, bo bym tu inaczej nie siedziała. Nawet nie wiem, czy żałuję, bo w ogóle o tym nie myślę. To była jedna chwila, naprawdę jedna chwila, kiedy to się stało. Ani się nie przygotowywałam, ani planowałam, przyszedł impuls, a potem Karol już leżał w wannie martwy. Koleżanka mi tu powiedziała, że oddałam mu przystługę. Chyba raczej nie, ale to już nieważne.

Piszę ten list już drugi dzień i niby chcę go skończyć, ale nie kończę, bo to jednak pożegnanie na zawsze. Byłaś dobrą przyjaciółką, Iza też, nie mogłyście więcej dla mnie zrobić i nie zamartwiaj się, że czegoś nie zrobiłaś albo że można było inaczej. Ja mogłam dziesiątki razy zawrócić z tej ścieżki, był czas, były możliwości, ale tego nie zrobiłam. Moja wina, moja wielka wina.

Nie martw się o mnie, nie płacz przy tym liście. Wiesz, że ja nie płakałam od dnia, kiedy zabrali mi Krzysia? Odkąd wyrwali mi go z ramion, a ja go tak mocno trzymałam, że bali się, że go uduszę. Zabrali mi go siłą i to był początek końca. Ja wiem, że mieli dobre intencje i że dla niego chcieli dobrze, ale z tych ich intencji narodziła się zabój czyni, trup i dwie sieroty. Nie wolno mi tak myśleć, ale tak właśnie to widzę. Zaczęłam palić marihuanę. Bardzo pomaga, szkoda, że wcześniej jej nie spróbowałam!

To tyle, Marlena, bo jednak coś mnie zaczyna rozczulać, a takiego prezentu sobie nie sprawię.

Pamiętaj o moich prośbach.

Danka

Marlena

Dwudziesty szósty ślad hamowania

Babcia Trutka zwykła była mówić: „A co to można w życiu wiedzieć na pewno?”. Miała rację, nic. Na pewno, jak się człowiek urodził, to i umrze, a wszystko, co pomiędzy, jest już niepewne. Kiedy Emilia zaprosiła mnie do pubu na drinka, mogłam się była domyślić, że grzmotnie bomba.

Tego samego dnia rano Alex opowiedział mi przez telefon o „tymczasowym” rozwiązaniu, jakim było zamieszkanie pod jednym dachem z jego byłą żoną. Opiekował się „aktualnie” nią i ich synem. „Chwilowo” są zupełnie zdani na niego w tym trudnym okresie powypadkowym. Tymczasowo, aktualnie, chwilowo. Tylko te słowa tłukły mi się po głowie niczym wygłodniałe mewy na ulicach angielskich miast. Siedziałam sobie przy kawie, pochylona nad gazetą „Daily Mail”, zapatrzona w tytuły drukowane grubą czcionką. Kot emerytki wlaźł na drzewo i nie mógł zejść, ale dzielna straż pożarna przyszła mu z pomocą! Młody człowiek zadźgany nożem przez nieznaną sprawców na ulicy w Londynie. Nauczycielka uwiodła piętnastolatka, wprawdzie żałuje, ale raczej tego, że się wydało niż samego czynu. Przeglądałam te nagłówki bezmyślnie i bez irytacji. O czym mają pisać gazety? O tym, że tęsknię za Alexem i bardzo się boję, że już nigdy go nie zobaczę? A może o tym, że boję się starości, nieregularnych miesiączek, kurzych łapek, włosów nad górną wargą i raka piersi? Nie przestawałam słuchać Alexa, wyłączyłam się

tylko na krótką chwilę, kiedy mówił o tych chwilowych rozwiązaniach mieszkaniowych. Moja wyrozumiałość i szlachetność zostały wystawione na ciężką próbę.

Mały Scott szybko wracał do zdrowia, zadziwiał lekarzy i swoich rodziców postępami, jakie zrobił w ciągu dwóch tygodni. Była żona postępów czynić nie chciała i lekarze nie naradzali jej lizakami. Nie było za co. Połamane nogi zrastały się powoli, niestety nie odzyskiwała w nich czucia. W mieszkaniu urządzono gabinet rehabilitacyjny, przychodziły pielęgniarki, terapeutki, psycholożki, a Alex to wszystko nadzorował i zajmował się synem. Prześladowało mnie podczas rozmowy wyobrażenie o tym, jak Alex pomaga jej w porannej toalecie, przynosi kawę, zakłada bieliznę na jej szczupłe ciało i zapina guzik przy bluzeczce. Z pewnością robi to z braterską szorstkością, ale dochodzi do przypadkowego zetknięcia ich rąk, może głów, łokci, kolan, mieszania oddechów, znacznie szybszych, co powodował wysiłek fizyczny. Może on ją nawet nosił na rękach po tym jej urządzonym w stylu art deco nowojorskim apartamencie? Najważniejszy był Scott! Wypytywałam więc o niego, żeby uciec od tematu niedołącznej Margot. Biedna kobieta, może do końca życia będzie już kaleką wymuszającą na byłym mężu deklarację całodobowej opieki. Miałyby się nią zajmować przez czas bliżej nieokreślony, czyli niewykluczone, do końca życia. Nie znając jej, mogłam współczuć, ale nie chciałam jej podarować mojego Alexa jako opiekuna.

Od naszego spotkania w Londynie minęły już prawie dwa miesiące, zamazywały się w mojej pamięci obrazy, coraz trudniej było przywołać smak jego ust, zapach skóry, wspomnienie słów i gestów. Kilka dni po naszym spotkaniu jeszcze mi wszystko pachniało Alexem, wystarczyło zmrużyć oczy, żeby się przede mną pojawił, a przede wszystkim śnił mi się w nocy. Teraz już wszystko, i obrazy, i zapachy były takie ledwie-ledwie.

Niespodziewanie i bez ostrzeżenia powrócił do mnie mój koszmar przeżyty w czasach szkolnych. Pojechalśmy z klasą na wycieczkę parostatkiem po Wiśle. W czasie jednego przystanku, nie pamiętam już w jakim mieście, pozostawiono mnie samą na

przystani, podczas kiedy statek wycieczkowy z całą klasą odpływał rzeką, coraz dalej i dalej. Poszłam w krzaki zrobić siusiu, dosłownie na kilka minut, a oni po prostu odpłynęli. Wychowawczyni ten jeden raz nie policzyła uczniów. Dlaczego moje koleżanki nie zauważyły mojej nieobecności? Nie zaliczałam się wprawdzie do grupy wodzirejów i najpopularniejszych, ale czy byłam aż tak niepozorna, że mojej nieobecności nikt przez godzinę nie odnotował? Nie wiem, dlaczego to wydarzenie tak mi utkwiło w pamięci i dlaczego tak często do mnie wracało, zawsze powodując lęk i niepokój. Turyści z Wrocławia zaopiekowali się mną i zawieźli na posterunek policji, a po kilku godzinach cała akcja znalazła szczęśliwy finał. Byłam przez moment bohaterką, ale dla wielu po prostu ciamajdą, która dała się zostawić w krzakach i w dodatku susiała sobie w najlepsze, podczas kiedy wesoła grupka uczniów odpływała w siną dal. Ile miałam wtedy lat? Chyba trzynaście. Na dobitcie okazało się, że podczas mojej nieobecności, koleżanki założyły jakiś tajemniczy klub, który nazwały „Santa Grant” i mnie do niego nie przyjęły! Poinformowano mnie sucho, że nie było mnie, jak składały przysięgę na rzece, a teraz jest za późno, nikogo nowego nie mogą przyjmując, bo już są na łądzie, w schronisku. Przyjęte i zaprzysiężone zostały tylko najpopularniejsze dziewczyny z klasy. Inicjatorką założenia klubu, a przy tym moją osobistą zgorą, była szkolna piękność, Aneta Sala. Wiele razy później spotykałam na swej drodze kobiety nieszczej urody, czasami wręcz nieatrakcyjne, które jednocześnie potrafiły założyć na szyję smycz każdemu mężczyźnie i spowodować, że nie tylko za nimi biegł, ale przy tym skomlał z radości. To było zjawisko bardziej fascynujące niż pojawiające się UFO lub te kręgi i wzorki wyrzeźbione w zbożach i trawach. Jak te brzydkie kaczątko to robiły? Czy rzucały urok? Czy posiadały jakieś niezwykle erotyczne umiejętności i wiedzę na temat najskrytszych pragnień partnera, czy też, w co wierzyłam od jakiegoś czasu, w pewnych sytuacjach działa niezwykle mocna chemia między kobietą i mężczyzną, i to ona zaciska kajdanki na nadgarstkach?

Aneta Sala nie straszyla brzydota ani nie powalala na kolana uroda, sama przecietnosc, ale wiadomo bylo od trzeciej klasy szkoly podstawowej, ze dosc szybko sie roztyje. Jej mame potajemnie nazywalyśmy „szafa”, pracowala bowiem jako bufetowa na dworcu. Aneta, skonczywszy lat trzynascie, przebierala w adoratorach jak w ulęgalakach. Miała autentyczne powodzenie u chłopców, a nawet u mlodych nauczycieli i u praktykujacych studentów. Jej slusznych rozmiarów biust rozmarzał chłopców we wszystkich rocznikach. Pamietam incydent, dzis pewnie bylyby to nazwane „inna czynnoscia seksualna”, kiedy w szatni przywiazano ja do wieszaków i po kolei kazdy smiatek, a bylo ich sporo, mógł podejsc i pomacac jej piersi. Aneta krzyczala i piszczala, ale raczej z zadowolenia niz z oburzenia. Stalam w drzwiach i patrzyłam na ten akt w osłupieniu. Mimo iz chłopcy dotykali jej przez sweterek, wszystkim nam wydawalo sie, ze jest naga. Szatnia nie doswiadczyła tyle zbiorowego podniecenia przez sto lat swego istnienia, jak w tym dniu, kiedy Aneta z nadgarstkami spletanymi szalikami zawisła na zelaznym wieszaku.

Na klatkach schodowych wiecejnosci osiedlowych bloków, a szczegolnie „punktowców”, mozna bylo znalezc wydrapane napisy treści: $AS + KL = WM$, czyli „Aneta Sala plus Krzysiek Lampart rowna sie Wielka Mielosc”. KL utrzymal sie kilka miesiecy, potem napis uległ zmianie na $AS + RH = WM$ - Robert Hamera rowniez nie zagrzal dlugo miejsca na pozolkowej scianie. Jezeli dobrze pamietam, poszedł do poprawczaka za napad na kiosk Ruchu. W klasie siódmej, zaraz po wakacjach, pojawily sie inicjaly Jacka Baka obok inicjalów Anety. Dlugo, dlugo nikt nie miał smialosci ich zmazac czy przerobic. Jacek Bak zginął w wypadku drogowym, potracony przez pijanego kierowce. Sprawca w makabrycznym splocie przypadków jechal wtedy na dzialke do ojca Jacka. W tamtych czasach nie grillowalo sie jeszcze kiełbasek, odpoczywalo sie, jadlo i pilo przy ognisku. Zanim Pan TT zdecydowal sie na odwiedzenie dzialkowicza Baka, z innym kolega wypil butelke wódki i kilka piw. Poniewaz byl polskim twardzielem, nie zawracal sobie glowy zagrozeniem, jakie moze stanowic, prowadzac samochod pod wplywem alkoholu. Wsiadł

za kierownicę, transportując te świeżo nabyte dwa promile we krwi przez miasto. Jacek miał rower marki Wigry, był on koloru zielonego. Jeździł tego dnia po osiedlu, zatrzymywał się przed blokami, kiedy spotykał znajomych ze szkoły, a na koniec dnia wybrał się w okolice ogródków działkowych. Chciał ojcu zrobić niespodziankę, w plecaku miał słone paluszki i ciastka markizy. Kiedy zjechał z chodnika na jezdnię, pewnie dość nieuważnie, rozpedzony biały fiat potrącił go z lewej strony. Jacek wypadł z siedzenia jak z procy i przeleciał kilka metrów w powietrzu, zanim uderzył w asfalt. Ponieważ do wypadku doszło tuż obok przystanku autobusowego, świadków tragedii było sporo.

Skończyłam liceum, a o tym jak „pijak przejechał Jacka Bąka” nadal krążyły mrozące krew w żyłach opowieści. Słyszałam nawet wersję, że w wyniku zderzenia z zielonym polonezem odpadła mu głowa - ciało poleciało w jedną stronę, a głowa poturlała się w drugą. Osoba, która to opowiadała, sąsiadka naszej babci, podawała się za naocznego świadka zdarzenia. Uderzyła się w piersi, kiedy wypowiadała słowa: „Pani kochana, głowy nie miał, ale żył jeszcze... pogotowie przyjechało, a on jeszcze nogami ruszał!”.

Aneta Sala przez miesiąc chodziła w żałobie, koleżanki znosiły jej swoje ciuchy czarnego koloru, a to jej „wdowieństwo” jeszcze mocniej rozpałało zmysły innych chłopców. Każdy pragnął być pocieszycielem lub, jak wulgarnie wyraził się jej były adorator, „każdy chciał poprawić po Bąku”. Inicjały Jacka Bąka zniknęły ze ściany parteru i siódmego piętra wieżowca, bo tam mieszkała Aneta Sala z rodzicami i bratem, dopiero trzy lata później, kiedy administracja przeprowadziła generalny remont. Malarze zamalowali niebieskawą farbą wielką miłość Anety i Jacka.

To ona była założycielką kręgu „Santa Granta”, dobrała sobie dziewczyny brzydsze i głupsze od niej samej. Wtedy bardzo chciałam być od niej głupsza i brzydsza, ale nie byłam, więc wyrzuciła mnie poza nawias. Miałyśmy trzynaście lat, przynależność do grupy była najistotniejszą rzeczą naszego szkolnego żywota. Grupa była elitą, grupa decydowała, broniła, śmiała się

na szkolnych korytarzach, a w końcu dawała większe szanse na znalezienie chłopaka. Potem powstały kręgi konkurencyjne, ale wszystkie padły w ciągu kilku dni, ponieważ żaden nie miał założycielki tak popularnej jak Aneta Sala. Sama wkręciłam się do jednego, ale już na drugim „złocie” odmówiłam zapłacenia składki i zostałam wyrzucona ze spotkania. Stare dzieje. Ciekawe, co stało się z Anetą? Do dziś czuję się tak, jakbym miała jej inicjały wypalone na tyłku, choć minęło od tamtych przykrych czasów już ponad dwadzieścia pięć lat. Aneta - selekcyjnerka, która mnie pominęła. Z czasem głupie nieprzyjęcie do głupiej grupy „Santa Granta” przeistoczyło się w mit o mej życiowej porażce. Zaskakujące, jak często o tym myślałam. Kiedy Alex opowiadał mi o chorej, ale kontrolującej sytuację Margot, stanęła przede mną Aneta Sala. Rudowłosa, niebieskooka, z krzywymi zębami i wielkim biustem trzynastolatka zamykała się na moich oczach z Alexem w pokoju!

Na koniec rozmowy powiedziałam Alexowi o liście od Danki, zapewniając go, że niczego w tej sprawie nie zrobię, dopóki wszyscy wspólnie się nie naradzimy. Bardzo chciał być częścią naszej akcji ratowniczej. Natalia nie miała żadnego pomysłu, a kiedy doczytałam list do końca, poddała w wątpliwość jego autentyczność. Zaczęłyśmy się kłócić, tak niedorzeczne były jej podejrzenia. Ja miałabym spreparować ten Ust? W jakim celu? Ktoś z nas musiał zatroszczyć się o Justynę, co do tego jednego zgadzałyśmy się w stu procentach. Idąc na spotkanie z Emilią, zastanawiałam się, czy aby nie zaproponować Justynie zamieszkania z nami w Krakowie. Mogłaby zdać maturę, potem zdobyć jakieś dodatkowe kwalifikacje. Wierzyłam, że ma zainteresowania, w jakimś kierunku chciałyby pójść, coś konkretnego mogłaby robić w życiu. Nie znałam jej, ale z pewnością potrafiłabym do niej dotrzeć, potrzebowałam tylko trochę czasu. Spodobała mi się ta myśl o wspólnym zamieszkaniu, miałam nadzieję, że Emilia również mnie wesprze, w końcu były w podobnym wieku.

Kiedy weszłam do pubu, moja córka już siedziała przy barze na wysokim stołku. Gdzie podziały się te wszystkie lata? Moja

dorośla córka sączyła bacardi breezer'a i rozglądała się po sali. Była ładna i atrakcyjna zarazem. Wszystko, co najlepsze, dobrze wyeksponowała, nie było mowy o jakiejś pomyłce lub zaniedbaniu. Maleńkie mankamenty urody sprytnie zatuszowane, nawet ułożenie ciała zaaranżowane było u niej świadomie. Nie powinno mnie to dziwić, przecież to aktorka!

- Cześć, mamo.

- Cześć. Przepraszam za spóźnienie, ale dzwonił Alex i zagadaliśmy się. - Usiadłam obok niej. Pyszczaty kelner przyczłapał do nas i wziął zamówienie. Obie zdecydowałyśmy się na rybę z frytkami. Zawinęłam kieliszek z lady i poszłyśmy poszukać wolnego stolika. Emilia otrzymała drewnianą łyżkę z numerem 9, którą zatknęłyśmy w maleńkim, aluminiowym wiaderku na stoliku. To dla kelnerki miał to być drogowskaz, kiedy już nasze rybki się dosmażą, a przedtem odmrożą.

Emilia wierciła się na krześle.

- No mówże wreszcie, o co chodzi? W ciąży jesteś? - zapytałam z wymuszonym uśmiechem.

Zaprotestowała bardzo gwałtownie i od razu mnie uspokoiła.

- A nawet gdybym była, to bym na pewno usunęła... - dodała, co mi się już spodobało dużo mniej.

- Nie mów tak, nie mów. Chyba szkoła was nauczyła o anty-koncepcji?

- A jakże, nawet dostaliśmy *condoms free*. Niestety, już dwie moje koleżanki zaszły w ciążę, chcą mieszkania od miasta dostać jako samotne matki, stary numer. - Emilia odstawiła napój, nie bardzo jej smakował. Popatrzyła na mnie i nagle na jej twarzy rozbłysnął najszerzy i najjaskrawszy uśmiech, jaki kiedykolwiek u niej widziałam. Jeszcze przez chwilę nic nie mówiła, tylko patrzyła we mnie tymi śmiejącymi się oczami.

- Mamo... Dostałam się do szkoły teatralnej w Londynie. Dostałam się do RADA!

- Jezu! Naprawdę? Nie żartujesz sobie?

- Nie mamo! Dostałam się! Przyjęli mnie!

Zerwałyśmy się ze swoich miejsc i rzuciłyśmy się na siebie. Trwało to kilka minut, nasze przytulanie, głaskanie,

podskakiwanie i wzajemne przekrzykiwanie. Byłam podwójnie zaskoczona, ponieważ nie poinformowała mnie, że będzie się starać o przyjęcie do Royal Academy of Dramatic Arts. Powiedziała, że nie jest ruda i nie ma długich, żółtych zębów, co ją już od progu dyskwalifikowało. Uśpiła moją czujność.

- Mało tego, dostałam się jeszcze do innej szkoły. ALRA. Academy of Live and Recorded Arts.

- No co ty?!

Nie jadłyśmy ryby ani frytek. Zamówiłam szampana. Uzgodniłam z właścicielką pubu, że zostawię samochód na parkingu i jutro go odbiorę. Chciałam się napić i świętować, nie pamiętałam żadnej wcześniejszej okazji wartej wypicia szampana z córką. Opowiedziała mi ze szczegółami, jak wyglądały przesłuchania, jak przeżywała przejście do drugiego etapu, a w końcu jak przyszedł dziś rano list na adres ojca z wiadomością o przyjęciu. Wiedziałam aż za dobrze, że setki młodych ludzi z całego świata co roku stara się dostać do jednej z tych prestiżowych londyńskich szkół, a tak mało miejsc jest oferowanych. Emilia miała wielkie szczęście, dostała się za pierwszym razem.

- No, to teraz nie wiem, jak będzie - powiedziała, kiedy ochłonęłyśmy. - Nasze plany, żeby zamieszkać w Polsce, stały się, jak by to powiedzieć, *are not on*.

- Nie mogę teraz o tym myśleć. - Machnęłam ręką. - Jestem tak z ciebie dumna, że nie wiem, jak ci to powiedzieć! Plan są po to, żeby je zmieniać. Tym się nie martw. U mnie też się sporo zmieniło, pewnie sama do Polski nie wrócę.

- A ten Alex? Nie weźmie cię ze sobą do Ameryki? - Emilia mrugnęła do mnie po kumpelsku.

- Ja nie jestem paczką, którą można gdzieś wziąć albo zostawić na peronie. Alex jest mi bliski, ale to też się trochę zmienia z czasem, ale nie o mnie tu mowa, tylko o tobie. Twój tata wie?

- Wie. Obiecał, że mi z kasą pomoże. - Klasnęła w dłonie. - Ale nie wiesz jeszcze najlepszego! Tata kupuje dom w Londynie, będę mogła tam mieszkać z koleżankami. Będą płacić czynsz i z tych pieniędzy tata będzie spłacać *mortgage*. Kredyt?

Kredyt, dobrze mówię. Tak się cieszę, mama, / *am very excited*, jakby to Borat powiedział.

Byłam trochę zaskoczona. Nareszcie miało się okazać, gdzie podziały się pieniądze, które wyparowały podczas składania deklaracji majątkowych na potrzeby procedur rozwodowych. Najważniejsze, że nie zniknęły na zawsze. Jeśli teraz Emilia ma mieć gdzie zamieszkać na okres studiów, to wspomniałomyślnie wszystkie machlojki wybaczam mojemu (wkrótce) byłemu mężowi.

Nie mogłam ochłonać aż do następnego dnia. Wróciłyśmy z pubu późno, a potem siedziałyśmy do czwartej rano, pograżone w marzeniach, zajęte planowaniem i rozkładaniem ostatnich wydarzeń na drobne. Zapomniałam na chwilę, że gdzieś tam w Nowym Jorku Alex kładzie się spać oddzielony cienką ścianką od swojej byłej żony Margot. Nie zмагаłam się już z myślą, że owa ścianka jest tak cienka, że ona słyszy jego oddech, a on na pewno usłyszy, gdy ona go zawoła w środku nocy. Emilia gallowała w swoich planach w dalekie kraje, w ramiona najlepszych reżyserów, na plakaty i na galę rozdania Oskarów. Zabrałam się razem z nią i było to niezwykle oczyszczające umysł doświadczenie. Miałam z czego czyścić swój umysł, oj, miałam!

- W swoim przemówieniu oskarowym podziękuję tobie i tatusiowi - Emilia chichotała. Udawała wzruszoną i zaszokowaną na przemian. Nie marzyła i nie śniła, że dostanie Oscara. Uwielbiałam, kiedy odgrywała przede mną te małe scenki. Zazwyczaj na mnie testowała krótkie monodramaty własnego autorstwa. Wygrywała wszystkie aktorskie konkursy w szkole, przyzwyczaiałam się do jej młodzieńczych sukcesów, a teraz to. Wyszła na środek pokoju i stanęła za fotelem. W dłoni trzymała porcelanową figurkę Matki Boskiej przywiezioną mi przez znajomą z Lourdes. Siedziałam na dywanie, w pierwszym rzędzie.

- Chciałam w pierwszej kolejności podziękować Akademii, ale Akademio, musisz poczekać, bo jest tu na sali moja mama, Marlina... Mamo, wstań proszę!

- Nie wywołasz mnie chyba! Nawet jeśli Oscara dostaniesz za dziesięć lat, to ja już będę za stara, żeby wstać i się ukłonić całemu Hollywoodowi - zaprotestowałam.

- No dobra, ale na pewno coś o tobie powiem, coś, że jesteś Polką, coś o wojnie, że było ciężko, tak, żeby się popłakali...

- Emilia, ja się urodziłam wiele lat po wojnie i z ręką na sercu, nie było mi ciężko, więc nie przesadz. Wystarczy, że powiesz zgodnie z prawdą, że to ja odkryłam twój talent w Nativity Play, kiedy jako trzylatka grałaś pastuszką trzymającego wartę przy szopce z Józefem, Maryją i Dzieciątkiem.

- Mamo, to nie była rola pastuszką, ja byłam pomocnikiem pastuszką! - Emilia nie mogła pamiętać tego przedszkolnego przedstawienia, ale spierałyśmy się o każdy zapamiętany szczegół bardzo zaciekle. Uszyłam jej wtedy z zielonego prześcieradła strój pasterski, przepasałam ją złotym sznurem w pasie i wokół głowy. Była najmłodszym pastuszką na scenie, ale najbardziej zdyscyplinowanym, choć jedyną czynnością, jaką miała wykonać w przedstawieniu, było pomachanie siankiem w odpowiednim momencie przed nosem osła. Nie przegapiła tej chwili i kiedy osioł maszerował od prawej do lewej po zaaranżowanej scenie, Emilia zza pleców wyciągnęła garść słomy i machnęła nią wspaniałym, zamaszystym gestem. Pamiętam, że wyrwałam się z oklaskami po tej scenie z osłem, Emilia twierdziła uparcie, że również pamięta moje pojedyncze oklaski.

- Miałaś trzy lata, jak możesz pamiętać?! - powątpiewałam.

- Pamiętam wiele drobiazgów. Na przykład to, że wbrew mojej woli opiekunka posmarowała mi kremem twarz przed wyjściem do parku i potem nie chciałam chodzić do przedszkola cały tydzień. Albo to, że ktoś mi ukradł papierowego kwiatka, jaki zrobiłam dla ciebie na Dzień Matki, a ile miałam wtedy lat? Pięć? - Emilia wyliczała nieważne epizody, jakie zarzuciły kotwicę w jej pamięci.

Byłam pod wrażeniem, ja nie pamiętałam absolutnie nic ze swojego dzieciństwa. Dopiero lata w szkole podstawowej udawało mi się wyświetlić w pamięci od czasu do czasu.

W końcu, zmęczona i zaduszona wypalanymi papierosami, zaproponowałam nieśmiało, żebyśmy poszły spać. Emilia nie była gotowa, adrenalina wciąż utrzymywała się na wysokim poziomie, ale nie chciała siedzieć sama w salonie. Zostawiłyśmy na

stole brudne talerzyki, puste kieliszki, popielniczkę, papierki po czekoladkach i rozspanego Puszkina.

- Jutro ogarniemy - powiedziałałam wspaniałomyślnie, kiedy szliśmy na górę do naszych sypialni.

Emilia pchała mnie od tyłu za pupę i pokrzykiwała. Przeszliśmy daleką drogę od dnia, kiedy zakomunikowałam jej, że odchodzę od jej ojca, nie podając żadnego konkretnego powodu. Teraz czułam, że idziemy równym, miarowym krokiem, choć w każdej chwili, byłam tego świadoma, jedna z nas mogła przyspieszyć i drugą zostawić w tyle. Kiedy zasypiałam, dopadła mnie przerażająca myśl: Emilia następne trzy lata spędzi w Londynie, z dala ode mnie! Moja mała córeczka opuści mnie za pół roku! Zerwałam się z łóżka i pobiegłam do jej sypialni. Leżała na łóżku i słuchała muzyki. Zdjęła słuchawki, kiedy uchyliłam drzwi i wsunęłam głowę do środka.

- Co się stało, mamó? - Poderwała się z łóżka. Powstrzymałam ją gestem i usiadłam na pościeli, po czym wzięłam ją za rękę.

- Mamó, nie strasz mnie. Co ci jest? - Ścisnęła mnie mocno. Nie chciałam jej przestraszyć, ale też nie mogłam tak od razu wyartykułować swoich myśli. Zwykła kolej rzeczy, coś, co bierze się pod uwagę, kiedy posyła się dziecko do szkoły po raz pierwszy, ale co tak trudno zaakceptować, kiedy już przychodzi właściwa chwila. Dla mnie moment rozstania przyszedł o wiele za wcześnie.

- Obiecuj mi. Obiecuj mi, że nie oddalimy się od siebie - powiedziałam

- Mamó... - Odgarnęła mi włosy w czoło. - Mamusiu...

- Obiecuj mi, że będziesz przyjeżdżać do mnie, że będziesz dzwonić, że nie odzwyczaisz się od mojego gładzenia, napominania, gotowania, gustu filmowego, że to wszystko nadal będzie częścią ciebie.

Objęła mnie za szyję.

- Dobra scena, mamó, już myślę, jak by to zagrać? Mówić trochę ciszej niż ty? Głos łamać czy ma brzmieć jak dzwonek? Co sądzisz? Żadnych łez w każdym razie, łzy zawsze wypadają

sztucznie na ekranie czy na scenie. Jeszcze nie wdziałam, żeby ktoś autentycznie płakał w filmie.

Siedziałyśmy przytulone, Emilia powiedziała jeszcze wiele głupstw, które ukończyły moją duszę. Nie musiałam ją o to wszystko prosić, wiedziałam, bo przecież takie rzeczy się wie, że zawsze będę dla niej ważna. Tej nocy spałyśmy razem przytulone i wciśnięte w siebie.

Izabela

Dwudziesty siódmy ślad hamowania

Kiedy czekałam na Stefanię na peronie przejęta, ale w najmniejszym nawet stopniu nieskrępowana czy zdenerwowana, uświadomiłam sobie, że jest to ważna chwila w moim życiu. Bardzo ważna, rozpoczynająca proces powracania na orbitę mojego ojca, z której wypadłam rażona siłą własnych pretensji i żalu. Oto ja wyciągałam rękę do mojego taty, który już nie żył od trzech lat, żeby mu pokazać swoją dojrzałość, moją wspianą-łomyślną akceptację jego decyzji. Spotkaniem ze Stefanią przystawiałam pieczęć na dokumencie traktującym o jego miłości i podwójnym życiu.

Nie byłam bezwzględna, nie uważałam, że nas skrzywdził, że zranił i oszukał mamę, wręcz przeciwnie, uważałam, że zrobił rzecz honorową, podejmując walkę o swoje wielkie pozamałżeńskie szczęście. Stefania nie była jego kochanką, związek z nią to nie był skok w bok ani kaprys, ani wybryk. A poza tym nie miałam prawa tego oceniać ani nawet wciskać w jakieś tam społeczne normy i obyczaje. Miałam tylko jedno zadanie: spotkać się z nią, może nawet zbudować jakąś przedziwną relację w tajemnicy przed moją matką. Robiłam to w pierwszej kolejności dla siebie, potem dla niej, dla taty również. Może gdyby nam o niej powiedział jeszcze za życia, udałoby się lepiej to rozegrać? Choć nie mam pewności, czy byłoby to uczciwie ze względu na

mamę. Może i to nasze spotkanie teraz nie jest uczciwe, ale czyż ja muszę być wzorem uczciwości i prawości? Kto z nas jest?

Potrzebowałam obecności Stefanii w moim życiu, ponieważ wszystko zaczęło mi się niebezpiecznie plątać, zapętląć, zaciskać na krtani. Nie mam ojca, nie utrzymuję kontaktów z siostrą, szarpie ze wszystkich stron mój związek małżeński, więc żeby już całkiem nie zwariować, będę przytulać się do Stefanii, szukać w niej ojca, siostry, męża, siebie samej. Wsiadaliśmy z samochodu. Sąsiadka swoim zwyczajem czaiła się za płotem i majstrowała coś przy karmniku dla ptaszków. Ubrana w legginsy i dres w różowym kolorze, wymalowana i wyczesana jak na bal sylwestrowy, długimi szponami dłubała w woreczku z nasionami. Pozdrowiliśmy się skinieniem głowy. Stefania spojrzała na mnie i uśmiechnęła się znacząco.

- Poluje na mojego męża - powiedziałam, cicho zamykając samochód i szybko zdałam sobie sprawę, jak niestosowna była to uwaga, ale zamiast tłumaczyć, że nie to miałam na myśli, poprowadziłam gościa do środka.

- Jak tu macie pięknie i gustownie! Taka ładna działka i gdyby nie ta sąsiadka, mielibyście sporo prywatności jak na taką lokalizację.

- Ja też się tutaj dobrze czuję, tylko mój syn narzeka, że daleko ma do miasta.

- No tak, on jeszcze nie tęskni za ucieczką od miejskiego zgiełku, młody jest, to taki właśnie zgiełk jest mu po prostu potrzebny do życia. - Stefania przestąpiła próg mojego domu. Tato, czy widziałeś to?!

Weszliśmy do holu i szybko odwiesiliśmy płaszcze w garderobie. Stefania zdjęła buty i ustawiła je równo obok skrzyni. Podsunęłam jej pod stopy moje pantofle. Założyła je i podziękowała mi uśmiechem.

Oprowadzałam ją po domu, zaglądałyśmy do każdego pomieszczenia, opowiadałam, skąd pochodzą meble, gdzie kupiliśmy obrazy, kto wieszał zasłony, gdzie śpimy, a gdzie wypoczywamy. Gabinet Radka, wysprzątaný i dobrze zorganizowany, nie wzbudził u niej takiego entuzjazmu jak pozostałe

pokoje. Zastanawiałam się, czy aby nie wysyłam złych fluidów, które ona wdychała i powoli zaczynała u niej kiełkować niechęć do mojego męża. Wiedziałam od początku, że będzie solidaryzować ze mną w moich chęciach i niechęciach.

- Poznam twoich panów?

Powiedziałam, że wyjechali do rodziny męża na weekend, co było zgodne z prawdą. Zabrali mamę i pojechali do Katowic, gdzie schorowany dziadek wydawał ostatnie tchnienie i rozdziałał majątek. Dziadek miał ponad dziewięćdziesiąt lat, kamienicę na obrzeżach miasta, dwa mieszkania w centrum i kilka działek, więc było na co czyhać. Konrad miał stać przy łóżku umierającego pradziadka i robić maślane oczy. Dziadek zwołał całą rodzinę, przeczując bliski koniec, żeby wyrazić swoją ostatnią wolę. Ja nie zostałam zaproszona, dał mi jasny sygnał, że nie przewiduje żadnego zapisu dla mnie.

Na początku małżeństwa z Radkiem wydawało mi się, że mnie polubił, ale potem stopniowo raczył mnie cierpkimi uwagami, żeby na koniec zwracać się do mnie per „pani Izabelo”. Nie wiem, czym mu podpadłam, ale najpewniej poglądami politycznymi, ponieważ dziadek był starym, zagorzałym komunistą. Generała Jaruzelskiego uważał za zbawcę narodu, podczas kiedy ja miałam go za zdrajcę i sługusa Moskwy. Cenił naszego byłego prezydenta i jego elokwentną małżonkę. Mnie on się wydawał zbyt śliski, a ona - udawaczką, zbyt wyrachowaną jak na pierwszą damę. Dziadek gardził klerem, a ja go jednak trochę broniłam, bo nie wszyscy przecież byli darmozjadami i pedofilami. Jerzego Urbana uważał za inteligentnego i odważnego człowieka, a ja za obleśnego zbrojeńca. Zachwycał się Putinem, który „trzymał za mordę Rosję i bardzo dobrze, bo z nimi tylko tak można”. Widywałam go rzadko, ale zawsze przy okazji jakichś rodzinnych okoliczności, kiedy alkohol serwowano bez ograniczeń, a potem wywiązywały się głupie dyskusje polityczne. Wypowiedziałam swoje zdanie przy jakiejś okazji i właśnie wtedy woda na naszym jeziorku rodzinnym zaczęła stopniowo zamarzać.

Dziadkowi zbierała się ślina w kąciku ust, kiedy wypowiadał słowo „Solidarność”. Zawsze musiał potem wycierać się serwetką. Choć nigdy nie zostało to powiedziane, byłam przekonana, że pracował w SB czy UB i nie był tylko tajnym szarym współpracownikiem, ale zaangażowanym działaczem, który z miłością odnosił się do swojej pracy. Pogardzał wszystkim, co nie było reżimem i teraz na stare lata ani nie zmądrzał, ani nie złagodniał. Stary bęcwał! Miałam gdzieś te jego pieniądze niewiadomego pochodzenia.

Kiedy Radek obwieścił mi, że jadą do Katowic, zadzwoniłam do Stefani i zaprosiłam ją na sobotę. Konrada do podróży na Śląsk mój mąż przekonał obietnicą spadku, a syn nie był w stanie powiedzieć „nie”, kiedy chodziło o pieniądze. Radek obliczył, że jest ich dziewięć, więc dziadek będzie dzielił swoje skazone przestępstwem dobra aż na dziewięć części. Mama Radka, jego ukochana córka, liczyła na największy kawałek tortu.

Opowiedziałam o tym Stefani.

- Tak, Franciszek opowiadał mi o nim i o jego zaciętrzewieniu, możesz sobie tylko wyobrazić, jak pomstował! Twój tata był miłośnikiem prawicy.

- Musiał zapisać się do partii, pamiętam, jak ubolewał z tego powodu, ale architekt w socjalistycznym kraju musiał należeć do PZPR - przypomniałam sobie.

- Jak mawiał: „nadgorliwość jest gorsza niż faszyzm”. Stare dzieje, potem była już wolna Polska i zdążył się nią nacieszyć.

- Stefania usiadła w fotelu, skrzyżowała nogi i zaproponowała, żebym mówiła jej na „ty”. Wyciągnęłam butelkę francuskiego wina i nalałam nam do kieliszków. Upiła łyk i wzniosła oczy do nieba.

- Wspaniałe! Bardzo lubię wino, ale nie bardzo mnie stać na dobre. Twój tata przynosił mi czasami jakąś buteleczkę i... - zawiesiła głos. Spojrzałam na nią z wyczekiwaniem. - Nie wiem, Iza, czyja ci aby nie robię przykrości tym ciągłym nawiązywaniem do osoby twojego taty?

- Wręcz przeciwnie! - zaprotestowałam. - Ja tego bardzo potrzebuję. Chcę, żebyś mi o nim opowiadała.

- Tęsknisz za nim?

Nie śpieszyłam się z odpowiedzią. Stefania przystawiła kieliszek do ust i przez chwilę patrzyła przed siebie. Miała piękne dłonie, delikatne, wypielęgnowane, drobne. Trzymała kieliszek za nóżkę i delikatnie nim obracała, bujając wino. Ubrana była w golf koloru miodowego i ciemną spódnicę. Na przegubie dłoni dyndało kilka bransolet w odcieniu starego złota. Nie miała innej biżuterii. Wszystko na niej leżało doskonale, zachwycałam się każdym szczegółem. Ciekawe, czy spodobałaby się również Marlenie? Zobaczyłam wtedy moją mamę, zdenerwowaną, obrażoną na otaczający ją świat, pełną pretensji, w szarym dresie i bezrękawniku czerwonego koloru, jak zapadnięta w fotel robiła na drutach sweter.

- Obie za nim tęsknimy - powiedziałam wreszcie. - Ty inaczej, ja inaczej. Zdradził ci, że ma raka?

Stefania pokręciła przecząco głową.

- Kilka razy źle się poczuł, nie jedliśmy już obfitych posiłków, nie piliśmy wina. Widziałam, że coś się dzieje, ale nie chciałam wiedzieć. Wiesz, Iza, to się stało tak szybko. Widywaliśmy się bardzo rzadko, od lata do śmierci może cztery, pięć razy... Kiedy był u mnie ostatni raz, miał już trudności z chodzeniem, podtrzymywałam go na schodach. Przyjechał i odjechał taksówką. Nie pożegnaliśmy się, byłoby to zbyt ostateczne.

Ze zgrozą pomyślałam o tym ich ostatnim spotkaniu. Jakie to musiało być tragiczne, że chorował i umierał z dala od niej. Nie mogła nawet się dowiadywać, jak się czuje, nie mówiąc już o wizycie.

- Wolałabyś, żeby ci powiedział i zegnał się z tobą? - zapytałam, patrząc jej w oczy.

Przechyliła kieliszek i wypita do końca jego zawartość.

- Nie. Przez te wszystkie lata oszczędzaliśmy sobie nawzajem. To był może i nieprawdziwy związek, bo nie musieliśmy rozwiązywać problemów i nie mieliśmy żadnych trosk, ale dzięki temu był to duet idealny. Niczym niezaśmiecony i nieoszepony. Kiedy zachorował, zachowywaliśmy się tak samo,

rozmawialiśmy, czytaliśmy, przytulaliśmy się, omijając szerokim łukiem temat choroby i nadciągającej śmierci.

Wstałam z kanapy i poszłam do kuchni. Stefania została w salonie. Odkręciłam kran i gapiłam się na strumień wody. Kiedy zaczął lecieć wrzątek, umyłam ręce. Było mi zimno. Kilka razy próbowałam sama rozpałić w kominku, ale nigdy mi się nie udawało, postanowiłam podjąć kolejną próbę. Stefania zaoferowała pomoc, ale zaznaczyła, że nigdy tego nie robiła. Przyniosłam drewno z szopy, małe szczapki, stare gazety i pudełko zapalek. Po pierwszej próbie buchnął wspaniały płomień, obie zapiszczałyśmy z radości. Byłam z siebie bardzo dumna, w pierwszym odruchu chciałam zadzwonić do Radka i mu się pochwalić, ale zrezygnowałam, nie chciałam zakłócać powagi czuwania przy umierającym, który zostawiał im majątek do podziału. Tam tysiące złotych, tutaj wąły płomień w kominku. Bez porównania!

Stefania pomogła mi przyrządzić filety z łososia w sosie bezszamelowym. Obie nie jadłyśmy ziemniaków, więc przygotowałam trzy sałatki, grecką bez oliwek, z białej kapusty i kalafiorową. Zrobiłam dwie maleńkie grzanki z masłem czosnkowym i ziołami. Zdecydowałyśmy się jeść w kuchni.

- Lubisz gotować? - zapytałam.

- Bardzo. Sprawia mi to prawdziwą przyjemność, kiedy wracam z pracy. Pracuję w księgarni, wierzysz, dwadzieścia lat w księgarni, która jakimś cudem przetrwała przemiany w mieście i wciąż jest w tym samym miejscu.

Stefania opowiadała przez chwilę o książkach, właściwie o miłości do literatury, potem znów wróciłyśmy do gotowania i tematu naszego rodzinnego miasta. Opowiadała o nim, jakby była przewodniczką z Orbisu. Wspomniała również, że przez trzy lata mieszkała w Ameryce. Właśnie kiedy wróciła z Chicago, zagubiona, zdezorientowana i przerażona niemożnością przystosowania się do życia w Polsce, poznała mojego ojca. Kamienica, w której mieszkała i prowadziła księgarnię, doczekała się remontu finansowanego przez miasto, ale wiązało się to z częstymi wizytami w urzędach, jednym z nich było Biuro

Projektów. Nie pamiętała, co miała załatwić, ale Franciszka przytrzymującego drzwi do windy zapamiętała bardzo dobrze. Potem jej się przyśnił, zaczęła o nim myśleć, a kiedy już pierwsze zauroczenie nieznanym zaczęło tracić na mocy, przyszedł do jej królestwa książek, ubrany w skórzaną kurtkę i sztruksowe spodnie, wypachniony i elegancki. Skromna Stefania uznała tę wizytę za przypadek, ale, znając mojego ojca, przypadek to nie był. Miłował piękno kobiet i budynków, wszyscy o tym wiedzieliśmy! Pomogła mu wybrać kilka książek na prezenty gwiazdkowe dla całej rodziny. Zawsze dostawaliśmy na Mikołaja książki. Zapytałam, czy pamięta, jakie pozycje wybrał. Pamiętała.

- *Kłębowisko zmij* Mauriaca. *Pocałunek Trędowatemu* Mauriaca. *Szczęśliwi z Wyspy Rozpaczy* Bazina. I coś Romaina Gary... Powieść, jaką wydał pod pseudonimem Ajar - Stefania wymieniała bez zająknięcia.

- Więc pisarze francuscy, a nie, jak twierdzi uparcie moja mama, rosyjscy! - krzyknęłam z satysfakcją w głosie. Spojrzała na mnie łagodnie.

- Lubił Sołżenicyna i Czechowa. Sama mu kupiłam *Archipelag Gułag*, ale najbliższa jego sercu była literatura francuska. A ty co czytasz?

- Teraz nic - przyznałam niechętnie. - Ale kiedyś zaczytywałam się w pisarzach amerykańskich. Ostatnią książką, jaką przeczytałam, był *Kod Leonarda Da Vinci*. Od razu mówię, że bardzo mi się podobała. Marlena czyta bez przerwy, po kilka książek naraz, a ja jakoś nie odziedziczyłam po tacie tej pasji. Mój syn też nie czyta nic poza lekturami. Ubolewam, ale nie będę go zmuszać. Gdyby żył tato, znalazłby sposób, żeby go zachęcić do czytania tak jak nas, kiedy byliśmy w wieku mojego syna.

Stefania zamyśliła się. Im więcej wlewałam w siebie wina, tym bardziej chciałam dowiedzieć się, jak potoczyła się jej znajomość z moim tatą. Powodowała mną ciekawość, ale też wielka potrzeba drażnienia tego tematu. Zapytałam wprost, zapewniając ją, że nie sprawia mi przykrości tymi wspomnieniami.

- Przychodził do księgarni raz w tygodniu, żeby porozmawiać. Tak trochę jak w filmie *Znachor*, tylko że ja nie

sprzedawałam tytoniu i nici. Stał oparty o ladę i gawędziliśmy. Nie muszę ci chyba mówić, jak bardzo czekałam na te jego wizyty. Moje życie toczyło się rytmem od piątku do piątku, miałam co wspominać przez sobotę i niedzielę - opowiadała, uśmiechając się do tych wspomnień.

- Czarował cię? - Nie wiem, po co zadałam takie osobiste pytanie, ale nasza rozmowa już nie mogła oszczędzić ani jej, ani mnie, zagalopowałyśmy się. Druga butelka wina wjechała na stół.

- Nienachalnie w każdym razie. Podobaliśmy się sobie, ale przecież on był żonaty, nie zapomniałam o tym. Nie miałam wyrzutów sumienia, przez kilka miesięcy nasza znajomość nie posuwała się w kierunku... no wiesz... cielesnym.

Stefania uciekła wzrokiem, trochę jednak byłyśmy skrupowane. Nie chciałam słuchać o ich pierwszym pocałunku lub, Boże broń, pierwszej nocy, choć musiałam przyjąć do wiadomości, że przez te osiemnaście lat ojciec nie stał tylko i wyłącznie przy ladzie w księgarni. Zastanawiałam się, czy był w tym ich związku taki moment, że chciała czegoś więcej? Przecież wszystkie kochanki żonatyh mężczyzn oczekują, że ich mężczyzna w końcu zostawi starą i skrzeczącą żonę, i przeniesie się do nich ze swoimi bagażami i nawykami. Przy drugiej butelce mogłam już o to zapytać. Stefania wahała się chwilę, czy powiedzieć mi prawdę, a może usiłowała sobie przypomnieć, czy wymuszała kiedykolwiek na nim jakieś deklaracje. Ponagliłam ją.

- To trochę tak, jakby się wchodziło w związek z mężczyzną na wózku inwalidzkim. Od początku wiadomo, że nie będzie chodził, więc ani się na to nie czeka, ani do tego nie dąży. Rozumiesz? Związek nie toczy się wokół ewentualnej zmiany układu, nie ma przeciągania liny, nie rodzi się pragnienie posiadania na wyłączność. Ja miałam tę świadomość, choć nie przeprowadziłyśmy żadnej rozmowy na ten temat. Zaoferował mi siebie w takim, jakby to określić, stanie, a ja mogłam albo na to przystać, albo nie. Opowiedział mi o was, zanim jeszcze zaprosiłam go na herbatę do siebie. Tak to opowiedział, że nie było wątpliwości, że was bardzo kocha i nigdy nie opuści. Myślę, że nie planował osiemnastu lat ze mną.

- Na wszystko się zgodziłaś - powiedziałam raczej, a nie zapytałam.

Usiłowałam sobie przypomnieć, czy przez te lata miał miejsce choć jeden podejrzany incydent, który mógłby dać nam do myślenia, że ojciec prowadzi podwójne życie. Ja niczego nie zauważyłam, gdy mieszkałam w domu, Marlena też nie, ponieważ mówiłyśmy sobie wszystko, a mama? Nie wiedziała czy wybrała nie wiedzieć? Nigdy jej o to nie zapytam, nie odbiorzę ojca, byłoby to bez sensu.

- Tyle lat w konspiracji i nie wpadliście... - powiedziałam z uznaniem.

- Wpadliśmy, ale poroniłam.

Stefania przeprosiła i wyszła do toalety. Przeszłam obojętnie nad tą rewelacją, nigdy poronienia nie wywoływały we mnie napadu współczucia lub wielkiego żalu. Nie rozumiałam, jak można kochać nienarodzone dziecko. Oczywiście, nie byłam aż tak nieczuła, aby wygłosić swój pogląd na tę sprawę przy Stefanii. Może był to chłopiec? Marzyłam o tym, żeby mieć brata, Marlena zresztą też, ale mama po urodzeniu mnie zarządziła abstynencję seksualną, która trwała i trwała, aż zrobiło się za późno. Nie oceniałam jej, sama nie mogłam się zmusić do urodzenia drugiego dziecka przez ostatnie dziesięć lat. Radek naciskał, ale wkrótce przestał, bo doprowadzał mnie do szału tymi rozmowami, uznał, że nie warto. Od lat miałam założoną spiralę, a ostatnio wróciłam do kalendarzyka małżeńskiego, ponieważ nasze życie seksualne obumierało.

Kiedy Stefania wróciła do salonu, nie zauważyłam żadnych podejrzanych oznak sesji płaczu w łazience. Zaróżowiona od wina, zrelaksowana usiadła na fotelu, zrzuciła pantofle i podciągnęła kolana pod brodę. Musiałam zapytać, ile ma lat.

- Skończyłam pięćdziesiąt trzy. Franciszek był ode mnie prawie dwadzieścia lat starszy, ale nigdy mi to nie przeszkadzało.

- A co czujesz, jak tak sobie tu we dwie siedzimy? - Nie umiałam opanować przemożnej chęci zadawania tego typu pytań.

- Jestem tak szczęśliwa, że nie potrafię tego wyrazić. Czuję się mniej trędowata... Szkoda, że nie ma tu twojej siostry, ona

jest tak podobna do Franciszka. Oczy, nos, usta, dłonie. Kiedy przysłała do mnie z pieniędzmi po pogrzebie, to aż mi dech zaparło w piersiach. Wiesz, ja tych pieniędzy nie potrzebuję i nie wydám. Założyłam lokatę, a jak już przyjdzie czas, to chciałam jej przekazać waszym dzieciom.

Powiedziała spokojnie. W każdej innej sytuacji taka deklaracja byłaby zawołowanym fałszem, ale wszystko to, co mówiła Stefania, pasowało do niej i do mojego wyobrażenia o jej życiu z ojcem. Nie było w niej ani deka pozy czy kłamstwa, nie udawała przede mną, żeby sobie zjednać sympatię czy miłość, ona po prostu taka była.

- Powinnaś gdzieś wyjechać, może w podróż dookoła świata? - zaproponowałam.

- Sama?

- Pojadę z tobą, jeśli chcesz. - Moja odpowiedź, choć nieprzemyślana, przyniosła nam powiew ciepłego, tropikalnego powietrza. Już rozkładałam leżaki przy basenie, a Stefania niosła nam po kieliszku białego wina. Przez chwilę planowałyśmy wakacje na wyspie Zanzibar. Tam chciała pojechać z ojcem i pewnie by pojechali, gdyby nie zachorował. Tylko w amerykańskich filmach córka leci na wczasy z kochanką zmarłego ojca, powiedziałam o tym Stefani.

- Przede wszystkim nie byłoby to fair w stosunku do twojej mamy.

- Fair szmer, nie powiemy jej, będziemy kontynuować politykę taty - czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal! Poza tym, mama nie podróżuje. Poza jedną podróżą poślubną nigdy nigdzie nie była, ponieważ nie jest ciekawa świata.

- Ja podróżuję palcem po mapie. Raz byłam w Chorwacji i raz na Węgrzech - dodała Stefania.

Wino już zaczęło zmieniać mój nastrój. Przygarniałam światło do piersi, całowałam Stefanię, pakowałam walizkę na Zanzibar, zapraszałam Marlenę, pisałam pożegnalny list do Radka. Wszystko pomiędzy łykami wina. Czułam się trzeźwa, ale trzeźwa nie byłam, Stefania trzymała się znacznie lepiej, zresztą piła mniejszymi łykami, z czym ja miałam ewidentny problem.

- Nie masz do mnie ani odrobiny żalu? - zapytała, kiedy zabrałyśmy się do zmywania po kolacji. Podawałam jej mokre talerze do osuszenia. Zmywarka wysiadła tydzień wcześniej, Radek postanowił mnie ukarać i jej nie naprawił, więc niszczyłam sobie dłonie w detergentach. To pytanie mnie rozbawiło.

- Żal? O co? Ze uszczęśliwiłaś mojego ojca? Mamy prawo do szczęścia, bo żyjemy tylko ułamek sekundy na tym świecie. Nie stała się żadna krzywda! Nikomu! Samo dobro wyniknęło z waszej miłości. Mam nadzieję, że dla ciebie też.

Podeszłam do Stefanii i wzięłam od niej miseczkę porcelanową, którą starannie wycierała. Stałyśmy naprzeciw siebie.

- Nie ma w tej historii przegranych, choć przyznam, ja nigdy bym nie poszła na taki układ - powiedziałam coś, co mogło jej sprawić przykrość, ale Stefania uśmiechnęła się tylko.

- Tego nie wiesz, bo nie byłaś w takiej sytuacji. Zanim poznałam Franciszka, chciałam mieć za męża nauczyciela historii, mądrego i dobrego, dwoje dzieci, dom nad jeziorem i własną księgarnię. Nawet umawiałam się z jednym nauczycielem, wprawdzie geografii, ale nauczycielem, bo wydawało mi się, że tego pragnę najbardziej. Potem pojawił się Franciszek i już nie chciałam ani męża w okularach, ani domu nad wodą, ani w ogóle niczego. Chciałam tylko być z nim tyle, na ile to było możliwe. I wiesz co? Nie żałuję ani minuty naszego wspólnego życia, choć pewnie wydaje się to szaleństwem. Moja mama rozpaczła całe lata, aż umarła ze zgrzyoty, ojciec nie odzywał się do mnie prawie wcale, brat prawił mi morały przy wigilijnym stole, kiedy się już upił. Nie znalazłam cienia zrozumienia u nikogo.

Stefania mówiła, a mnie się robiło coraz smutniej. My również za życia ojca nie zaoferowałybyśmy jej zrozumienia, może nawet uraczyłybyśmy ją agresywnym przyjęciem, ale teraz wszystko się zmieniło. Przede wszystkim to ja się zmieniłam.

- Ludzie zazwyczaj oczekują, że poszukamy szczęścia takiego, jakiego oni sami pragną. Nie mam córki, Stefania, ale gdybym miała, chciałabym myśleć, że stać by mnie było na zaakceptowanie jej wyborów, nawet takich, jakich moje serce i rozum nigdy by mi nie podyktowały. Jeśli Konrad zechce związać się

z kobietą starszą lub młodszą, czarną lub Azjatką, jeśli wybierze zawód spawacza, a nie lekarza lub pojedzie na misję na Madagaskar, to będę go wspierać. Postanowiłam to. Często o tym myślę, napominam siebie, bo nic mnie tak nie męczy jak ludzkie oceny, wymagania, oczekiwania i strach w stylu: „co powiedzą, jeśli zrobimy po swoim?”. Nie wolno tchórzzyć, trzeba iść własną drogą i pozwalać innym na to samo.

Pierwszy raz tak otwarcie formułowałam swoje myśli. Głównie dlatego, że nikt wcześniej nie chciał tego słuchać. Z Radkiem rozmawialiśmy tylko na bieżące tematy, czasami obgadaliśmy otoczenie i komentowaliśmy to, co serwowała telewizja. W pracy nieustające ble, ble, ble. Z mamą wyklócałam się o drobiazgi, ale nigdy nie pytałyśmy siebie nawzajem, co myślimy i co czujemy. Nie miałam przyjaciół nadających na tych samych falach, może nawet w ogóle nie miałam przyjaciół? Swego czasu umiałam rozmawiać tylko z Marleną.

Wyciągnęłam butelkę wódki. Stefania pokręciła głową. Nalałam sobie drinka z sokiem pomarańczowym. Dochodziła północ, moje duchy już pukały do okien, zakradały się do środka przez szczeliny, pełzły po dywanie. Przysunęłam fotel bliżej Stefanii i wyciągnęłam do niej dłoń.

- Pomóż mi - powiedziałam cicho.

Ujęła moją dłoń i zatrzymała w swojej. Rozeszło się przyjemne ciepło. Miała takie spokojne oczy, ciemnobrązowe, bezpieczne. Kilka zmarszczek wokół ust nie postarzały jej jak innych kobiet. Chciałam, żeby mnie pogłaskała po twarzy.

- W czym mam ci pomóc, kochanie? - zapytała. Nie mogła się nawet domyślać, o co chcę ją prosić.

- Pogodzić się z Marleną.

Wpatrywała się we mnie, ale nie reagowała. Kiedy Stefania weszła do mojego domu, nie miałam zamiaru w ogóle poruszać tego tematu. Chciałam porozmawiać o ojcu, wspominać, poużalać się nad sobą i nagle przez Stefanię zapragnęłam pozatwarzać wszystkie swoje sprawy - obarczyć ją problemami, zaangażować w te bóle procesy godzenia, pogodzenia, wychodzenia ze studni. Chciałam, żeby naprawiła moją rodzinę, żeby

mi przybliżyła Radka, załatała wszystkie wielkie dziury w mojej głowie. Chyba właśnie po to ją tu zaprosiłam, w chwili, kiedy już absolutnie wszystko wymknęło mi się spod kontroli. Nie pannałam już nad niczym, chciałam wszystko przekreślać, gdzieś uciekać, nic ze sobą nie zabierać. Powiedziałam jej o tym, jak trzy lata ciszy pomiędzy mną i moją siostrą spaliło naszą zieloną łąkę i obróciło ją w piach i pył. Potraktowałam ją okropnie, wyszczeżałam tyle przykrych słów, a ona po prostu chciała mnie oszczędzić. Dlatego nie powiedziała mi prawdy o pieniądzach, jakie pozostawił tato, co komu i dlaczego. Uznała, że nie jestem gotowa na taki szok, ale choć się myliła, miała prawo tak pomyśleć. Nie wiem, jak bym zareagowała po pogrzebie, gdyby mi przedstawiła Stefanię. Może obawiała się mojej furii i gwałtownej reakcji, która mogłaby tej kobiecie wyrządzić krzywdę. Podejrzewała, że jestem zdolna do awantury, która przeniosłaby się do jej mieszkania nad księgarnią. Zrozumiałam to wszystko, ale wcale nie było mi łatwiej.

Musiałam też opowiedzieć Stefanii o mojej pretensji do ojca, że nie kochał mnie tak samo jak jej, że mnie odtrącił, bo nie spełniłam jego oczekiwań. Potem jeszcze o tych życzeniach na urodziny Marleny, kiedy narysował jej w pamiętniku helikopter i napisał, że kocha ją najbardziej na świecie! Stefania była coraz bardziej przerażona. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami w orzechowym kolorze i zaczynał jej drgać podbródek. Z pewnością brała poprawkę na to, że się upiłam, ale czyż po pijanemu właśnie nie mówi się całej prawdy i tylko prawdy?

- Izuniu, dziecko kochane... - Pociągnęła mnie do siebie.
- Co ty mówisz? Jakaś błahostka przekształciła się w twojej głowie w taki absurd? To absurd! To nie jest prawda! Twój tato kochał cię nad życie! Boże, jak on by cierpiał, gdyby to słyszał!

- Ale on nie cierpi. Ja cierpię! - Nie płakałam, ale szlochałam. Stefania gładziła mnie po głowie.

- Musisz iść do psychologa, rozmawiać o tym, nie hoduj w sobie takiej zatrutej rośliny. Przez te lata spędzone z Franciszkiem dużo rozmawialiśmy o was dwóch. O waszej mamie nie, ale o was bardzo często. Nigdy, ale to nigdy, nie usłyszałam

w jego głosie jakiegoś faworyzowania twojej siostry, wręcz przeciwnie, więcej mówił o tobie!

- Naprawdę?

- Tak. O twojej pracy, synu, mężu, którego szanował i lubił. Wiem, gdzie jeździliście na wczasy, wiem z kim. Pamiętam twoje choroby, przechodziłaś różyczkę, złamałaś duży palec u stopy przy graniu w piłkę, jesteś uczulona na sierść kotów i królików, nie pijesz mleka, mówisz po angielsku lepiej niż Marlena.

Sprawiałam jej ból, tak mocno ścisnęłam jej dłoń.

- Wychwalał twój gust i poczucie estetyki. Patrząc na twój dom, wiem, że miał rację! Zawsze mówił, że bliskie są tobie, tak jak jemu, architektura i konstrukcje. Wiem jeszcze jedno, że uwielbiasz patrzeć na dźwigi! Fascynują cię tak, jak Franciszka. Masz jego niezależność i wolność ducha oraz lotność umysłu, takie samo poczucie humoru i w ten sam sposób odnosisz się do świata! Może Marlena jest do niego fizycznie podobna, ale to ty odziedziczyłaś większość jego cech! On o tym wiedział, choć nie zaliczał się do tych ojców, którzy w potomstwie kochają samych siebie. To, co mówisz, zaszokowało mnie kompletnie! Jak mogłaś się tak pomylić?!

Jak mogłam? Siedziałam zdrętwiała i obolała.

- Myślisz, że mnie kochał? - Jeszcze mi było mało katowania tej kobiety.

- Bardzo, bardzo! Dla Marleny był może trochę surowszy, bo była starsza i po trosze traktował ją jak syna, ale ty byłaś jego dziewczynką, którą chciał chronić przed całym złem tego świata. Gdy wyprowadzałaś się do Warszawy, co ci powiedział?

Wzruszyłam ramionami, zawiodła mnie pamięć.

- Powiedział ci: „jedź, córcia i pokaż im, co potrafisz! Życie bez ciebie w pobliżu będzie jak życie po amputacji kończyny, ale twoje szczęście jest najważniejsze, ja miałem cię dla siebie przez wiele lat. Wspaniałych lat!”.

- Tak. Powiedział coś takiego - przytaknęłam.

Siedzieliśmy w milczeniu, a po chwili Stefania podniosła się z fotela i zaproponowała, żebyśmy poszły na spacer. Był to dziwny pomysł, ale przystałam na niego. Ubrałyśmy się szybko,

po czym wyszliśmy na listopadowy chłód i mżawkę. Prowadziła mnie pod rękę, udając, że nie widzi, jak się zataczam.

- A co z Marleną? Byłam dla niej okropna, a ona tylko chciała... też po trosze ciebie chronić. Tak mnie to męczy, już mnie to prawie zabiło...

Oddaliśmy się od domu. Stefania mnie prowadziła i coraz mocniej ścisnęła. Maszerowaliśmy równym krokiem.

- Będziesz musiała to sama załatwić, Marlena na pewno na to czeka! - powiedziała.

Potem już szliśmy w milczeniu, aż nie zdecydowała, że czas zawrócić. W powrotnej drodze opowiedziałam jej o Alexie i jego perypetiach. Kiedy wróciliśmy do domu, czułam się zmęczona, ale już zupełnie trzeźwa. Stefania ułożyła mnie do snu w małżeńskiej sypialni i pogasiła światła. Nie włączyłam alarmu, Radek miałby coś przykrego do powiedzenia pod moim adresem, ale on się nie dowie. Zanim zasnęłam, pomyślałam, że trochę za nim tęsknię i że tę sprawę też będę musiała sama załatwić, i to jak najszybciej.

Marlena

Dwudziesty ósmy ślad hamowania

Wpatrywałyśmy się z Emilką w tablicę informacyjną, trzymając się za ręce. Większość lotów była odwołana z powodu dużych opadów śniegu, jednak niektóre samoloty odlatywały planowo lub z opóźnieniem. Pasażerowie, którzy tak jak my postanowili w ostatniej chwili dołączyć do swoich bliskich na Boże Narodzenie, mieli poważny kłopot. Raporty donosiły o tysiącach ludzi koczujących na lotniskach bez nadziei na spędzenie świąt z rodziną. Zanim wyruszyłyśmy z domu, sprawdziłam w internecie nasz lot. Informacja była jednoznaczna - *on time!* Ale kiedy dotarłyśmy na lotnisko, dobry humor szybko mnie opuścił. Zdenerwowani i roztrzęsieni ludzie biegali od stanowiska do stanowiska, żeby się czegoś dowiedzieć. Informacja była towarem najbardziej pożądanym i równie mocno deficytowym. Pracownicy lotniska nie grzeszyli uprzejmością, czym jeszcze bardziej irytowali niedoszłych pasażerów. Wszyscy byli naburmuszeni i zniecierpliwieni, jedni zadawaniem pytań, drudzy odpowiadaniem na nie.

Emilia wpadła w panikę, kiedy trzy loty bezpośrednio przed naszym zostały odwołane.

- Nasz też skanselują, zobaczysz... - Obgryzała paznokcie zupełnie jak Natalia. Musiałam ją trzepnąć po palcach.

- Odwołają, a nie skanselują. Dbaj trochę o język. A ja mam przeczucie, że odlecimy, ale nie gapmy się już tak na tę tablicę,

bo dostaniemy zapalenia spojówek. Idź i kup nam po drinku. Napiłabym się alkoholu, może nawet czystej wódki.

- Mamo, no co ty?

- A prawda, mogą ci nie sprzedać, to ja pójdę. Pilnuj walizek.

- Ale wróć zaraz, ja tu nie chcę sama siedzieć. Ten koleś obok dziwnie się na mnie patrzy.

Spojrzałam na młodego człowieka gapiącego się bezmyślnie na moją córkę. Nie wyglądał podejrzanie, co najwyżej mało atrakcyjnie z rozchyłonymi ustami i wytrzeszczonymi oczyma. Dekolt! To tam zawiesił się młodzieniec. Dyskretnym gestem uzmysłowiłam to Emilii, zanim poszłam po drinki. Zapięłam kurtkę na ostatni guzik i wzniosła oczy do nieba.

Przy barze spotkałam Hadona Williamsa, adwokata Danki. Popijał piwo i rozglądał się dookoła z wielkim zainteresowaniem. Stanęłam obok i szturchnęłam go w ramię. Spojrzał na mnie, ale mnie nie poznał. Szybkim ruchem ściągnęłam czapkę z głowy.

- Hej! Ale spotkanie. - Uścisnął mi dłoń, a potem cmoknął mnie w policzek. Taka serdeczność była na miejscu, w końcu łączyła nas niepewność lotniskowa.

- Lecisz do Polski na święta?

- Taki był plan - odparłam z uśmiechem.

Zamówiłam podwójną whisky Single Malt z lodem. Hadon gwizdnął z uznaniem. Jako Szkot nie był zaskoczony, że kobieta pije tego typu trunku o dziesiątej rano. Objąśniłam szybko, że to lekarstwo na stres. Porozmawialiśmy krótko o jego planach świątecznych, on również miał nadzieję odlecieć do Edynburga do żony i dzieci, które już tam z jego rodziną świętują. Nie musiałam się długo zastanawiać, czy mu opowiedzieć o moich zamierzeniach względem Justyny, wiedziałam, że się ucieszy.

- Wracamy trzeciego stycznia do Anglii i Justyna przyleci zaraz po nas. Moja córka po wakacjach przenosi się do Londynu na studia, więc aby nie zapaść na syndrom pustego gniazda, biorę sobie inne pisklą pod skrzydła. Zgodziła się chętnie, myślę, że to najlepsze wyjście. Na początku grudnia zmarł ojciec Danki,

a mamę wziął do siebie jeden z jej synów. Jakkolwiek to zabrzmiało, dobrze się stało, Justyna nie musi już się nim opiekować.

- Wspaniała wiadomość, oczywiście nie ta o śmierci starszego pana, ale o przyjeździe Justyny. Jesteś naprawdę dobrym człowiekiem i przyjaciółką. Jeżeli chcesz, to napiszę o tym do Danki - zaferowałam, ale odmówiłam. Krótko wyjaśniłam, że Danką miała pewne życzenia, jakie zawarła w swoim liście i postanowiłam uszanować jej wolę do chwili, kiedy nie zmieni zdania. Byłam pewna, że kiedyś to nastąpi.

- Najważniejsze, że Justyna się zgodziła i to dość chętnie. Zapisaliśmy ją na intensywny kurs języka angielskiego i znalazłam zajęcie na pół etatu w kawiarni, żeby miała swoje pieniądze i była niezależna. Jest młoda i może kształcić się, zdobyć jakiś zawód, będę się nią opiekować. Mam nadzieję, że się dogadamy.

Opowiedziałam mu o naszej rozmowie z pominięciem momentu, kiedy Justyna zakomunikowała mi, że tylko do mnie ma zaufanie, bo moja siostra i Natałka, jak przyjechały, narobiły szumu i zamieszania, naobiecowały gruszek na wierzbie i tyle ich widzieli! Wspomniała, że zostawiły trochę pieniędzy dla zagłuszenia pomstującego głosu sumienia. Stałam w ich obronie, ale nie chciała słuchać. Powiedziała, że przyjedzie, bo w Polsce ludzie jej i tak żyć nie dadzą. Mogłam się tylko domyślać, jak polska wieś przyjęła wiadomość, że ich krajanka zabiła męża, straciła dziecko i dostała dwadzieścia pięć lat do odsiedzenia w angielskim więzieniu. Hadon zapytał jeszcze o moje plany.

- Miałam przeprowadzić się z powrotem do Polski, żeby Emilia mogła sobie spokojnie studiować, ale w zaistniałej sytuacji muszę zmienić plany - odparłam. Hadon poczęstował mnie swoją kanapką z tuńczykiem. Gdyby nie obawa, że będę miała potem rybny oddech, pewnie bym się skusiła, bo umierałam z głodu.

- To dobrze czy źle z tą zmianą planów? - zapytał, drapiąc się po policzku.

Zajadał swojego tuńczyka z selerem i majonezem i bacznie mi się przyglądał. Sprawiał wrażenie człowieka, który po raz

pierwszy w życiu wyszedł z domu nieogolony i nie pachnący. Krępowano go moje natarczywe wpatrywanie się w jego twarz.

- Dobrze. Nie chcę mieszkać w Polsce, odzwyczaiłam się. To znaczy, Polska jest mi bliska, nie zrozum mnie opacznie, ale kochać ją mogę również na odległość. Tutaj muszę się przeorganizować, przede wszystkim poszukać jakiejś pracy, bo samo brzmienie słowa *insurance* wywołuje we mnie myśli samobójcze. Wyobrażasz sobie coś nudniejszego niż wciskanie ludziom polis ubezpieczeniowych?

Pokręcił przecząco głową.

- Ja też nie. Powiem więcej, nie znoszę agentów ubezpieczeniowych ani jak mi polisę sprzedają, ani jak potem staram się z tej polisy skorzystać. Zawsze coś tam jest naskrobane drobnym druczkiem i jak przyjdzie co do czego, to są trudności.

Telefon zabręczał w kieszeni moich spodni. Emilia przysłała mi sms-a, żebym natychmiast przestała flirtować z tym olbrzymem. Pomachałam do niej, siedziała zaledwie kilka metrów od nas. Hadon pomachał jej również.

- Jeślibyś chciała, to możesz wpaść do mojego biura po świętach. Zwalnia się etat mojej asystentki, może byłabyś zainteresowana? Prowadzę sporo spraw Polaków i Litwinów, a ty, zdaje się, znasz dobrze rosyjski i polski? Jesteśmy małą firmą, ale rozkręcamy się - zwrócił się do mnie po przełknięciu ostatniego kęsa.

Nabrałam dziwnych podejrzeń co do tej nagłej propozycji i musiałam natychmiast coś wyjaśnić, mianowicie moją sytuację sercową. Nie byłam do wzięcia i powiedziałam mu o tym.

- Proszę cię! Ja mam żonę i trójkę dzieci! - Oburzenie w głosie Hadona było szczere.

- Fakt posiadania żony i dzieci raczej mężczyznom w romansach nie przeszkadza. Ale okej, przepraszam, źle oceniłam twoje intencje. - Szybko skorygowałam swój nietakt.

- No wiesz... Tak całkiem to się nie pomyliłaś... - Hadon mrugnął do mnie, ale zaraz potem dodał, że żartuje. Uwierzyłam. Moja nudna praca w firmie ubezpieczeniowej znalazła się

na pierwszym miejscu listy spraw „do usunięcia”, którą miałam realizować po Nowym Roku.

Nie miałam kwalifikacji, aby ubiegać się o posadę *legal secretary*, ale miałam znajomość z szefem, a przecież złota zasada mówi: *not WHAT you know but WHO you know* i obowiązuje na całym świecie. Chyba mogłabym dla niego pracować. Prowadził interesujące sprawy cywilne, był miłym i kulturalnym panem, a przy tym jego szkockie pochodzenie nie kłóciło się z moją polskością serca, wręcz przeciwnie, była szansa na ładne uzupełnianie się w pracy. Rozważałam jego propozycję kilkanaście sekund i obiecałam, że przyjdę do biura piątego stycznia. Zapytałam, czy nie obawia się, że mogę się nie nadawać do tej pracy, gdyż formalnych kwalifikacji nie mam.

- No co ty! Ktoś po piekle ubezpieczeń nada się na każde stanowisko. Wprawdzie już komuś obiecałem tę posadę, ale choć raz mogę się zachować niehonorowo i cofnąć dane słowo. Instynktownie czuje, że ty wykonasz lepszą robotę, a w dodatku dzisiejsze spotkanie to nie przypadek, a znak.

- Wierzysz w znaki? - zapytałam, ściskając mu dłoń.

- Znaki są wszędzie, trzeba dobrze patrzeć. - Cmoknął mnie na pożegnanie, a ja wzruszyłam się jeszcze bardziej. Życzyliśmy sobie wesołych świąt i jeszcze raz umówiliśmy się na ponowne spotkanie w jego biurze.

Kiedy wróciłam do Emilii, na tablicy informacyjnej obok naszego lotu wyświetlił się napis: *go togate*.

Wprawdzie samolot czekał na pozwolenie na start około godziny, ale - choć z wielkim opóźnieniem - w końcu oderwał się od ziemi. Emilia nałożyła słuchawki i zasnęła w kilka minut. Bardzo jej zazdrościłam, ja nie umiałam spać na siedząco. Mężczyzna siedzący obok bez przerwy trącał mnie łokciem i wiercił się na siedzeniu, jakby miał owsiki. Rzuciłam mu kilka karzących spojrzeń, ale nie odniosło to skutku. Nie miałam pewności, czy posiadał robaki w tyłku, ale w zamian za to miałam absolutną pewność, że się rano nie mył. Nie był Hadonem, który nawet nieogolony i wczorajszy był jednym z najpiękniejszych

mężczyzn, jakich poznałam. Westchnęłam sobie. Pomyślałam, że będzie mi bardzo miło pracować w jego otoczeniu.

Wypita podwójna whisky dawno już ze mnie wywietrzała, przestałam czuć się beztrosko i lekko. Czekają mnie spotkanie po latach - z mamą, Izką, Radkiem i Konradem. Kiedy mamie obwieściłam, że przylatujemy na święta, przeraziła się. Myślała, że jestem chora, że mam raka jak ojciec, że Emilia umiera, że koniec świata bliski. Tłumaczyłam spokojnie, że nic się nie stało, ale mamy tyle do opowiedzenia, że przez telefon po prostu się nie da. Kiedy ją należycie uspokoiłam, ucieszyła się, popłakała, zasypała pytaniami, co chciałibyśmy zjeść i co nam kupić na prezent pod choinkę. Poprosiłam ją na koniec, żeby uprzedziła Izkę, że przylatujemy. Jeśli będzie mieć coś przeciwko spędzeniu kilku dni świąt w naszym towarzystwie, będzie musiała pozostać w Warszawie. Nigdy tego nie robiła, Radek co roku wściekał się, że nie chce spędzić Wigilii z jego matką, ale moja siostra się nie ugięła. Kłócili się, godzili, a jednak zawsze święta spędzali u naszych rodziców, a teraz już tylko u mamy. Izka argumentowała, że cały rok jest do dyspozycji teściowej w Warszawie, chodziło o obiady, wizyty, imieniny, ale Boże Narodzenie ma zamiar spędzać w domu rodzinnym. Trochę mi imponowała, ja w swoim małżeństwie zawsze ulegałam sugestiom Alana i robiliśmy to, co on zaplanował, w miejscach, jakie wybrał sam. Na szczęście, miałam to już za sobą.

Zastanawiało mnie, czy ktoś poza mną wie, że zabieram Justynę do siebie? Nie konsultowałam tego z nikim, wspomniałam tylko Alexowi, że taka myśl rodzi się w mojej głowie, ale prosiłam, żeby zachował to dla siebie, bo jeśli plan nie wypali, nie będzie zawiedzonych nadziei. Zgodził się ze mną, że to najlepsze wyjście z sytuacji i swoim zwyczajem zaoferował pomoc. Kiedy zapytałam, gdzie będzie spędzał święta, opowiedział mi o najnowszym filmie dokumentalnym, jaki obejrzał na Discovery. Scott miał się lepiej niż bardzo dobrze, w cztery miesiące od wypadku wrócił do pełnej sprawności fizycznej i nie wydawał się już pamiętać o traumatycznych wydarzeniach. Margot nie stanęła na nogi wbrew optymistycznym przewidywaniom

lekarzy i fizjoterapeutów. Poruszała się na wózku inwalidzkim, kaprysiła i użalała nad swoim losem. Bogaty kochanek uciekł przerażony wizją, iż jego piękna lala będzie do końca życia parkować na kopercie dla inwalidów. Walczył o nią desperacko, kiedy była seksowną i wyniosłą adwokatką, wyjadał truskawki z jej pępka, fundował luksusy i wielbił nawet cień, jaki rzucała, gotów był usynowić Scotta, a teraz uciekł. Według Alexa, widok bandaży i kroplówek zakłócił jego erekcję, a tego kochaś nie mógł sobie zafundować, mając zaledwie pięćdziesiąt lat. Kiedy Alex mi o tym opowiadał, nie czułam się już tak niepewna i pominięta, w jego głosie nie dźwięczały nuty miłości ani nawet współczucia. Zdawał mi relację z ich pożycia „pomałżeńskiego”, jakby był dziennikarzem, rzeczowo i bez wtrącania własnego komentarza. Ostatnio dzwonił mi do siebie bardzo często, uśmiechałam się do niego z ekranu komputera, ubrana w ładne ciuchy, wymalowana, odprężona, opowiadałam o swoich dniach powszednich, przerabiając je na ekscytujące i ciekawe. Nie chciałam, żeby sobie pomyślał, że tonę w nudnej codzienności, czekając na jego telefon. Może wiedział coś, czego ja nie wiedziałam, ale powiedział przy pożegnaniu, że moja wizyta z Polsce będzie przełomowa. Obiecaliśmy sobie, że dzwoniemy się w Wigilię, kiedy już żołądki przetrawią rybę i kapustę. Prosił, żebym się nie ograniczała różnicą czasu, tylko zadzwoniła, kiedy wygospodaruję magiczną chwilę.

Teraz, kiedy samolot obniżał pułap, szykując się do lądowania, wracałam nieustannie do tych rozmów z Alexem, przekonując siebie, że jeśli wszystko pójdzie nie tak, jak sobie zaplanowałam, to jeszcze zawsze mam jego i on mnie obroni. Była to głupia myśl, bo przecież przed kim miałby mnie bronić? Przed moją własną rodziną?

Emilia obudziła się dopiero, kiedy samolot dotknął ziemi. Pilot okazał się niedelikatnym fachowcem, nie zadbał o miękkie lądowanie pasażerów, tylko spuścił nas na pas, według mnie manifestując swoją zemstę, że zmuszony jest pracować w Wigilię i przewozić nasze tyłki. Otrzymał pojedyncze brawa od pana śmierdziela siedzącego obok mnie.

Kiedy wyszliśmy na świeże, mroźne powietrze, poczułam się lepiej. Piękna zima witała spóźnionych gości, nawet Emilia wpadła w zachwyt, a na niej przyroda nigdy nie robiła wrażenia. Nie miała okazji widywać śniegu, choć ostatnie dwie zimy, jak na warunki angielskie, były dość surowe i posypało, a to oznaczało paraliż kraju. Teraz rozglądała się dookoła i wdychała do tej nieskazitelnej bieli. Ustawiliśmy się w kolejce do taksówki. Napominałam Emilię, żeby założyła rękawiczki, mocniej zawiązała szalik, nie mówiła za wiele na mrozie, do tego żeby tupała nogami. Wydawało nam się, że jest minus dwadzieścia stopni, choć pewnie było zaledwie minus pięć.

- Zapraszam do mojej taksówki. - Głos za plecami był znajomy. Emilia odwróciła się pierwsza.

- Ciocia Iza! *Holly smoke* \ Ale niespodzianka!

Nie widziałam mojej siostry trzy lata. Mimo naciągniętej na same oczy futrzanej czapki, od razu stwierdziłam, że bardzo się zmieniła, choć nie powiedziałabym, że się postarzała. Po prostu była odmieniona. Może zmienił ją kolor szminki albo odcień podkładu, chyba też zaokrągliła jej się trochę buzia. Patrzyliśmy na siebie, a Emilia stała obok, nie ponaglając nas. Iza miała na sobie jasną kurtkę puchową i kilka metrów kolorowego szala zawiniętego wokół szyi.

- No cześć, siostra - Izka odezwała się pierwsza. Pogłaskałam ją po tym gładkim i odmienionym policzku.

- Witaj.

Nie spodziewałam się, że przyjedzie po nas na lotnisko, a gdybym wiedziała, pewnie napisałabym sobie wcześniej scenariusz naszego spotkania po latach, który nie doczekałby się realizacji. Takich sytuacji nie sposób zaaranżować i wyreżyserować. Myślisz, że w takim a takim momencie się wzruszysz, a tymczasem gardło zaciska się tobie w zupełnie innej chwili. Zaplanujesz, że będziesz twarda i obojętna, a reakcja drugiej osoby powoduje, że topisz się i woda z ciebie kapie wielkimi kroplami. Przygotowane starannie słowa, dobrane z rozmysłem, nie pasują do tego, co druga osoba mówi do ciebie. I tak dalej, i tak dalej. Dobrze,

że nłe wiedziałam, że tu się spotkamy - w środku dnia, w środku zimy, w środku naszego niezrozumiałego konfliktu.

Izka przejęła dowodzenie, gdy tylko opuściłyśmy teren lotniska. Wysadziła Emilkę na skrzyżowaniu, niecały kilometr od domu mamy. W innych okolicznościach moja córka zaprotestowałaaby bardzo głośno przeciwko takiemu wymuszonemu na niej spacerowi, ale teraz podniosłość chwili odebrała jej prawo do buntu. Powiedziała nawet, że spacer dobrze jej zrobi.

Nie pytałam, dokąd my pojedziemy, jeśli nie do domu mamy, ale domyślałam się. Zawsze wiedziałam, że dojdzie do tej rozmowy, jednak miałam nadzieję, że nie będziemy rozmawiać na cmentarzu nad grobem taty. Izka raczej nie uprawiała dramatów, ale tym razem poniosło ją na oślep i zawiozła nas na cmentarz.

W czasie jego pogrzebu padał drobny śnieg i z tym śniegiem wszystko się mieszało, łzy, żale, modlitwy, pieśni, kondolencje. Teraz też zaczynało padać i w płatkach śniegu sypały nam się na głowy bolesne wspomnienia. Nie byłam na nie do końca gotowa, ale być może bardziej gotowa nie byłabym już nigdy później. Ludzie rozprawiają na stronach internetowych na temat przeżywania żałoby. Twierdzą, że musi trwać rok i to jest ten akuratny, precyzyjnie odmierzony czas, w którym należy się uporać z poczuciem bólu i straty. Ani mniej, ani więcej, ma być rok. Po dwunastu miesiącach zrzucasz czerń i obowiązkowo ma ci być lepiej. Wszyscy piszą, że jest. Nie mi. Nie mogłam w dalszym ciągu myśleć o ojcu, nie mogłam go nawet wspominać i choć wprawdzie minęło zagrożenie obłędem tęsknoty za osobą, która już nie wróci, daleko mi było do pogodzenia się z oczywistym faktem, że tak jak zawsze był, tak teraz go już zawsze nie będzie. Mój sen nadal był niezdrowy, czyhały na mnie złe dni, kiedy to słowami poetki opisując: „jego nieobecność była jak tłum ludzi, wszędzie jej pełno”.

Nie czułam się lepiej ani nie czułam się gorzej, kiedy doszłyśmy do miejsca, gdzie pochowaliśmy tatę. Izka sięgnęła do torebki. Ściągnęła rękawiczkę i przetarła nią płytę grobowca, po czym ustawiła dwa białe znicze obok siebie.

- Dobrze, że jest ten grobowiec - powiedziała, zapalając zapałkę. - Będę miała gdzie swoje prochy umieścić. Zawsze chciałam, żeby je rozsypano gdzieś nad morzem albo w górach, gdziekolwiek, żeby tylko nie do ziemi, ale teraz tak sobie pomyślałam, że tutaj byłoby fajne miejsce. Zmieszczą się tu urny, już pytałam.

Spojrzałam na nią i zaczęłam się śmiać. Mówiła dalej:

- Pewnie myślisz, że mi puszczają złącza w mózgu, ale zapewniam cię, że jeszcze nie. Fajnie by też było, żeby twoje prochy tu się znalazły. Popatrz, na tablicy jest tyle miejsca, zmieściłoby się kilka nazwisk i dat, nie trzeba będzie wiele ulepszać. Mamę dopiszemy pod tatą, a my jeszcze niżej, o tu. Emilka mogłaby dopilnować, żeby nasza wola się wypełniła. Konrad jest taki roztrzepany, może mu się coś pomylić w ostatniej chwili, lepiej mu nie powierzać żadnej misji. Co myślisz? Dobry pomysł?

Podeszłam do niej i objęłam ją mocno.

- Izka, jak nie przestaniesz, to cię potraktuję paralizatorem.

- Tyle ci chciałam powiedzieć...

- To powiedz, a nie pleć o urnach. - Trzymałam ją mocno. Oparła głowę na moim ramieniu, futrzana czapka przekrzywiła jej się na bok. Pociągnęłam jeden z rzemyków.

- Hej. Mamy dużo czasu, wszystko sobie opowiemy. Jedźmy do domu, proszę. - Pociągnęłam ją za sobą, a po chwili siłą wychnęłam z alejki.

- Poznałam Stefanię. Już wszystko wiem. - Zatrzymała mnie, zanim to powiedziała.

- Tutaj ją poznałam, właśnie w tym miejscu i otworzyły się tajemne wrota, popłynęło wszystko, co kiedyś trzymała ta dziwna tama. Była u mnie w Warszawie, porozmawialiśmy sobie, jeden Pan Bóg widział, jak mi to dobrze zrobiło. Tyle zrozumiałam, tyle się okazało... że nie wiem, od czego zacząć.

- A ja mam taką propozycję — powiedziałam, kiedy wsiedliśmy do samochodu Izki. - Zostawmy sobie wielkie słowa i tłumaczenia na potem albo wcale... Obie jesteśmy pod presją, żeby coś sobie wytłumaczyć, opowiedzieć czy wyjawić, a mnie się zdaje, że to niepotrzebne. Przynajmniej dzisiaj.

Izka nie uruchomiła silnika. Siedziałyśmy w zimnym samochodzie, patrząc bezmyślnie w bramę cementarza.

- Głupio zrobiłam, że cię tu przywiozłam prosto z lotniska. Jakiś melodramat mi się przyśnił chyba. Problem w tym...

Przerwała i odwróciła głowę w moją stronę. Patrzyłyśmy na siebie przez chwilę. To była ważna chwila.

- Przeżyłam na wkurwieniu ostatnie trzy lata - mówiła dalej. - Na ojca, że umarł, na matkę, że żyje, na Radka, że nie umiem go kochać jak kiedyś, na ciebie, że wyjechałaś, na siebie, że robię to wszystko i tak w kółko. Wiesz, jak wygląda skakanie po kanałach telewizyjnych przy użyciu pilota? To ja tak miałam w mojej głowie. Jak nasz wujek Bronek, który dwadzieścia lat siedzi przed telewizorem i zmienia kanały dla samego tylko zmieniania, bo na niczym nie potrafi się skoncentrować. Ja robiłam to samo, zmieniałam te kanały, bo wszystko mnie wkurwiało.

Nie wiedziałam, czyjej przerwać, żeby się za bardzo nie rozprężyła, czy wysłuchać do końca? Z kim rozmawiała przez te trzy lata o swoich problemach i lękach? Natalia, nasza „słodka idiotka” na pewno nie była jej powierniczką, więc kto? Bo jeśli nikt, to tragedia.

- Nie miałam z kim pogadać - uprzedziła moje pytanie.
- Wiesz, jak trudno mi się otworzyć. Natalia właściwie nie jest mi bliska tak, jak myślałam, nie umiem z nią rozmawiać na moje tematy. Zresztą, ostatnio mówimy tylko o jej romansach i jej mamie. Teraz, jak ją rzucił Hubert, to już w ogóle same zgliszcza. Przyjedzie do nas w Szczepana, to sama ocenisz.

- No dobra, jedźmy, bo zamarzniemy. Zadzwoń do mamy i powiem, że jedziemy po karpia i trochę nam zejdzie
- zaproponowałam.

Iza parsknęła śmiechem.

- Mama sobie karpia nie życzy, bo jej przypomina naszego tatę, jak go przyrządzał na Wigilię...

- Ale tato ostatni raz przyrządził karpia chyba ze dwadzieścia lat temu!

- No właśnie! Mama takimi nabojami strzela od jego śmierci. Nie poznasz taty w jej wspomnieniach, czasami myślę, że jest chora psychicznie jak jej siostra. - Izka wycofała samochód z taką gwałtownością, jaką miała w głosie. - Zresztą, nie będziemy się tłumaczyć z każdego kroku, pojedziemy sobie... A może chciałybyś odwiedzić Stefanię?

Prowadziła samochód już nieco spokojniej i opowiadała mi o wizycie ukochanej taty w Warszawie. Byłam zaskoczona, ale nie okazałam tego, najwyraźniej moja siostra uległa jej czarowi tak jak nasz tato, jak mogłam to skrytykować? Ich spotkanie na cmentarzu było pięknym przypadkiem albo - według teorii Hadona - znakiem. Ja nie zastanawiałam się nigdy, co ich łączyło i czy to było fair czy nie w stosunku do nas i mamy. Dokonałam świadomego wyboru, żeby o tym nie myśleć, ponieważ czułam się oszukana przez tatę. Nie mogłam zobaczyć tego jego podwójnego życia w innym kontekście niż zdrady. Oczywiście, nie mnie było to oceniać, ale drzazga tkwiła i nie starałam się jej usuwać. Nie, nie chciałam zaprzyjaźniać się ze Stefanią ani z nią pić przedwigilijnej herbaty.

— Nie udało mi się załatwić wszystkich spraw — powiedziała nagle, a potem zaczęła denerwować się, opowiadając o jej stosunkach z mamą.

Mogłam wykazać więcej zrozumienia, ale się trochę wahałam, bo czułam, że knujemy przeciwko mamie, zarówno z tajemnicą Stefanii, jak i niechęcią Izki. Chciałam wierzyć, że to chwilowe zauroczenie nowo poznaną kobietą, która kochała naszego tatę, a nie oficjalne przelanie uczuć na kochankę ojca. Mama była trudna i szorstka, rozumiała miłość do córek jako obowiązek karmienia ich zupami i wiązania im kokard wysoko na czubku głowy, jednak była dobrą matką. Nie umiała z nami rozmawiać, ale zawsze nas wybroniła, miała instynkt lwicy i nawet w najgorszych tarapatach ciągnęła swoje córki za uszy do góry. Izka tego nie chciała dostrzec, teraz przechodziła okres fascynacji Stefanią i nie był to dobry czas, żeby pchać ją w innym kierunku. Jeśli odzyskała równowagę psychiczną dzięki Tamtej Kobiecie, to trzeba ją było na tym suchym lądzie przytrzymać.

- Może to zabrzmie trochę dziwnie, ale sprawa z Danką, adwokaci, mój rozwód, ciągłe zmiany pracy i miejsc, nowe twarze, trochę za dużo nowych twarzy pojawiło się w moim życiu, więc może tym razem odpuszczę sobie wizytę u Stefanii.

- Nie mam zamiaru cię zmuszać, tak tylko mi się powiedziało. A co z Alexem?

- Alex... - westchnęłam i to było wszystko na co mogłam sobie pozwolić.

- Tak dla jasności... - Iza pokonywała ostatni kilometr trasy.
- Jak wiesz, widziałam się z nim, dobrze zrobiłam, że tam poleciałam, dobrze dla niego, dla mnie i dla ciebie też, bo mogę ci teraz potwierdzić, gdybyś miała jeszcze jakieś wątpliwości... On się w tobie rzeczywiście zakochał.

Podjeżdżałyśmy pod dom, a na ganku stały nasze dzieci i bawiły się z psem. Bez kurtek i szalików wybiegły na dwór, żeby nas przywitać. Konrada nie poznałabym na ulicy, tak bardzo się zmienił przez ten okres mojej nieobecności w Polsce. Emilka trzymała go za rękaw swetra, najwyraźniej dobrze się czuli w swoim towarzystwie. Był wysoki jak jego ojciec, przeraźliwie chudy i zgarbiony. Wsiadłyśmy z samochodu i zaczęły się nerwowe powitania, ściskania, wzajemne przekrzykiwania, niekontrolowane pohukiwania, kto jak wygląda i ile przytył. Radek uściskał mnie tak mocno, że niemal straciłam oddech. Szepnął mi do ucha, że nigdy nie spodziewał się, że mój widok sprawi mu tyle radości. Zrewanżowałam się całusem w jego świeżo ogolony policzek. Wyglądał na zrelaksowanego, czuć było, że zdążył się już poczęstować jakimś alkoholem z barku mamy. W końcu jutro Wigilia, można było już zacząć świętować, sama miałam ochotę na kieliszek wiśniówki.

Zabrał nasze bagaże z samochodu i targał je po schodach, narzekając, że chyba przywiozłyśmy w walizkach kamienie. Konrad i Emilia ścigali psa po ogrodzie, a ten był zachwycony, bo bardzo rzadko ktoś poświęcał mu czas. Nakarmiony, ale samotny był ten nasz stróż na czterech nogach. Mama wołała z okna, żebyśmy natychmiast przychodzili do stołowego na ciepłą zupę. Co jest z tymi matkami, że ciepłą zupą chcą zastąpić

absolutnie wszystko, nawet powitanie po latach? Na szczęście ja lubiłam zupy, ale Iza zaczęła się krzywić po pierwszej łyżce. Konrad stwierdził, że zupa smakuje jak stara ścierka, ale poza mną nikt tego nie słyszał. Tak bardzo chciałam, żeby nie doszło do jakiejś nieprzyjemnej sceny podczas tego pobytu! Zależało mi na świętym spokoju i choćby skrawku sielanki rodzinnej. Niech by się wszyscy trochę powstrzymali przed złośliwościami i pretensjami, miałam zamiar ich o to poprosić zaraz na wstępie, żeby mieli czas na przemyślenie tematu. Przygotowanie Wigilii było na pewno dla mamy stresujące, tym bardziej, że wszyscy jej goście byli raczej wybredni, a na dodatek potrafili gotować i to dobrze.

Po obiedzie poszłam do gabinetu taty. Oczekałam, kiedy wszyscy zajmą się swoimi sprawami i wymknęłam się na poddasze. Stałam chwilę przed drzwiami, zastanawiając się, czy na pewno jestem gotowa. Nacisnęłam klamkę i lekko pchnęłam drzwi. Pierwsze wrażenie było takie, że tato wyszedł na moment i zaraz wróci. Przedmioty tkwiły w tych miejscach, w jakich je pozostawił. Otwarta książka leżała grzbietem do góry, obok mały kalendarzyk, aluminiowe miniaturowe wiadereczko z kilkoma zatemperowanymi ołówkami. Na oparciu fotela wisiał niebieski sweter z podwiniętymi mankietami, a na dywaniku pantofle. Odebrało mi mowę z przerażenia. Nie słyszałam, kiedy mama weszła do pokoju.

- Twoja siostra uważa, że to jest przesada i twierdzi, że urządziłam mauzoleum. Córcia, ja nie mogę tych rzeczy tak po prostu uprzątnąć. Co miałabym zrobić z Franciszka garderobą? Wyrzucić? Rozdać? A jego ołówki, książki, zegarek, kapelusze...

- Mamo... - zaczęłam. - Nie widzę w tym nic złego. Ja bym wprawdzie nie mogła tu żyć w takiej kipieli wspomnień, ale jeśli ty tak wolisz, to ja nie mam nic do powiedzenia.

- Ale Izunia uważa, że to chore i kłóćmy się o to w kółko, może z nią porozmawiasz, bo widzę, że pogodziłyście się. Wasz tatuś by się ucieszył, a mnie kamień z serca, kamień z serca... dzięki Bogu i Najświętszej Mateczce, bo już do niej się modliłam o waszą zgodę. - Mama zaczęła pochlipywać.

- Wszystko jest dobrze, mamusiu, naprawdę, to były takie fanaberie nasze, ale już jest dobrze, nie martw się.

Mama usiadła w fotelu ojca. Odkupił ten mebel kilka lat temu od rodziny swojego przyjaciela dziennikarza. Był to bardziej tron niż fotel, z wysokim oparciem powleczonym czerwona skórą. Podobno antyk, ale dla taty to była pamiątka po drogiej sercu osobie, która odeszła przedwcześnie, a teraz jest to pamiątka dla nas. Ja miałam poczucie, że to mój ojciec umarł przedwcześnie i daleka byłam od zaakceptowania, że taka właśnie jest kolej rzeczy. Niech sobie inni umierają, jak przyszedł na nich czas, ale nie mój tato! Jeśli coś miałabym zabrać z naszego domu rodzinnego do Anglii, to właśnie ten fotel. Mama, niczym niezrażona, ciągnęła dalej:

- Ja tu lubię sobie przyjść i posprzątać raz w tygodniu, dobrze się tu czuję, rozmawiam z Franciszką, opowiadam mu o swoich problemach, pomodłę się za niego i wtedy mi jest lepiej.

- Podobno jeździsz na cmentarz co niedzielę? - zapytałam. Chciałam przyłapać ją na niekonsekwencji. Jeśli jeździ na cmentarz odwiedzać męża, to nie może jednocześnie przychodzić do tego pokoju i z nim rozmawiać. To nie jest ojciec Pio, żeby być w dwóch miejscach naraz. Zaczynałam myśleć jak moja siostra, pragmatycznie i bezlitośnie.

- On tam sam leży, córeczko. Jak mnie pochowacie, to będzie mu raźniej...

- Mamo, na litość boską! Co ty wygadujesz?! - przerwałam jej poirytowana. Z dołu dochodziły odgłosy biegającego ciężką nogą Konrada.

- Naprawdę wierzysz, że twój mąż leży zasypany ziemią na cmentarzu i tęskni? Tak mówisz, jakbyśmy go zakopali żywcem. Co to są za makabryczne gadki? - Chodziłam po pokoju i dotykałam książek na półkach. Zaczynałam powoli rozumieć, dlaczego Iza czasami nie umie zapanować nad sobą, kiedy słucha takiego bezsensownego biadolenia.

- No nie, ale tak sobie myślę, że my tu wszyscy, a on tam sam na tym cmentarzu... A poza tym grób trzeba posprzątać

przynajmniej raz w tygodniu, umyć płytę, kwiaty zmienić, wszystkie tak robimy. Tu w okolicy same wdowy.

- Tak, kobiety żyją dłużej i dobrze to natura zaplanowała, bo przecież faceci są tacy bezradni, nie daliby rady bez kobiet, a wdowy na całym świecie świetnie sobie radzą i ty też dajesz radę, jestem bardzo z ciebie dumna, mamo.

- Nie mam wyjścia, muszę sobie radzić, a moje dzieci tak daleko...

Mama wydmuchała nos w serwetkę. Przyszła mi do głowy koszmarna myśl, że Stefania, Tamta Kobieta, będzie doglądać kiedyś grobu obojga moich rodziców. Może nie wprowadzi cotygodniowej rutyny, ale z pewnością w okolicy Wszystkich Świętych pofatyguje się ze zniczami. Właściwie dlaczego mnie ta myśl mierzi? Czy jest ktoś, kto kochał ojca bardziej niż ona? Przyjrzałam się mamie. Była zasuszona jak liść między stronami encyklopedii powszechnej. Zmalała, przestała farbować włosy, nie malowała już rzęs ani nie używała perfum. Zrezygnowała ze swojej kobiecości, a właściwie z tych marnych resztek, ponieważ od lat krok po kroku wycofywała się z cudownego świata płci pięknej. Starość właściwie nie miała płci, a mama postarzała się przedwcześnie. Nie miała jeszcze siedemdziesiątki, a wyglądała na staruszkę, nie zdawałam sobie sprawy, że cała jej twarz pokryta jest zmarszczkami, które biegły we wszystkich niemalże kierunkach. Może powinnyśmy zatroszczyć się o jej wypoczynek, wysłać ją do sanatorium albo chociaż na wczasy nad morze? Zapytałam, czy chciałaby odpocząć, ale energicznie zaprotestowała.

- Nie mogę wyjechać! A co z cmentarzem? Iza mnie już namawiała, ale ja się nie ruszam. Za czym? Przyjdzie lato i będzie pięknie w ogrodzie i w sadzie, czego to szukać po świecie? Mnie tu dobrze, blisko Franciszka.

Pogłaskałam ją po siwych włosach i przytuliłam. Bardzo źle się czułam w tym pomieszczeniu, gdzie jeszcze żyły zapachy i cienie tak dziwnie kładły się na dywanie. Wolałabym, żeby tego pokoju nie było w takim stanie, w jakim jest, ale nie umiałabym mamie tego wytłumaczyć, czując, jak wiele znaczy dla niej ten

ołtarzyk wspomnień, a jak bardzo mnie boli ten sam widok. Ona czuła się tu bezpiecznie, mniej samotnie, przeniesiona w czasie, podczas kiedy we mnie był tylko bunt, że nie ma ojca, a w tym pokoju wszystko udaje, że on ciągle jest.

- Ale do nas w lecie musisz przylecieć, tęsknimy za tobą. Ja tęsknię.

Mama rozpromieniła się po tym wyznaniu. Może zbyt rzadko mówię jej o tym, co dla mnie naprawdę ważne. Czy umiałabym jej opowiedzieć o mojej miłości? Nie dowiem się, dopóki nie spróbuję. Będziemy miały sporo czasu dla siebie, jak już minie napięcie wokół wigilijnych potraw i życzeń.

Skrzypnęły drzwi i weszła Izka. Miała na sobie piękny biały sweter i cienkie spodnie wepchnięte w czarne marszczone skarpety. Jak zwykle nie założyła pantofli. Ciemne włosy upięła sobie w luźny kok i przewięzała aksamitką. Bardzo ładna była ta moja siostra Izabela i nie wiem dlaczego wszyscy tak bardzo upierali się, że to ja jestem bardziej urodziwa! Iza wyglądała tak młodo, jakby dopiero skończyła trzydzieści lat. Zdrowa cera i lekka opalenizna dodawały jej świeżości.

- Co tam knujecie? Przeciw mnie? Szukam was wszędzie. Mamo, kapusta gotowa, śmierdzi w całym domu, ale smakuje wyśmienicie, już próbowałam.

- Cieszę się, żeby się tylko wszystko udało, te placki i barszcz, i kutia, ile tego nagotowałam dla was, nie przejecie tego!

- Mamo, wszystko zjemy, bez obawy. Radek już się grzeje na te twoje delicje.

Izka stała na środku pokoju. Nie od razu zauważyłam, że trzyma w dłoni coś, co wyglądało jak termometr, ale było nieco dłuższe. Zanim dotarło do mnie, co to jest, powiedziała nam swoją nowinę:

- Jestem w ciąży.

Marlena

Dwudziesty dziewiąty ślad hamowania

Taksówka podjechała pod same drzwi. Emilia wyskoczyła z auta pierwsza, a ja zapłaciłam za kurs, pierwszy raz w życiu nie dając napiwku. Kierowca nie okazał nam żadnych względów. Wyszłam na wilgotne angielskie powietrze i wciągnęłam przez nos zapach gnijących liści i fetoru z pobliskiej cukrowni. Zdecydowanie wolałam mroźną, polską zimę od takiej nieokreślonej pory roku, jaka właśnie przetaczała się przez Anglię - zła pogoda zmieszana z beznadziejnością stycznia. Dwa nijakie miesiące do przeżycia w zimnie i deszczu. Pogoda nawet w marcu nie mogła się zdecydować, czy chce jeszcze przytulać się do zimy, czy też oczy zwrócić ku wiosnie. Było dość ciepło, ale wilgoć unosząca się w powietrzu drapała mi gardło. Spojrzałam w kierunku samochodu, który podjeżdżał właśnie na miejsce opuszczone przez taksówkę. Zauważyłam go już wcześniej, odjechał kilka metrów, żeby zrobić miejsce cofającej taksówce, ale zaraz potem podjechał i zatrzymał się przed drzwiami naszego domu. Stałam z rękami w kieszeniach narciarskiej kurtki i spojrzałam uważniej na wysiadającego zza kierownicy mężczyznę. Mój wzrok osiadł na nim dość bezmyślnie, niby poznałam, kto to, ale nie dowiedziałam, więc tylko zmrużyłam oczy i odchyliłam się nieco w tył.

- Jezu! - Tyle tylko wydusiłam z siebie.

Alex zatrzasnął drzwi i podszedł do mnie.

- Naprawdę jestem podobny do Jezusa?

- Naprawdę to ja zaraz tu padnę na zawał.

Objęliśmy się jak stęsknieni za sobą ludzie. Trzymał mnie mocno w ramionach, a ja nie poruszyłam się, nawet nie oddychałam zbyt głęboko, żeby mi przypadkiem nie zniknął, okazawszy się zjawą. Chciałam zapytać, skąd znał nasz adres, skąd wie, że dziś wracałyśmy z Polski i o której godzinie, ale szybkie spojrzenie w kierunku mojej córki udzieliło mi wyczerpującej odpowiedzi. Odsunęliśmy się od siebie i Alex mnie pocałował, nie zdążyłam nawet się przestraszyć, czy aby mój oddech i smak w ustach są najwyższej próby.

- Zrobiłeś mi niespodziankę stulecia! - Pogłaskałam go po głowie.

- Nie jestem sam - powiedział, kierując się w stronę samochodu.

Otworzył tylne drzwi i włożył głowę do środka. Za plecami słyszałam chichoczącą Emilię. Po chwili z auta wysiadł mały chłopiec. Czapka spadła mu na oczy, zadzierał więc głowę do góry, żeby spojrzeć na ojca. Alex poprawił mu czapkę na czole, przykucnął przed nim i coś mu powiedział, ale nie dosłyszałam co. Scott podszedł najpierw do mnie.

- Cześć. Na imię mam Scott. Mój tato mi o tobie opowiedział - wyrecytował z przejęciem.

- Twój tato mi również opowiedział o tobie. Jesteś bardzo dzielny chłopcem. Jak się czujesz? - zapytałam i również pochyliłam się nad nim.

- Lepiej. Tato powiedział mi w samolocie, że zostaniemy w Anglii na długo. U ciebie zostaniemy?

- Jeśli ci się spodoba, to zapraszam.

Scott skinął głową i podszedł do Emilii. Podał jej rękę na powitanie jak dorosły mężczyzna. Schyliła się i pocałowała go w policzek, zrobiła coś, co powinnam była zrobić ja. Nie umiałam się odnaleźć w tej sytuacji, sparaliżowana tą niespodzianką i gwałtownymi uczuciami, jakie mną zawładnęły. Chciałam mieć w gestach i w słowach więcej luzu, ale usztywniły mi się wszystkie możliwe mięśnie, jakie posiadam. Nawet nie wiem,

czy byłam zdenerwowana, raczej zaszokowana i niezgrabna. Niespodzianki też trzeba umieć przyjmować!

- Chodźmy do środka, nie stójmy na tej wstrętnej wilgoci - powiedziałam w końcu, wygrzebując klucze z torebki. Pano wałam nad drzeniem rąk, jednak zaczynałam mieć kłopot z oddychaniem, nabierałam powietrza w płuca, ale zapominałam go wypuścić. Weszłam do domu pierwsza i pozapalałam wszystkie światła. Emilia rozmawiała z Alexem, trzymając Scotta za rękę, a ja panicznymi ruchami poprawiałam włosy, rozpinałam suwak przy kozakach, oblizywałam spieczone wargi i wygładzałam zmiętą bluzkę. Emilia pokazywała gościom nasz dom i wydawała dyspozycje. Scott poprosił ojca, żeby poszedł z nim do łazienki. Kiedy tylko zamknęły się drzwi, zaciągnęłam Emilię do kuchni i pochylając się nad zlewem zaczęłyśmy szeptać.

- Pani mistrzyni konspiracji... Mogłaś mnie uprzedzić! Nie jestem przygotowana, patrz, jak ja wyglądam, w domu burdel, lodówka pusta, ręce mi się trzęsą!

- Mamo, luz, wyglądasz pięknie i najważniejsze, że niespodzianka się udała. Z ciocią Izą zdecydowałyśmy, że tak będzie najlepiej. Babcia też, tylko pytała, czy Aleksander jest aby po rozwodzie i czy brał ślub kościelny z pierwszą żoną, no to powiedziałyśmy jej, że nie brał ślubu kościelnego i będzie się mógł z tobą żenić w kościele. Masz już rozwód z moim tatą, wolna kobieta jesteś, możesz mieć *officially* nowego faceta!

- Ale ja nie wiem, czy lubię niespodzianki! - Rozejrzałam się dookoła. - Nie zostawiłyśmy wielkiego porządku! Jaki ślub? Dziewczyno, ja go prawie nie znam!

- A mnie się zdaje, że coś z tego będzie. - Emilia odkręciła kran i zabrała się za zmywanie kubków po kawie, jakie zostawiłyśmy w zlewie.

- Muszę sobie chyba usiąść na chwilkę - powiedziałam słabym głosem.

- Mamo, potem sobie posiedzisz, a teraz trochę ogarnijmy.

W pośpiechu porządkowałyśmy salon i kuchnię. Ogrzewanie zaczynało powoli łamać domową wilgoć, ale lodówka nie chciała się zapełnić od samego tylko mojego głodu i pobożnego

życzenia. Emilia zaproponowała, że wyskoczy do sklepu, ale nie wierzyłam, że zrobi zakupy, jakie miałam na myśli. Pojechałam sama, choć Alex bardzo chciał mi towarzyszyć. Obawiałam się, że Scott może się czuć trochę nieswojo, pozostawiony z Emilią na godzinę. Wrzucałam produkty do koszyka na oślep, jednocześnie przygotowując menu w głowie. Jeżeli Scott jest typowym amerykańskim dzieckiem, to pizza, frytki i lody w czekoladzie na pewno będą mu odpowiadać, nawet jeśli jego mama do tej pory odżywiała go zdrowo i organicznie. Dla nas dorosłych zaplanowałam łososia w sosie holenderskim, kupiłam gotowego, szparagi i dziki ryż. Wzięłam z półki butelkę chablisu i butelkę prawdziwego szampana tak na wszelki wypadek, gdybyśmy po ułożeniu dzieci do snu zapragnęli wypić bąbelki w łóżku.

Wysłałam sms-a do Emilki, żeby dyskretnie zmieniła pościel w mojej sypialni i ręczniki w obydwu łazienkach. Przed wyjazdem wysprzątałam gościnną sypialnię, zmieniłam nawet zasłony na radośniejsze, choć skłamałabym, gdybym powiedziała, że miałam jakiegokolwiek przeczucie, że będę miała gości. Otóż, przeczucia nie miałam, nawet nie musnęła mnie myśl, że Alex może przylecieć do Anglii zaraz po świętach. Dzwoniłam do niego z Polski, ale złożyliśmy sobie bardzo krótkie życzenia, przesłaliśmy kilka całusów i resztę mieliśmy sobie dopowiedzieć w e-mailach. Przez ostatnie trzy dni nie miałam od niego żadnej wiadomości, ale ani mnie to nie martwiło, ani nie zdziwiło, bywały już znacznie dłuższe przerwy w naszych kontaktach i nie miałam podstaw, żeby stawiać jakieś wnioski. Zajęta rodzinnymi świętami, rozkoszowałam się towarzystwem moich bliskich. Jedliśmy, piliśmy, rozczulaliśmy się nad błogostawionym stanem Izki i nawet wtargnięcie zrozpaczonej Natalii nie zepsuło nam humoru. Zupełnie nie obchodził mnie jej kawaler, z którym wprawdzie już się rozstała, jednak w dalszym ciągu modliła się do telefonu komórkowego w nadziei, że sobie o niej przypomni. Chciałam z nią porozmawiać o Alexie, ale mnie tylko zbywała. Teraz myślę, że również była wtajemniczona w tę całą akcję i kontrolowała się na każdym kroku.

Kiedy wróciłam ze sklepu obładowana siatami, Emilia najpierw pomogła mi przy rozładunku, a potem poszła do sąsiada odebrać Puszki. Scott, mimo iż już bardzo śpiący, zapytał, czy może pójść z nią. Zjedliśmy szybko mój naprędce sklecony obiad, zebrałam trochę pochwał i zostaliśmy sami z Alexem przy pustych talerzach i pełnych kieliszkach wina. Patrzyłam na niego i docierało do mnie, choć bardzo powoli, że on tu naprawdę przyleciał z synem i siedzi w mojej kuchni na wysokim barowym krześle, trzyma mnie za rękę i wychwala mojego łososia.

- Jestem nieco oszołomiona. Nie wiem, o co zapytać najpierw? Na ile przyleciałeś? Gdzie się zatrzymałeś?

Alex wstał od stołu, obszedł go dookoła i podszedł do mnie.

- Muszę zacząć od rzeczy najważniejszej. Przyleciałem do Anglii do ciebie. Zaryzykowałem, stawiam cię przed faktem dokonanym, ale ze wszystkich rzeczy, jakie mogłem zrobić i we wszystkie miejsca, jakie mogłem pojechać, twoje miasto i twoje sąsiedztwo wygrało. Nie mogłem sobie wyobrazić siebie i Scotta w żadnym innym miejscu na ziemi, a ziemia to spora planeta.

- Spora planeta, a ląduje się gdzieś z koleżanką ze szkoły
- powiedziałam z uśmiechem.

- Ale najpierw trzeba dużo przejść i sporo przejechać, żeby się przekonać, że ta koleżanka ze szkoły jest ci najbliższa.

Wstałam od stołu i pozwoliłam się poprowadzić na sofę. Usiedliśmy blisko siebie. Położyłam mu rękę na kolanie i on nakrył ją swoją. Chciałam bliskości z nim, ale byłam skrępowana, czekając na powrót Emilki i Scotta. Byłam jej wdzięczna, zajęła się nim, zainteresowała go swoją osobą i szybko przekonała do siebie. Podał jej swoją małą dłoń i wyszli. Nie było ich już kilka minut, sąsiad pewnie ich zanudzał jakąś opowieścią, w czym był arcymistrzem. Poprosiłam Alexa, żeby mi pokrótce opowiedział, jak wyglądał jego wyjazd z Nowego Jorku.

- Margot nie chodzi i być może nigdy nie będzie. Końcówki włókien rdzenia kręgowego na ostatnim odcinku zostały uszkodzone. Lekarzom chwilę zeszło, zanim postawili jasną diagnozę, mieliśmy do końca nadzieję, że jak opuchlizna zejdzie, to wróci jej czucie w kończynach dolnych, ale tak się nie stało. Jej ukochany,

jak wiesz, dawno się już wymiksował z tego związku, więc została sama. Miałem wyrzuty sumienia i zamieszkałem z nimi, ale oboje szybko zdaliśmy sobie sprawę, że ani ona nie chce na dłuższą metę mojego poświęcenia, ani ja nie jestem aż tak wspólniały byłem mężem, żeby siebie złożyć w ofierze. Oczywiście Scott był w centrum naszej uwagi i naszego wspólnego życia pod jednym dachem, ale zaczęliśmy się męczyć. Wiesz... nas już od tak dawna nic nie łączy. Bałem się na początku, że będzie mnie chciała jakoś moralnie zobowiązać do opieki nad nią, ale na szczęście moje obawy były nieuzasadnione - mówił spokojnie, patrząc mi w oczy. Nasze ręce już się nie stykały.

- I tak po prostu spakowałaś manatki i przyjechałaś? - zapytałam z niedowierzaniem.

- Tak całkiem proste to nie było, ale przy mojej determinacji musiało się udać.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, co planujesz? - Miałam trochę pretensji w głosie. Alex przysunął się do mnie i pogłaskał mnie po twarzy.

- Odpowiem ci szczerze. Nie uprzedziłem cię z obawy, że być może nie czujesz tego, co ja i zaczniesz mi odradzać ten śmiały krok.

- Odradzać? Tyle miesięcy żyłam myślą, że cię jeszcze zobaczę...

Trzasnęły drzwi. Emilia wpadła do domu jak huragan, a za nią Puszkin. Wskoczył na sofę i zaczął mnie lizać po twarzy. Scott przybiegł za nim i usadowił się obok mnie. Pies szalał z radości i okazywał to na mokro, a Emilia wdychała z odrazy. Wszyscy głaskaliśmy go i tarosiliśmy na przemian, a syn mojego lubego tulił się zwierzęcia i patrzył uradowany na Alexa. Myślę, że po tych traumatycznych wydarzeniach ostatnich miesięcy Puszkin był dla niego namiastką jakiejś normalności. Obserwowaliśmy, jak się z nim bawił, turlał po dywanie, a potem zapytał, czy może z nim spać. Pewnie, że mógł, Puszkin to pies salonowy i uwielbia świeżą pościel z Dormy. Alex towarzyszył Scottowi w łazience, a potem położył go do łóżka w gościnnej sypialni. Poszłam na górę sprawdzić, czy będzie mu wygodnie. Usiedliśmy oboje

na kołdrze i czekaliśmy, kiedy znajdzie nas tu Puszkina. Pies obleciał cały dom i w końcu sprintem przybiegł na piętro do sypialni. Bez zaproszenia wskoczył na łóżko i ułożył się w nogach. Scott uśmiechnął się, ale był zbyt zmęczony, żeby mówić.

- Puszkina będzie cię pilnował tej nocy, zgadzasz się?
- zapytałam, ale on tylko poruszył powiekami. Pocałowałam go i wyszliśmy z sypialni, zostawiając uchylone drzwi i zapalone światło w holu. Alex wrócił jeszcze na chwilę do syna, a ja zeszałam na dół. Emilia kończyła sprzątać po kolacji. Mrugnęła do mnie porozumiewawczo i zniknęła.

Wyciągnęłam z lodówki schłodzoną butelkę szampana i poprosiłam Alexa, żeby ją otworzył. Odczytałam sms-a od Izki: „Mam nadzieję, że niespodzianka się udała. Wszyscy trzymaliśmy kciuki. Kocham cię, siostra”. Pokazałam ją Alexowi. Pokiwał głową i uśmiechnął się. Rozmawialiśmy dalej o jego byłej żonie, trzeba było zakończyć ten wątek.

- Zdecydowała się na eksperymentalną kurację w Chinach. Nie pytaj mnie, na czym ona polega, bo sam nie wiem. Jakiś szalony profesor, jej kolega, namówił ją na wyjazd, twierdzi, że to jej jedyna szansa. Nawet nie mam pewności, czy poleciała do Chin, czy w jakieś inne podejrzanе miejsce, nie bardzo chciała mnie wtajemniczać.

- Więc oddała ci Scotta pod opiekę na czas leczenia? Dobre i to - powiedziałam.

- Niezupełnie. Nie możemy małego tak między sobą przetrzucać. Jeżeli nie stanie na nogi, a taki scenariusz jednak bierze pod uwagę, to jako osoba na wózku, samotna w Nowym Jorku czy gdzie tam będzie, nie jest w stanie zająć się synem. Sama doszła do takiego wniosku, a nie chce, żebym ja z litości tkwił przy niej do końca życia. Jeżeli uda jej się wrócić do jako takiej sprawności, obiecała przeprowadzić się do Anglii, żeby być bliżej nas. Ona nie jest Amerykanką, jej matka była Szwedką, a ojciec Anglikiem, ale obydwójce już nie żyją. Zginęli... w wypadku samochodowym, właśnie w Szwecji, gdzie śmiertelność na drodze jest chyba najniższa na świecie. Wychowywała ją ciotka w RPA, a potem przywozła czternastoletnią Margot do

Stanów. Ciotka wróciła do Afryki w zeszłym roku, więc Margot jest sama. Mówiłem o tym z Izka, jak bardzo bym nie chciał, żeby Scott wychowywał się tylko z rodzicami, bez kontaktów ze swoją dalszą rodziną. Tutaj Natalia może łatwiej i szybciej przylecieć, moja mama, która go na oczy nie widziała, a przede wszystkim ty...

Alex patrzył mi w oczy uważnie, chciał złapać ten pierwszy moment reakcji, jaka błysnęła mi w oczach. Przeraził mnie tą niewypowiedzianą prośbą o zastąpieniu Scottowi jego mamy, ale nie miałam zamiaru mu tego powiedzieć.

- Tutaj, w tym mieście zarzucasz kotwicę? - zapytałam.

- Jutro mam *interview* w BT, jeśli mnie zechcą, to tak. Do-
stałem propozycję z Izraela, ale sama rozumiesz, że nie mógłbym. Łowcy głów mnie znaleźli, trochę się nawet zdziwiłem, bo nie szukałem pracy zbyt intensywnie, a przede wszystkim zarzeka-
łem się, że koniec z *information technology*. Nie będę cię trzymał w niepewności i niepotrzebnie straszył, więc powiem ci, że znalazłem wczoraj przyjemny dom do wynajęcia w twoim mieście i za jednym zamachem prywatną szkołę dla Scotta.

- To od kiedy ty jesteś w Anglii? - Zdziwiła mnie prędkość, z jaką działał, choć pewnie nie powinna, to była jedna z jego najlepszych cech. Ja należałam do osób przerażonych spontanicznym działaniem i wzbraniałam się na każdym kroku przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji. Wykańczało mnie powoli to analizowanie i szczegółowe rozdrabnianie ewentualnych decyzji oraz ich konsekwencji.

- Przylecieliśmy pierwszego stycznia. Z nowym rokiem nowym krokiem...

- W cztery dni wszystko załatwiłeś? Przeprowadzkę ze Stanów? - Kręciłam głową z niedowierzaniem.

- Margot zamknęła mieszkanie na klucz, a w nim parę moich rzeczy, żadne kontenery nie płyną do Anglii, wszystko kupię od nowa. Dom jest umeblowany, ludzie wyjeżdżają na Alaskę na kontrakt na rok, a przez rok to ja sobie znajdę i pracę, i dom, a za całą resztę, jak słusznie głoszą reklamy, zapłacę Master Card.
- Tracił mój kieliszek swoim.

— Ja też muszę kupić dom, dostałam nareszcie pieniądze rozwodowe... - westchnęłam na samą myśl o tym przedsięwzięciu. Spojrzałam na Alexa, miał trochę gorączki w oczach, ale przywiozł również ze sobą do mnie to opanowanie i poczucie, które mi się udzielało, że zapanuje nad wszystkim. Jakaż ja byłam w porównaniu z nim niepozbita i zahukana! Mogłam mieć monety siły i dni obracania energii w działanie, ale tak naprawdę najchętniej siedziałam na tylnym siedzeniu.

— Pomogę ci szukać domu marzeń. Ceny spadły, coś znajdziemy, nie martw się. Pracę mam zamiar podjąć od lutego, żeby wszystko dobrze zorganizować, szczególnie szkołę Scotta. Nie śpieszymy się choć raz w życiu.

— A nie boisz się, że twoja była żona się rozmyśli i odbierze ci syna w trakcie urzędowania waszego życia w Anglii lub - co gorsza - wtedy, kiedy już się urządzą i przyzwyczają?

Alex zmarszczył czoło i przeczesał palcami włosy. Nie był ostatnio u fryzjera, zarósł mi mój ukochany, dopiero teraz zauważyłam, jak długie są jego włosy.

— Kochana, życie to ciągłe zmiany, nie sposób się na wszystko przygotować i wszystkiego przewidzieć. Żeniłem się z Margot pewien, że będę z nią do końca mego życia, zdecydowaliśmy się na dziecko. Minęło parę lat i już nie jesteśmy razem, a ja miałem trudności z widywaniem syna. Jechała samochodem na prośzoną kolację do znajomych, podśpiewywała sobie wraz z radiem, Scott spał smacznie pod kocem z nadrukiem Spidermana i nagle wylądowała na barierce autostrady, a w rezultacie na wózku inwalidzkim. Jedna chwila zmieniła wszystko. Leciałem do Polski przez Londyn, sam nie wiem dlaczego, zakładałem, że w ogóle tam się nie spotkamy, a teraz siedzę na twojej kanapie, trzymam cię za rękę i jest to najprzyjemniejsze uczucie, jakiego się oddaję od miesięcy! Nie, nie zakładam, że Margot powróci w życie moje i naszego syna w ostrogach i z biczem, gdybym się tego obawiał na tym etapie, siedziałbym nadal w jej mieszkaniu na Manhattanie i niepotrzebnie się tym zadreślał. Nie zawsze trzeba myśleć z wielkim wyprzedzeniem, nawet jeśli tak robiło się dotychczas.

Nie myśleć do przodu? Cóż to za odświeżająca moje podejście do spraw myśl! Alex sięgnął po moją dłoń. Usta miał chłodne i bardzo miękkie. Nie mogłam nie pomyśleć o naszej nadciągającej nocy. Emilka po świętach zaciągnęła mnie przy użyciu siły i szantażu do gabinetu kosmetycznego, a tam *manicure, pedicure*, depilacja, parafina na dłonie, kolagen na skórę, kolor na włosy. Protestowałam, ale teraz miałam ochotę pójść do jej sypialni, wyciągnąć ją z łóżka i zacałować na śmierć. Przygotowała swoją mamę do słodkich godów, jakież to nowoczesne i przyjemne zarazem. Moja mama nigdy nie brała pod uwagę faktu, że jej córki uprawiają seks, nawet wtedy, kiedy urodziły już dzieci. Moja Emilka, dziewica czy nie, przyjmowała do wiadomości, że rodzic ma prawo zaznać miłości fizycznej i nie jest to akt totalnego obrzydlistwa.

- Dobrze, że jesteś taki ryzykant - powiedziałam, nachylając się. - Bez twoich skłonności do podejmowania śmiałych i nieprzemyślanych decyzji nigdy byśmy się nie spotkali, nie mówiąc już o całej reszcie....

Pocałowałam go, smakował wyśmienicie. Przytrzymał mnie tak, żebyśmy jeszcze przez chwilę pozostawali w bliskości. Pomyślałam, jaka będzie ta nasza pierwsza noc. Czy ja w ogóle będę w stanie rozebrać się do naga i nie umrzeć ze wstydu? Zakupiłam ładną i seksowną bieliznę już wtedy, kiedy Alex miał do mnie przylecieć we wrześniowy piątek. Dziś był styczniowy poniedziałek, biała koronka pasowała znakomicie zarówno do pory roku, jak i do sytuacji. Im śmielsze miałam myśli, tym bardziej trzęsłam się ze strachu.

- Trochę się boję, Alex... - powiedziałam, głaszcząc jego skronie. Nie przyzwyczaję się tak szybko do jego przystojności, będę się jeszcze wiele razy dziwić, kiedy obudzę się obok niego.

- Boisz się mnie czy siebie? - zapytał.

- Boję się, że nam się nie uda, że może takie marzenia się nie spełniają w realnym życiu. Może za dużo chcę? Chociaż to w sumie nie jest aż tak dużo...

- Moja mama, jak ma trochę pieniędzy w portfelu i dobrze się czuje, boi się, że stanie się zaraz coś złego, wiesz, że jest jej za

dobrze i pan Bóg ją ukarze i ześle jakieś nieszczęście. Chyba nie zaraziła cię takim myśleniem?

Roześmiałam się, ale nie zaprzeczyłam. Teraz, kiedy przeszła najgorsza nawałnica i pokazało się niebo nade mną i Izką, Scott czuje się dobrze, ja uzyskałam rozwód, Emilia dostała się do szkoły aktorskiej, miałabym do tego wszystkiego jeszcze oczekiwać, że uda mi się ułożyć życie z Alexem?

- Za dużo wydarzyło się ostatnio dobrego, więc wiesz, strach jest, że teraz już koniec tej dobrej passy... - mówiłam te swoje absurdy, a Alex się śmiał i napominał mnie:

- Marlena... Kobieto moja! Wierz w dobrego Pana Boga, a nie w złośliwego!

- Wiem, że głupstwa plotę, ale nie mogę przestać, ty mi musisz przerwać to fatalistyczne gdybanie.

- Nie skaczemy na główkę do płytkiej wody — powiedział. Był w tej chwili bardzo poważny, niepodobny sam do siebie. Napięte mięśnie twarzy zmieniły kształt jego ust. Pocałowałam go przelotnie, a potem jeszcze raz i jeszcze, aż zaczęliśmy się osuwać na sofie do pozycji leżącej. Rozpięłam mu guzik u koszuli.

- Jeszcze się może okazać... - mówiłam pomiędzy pocałunkami - że nie jesteśmy dopasowani do siebie w sferze erotycznej... I co wtedy?

- Tego obawiam się najmniej. Zaraz będę cię musiał o tym przekonać, ale najpierw cię uciszę, bo naprawdę ściągniesz jakieś nieszczęście na dwie kochające się osoby.

Pozwoliłam mu na wszystko, a kiedy wreszcie przenieśliśmy się do sypialni, rozpętałam w sobie taką burzę emocji, że o niedopasowaniu seksualnym nie mogło być już mowy. Znalazłam w sobie inną kobietę, kiedy kochałam się z Alexem. Kobietę jasną i pootwieraną na wszelkie doznania. Ani się nie wstydziłam, ani nie śpieszyłam, podczas kiedy on podążał za moimi zachciankami. Byłam stroną biorącą i narzucającą tempo, żeby zaraz potem wycofać się w słodką bierność i zaczynać od nowa. Alex zapalał wszystkie światła, patrzył na mnie i otaczał mnie swoimi ramionami, zamykał, doganiał, a ja nie mogłam sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wcześniej czułam się w ten sposób.

Izabela

Ostatni ślad hamowania

Radek podstawił krzesło i podniósł moje nogi, a potem ułożył je wygodnie, podkładając mi poduszkę. Kostki miałam spuchnięte i lekko zaczerwienione, wielki brzuch przeszkadzał mi coraz bardziej, nie byłam już w stanie zapiąć sobie sandałów na stopach. Upał trochę zelżał i mogłam wyjść do ogrodu, żeby usiąść w cieniu pod parasolem. Ostatnich kilka dni przeleżałam w łóżku, czułam, że jeśli się ruszę, odejdą mi wody i nasza córka przyjdzie na świat o trzy tygodnie za wcześnie. Lekarz zalecił mi całkowity odpoczynek, ale ja nie znałam takiego pojęcia, więc nie umiałam się dostosować. Czułam się kiepsko, choć zarówno wyniki badań, jak i moje serce matki podpowiadały mi, że nie dzieje się nic złego. Nie byłam już młoda, mój organizm trochę się zużył, trudno mu się dziwić, że nie reaguje na „obce ciało” tak dzielnie jak czternaście lat temu. Piłam wodę z cytryną i lodem. Od Wigilii nie zanurzyłam ust w winie i moja tęsknota za merlotem była ogromna. Radek w mojej obecności nie otwierał nawet puszek z piwem, nie mówiąc już od winie, nie chciał mnie drażnić. Kupowaliśmy wino w takich ilościach jak zawsze i robiliśmy zapasy. W piwnicy czekało na mnie siedemdziesiąt butelek! Nie zmarnują się, to pewne.

Planowałam huczne chrzciny naszej córeczki na święta Bożego Narodzenia, choć mama już na wstępie zbombardowała ten pomysł, bo „kto to czeka z ochrzczeniem dziecka aż pięć

miesiący? Chyba jakieś niedowiarki?". Radek stanął w mojej obronie i powiedział teściowej, nieelegancko dobierając słowa, że będzie tak, jak ja postanowię. Spojrzałam na niego wtedy z miłością w oczach. Marlena zapowiedziała swój przyjazd z Alexem, Justyną, Scottem i Emilką, bardzo mi zależało, żeby byli rodzicami chrzestnymi, a przed świętami nie mogli się wyrwać z Anglii. Z przyjemnością i niespotykaną u mnie wcześniej uległością dostosowałam się do ich planów. Ja miałam do zorganizowania tylko chrzest i „ imprezę towarzyszącą”, podczas kiedy Marlena musiała stworzyć dom dla Justyny, wyprawić w wielki świat Emilkę, pomóc w ułożeniu życia na obczyźnie kochanemu mężczyźnie i jego synowi. Wzięła sobie sporo na głowę, ale kiedy zegnaliśmy się po świętach, czułam wielką energię, jaka z niej biła, a przecież jeszcze wtedy nie wiedziała, kto czeka na nią w Anglii i z jakimi planami życiowymi.

Uzgodniliśmy z Radkiem, że naszej córeczce damy na imię Aleksandra. Był to pomysł mojego męża, a ja nie znajdowałam już w sobie potrzeby sprzeciwiania się wszystkiemu, co on proponuje tylko dla samego wszczęcia sprzeczki. Radek i jego mama walczyli kilkanaście lat temu o nadanie mojemu pierworodnemu synowi imienia po dziadku - Lechosław. Wtedy mój sprzeciw był tak stanowczy, że zrezygnowali z tego jakże fantastycznego pomysłu i dali spokój z tym „obciążonym” imieniem. Przy drugim dziecku Radek nawet nie skonsultował się z mamusią, co zostało zauważone i mile przyjęte. Kiedy zaproponował Aleksandrę, od razu tym imieniem zaczęłam nazywać kopiając mnie energicznie małą dziewczynkę leżającą w moim brzuchu.

Niestety, Konrad zachowywał się coraz gorzej, jeszcze na świat nie zawitała jego siostra, a już z nią rywalizował. Kiedy urządziliśmy jej różowy pokoik, wyśmiał nie tylko sam pomysł, ale też i nasz gust. Nie omieszkął wypomnieć, że jak on się urodził, mieszkaliśmy w ciasnym mieszkaniu ze śmierdzącym zsyphem na klatce, obleśnymi sąsiadami, ciekącym kranem, wanną jak dla krasnala i balkonem, na który nie wolno mu było nigdy wychodzić. Zarzucił nam, że dla princessy zorganizowaliśmy

zawczasu różowy pokoik z białą kołyską z woalką, nie mówiąc już o misiach, laleczkach, koroneczkach i innych duperelach z pluszu. Radek huknął na niego, a potem zaryczał tym swoim sarkastycznym barytonem, że chyba nie oczekuje od nas, że przeprowadzimy się teraz do mieszkania, żeby było to sprawiedliwe z jego punktu widzenia. Rozmowa ciągnęła się aż do chwili, kiedy Konrad zaproponował, że zamieszka u babci, żeby nam nie przeszkadzać w szczęściu rodzicielskim. Skąd w nim tyle jadu? Chyba nie po mnie? A może? Jego wyniki w nauce były zatrważające, ale przemilczałam to, bo właśnie zaczynałam wchodzić w ostatnią fazę ciąży i czułam się słabsza, bezbronna z tym wielkim brzuchem, który kroczył co najmniej dwa metry przede mną. Nie byłam zadowolona ze swojego dzieła, patrząc na naszego syna i wiem, że Radek też się tym martwił. Czy wypełniliśmy błąd? Jaki błąd?

- Konrad, kiedy ty w końcu zejdziesz z tej wojennej ścieżki?
- zapytałam go, kiedy zostaliśmy sami. Kołysał mnie ten letni dzień, było tyle piękna wokół mnie i tym chciałam udobruchać swojego syna, tym ciepłym popołudniem, beztrudną porą dnia, kiedy do niczego nie było nam spieszno i wszystko miało swój porządek, niczym niezakłócony. Od dawna chciałam z nim porozmawiać, ale nie dopisywała pogoda w sercu, a teraz zrobiło się na powrót cudownie. Siedział obok mnie w wiklinowym fotelu i nie drukował do nikogo z komórki. Trzeba było wykorzystać tę chwilę.

- Mamo, dajcie mi żyć! Cały czas coś do mnie sapiecie, coś wam nie pasi, a ja przecież ani nikogo nie zabiłem, ani nie okradłem. Uczę się, ile mogę, fajek nie palę, problemów nie stwarzam, a wy ciągle coś bucycie. Nie podoba mi się ten cyrk, jaki odstawiacie na cześć mojej siostrzyczki. Co jeszcze dla niej wymyślicie?

Wiedziałam, że był zazdrosny, trzeba było tylko go zapewnić, że niepotrzebnie wkracza na ścieżkę rywalizacji, bo nigdy nie będzie wyścigu jego i jego siostry do naszych serc. Jednak to, co było dla mnie oczywiste, jemu mogło się wydawać pułapką.

- Jezu, aleś ty gnuśny i agresywny! - tłumaczyłam spokojnie ciepłym, letnim głosem. - O co ci chodzi? O te parę różowych wstążeczek w jej pokoju? O to jesteś zazdrosny? Synu, przecież ja i tato kochamy cię nad życie i do tej pory byłeś jedyną naszą miłością, ale urodzi się maleńkie dziecko i też będziemy je kochać. To nie znaczy, że zabierzemy pół miłości do ciebie i damy jej, to znaczy, że rośnie w nas zupełnie nowa miłość. Mały człowieczek, który do nas dołączy, chyba nie chcesz, żebyśmy udawali, że nasza rodzina się nie powiększy? Aż takim egoistą chyba nie jesteś? - mówiłam mu tak, jak umiałam najprościej, ale Konrad stanął w tej swojej bramce i nie miał zamiaru wpuścić gola. Bronił, choć nikt nie grał i nie próbował mu tej bramki strzelić.

- Mama mi tłumaczy jak debilowi. Nie chodzi mi o żadną głupią miłość, tylko żebyście się przestali mnie czepiać. Ja mam swoje życie... - Kołysał się na krześle, za co zawsze go ganiłam. Fotel skrzypiał i byłam pewna, że zaraz się rozpadnie.

- Synu, to czego ty właściwie chcesz ode mnie? Mam w ogóle do ciebie nie mówić? Jakie będą nasze relacje, jak przestaniemy się do siebie odzywać?

Konrad wzruszył ramionami, ale zauważyłam, że troszkę stopniał ten lód pod jego powieką. Przestał się kołysać i zupełnie niespodziewanie nachylił się nade mną i pogłaskał mnie po brzuchu. Przytrzymałam jego dłoń i czekaliśmy chwilę na kopniaka. Konrad zerwał się na nogi, kiedy poczuł ruch w moim brzuchu.

- *Fuck* \ Ale to czuć!

Udawałam, że nie usłyszałam tego *fuck*.

- Bojowo nastawiona - odparłam i sięgnęłam po szklanke z wodą. - Mówię ci, ciąża i rodzenie dzieci to wcale nie jest takie hop-siup, jak się wydaje. Dla mnie to jest wielkie wyzwanie. Zobaczysz, że urodzę ci fajną siostrzyczkę, obiecuję.

- Ona może i będzie fajna za kilka lat, ale najpierw to się będzie tylko drzeć po nocach, bąki puszczać, rzygać i płakać - mruknął.

- Ty też rzygałeś i darłeś się po nocach, a proszę, jaki fajny kolo z ciebie wyrósł!

- No, ja jej w każdym razie niańczył nie będę, mogę co najwyżej jej czasem popilnować, jak byście chcieli na imprezę iść czy tam gdzieś. Trzy, maks cztery godziny mogę z nią posiedzieć, ale jak się zleje, to jej nie będę przewijał. - Konrad był bardzo poważny, składając te deklaracje. Nie bardzo mogłam sobie go wyobrazić zajmującego się noworodkiem przez cztery godziny, ale cieszył mnie fakt, że wystąpił z taką propozycją.

Nadszedł Radek, odchudzony, sprężysty czterdziestolatek, który ma zostać ojcem po raz drugi i z tego jedyne go powodu chciałby swoją żonę ozłocić i od razu ogłosić świętą. Wiedziałam, że pragnie drugiego dziecka, ale nie sądziłam, że aż tak go uszczęśliwie, zachodząc w ciążę. Powiedziałam Marlenie, że córeczka z pewnością uratuje nasze małżeństwo, nabierałam tej pewności stopniowo, a teraz na trzy tygodnie przed porodem nie miałam najmniejszej wątpliwości, że tak właśnie się stanie. Ciężka duża presja na tej małej istocie, która jeszcze sobie pływała w moim brzuchu, ale jej nie przygniatała.

- Może czegoś sobie jeszcze życzysz? - Radek usiadł pomiędzy nami.

Warował przy mnie jak pies. Zaniedbał obowiązki w firmie albo po prostu lepiej sobie zorganizował pracę, poświęcał mi sporo czasu i nigdy nie okazał cienia znudzenia lub zniecierpliwienia. Kiedy mu powiedziałam, że będziemy mieli dziecko, dostał ataku duszności. Pił wtedy piwo i prawdopodobnie się zakrzusił. Rzucił się na mnie i zaczął mnie całować oraz ścisnąć. Musiałam go poprosić, żeby mnie przestał gnieść, bo zrobi mi krzywdę. Przez ostatnich kilka tygodni nie dotykaliśmy się wcale, wciąż spałam w gościnnej sypialni, więc, korzystając z okazji, nadrabiał zaległości. Wsłuchiwałam się w jego oddech i nasiąkałam jego zapachem. Oboje pamiętaliśmy noc, kiedy to się stało. Tak rzadko spaliśmy ze sobą, więc kiedy to wreszcie nastąpiło, pozostawało w pamięci na długo. Oczywiście, nie zabezpieczyliśmy się, bo z moich wyliczeń wynikało, że jest bezpiecznie. Radek okazywał swoją radość przy wszystkich, całe święta toczyły się wokół mojej ciąży i jego radości. Zadzwonił do swojej mamy i długo jej opowiadał o tym, jaki jest szczęśliwy i jak

bardzo czekał na moment, kiedy się znów odważę na ten krok. Nie doczekałby się pewnie, gdyby nie mój brak czujności i słaba znajomość własnego organizmu. Nie czułam, że jajeczkuje, oto i cała tajemnica niespodziewanego poczęcia. Dowiedziałam się o ciąży w najbardziej odpowiednim momencie, kiedy wszyscy byli przy mnie, więc od razu nadmuchali na mnie i na moje małe dziecko w zarodku, otoczyli należytą opieką i postawili na centralnym miejscu. Zapanowało jakieś wielkie szaleństwo wokół mojej ciąży i mojego samopoczucia, a jeśli myślałam, że entuzjazm Radka wygaśnie, bardzo się myliłam. Dopiero kiedy wróciliśmy do domu, odważył się pokazać, jak bardzo mnie kocha i jak go uszczęśliwiłam. Nie wstydził się ani radości, ani nadziei, krążył wokół mnie i prostował nasze wspólne ścieżki.

- Zjadłabym coś z majonezem. Może też łyżeczek wina? - Popatrzyłam na Radka błagalnie.

- Majonez tak, a co do winka, to mam dobrą wiadomość - odparł tajemniczo. Nie musiał mnie pilnować. Ani nie piłam, ani nie paliłam w ciąży. Chciałam urodzić zdrową i piękną córkę.

Nie wiedziałam, czy wtajemniczyć Radka, czy też nie, ale powstał w mojej głowie szalony plan, aby ściągnąć do Warszawy Stefanię, żeby mi pomogła przez pierwsze miesiące w połogu, ale nie wiedziałam, jak się do tego zabrać. Stefania była zachwycona moją propozycją, wyniańczyła dwoje dzieci swojego brata, ale też nie miała pomysłu, jak to przeprowadzić, żeby nie doszło do jakiegoś niepotrzebnego odkrycia karty z damą pik. Myślałyśmy też nad tym, czy nie zainscenizować szopki, że przyszła z ogłoszenia i w taki sposób zaprosić ją do nas, ale trochę się bałam, że przed Radkiem nie będę umiała tego ukryć. Wydawało mi się to też nieco krzywdzące. Mama zadeklarowała, że przyjedzie do Warszawy na miesiąc po porodzie i przyjąłam jej propozycję, bo trochę się jednak bałam, że nie dam sobie rady sama. Radek szepnął mi do ucha, że tylko ze względu na wielką miłość, jaką mnie darzy, zgadza się na wizytę teściowej. Stefania zadeklarowała, że zostanie tak długo, jak będę jej potrzebować. Dodała, że nic jej już nie trzyma w jej mieście. Księgarnię zamknięto, a w mieszkaniu nie ma ani kwiatów, ani kota, więc w każdej

chwili może je zamknąć na klucz i wyjechać stamtąd. Wiedziałam, że jakoś przeforsuję ten nasz sekretny plan.

Kochałam swojego tatę w tej kobiecie i nie umiałam tego ani wytłumaczyć, ani tym bardziej zmienić. Ona mi go przypomniała i to było wspaniałe uczucie. Naradzałyśmy się od tygodni, przyjechała nawet w niedzielę mnie odwiedzić, kiedy Radek z Konradem pojechali na pogrzeb dziadka. Staruszek-komunista w końcu wydał ostatnie tchnienie, a podobno ostatnim jego słowem było to, że „brat zabił brata, żeby zwrócić na siebie uwagę”. Aż się bałam myśleć, o jakich to braci mu chodziło. Zażądał też pogrzebu świeckiego, ale oczywiście nikt nie dostosował się do jego woli i ksiądz pojawił się w całym swoim katolickim majestacie nad jego trumną. Radek stanął w obronie ostatniej woli dziadka, argumentując, że skoro profesor Religa, też z Zabrze, mógł mieć świecki pogrzeb, to dlaczego nie mógł jego dziadek? Ale mama Radka nie ustąpiła i w ostateczności, wprawdzie bez mszy, ale z modlitwami, zakopano dziadka na cmentarzu w Zabrzu, nie w Katowicach, gdzie mieszkał. Ja, będąc w zaawansowanej w ciąży, zostałam usprawiedliwiona, mogłam zaprosić Stefanię i pozwolić jej usługiwać mi przez jeden dzień. Konrad dostał po dziadku mieszkanie w Zabrzu, Radek nie dostał nic, a resztą dysponowała jego mama. Bardzo się zdziwiłam, kiedy tydzień po pogrzebie przywiozła mi cztery złote pierścienie, które kiedyś zostały przywiezione z Rosji, a przynajmniej tak mi powiedziała, żeby rozwiać moje wątpliwości. Obawiałam się, że dziadek mógł je po prostu skonfiskować swoim ofiarom lub przyjąć je jako łapówkę, żeby kogoś wypuścić z więzienia. Radek zapewniał mnie dziesiątki razy, że jego dziadek nie był ani w SB, ani w UB, a tylko w milicji, a potem w prokuraturze, ale po cywilnemu. Niestety, nie przekonał mnie. Jeden z pierścionków był naprawdę ładny i modny, z wielkim zielonym oczkiem, ważył chyba z dziesięć gramów. Założyłam go na palec i od razu przemówił do mnie. Pozostałe trzy wrzuciłam do pudełka. Jeden chciałam podarować Marlenie, gdy przyjedzie w grudniu do Polski, drugi mamie, a trzeci pozostawiłam dla mojej małej Aleksandry, która już zaczęła kopać mnie z całych sił. Mogłam

dać też jeden pierścień Stefanii, ale Marlena by tego nie pochwaliła. Nie wspominałam jej nawet, że mam plan zaprosić ją na dłuższy pobyt u nas w domu. Kilka razy przymierzałam się, żeby powiedzieć o jej istnieniu Radkowi, ale nie wytrwałam w tym postanowieniu. Nie wiem, co mnie powstrzymywało? Najprawdopodobniej chęć zatrzymania Stefanii i jej tajemnicy tylko dla siebie. Marlena nie podzielała mojego entuzjazmu, ale też nie wymagała ode mnie, żebym zaniechała kontaktów. Ona nie miała takich emocjonalnych potrzeb jak ja. Na szczęście.

- A może, kochanie, skoczyć po gazetki? - Radek wchodził i wychodził, cały czas kręcił się wokół mnie, gotowy na spełnienie każdego życzenia. Mądre książki przestrzegają, żeby dziećmi dziur nie łątać w wątych związkach, ale wszystko zależy od tego, jak wielkie są te dziury i jak bardzo obie strony pragną, aby one zniknęły. Ja poczułam ulgę, kiedy rozpoczął się proces naprawy naszego małżeństwa. Sama nie wiedziałabym, jak go zacząć, ale natura mnie wyręczyła i zrobiła za mnie pierwszy krok.

Radek stanął nade mną z kieliszkiem białego wina musującego.

- Dzwoniłem do lekarza, powiedział, że 125 ml ci wolno dzisiaj... wyjątkowo. Ma tylko 10% ten sikacz. - Podał mi cudownie schłodzony płyn. Upiłam jeden łyk i rozłożyłam się wygodnie w fotelu.

- Dzielnie wytrzymałaś tyle miesięcy, więc pomyślałem, że należy ci się nagroda w ten upał. Nie dolałem ani kropli wody, przysięgam. Wiem jak tego rozcieńczania nie lubisz.

- O słodka matko wszystkich przyjemności... - zamruczałam zadowolona. Nie miałam ochoty na papierosa, choć wydawało mi się, że rzucenie palenia będzie dla mnie najtrudniejsze, tymczasem zupełnie naturalnie odechciało mi się palić, kiedy test ciążowy potwierdził moje podejrzenia. W jednej chwili opuścił mnie mój wieloletni nałóg.

- Może ja bym się też napił wina? - Konrad podsunął swoją szklankę bliżej butelki. Pogroziłam mu palcem. Pewnie już próbował alkoholu, ale co innego w tajemnicy upić pierwszy łyk jakiegoś bełta, a co innego oficjalnie pić wino przy rodzicach.

W końcu wszyscy smakowaliśmy w młodości alkoholu w tajemnicy, słusznie uważając, że jest to raczej występki niż akt odwagi. I niech by tak zostało, jeszcze ma mój syn przed sobą kilka lat w trzeźwości, nie ma się do czego śpieszyć. Radek skinął głową, zgadzał się ze mną.

- Wynająłem to mieszkanie w Zabrze, jak Konrad skończy osiemnaście lat, to sam zadecyduje, czy zechce je sprzedać, czy zatrzymać. Chciałem ci jeszcze coś powiedzieć, jak już jesteś przy temacie pieniędzy. Po śmierci twojego taty Marlena przyniosła ci te pieniądze, jak wiesz... spadek.

- Nie wzięłam ich, ale jak mi je jeszcze raz zaproponuje, to je wezmę - powiedziałam, delektując się każdym maleńkim łykiem. Wiedziałam, że na dolewkę nie mam szans.

- No właśnie. - Radek poklepał mnie po kolanie. - Ja te pieniądze od niej przyjąłem i założyłem konto Konradowi. Nie denerwuj się, ale chyba dobrze zrobiłem. Powinienem ci jednak dawno temu o tym powiedzieć, ale ja się ciebie trochę boję...

- To ja mam kasę na koncie i nic o tym nie wiem? - Konrad aż podskoczył w fotelu.

- Niezupełnie. Nie wściekaj się, ale to nie są twoje pieniądze, tylko moje! - Ugasiłam jego zapędy, zanim zapytał, o jaką sumę chodzi. Zapewniłam Radka, że zrobił dobrze, że wtedy pieniądze wziął, ale ponieważ to był spadek po moim ojcu, Konrad go nie dostanie. Nasz syn w wieku czternastu lat zdążył już otrzymać mieszkanie w Zabrze, wielkie, słoneczne, w dobrej dzielnicy, warte ze dwieście tysięcy złotych, powinno mu wystarczyć na początek.

- To mieszkanie naprawdę jest moje? Na Śląsk to ja się na pewno nie wyprowadzę, ale może za pieniądze ze sprzedaży jakąś kawalerkę bym sobie kupił w Warszawie? Jak pójdę na studia, to mógłbym już tam mieszkać sam, no nie? Nie mówiłem wam, ale zdecydowałem się jednak na prawo. - Przejęcie w głosie Konrada trochę mnie rozśmieszyło. Co jednak mogłam mu powiedzieć? Że bardzo ucieszył nas fakt, iż nie powtarzał klasy, choć był zagrożony z dwóch przedmiotów? Prawo? Czyżby? Zauważył moje kpiarskie iskiery w oczach i głośno zaprotestował.

- Mamo, skończyły się żarty, od przyszłego roku ruszam ostro z edukacją, przecież mówiła ci wychowawczyni, jaki jestem zdolny, ale bardzo leniwy.

- Tak synu, to już wiemy o tobie. - Radek nalał sobie drugi kieliszek wina.

- Więc objaśniam, że leń wziął i umarł, a narodził się kujon! Nie chcę przynieść obciachu swojej siostrze.

- Czuję, że kpisz, ale i tak mi się podoba, co mówisz. A ty, kochanie, co zrobisz z tymi pieniędzmi na koncie? To niby nie jest wielka suma, ale jednak pięćdziesiąt tysięcy. Plus odsetki

- Radek zwrócił się do mnie.

- Powiem ci, co zrobię. Zabiorę was wszystkich do Toskanii. Ciebie, Konrada, Marlenę, Alexa, Justynę, Emilię i Scotta. Wynajmiemy willę z basenem i widokiem na winnice. Będziemy jeść i pić i jeżeli by jeszcze jakiś topór był, to go zakopujemy na zawsze... - odparłam rozmarzonym głosem. Radek stuknął w mój kieliszek. Jeszcze rok temu zaproponowałby, żeby jechali z nami Tomaszowie, ale teraz już nawet taka myśl nie powstała w jego głowie, a co dopiero propozycja. Konrad pierwszy raz był naprawdę żywo zainteresowany rozmową z nami.

- Gdzie jest Toskania? - zapytał po chwili. Radek wzniosł oczy do nieba.

- Czego oni was tam uczą w tej szkole, jak ty nie wiesz, gdzie jest Toskania? Jak na przyszłego mecenasa to strasznie tępy jesteś! - powiedział, ale nie brzmiało to sarkastycznie, jedynie dowcipnie.

- W Europie na bank! - uśmiechnął się do ojca. - Ale czy we Francji, czy gdzie, to nie wiem. A ta mała pojedzie z nami?

- Nie. Roczne dziecko nie będę targać do Włoch - zaprotestowałam. - Rozglądam się powoli za opiekunką do dziecka, żebyśmy nie padali na twarz ze zmęczenia. Ja po roku chcę wrócić do pracy, więc mam czas, żeby kogoś znaleźć.

- A jak to jakaś psychopatka będzie? - Konrad nagle spoważniał.

- Nie martw się, już kogoś odpowiedniego mam na oku - ucięłam krótko, wypijając ostatni łyk wina. Radek nie odrywał

ode mnie wzroku, miał nadzieję, że powiem coś więcej o tej tajemniczej niani. Dałam mu znak, że wyjaśnię mu to później.

Po chwili Konrad poszedł do domu, ale zaraz wrócił z moim telefonem komórkowym. Trzy nieodebrane połączenia od Natalii. Cóż znowu? Z Hubertem rozstali się, zeszli i znów rozstali, nie nadażałam za tą operą mydlaną. Marlena napominała mnie, że nie mam prawa wybierać partnera życiowego swojej przyjaciółce, mogę tylko jej wybór zaakceptować, zaś ja argumentowałam, że nie będę się przyglądać tej katastrofie w milczeniu. Radek też trzymał stronę Marleny, zapewniając mnie, że do ślubu nie dojdzie i że martwię się na zapas. A nawet jeśli, to jakoś sobie z tym bucem poradzimy, skoro już uszczęśliwił Natalię. Co do jej szczęścia, pewności nie miałam, natomiast nie miałam wątpliwości, że uległa presji i uciekła w pierwszy lepszy wybór, żeby nie zostać starą panną. Nie stać jej było na czekanie ani roku dłużej.

Czasami warto poczekać, a czasami nie, wszystko to jest jakąś niepojętą w zasadach loterią. Może Marlena byłaby bardzo szczęśliwa z Leszkiem, a może nie? Kochała Pana Idealnego, wyszła za męża bez miłości za Pana Anglika, a teraz kocha się z moim kolegą z klasy. I to z wzajemnością! Kiedy rozmawiałam z nią wczoraj na temat Justyny i jej matkowania Scottowi, powiedziała, że choć nigdy nie wybrałaby dla siebie takiej roli świadomie, znalazła w tym nowym układzie absolutnie wszystko, czego szukała przez ostatnie dwadzieścia lat. Alex mieszkał na tej samej ulicy, Scott spędzał większość czasu u niej w domu i zaczynał już mówić nieźle po polsku. Nie udawała, że jest jego mamą, Margot zresztą utrzymywała kontakt z synem i w kwietniu odwiedzili ją w Nowym Jorku. Rewolucyjna terapia okazała się nieskuteczna i pozostawało jej czekać na wielki przełom w medycynie, który dałby osobom z przerwany rdzeniem kręgowym przynajmniej nadzieję na odzyskanie czucia w kończynach. Sporządzono dla niej specjalny chodzik i zaczynała być trochę bardziej niezależna, ale nie oczekiwała już szybkiej poprawy. Zamieszkała z nią ciotka, jednak szybko się wycofała ze swego aktu miłosierdzia i Margot planowała teraz powrót

do RPA, gdzie jakaś kuzynka zaproponowała jej mieszkanie oraz pracę w zespole adwokackim. Margot wybierała się do Johannesburga jesienią.

Zapytałam Marlenę, czy nie obawiają się z Alexem, że jeśli stanie na nogi, zechce im odebrać Scotta. Obawiali się tego, ale jej wewnętrzna odmiana spowodowała, że ten strach nie był aż tak realny. Scott coraz mniej tęsknił za matką, a życie w Anglii bardzo mu odpowiadało. Polubił trzy nowe kobiety w jego życiu: Marlenę, Emilię i Justynę, które weszły w jego świat i kolorową kredą zamalowały wszystkie szare kontury. Miał teraz ojca i te ciotki, które dawały mu poczucie bezpieczeństwa. Alex stworzył dla niego dom, jaki chciałby mieć każdy mały chłopiec, zaś Marlena odgrywała rolę mamy tylko w sytuacjach, kiedy było to potrzebne. Odbierała go ze szkoły, prowadziła do lekarza, wiązała mu krawat przy szkolnym mundurku, objaśniała świat i zapewniała, że kocha go nad życie. Alex po pierwszych miesiącach intensywnej pracy, mającej na celu przekonanie swoich nowych pracodawców, że dokonali właściwego wyboru, wynegocjował sobie możliwość pracowania w domu. Do biur jeździł trzy razy w tygodniu i wszyscy przystali na ten układ. Lubiłam z nim rozmawiać przez telefon, dzwonił do mnie raz na jakiś czas, wypytywał o samopoczucie moje, Radka, Konrada, ale tak naprawdę chciał mówić tylko o tym, jak bardzo kocha Marlenę. Planował odważny krok. Miał zamiar zaproponować, aby zamieszkali razem. Ich związek „na próbę” trwał już sześć miesięcy i choć wszystko funkcjonowało idealnie, Alex chciał więcej, jednak obawiał się, że Marlena uzna to za zamach na swoją wywalczoną niedawno wolność. Nie umiałam mu poradzić w tej sprawie, a rozmowę z Marleną na ten temat odkładałam na czas po porodzie. Emilia przeprowadzała się w sierpniu do Londynu, ja termin rozwiązania miałam na lipiec, Marlena kończyła czterdzieści lat, a Justyna szykowała się do pójścia do college'u, gdzie miała zamiar zdać podstawowe egzaminy, a potem planowała studiować weterynarię. Powiedziałam Alexowi, że latem wrócimy do tematu, jak tylko urodzę, zabiorę się za dyplomatyczne zabiegi i wybadam nastroje. Marlena nie zdradzała,

czy myśli o wspólnym zamieszkaniu, czy też odpowiada jej obecny układ osobnych gospodarstw. Mogłam zapytać wprost, ale nie zrobiłam tego, ponieważ nie chciałam być podobna do swojej mamy, która od stycznia pyta Marlenę w każdej rozmowie, kiedy będzie mieć ślub, kościelny czy cywilny. Bo jeśli cywilny, to ona nie przyjedzie. Marlena na początku ją zbywała, potem zaczęła się irytować, a ostatnio wprost zażądała zaniechania tematu, więc ja w takim klimacie nie mogłam prowadzić z nią rozmów ponaglających do sformalizowania jej związku.

Dużo rozmawiałam przez telefon, czekając na narodziny Aleksandry i im uważniej słuchałam swoich rozmówców, tym odważniej dochodziłam do wniosku, że z mojego terenu i horyzontu zniknęły wszystkie problemy. Czułam się lekko, unosiłam się ponad ziemią razem ze swoimi spokojnymi myślami na temat przyszłości. Nie wszystko zawdzięczałam zajściu w ciążę czy spotkaniu Stefanii ani nawet pogodzeniu z Marleną. Miałam poczucie, że ukojenie przyszło mimo wszystko z innego kierunku. Była to pora, kiedy zaczynałam wierzyć, jakkolwiek nieśmiało, że to przyszło z Góry. Patrzyłam w niebo, trzymając jedną dłoń na brzuchu, a drugą na dłoni Radka. Odwróciłam na chwilę wzrok i zobaczyłam Konrada, który szedł przez ogród wyprostowany, stawiając wielkie kroki jak mój tato. Chciałam się zatrzymać na moment i zrobić sobie fotografię tej niezwykłej chwili, kiedy wszystko, co najważniejsze, miałam tak blisko siebie, że nie czułam już potrzeby, żeby tego czegoś dotknąć, bo wiedziałam, że to nie zniknie. To już nie był sen.